

Skoczeń:
Anatomia ewaluacji

Czarnek:
Wolność i finanse

Karwowski, Sułkowski i in.:
Razem czy w pojedynkę?

FORUM AKADEMICKIE

Ogólnopolski miesięcznik środowisk akademickich

Nr 7-8/2021

PL ISSN 1233-0930 20 zł (VAT 8%)

Rok Stanisława Lema Str. 63-74



Maj, Zaborowski i in.:
Nauka i popkultura

Pawłuszko, Rymśza, Zajęc:
Nowe kierunki badań społecznych

Ciesielska:
Polacy w Getyndze

FORUM AKADEMICKIE

„Forum Akademickie” towarzyszy polskiej nauce i szkolnictwu wyższemu od roku 1991 (początkowo, jako „Przegląd Akademicki”). Przez cały ten okres informuje o najważniejszych wydarzeniach z obszaru nauki i szkolnictwa wyższego, rozwiązaniach instytucjonalnych i prawnych, reformach systemowych i codziennych

problemach badaczy. Tysiące uczonych i pracowników sektora nauki i uczelni przedstawiało na łamach FA swoje opinie i pomysły. Głos zabierali ministrowie i rektorzy, profesorowie i studenci, a także przedstawiciele otoczenia społecznego i gospodarczego uczelni i instytutów naukowych.

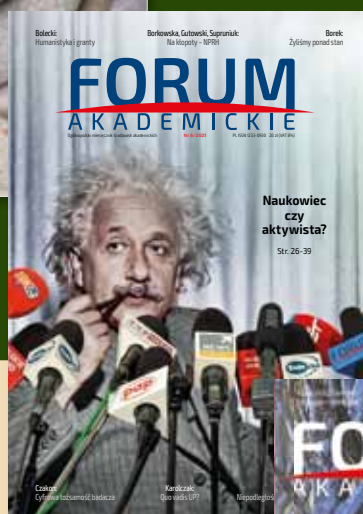
Miesięcznik informuje o wydarzeniach ze środowiska akademickiego znacznie pełniej niż gazety codzienne i portale poświęcone nauce. Pod prąd medialnych tendencji do upraszczania pokazujemy skomplikowany świat badaczy, ich motywacji, dążeń, marzeń. Objawiamy konteksty kulturowe, społeczne, historyczne, które kształtują polską naukę i edukację wyższą.



Częściej widzimy życie akademickie od lepszej strony, bo warto prezentować nowe inicjatywy i udane przedsięwzięcia. Nie stroniemy też od krytyki działań osób i instytucji.

Pismo interesuje się wszystkimi dyscyplinami nauki. Dzięki temu daje

Czytelnikowi, który jest najczęściej specjalistą w określonej dziedzinie, wgląd w inne obszary, obraz całości.



30 LAT

Prenumerata „Forum Akademickiego” w 2021 r.

Szanowni Państwo, Drodzy Czytelnicy i Sympatycy „Forum Akademickiego”, Serdecznie zapraszamy do prenumeraty „Forum Akademickiego” w 2021 roku.

Roczna prenumerata dla instytucji kosztuje 230 zł;
prenumerata numerów 1-6: 120 zł, a 7-12: 110 zł.

Prenumeratorom indywidualnym oferujemy specjalną bonifikatę,
w związku z czym koszt prenumeraty wynosi 166 za cały rok
i 86 zł za pół roku.

Redakcja

INFORMACJE I KOMENTARZE

Wydarzenia	2
Musimy wyrównać szanse – rozmowa z dr. hab. Przemysławem Czarnkiem, ministrem EIn	6
Dobra podstawa na przyszłość – Marek Pawełczyk	8
Grono politechnik powiększone	9
Ile płacimy za dostęp? – Paweł Grochowski, Marek Michalewicz	10
Miękkie nanomateriały dla elektroniki	11
Plagiaty z cichym przyzwoleniem – Andrzej Karpowicz	12
Budżet 2021	13
Skarby w akademickich zasobach – Mariusz Karwowski	14
Na rzecz zrównoważonego rozwoju społecznego – Maciej Kowalewski	16
Katedry UNESCO w Polsce	16
NPRH polemiki: Rada NPRH dysponuje pełną autonomią – Włodzimierz Bolecki	17
NPRH polemiki: Jeszcze kilka zdań w sprawie NPRH – Grażyna Borkowska	17
Inwestycyjna hossa – Mariusz Karwowski	18
Uczelnie (nie)dostępne – Mariusz Karwowski	20
Przemysła dwudziestolatka	21
Związki i federacje	
Bitwa o prestiż – Łukasz Sułkowski	22
Federacja międzynarodowa? – Jarosław Bosy	23
Sposób na rozpoznawalność – Krzysztof Wilde	24
Przez pryzmat wspólnego interesu – Marcin Kalinowski	25
Trudne konsolidacje – Piotr Kieraciński	26
Artykuł sponsorowany	
30 lat na papierze i w krzemie – Krystyna Duda, Lucyna Sterniuk-Gronek	27

ROZMOWA FORUM

To be or not to be – rozmowa z prof. Błażem Skoczkiem, przewodniczącym KEN	28
---	----

NAUKA I POPKULTURA

Humaności wymagają reedukacji – Krzysztof M. Maj	34
Inspiracje fizyką kwantową w prasie New Age'owej – Paweł Zaborowski	38
„Widzę cudowne rzeczy...” – Piotr Kołodziejczyk	41
Między łajzą a ekspertem – Adam Regiewicz	45

ŻYCIE NAUKOWE

Ewaluacja dyscyplin w środowisku punktozy – Edward Radościński	48
---	----

Nowe kierunki badań społecznych

Kondycja nauk o bezpieczeństwie – Tomasz Pawłuszko	52
Usługi społeczne i nowy profesjonalizm praktyk pomocowych – Marek Rymsza	55
Dane rejestrowe w badaniach społecznych – Tomasz Zajac	59

ROK STANISŁAWA LEMA

Nielatwa przygoda Stanisława Lema z nauką XX wieku – Paweł Majewski	63
--	----

Lem i nauka (po latach) – Dariusz Brzostek	67
Czy możliwy jest kontakt między światami? – Jolanta Tambor	70

ŻYCIE AKADEMICKIE

O potrzebie nauczania kreatywności – Leszek Chybowski	75
Czy już czas na Uniwersytet Lubelski? – Mariusz Karwowski	78
Akademicki obywatelstwo – Zbigniew Drozdowicz	82
Żeby nie stracić jutra – Aneta Zawadzka	85
Czytelnia czasopism – Aneta Zawadzka	86
W chaosie jest metoda – rozmowa z prof. Krystyną Guranowską-Gruszecką z PW	87

Polemiki

Uczelnia z charakterem – Michał Śliwa	91
---------------------------------------	----

Publikuj lub giń

Daleko od Oxbridge – Marek Misiak	94
--------------------------------------	----

Z LABORATORIÓW

O edytowaniu tekstów Mazurów pruskich – Zbigniew Chojnowski	96
Znaczenie siły podporządkowanych – Michał Rauszer	100
Dewastacja krajobrazu miejskiego – Anna Majewska	103
W poszukiwaniu swojego głosu – Aleksandra Chmielińska, Monika Modrzejewska-Świgulska	107

W STRONĘ HISTORII

Uniwersytet w Getyndze, mekka matematyków

Felix Klein i Polacy – Danuta Ciesielska	110
---	-----

Kartki z dziejów nauki w Polsce (239)

Reformator, kolekcjoner, mason – Piotr Hübner	113
--	-----

OKOLICE NAUKI

Książki

Nowoczesność, czyli co? – Jacek Hnidiuk	117
Ingarden, kontynuacje i rewizje – Tomasz Klusek	117
Jak mówi chińskie przysłowie... – Justyna Jakubczyk	118
Człowiek, lekarz, specjalista – Mariusz Karwowski	118
Ornitoterapie – Aleksander Wójtowicz	119
Pobudka do posługi myślenia – Jadwiga Michalczuk	119

FELIETONY

Szkiełko w oku

Fałszywe przyjaźni – Piotr Müldner-Nieckowski	116
--	-----

Na marginesach nauki

Co nowego? – Leszek Szaruga	120
--------------------------------	-----

Projekt okładki – Sławomir Makal

Niemka za sterami ERC

BRUKSELA Biolożka prof. Maria Leptin będzie od października nową przewodniczącą Europejskiej Rady ds. Badań Naukowych. Zastąpi prof. Jean-Pierre'a Bourguignon, który tymczasowo, po rezygnacji prof. Mauro Ferrariego, piastował to stanowisko od lipca ub.r. Prof. Leptin przez ostatnie 11 lat pełniła funkcję dyrektora Europejskiej Organizacji Biologii Molekularnej. W tym samym czasie stworzyła zespół w Europejskim Laboratorium Biologii Molekularnej w Heidelbergu, który bada rozwój złożonych kształtów komórek w układzie oddechowym *Drosophila* oraz rolę lokalizacji RNA w tworzeniu kształtu komórki. Od stycznia tego roku jednym z wiceprzewodniczących ERC jest prof. Andrzej Jajszczyk

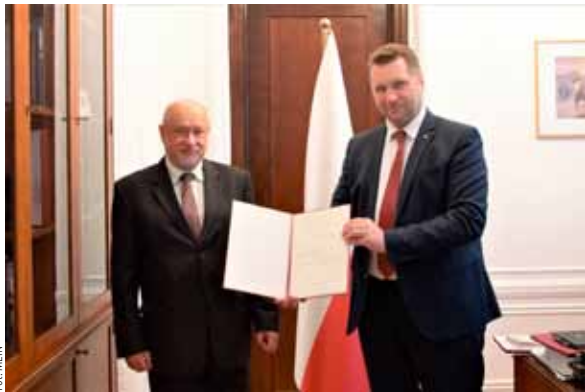
(odpowiada za nauki fizyczne i techniczne). European Research Council to utworzona w 2007 roku przez Komisję Europejską agenda Unii Europejskiej finansująca badania naukowe. Do tej pory do 16 polskich jednostek trafiło już w sumie 45 grantów ERC wszystkich kategorii.

Fot. ERC



Zmiana na czele PKA

WARSZAWA/LUBLIN Prof. Stanisław Wrzosek z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego Jana Pawła II został nowym przewodniczącym Polskiej Komisji Akredytacyjnej. Powołanie otrzymał 24 czerwca z rąk ministra edukacji i nauki Przemysław Czarnka. To piąty szef PKA od chwili



Fot. MEN

jej powstania w 2002 r. (po: Andrzeju Jamiołkowskim, Zbigniewie Marciniaku, Marku Rockim i Krzysztofie Diksie). Jest prawnikiem związanym od 1997 roku z KUL. Pracuje w Katedrze Prawa Samorządu Terytorialnego i Nauki Administracji w Instytucie Nauk Prawnych na Wydziale Prawa, Prawa Kanonicznego i Administracji. Był rektorem Wyższej Szkoły Handlowej w Radomiu, w której obecnie zajmuje stanowisko profesora zwyczajnego. W latach 2016–2020 PKA wydała w sumie 1555 ocen, z czego 1367 pozytywnych, 75 wyróżniających się, 89 warunkowych, 24 negatywne. W 138 przypadkach odstąpiono od wydania oceny.

NZS ma nową przewodniczącą

RZESZÓW/WROCŁAW Szóstą kobietą stojącą na czele Niezależnego Zrzeszenia Studentów została Alicja Książek, studentka II roku Master of Business Management Uniwersytetu Ekonomicznego we Wrocławiu. Zastąpiła Krzysztofa Białasa. W NZS działa od prawie 5 lat. W minionej kadencji pełniła funkcję wiceprzewodniczącej Zarządu Krajowego ds. projektów. Jest drugą reprezentantką UE we Wrocławiu na stanowisku przewodniczącego NZS (po Michale Jarosie wybranym w 2003 roku z ówczesnej Akademii Ekonomicznej we Wrocławiu) i 28 osobą kierującą największą organizacją studentką w Polsce w jej ponad 40-let-

Fot. Lovethislife fotografie



niej historii. NZS działa obecnie na 29 uczelniach, w tym m.in. we wszystkich uniwersytetach ekonomicznych, jednym medycznym, dziewięciu uczelniach technicznych oraz w PWSZ w Tarnowie. Skupia około 1,5 tys. członków, a tysiąc kolejnych osób jest sympatykami.

Doktorat h.c. – prof. Marek Krawczyk

KRAKÓW Wybitny specjalista w dziedzinie chirurgii ogólnej i onkologicznej oraz transplantologii klinicznej został 22 czerwca doktorem honoris causa Uniwersytetu Jagiellońskiego. Uehonorowano go za stworze-



Fot. Anna Wojnar

nie największego w Polsce i jednego z największych w Europie ośrodka transplantacyjnego wątroby, pionierskie zabiegi w chirurgii wątroby i transplantologii tego narządu oraz wybitne osiągnięcia naukowe. Od czasu studiów prof. Marek Krawczyk związany jest z Warszawskim Uniwersytetem Medycznym. W latach 2008–2012 był rektorem tej uczelni. W ostatniej dekadzie XX w. rozpoczął współpracę z Katedrą Chirurgii Ogólnej, Onkologicznej i Gastroenterologicznej UJ, gdzie pod kierunkiem prof. Tadeusza Popieli rozpoczął się w Polsce wieloosrodkowy program naukowo-badawczy dotyczący poprawy leczenia chorych na raka żołądka.

Doktorat h.c. – prof. Reinhard Zimmermann

LUBLIN Wybitny znawca prawa rzymskiego, historii prawa, prawa prywatnego i europejskiego, został doktorem honoris causa Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego Jana Pawła II. Uczony otrzymał najwyższą godność akademicką za szczególne osiągnięcia w dziedzinie prawa, odkrywanie i popularyzowanie źródeł europejskiej tożsamości prawnej. Prof. Zimmermann jest niemieckim prawnikiem i wykładowcą uniwersytetów w Ratybonie i Kapsztadzie. Od 2002 r. pełni funkcję dyrektora Max-Planck-Institut für ausländisches und internationales Privatrecht w Hamburgu, a od roku 2011 – przewodniczącego Studienstiftung des deutschen Volkes. Jego badania koncentrują się na prawie zobowiązań oraz prawie spadkowym, które poddaje analizie w ujęciu historycznym oraz prawnoporównawczym. Monografia jego autorstwa pt. *The Law of Obligations: Roman Foundations of the Civilian Tradition* zaliczana jest do najbardziej znaczących prac z dziedziny prawa w XX wieku.



Doktorat h.c. – prof. Cezary Kukło

KIELCE/BIAŁYSTOK Historyk i demograf z Uniwersytetu w Białymstoku otrzymał tytuł doktora honoris causa Uniwersytetu Jana Kochanowskiego w Kielcach. To 19. uczony uhonorowany przez UJK najwyższą godnością akademicką. Prof. Kukło związany jest z Wydziałem Historii i Stosunków Międzynarodowych UwB. Kieruje Katedrą Historii Struktur Demograficznych, Gospodarczych i Religijnych. W swoich badaniach koncentruje się na problematyce demografii historycznej i historii społeczno-gospodarczej przede wszystkim epoki staropolskiej. W polu jego zain-



Fot. UJK

teresowań znajduje się historia rodziny i jej gospodarstwa domowego, a także historia kobiet i ludzi starych. Jest organizatorem i dyrektorem Centrum Badań Strukturalnych i Gospodarczych Przednowoczesnej Europy Środkowo-Wschodniej funkcjonującego na wydziale od 2013 r. Przewodniczy Komisji Historii Strukturalnych i Społecznych Komitetu Nauk Historycznych PAN.

Dyrektor PIASt z Lednickim Orłem

POZNAŃ Prof. Przemysław Urbańczyk, dyrektor Polskiego Instytutu Studiów Zaawansowanych, otrzymał Nagrodę Lednickiego Orła Piastow-



Fot. Muzeum na Lednicy

skiego. Wyróżnienie przyznawane jest za wybitne osiągnięcia w dziedzinie badań naukowych i upowszechniania wiedzy o roli dynastii piastowskiej w historii Polski i Europy oraz ochrony piastowskiego dziedzictwa kulturowego. Prof. Urbańczyk jest archeologiem, jego zainteresowania badawcze koncentrują się na zagadnieniach związanych z wczesnym średniowieczem. Wśród jego publikacji szczególne miejsce zajmują te związane z początkami państw, chrystianizacją, architekturą mieszkaniową i sakralną oraz poświęcone tematyce funeralnej. W swych badaniach łączy archeologię i historię. Jest redaktorem monumentalnej kilkunastotomowej serii „Origines Polonorum” oraz 5-tomowej serii „The Past Societies. Polish Lands from the First Evidence of Human Presence to the Early Middle Ages”.

Nowe szyldy na fasadach

GNIEZNO/SUWAŁKI Kolejne dwie publiczne uczelnie zawodowe zmienią swoje nazwy. To efekt ministerialnych rozporządzeń wydanych w ostatnich tygodniach. Od 1 sierpnia uczelnia w Gnieźnie będzie działała pod szyldem Państwowej Szkoły Wyższej im. Hipolita Cegielskiego w Gnieźnie. Studiuje w niej 490 osób. Zatrudnia 141 pracowników naukowo-dydaktycznych. Od ub.r. rektorem jest prof. Paweł Chęciński. Miesiąc później pod nowym szyldem Państwowej Uczelni Zawodowej im. prof. Edwarda F. Szczepanika zacznie funkcjonować wyższa szkoła w Suwałkach. W ubiegłym roku świętowała swoje 15-lecie. Obecnie kształci się w niej 1159 studentów, w tym 53 obcokrajowców. Uczelnia zatrudnia 182 pracowników. Rektorem, już drugą kadencję, jest dr Marta Wiszniewska. Spośród 32 uczelni zawodowych w ostatnich miesiącach nazwy zmieniło już 14.

W gronie biologów molekularnych

HEIDELBERG/POZNAŃ Prof. Zofia Szweykowska-Kulińska z Wydziału Biologii Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza, jako jedyna z Polski, znalazła się w gronie 64 naukowców, którzy dołączyli do grona członków Europejskiej Organizacji Biologii Molekularnej (EMBO). Badaczka kieruje Laboratorium Ekspresji Genów, w którym zajmuje się metabolizmem RNA. Badania prowadzi głównie na roślinach, zwłaszcza modelem rzdokiewniku pospolitym (*Arabidopsis thaliana*) oraz użytko-



Fot. Adrian Wykrota

wych – ziemniaku i jęczmieniu. Zajmuje się także molekularnymi podstawami rozmnażania generatywnego w ewolucyjnie najstarszych roślinach lądowych – wątrobowcach i mchach. Wraz z nią grupa polskich członków EMBO liczy już 16 osób. W sumie EMBO skupia blisko 2 tys. uczonych.

W AE już ponad 100 Polaków

LONDYN Troje Polaków zostało przyjętych w poczet członków Academia Europaea. Tym samym liczba rodaków w tej organizacji przekroczyła 100. Prof. Małgorzata Kossut od 1976 roku jest związana zawodowo z Instytutem Biologii Doświadczalnej im. M. Nenckiego. Jej badania koncentrują się na neuroplastyczności układu nerwowego oraz neuronalnych mechanizmach uczenia się i pamięci. Prof. Tomasz Kapitaniak kieruje Katedrą Dynamiki na Politechnice Łódzkiej. Cieszy się międzynarodowym autorytetem w dziedzinie tzw. chaosu deterministycznego oraz sterowania ruchami nieregularnymi. Prof. Marek Kwiek jest dyrektorem Institute for Advanced Studies in Social Sciences and Humanities na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, kieruje też Katedrą UNESCO Badań Instytucjonalnych i Polityki Szkolnictwa Wyższego. Jego aktualny obszar badań to międzynarodowa współpraca badawcza, produktywność akademicka, stratyfikacja w nauce i globalne elity naukowe. Academia Europaea powstała w 1988 roku. Skupia obecnie ponad 4,5 tys. naukowców, w tym ponad 70 laureatów Nagrody Nobla. Nie ma charakteru badawczego, jest raczej elitarną korporacją naukowców, która doradza Komisji Europejskiej.



Fot. SWPS



Fot. Pt



Fot. M. Forecki

Coraz więcej naszych w EASA

KATOWICE Prof. Ewa Ziemia z Katedry Informatyki i Rachunkowości Międzynarodowej Uniwersytetu Ekonomicznego w Katowicach dołączyła do grona członków Europejskiej Akademii Nauki i Sztuki. Jest piątą



Fot. Arch. prywatne

Polką w tym gremium i 31. reprezentantem naszego kraju. Jej zainteresowania naukowe dotyczą wykorzystania technologii i systemów informatycznych na potrzeby doskonalenia biznesu, administracji publicznej i zrównoważonego rozwoju oraz zaangażowania i innowacji prosumentów. Zaproponowała autorską koncepcję zrównoważonego społeczeństwa informacyjnego oraz dokonała jej operacjonalizacji i empirycznej weryfikacji. European Academy of Sciences and Arts (EASA) to jedna z najbardziej prestiżowych organizacji naukowych i artystycznych w Europie. Należy do niej ponad 2 tys. naukowców, ludzi kultury i religii, w tym 34 noblistów oraz papież Benedykt XVI. W ub.r. EASA obchodziła 30-lecie.

Nagroda dla socjologa UŁ

WARSZAWA/ŁÓDŹ Prof. Krzysztof Konecki, kierownik Katedry Socjologii Organizacji i Zarządzania na Wydziale Ekonomiczno-Socjologicznym Uniwersytetu Łódzkiego, został laureatem Nagrody im. Stefana



Fot. UŁ

Nowaka. Doceniono serię jego prac opublikowanych w latach 1994–2019. Jury podkreśliło transgresyjny charakter jego badań, ciągłe przekraczanie granic terenu i metod badań społecznych, poszukiwanie nowych metod, a także jego inspiratorską rolę w socjologii polskiej oraz wysoki poziom redagowanego przezeń „Przeglądu Socjologii Jakościowej”. Prof. Konecki przewodniczy obecnie Polskiemu Towarzystwu Socjologicznemu. Nagroda przyznawana jest przez Instytut Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego za osiągnięcia z dziedziny metodologii nauk społecznych oraz za nowatorskie metodologicznie badania społeczeństw.

Leopoldiny dla archeologa i germanisty

WROCŁAW Dr hab. Tomasz Gralak z Instytutu Archeologii Uniwersytetu Wrocławskiego (na fot. po lewej, obok – rektor prof. Przemysław Wiszewski) otrzymał Nagrodę Naukową Leopoldina przyznaną przez



Fot. UW

Fundację im. Profesora Norberta i Barbary Heisigów. Uchonorowano go za książkę *Architecture, style and structure in the Early Iron Age in Central Europe* (Architektura, styl i struktura we wczesnej epoce żelaza w Europie Środkowej), w której z wielkim wysiłkiem i znaczną wiedzą ukazuje powiązania kulturowe pomiędzy kulturą Hallstatt, wczesną epoką żelaza na Śląsku, celtycką kulturą Latene, okresem rzymskim i okresem migracji. Jedną z najważniejszych nagród naukowych UW wręczono także ubiegłorocznemu laureatowi – prof. Wojciechowi Kunickiemu z Instytutu Germanistyki UW za książkę *Badania niemcoznawcze i dydaktyka w Królewskim Uniwersytecie Wrocławskim w latach 1811–1918*. Obaj otrzymali po 20 tys. zł.

Obliczenia na 8 petaflopsach

POZNAŃ W Poznańskim Centrum Superkomputerowo-Sieciowym afiliowanym przy Instytucie Chemii Bioorganicznej PAN oddano do użytku największy system obliczeniowy w Polsce. Nowy superkomputer Altair



Fot. PCS

udostępnia niemal 8 petaflopsów mocy obliczeniowej. Jeden petaflops oznacza, że komputer może wykonać 10^{15} , czyli bilion operacji na liczbach zmiennoprzecinkowych na sekundę. Prace wdrożeniowe i integracyjne nad systemem trwały od grudnia 2020 r. Altair został połączony fizycznie oraz logicznie z działającym od 5 lat w PCS systemem Orzeł. Na liście TOP500 najszybszych superkomputerów na świecie zajmuje 85. miejsce. Nowy superkomputer umożliwi wykonywanie działań związanych ze sztuczną inteligencją, analityką dużych ilości danych w fizyce jądrowej, chemią kwantową i biologią oraz symulacjami inżynierskimi i badaniami nad COVID-19.

W CC bez zmian

WARSZAWA Prof. Stanisław Mocek, rektor Collegium Civitas, został 7 czerwca wybrany na kolejną kadencję. Jest związany z warszawską uczelnią od początku jej istnienia, czyli 1997 roku. W latach 1998–2012 zajmował stanowisko prorektora, a od 2012 roku zasiada w fotelu rektora. Jest socjologiem, politologiem i medioznawcą. Zajmuje się zagadnieniami polskiej sceny politycznej, mediów i systemu medialnego, procesów wyborczych, przywództwa i dyskursu politycznego, badań opinii społecznej, a także systemów politycznych i społecznych. Przewodniczy Konferencji Rektorów Akademickich Uczelni Niepublicznych. To trzeci rektor w historii CC. Uczelnia powstała z inicjatywy naukowców z Instytutu Studiów Politycznych PAN. Oferuje studia prowadzone w języku polskim i angielskim (ponad 70 specjalności na czterech kierunkach studiów I i II stopnia oraz ponad 30 programów na studiach podyplomowych), a także studia dwujęzyczne polsko-angielskie (15 specjalności).



Fot. CC

Nagroda za badania bałtyckie

GDAŃSK Marta Skorek, doktorantka w Instytucie Skandynawistyki i Fenistyki Uniwersytetu Gdańskiego, znalazła się wśród trojga laureatów Baltic Sea Science Award 2021. Doceniono jej rozprawę doktorską poświęconą koncepcji zrównoważonego rozwoju w regionie Morza Bałtyckiego i jej społeczno-ekologicznym implikacjom. Skupia się w niej na wielowymiarowym pojęciu przestrzeni Bałtyku zarządzanej na poziomie makroregionalnym, krytycznie przyglądając się – przez pryzmat relacji na linii ludzie-ekosystem morski – koncepcji zrównoważonego rozwoju oraz powiązanim z nią pojęciom, takim jak: edukacja, nauka, badania czy innowacje. Nagroda przyznawana jest za wybitny wkład w transgraniczną współpracę badawczą w obszarze Regionu Morza Bałtyckiego w dziedzinie zrównoważonego rozwoju. Obok Polki uhonorowano badaczy z Litwy i Danii.

Laur za samotność

WARSZAWA Dr hab. Łukasz Okruszek z Instytutu Psychologii PAN został laureatem Nagrody Prezesa Polskiej Akademii Nauk im. Andrzeja Malew-



skiego. Doceniono jego pionierskie prace dotyczące samotności, w których „przekracza granice między klasycznymi dyscyplinami nauki w sposób łączący oryginalność pomysłów teoretycznych i stosowanych metod badawczych z rzetelnością metodologiczną”. Nagrodzony kieruje Pracownią Neuronauki Społecznej. Jest liderem projektu „Samotność”, który ma na celu poszerzenie wiedzy na temat mechanizmów wpływu poczucia

braku satysfakcjonujących relacji na aktywność neuronalną, zdrowie psychiczne i fizyczne, aż po funkcjonowanie w społeczeństwie. Konkurs, już po raz siedemnasty, zorganizował Komitet Psychologii PAN.

Przyszłościowe produkty

WARSZAWA Polska Agencja Rozwoju Przedsiębiorczości oraz Narodowe Centrum Badań i Rozwoju wyróżniły najbardziej innowacyjne polskie wyroby i technologie. Nagrodzono m.in. FRANKD – szybki test diagnostyczny w kierunku wirusa SARS-CoV-2. To przełomowe, bezpośrednie i nie wymagające izolacji materiału genetycznego rozwiązanie jest efektem współpracy GeneMe Sp. z o.o. oraz Instytutu Biotechnologii



Fot. CePT

i Medycyny Molekularnej. Laur trafił także do Instytutu Biocybernetyki i Inżynierii Biomedycznej im. Macieja Nałęczka PAN za VENTIL – innowacyjne urządzenie do niezależnej wentylacji płuc (na fot.). W dotychczasowych 23 konkursach „Polskiego Produktu Przyszłości” zgłoszono ponad 1200 projektów, spośród których nagrodzono 59, a 137 wyróżniono. Dotyczyły różnych branż gospodarki, m.in.: medycznej, farmaceutycznej, elektronicznej i elektrotechnicznej, chemicznej, automatyki przemysłowej.

Nagroda dla historyka z UMCS

WARSZAWA/LUBLIN Dr Ariel Orzełek z Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie zdobył nagrodę główną w konkursie na najlepszą książkę o historii i myśli politycznej Narodowej Demokracji za rok 2020. Publikacja pt. *Poszukiwanie modelu realizmu politycznego. Myśl i publi-*



Fot. Fundacja Narodowa

cystyka Aleksandra Bocheńskiego, która ukazała się nakładem Wydawnictwa UMCS, przedstawia ewolucję ideową jednego z najoryginalniejszych polskich publicystów doby najnowszej na tle jego politycznej biografii, uwypuklając dążenie do zdefiniowania realizmu politycznego w warunkach burzliwego polskiego wieku XX. Dr Orzełek pracuje w Instytucie Historii UMCS. Zajmuje się biografistyką i historią myśli politycznej, ze szczególnym uwzględnieniem środowisk katolików świeckich w Polsce Ludowej.

Granty od Polpharmy

WARSZAWA Naukowa Fundacja Polpharmy rozdała granty o łącznej wartości 1,1 mln zł w konkursie, którego tematem była „Modulacja przewlekłych procesów zapalnych indukowanych procesami dysbiozy”. Laureatami zostali: prof. Paweł Majak, kierownik Kliniki Pulmonologii Dziecięcej Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu Medycznego w Łodzi; prof. Rafał Pawliczak z Katedry Alergologii, Immunologii i Dermatologii



Fot. Polpharma

w Oddziale Nauk Biomedycznych Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu Medycznego w Łodzi i dr Jerzy Kotlinowski z Zakładu Biochemii Ogólnej na Wydziale Biochemii, Biofizyki i Biotechnologii Uniwersytetu Jagiellońskiego. W 19 dotychczasowych konkursach granty o łącznej wartości blisko 25 mln zł otrzymało 78 naukowców. Realizacja 61 projektów została już zakończona.

Doktorat h.c. – prof. Stanisław Grygiel

WARSZAWA Jeden z najważniejszych przedstawicieli filozofii katolickiej otrzymał 30 czerwca doktorat honoris causa Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego w uznaniu wybitnego wkładu w rozwój antropologii filozoficznej, studiów nad rodziną oraz socjologii rodziny. Prof. Grygiel jest specjalistą w zakresie antropologii filozoficznej, studiów nad rodziną oraz socjologii rodziny. Jest emerytowanym profesorem Papieskiego Instytutu Jana Pawła II dla Studiów nad Małżeństwem i Rodziną przy Papieskim Uniwersytecie Laterańskim w Rzymie. Sprawuje w nim do dzisiaj funkcję dyrektora Katedry Badawczej im. Karola Wojtyły. Od 1980 r. mieszka w Rzymie, gdzie założył Polski Instytut Kultury Chrześcijańskiej przy Fundacji im. Jana Pawła II.



Fot. UJKSW

Opracował Mariusz Karwowski

Współpraca: Aneta Adamska, Ewa Chojnacka, Katarzyna Dziedzic, Piotr Karwowski, Marek Kiczka, Mariusz Kopiejka, Magdalena Nieczuja-Goniszewska, Tomasz Sikora, Monika Stojowska, Jacek Szymik-Kozaczko, Paweł Śpiechowicz

Wykorzystano serwisy prasowe szkół wyższych, placówek badawczych i instytucji otoczenia nauki.

Więcej aktualności na naszej stronie internetowej

www.forumakademickie.pl

oraz na naszych profilach na Facebooku

i na Twitterze



Musimy wyrównać szanse

Min. Przemysław Czarnek mówi o akademiach, finansowaniu i konsolidacji uczelni, wolności akademickiej i ewaluacji.

W projekcie nowelizacji Prawa o szkolnictwie wyższym i nauce pojawił się zapis o możliwości przekształcenia uczelni zawodowych w akademie praktyczne. Czego się pan spodziewa po takim rozwiązaniu?

To rozwiązanie dotyczy publicznych uczelni zawodowych i części uczelni niepublicznych. Te pierwsze stanowią niezwykle ważne ośrodki naukowe i kulturalne w stosunkowo niewielkich miastach, dawnych wojewódzkich, chcemy je wzmocnić. Akademia, być może nauk stosowanych – taki był postulat państwowych wyższych szkół zawodowych – to pewnego rodzaju nobilitacja, a poza tym chodzi nam o uprawnienia do kształcenia nauczycieli, których w przyszłości w wielu miejscach w kraju może brakować. Uczelnie niepubliczne, ta część, która będzie spełniała kryteria, przedstawione w nowelizacji, działa przez co najmniej dziesięć lat na trudnym rynku, pokazała, że coś znaczy, że nie powstała z przypadku. Przez kilkanaście lat utrzymywały się na rynku, kształcąc bez pomocy państwa, więc dajmy im szansę na miano akademii.

Wymogi uzyskania takiej nazwy nie są wygórowane.

Zastanawialiśmy się nad tym i doszliśmy do wniosku, że takie, jakie proponujemy, będą odpowiednie. Wydaje się, że są adekwatne do możliwości.

Tylko 250 studentów?

Tak, w tym przynajmniej sto osób w trybie stacjonarnym. Ale także dziesięć lat na rynku i pozytywne oceny PKA, które są kluczowe. Nie będzie przypadkiem, gdy jakaś uczelnia publiczna czy niepubliczna stanie się akademią praktyczną.

Czy to nie oznacza końca publicznych uczelni zawodowych?

Nie, gdyż te uczelnie pozostaną takimi, jakimi są, zmieni się tylko nazwa, która będzie bardziej prestiżowa zarówno dla pracowników, jak i studentów, ale też podkreśli, oprócz charakteru, także poziom kształcenia w tych uczelniach. Trzeba powiedzieć, że one utrzymują zawodowy charakter; i nawet nie próbują tego zmieniać. Co więcej, w obszarze tego typu kształcenia prestiż powinien być większy, bo na kształcenie branżowe, profesjonalne stawiamy.

Czy zmiana nazw wpłynie na finansowanie tych uczelni?

Rozmawiamy na ten temat; chcielibyśmy poprawić finansowanie wyższych uczelni zawodowych, czyli akademii praktycznych, czy też może nauk stosowanych. Nie chodzi tylko o kształcenie studentów na wysokim poziomie, ale także o prestiż ośrodków, dla których owe uczelnie są centrami kultury, ważnymi ośrodkami intelektualnymi, niezastąpionymi w tej roli w miejscach, w których działają. Na razie jednak w obecnej nowelizacji nie ma połączenia tego awansu z finansami.

Czy minister nie ma dość instrumentów, by przeciwdziałać łamaniu wolności akademickiej?

Nie ma żadnych...

Są rzecznicy dyscyplinarni ministra i komisja dyscyplinarna.

To nie o to chodzi. Nie w tym rzecz, żeby sprawa naukowca, który wyraził swoje przekonanie, trafiała do komisji dyscyplinarnych i po

kilku latach się kończyła. Chodzi o poczucie bezpieczeństwa, o wolność słowa i badań naukowych. Są one łamane nagminnie, a minister nie ma żadnych możliwości reakcji. Łamane są jednak tylko po jednej stronie sporu światopoglądowego. Mamy postępowania wyjaśniające i dyscyplinarne tylko wobec konserwatystów, a przecież inni opowiadają tyle nienaukowych głupot! Wówczas jednak nie wszczynają się żadnych postępowań wyjaśniających ani dyscyplinarnych. I ja nie chcę wszczynać żadnych postępowań, ale chcę zabezpieczyć wolność wypowiedzi dla wszystkich, także dla tej strony, którą uważam za wyraźnie dyskryminowaną. Chodzi o to, żeby także ci badacze, którzy myślą w sposób tradycyjny, nie bali się mówić, co myślą i publikować wyników swoich dociekań w obawie przed wszczynaniem bez ich wiedzy postępowań wyjaśniających, a potem dyscyplinarnych. Dziś tej ochrony nie ma. To, co proponujemy, to instrument prawny, który będzie regulował te sprawy po wejściu w życie odpowiedniej nowelizacji Prawa o szkolnictwie wyższym i nauce.

Czy spodziewa się pan, że te przepisy wejdą w życie od października?

Jest taka szansa, że zacznie obowiązywać od nowego roku akademickiego.

Jak pan patrzy na miękkie formy konsolidacji uczelni, czyli związki i federacje?

Na pewno nie będę zmuszał nikogo do tworzenia tego typu związków, natomiast widzę zalety takiej współpracy uczelni. Jestem pełen podziwu dla sposobu, w jaki związek uczelni działa w Gdańsku. Uniwersytet Gdański, Politechnika Gdańska i Gdański Uniwersytet Medyczny stworzyły tam Związek Uczelni w Gdańsku im. Daniela Fahrenheita, aby zapewne w przyszłości utworzyć federację, a potem może jeden wielki uniwersytet Fahrenheita. Tam w zasadzie nie ma przeciwników konsolidacji, wszyscy sobie wyjaśnili, że to połączenie im się opłaca. Gdańsk stanie się w ten sposób jednym z najważniejszych ośrodków naukowych w Polsce.

Na razie mamy w praktyce tylko jedną federację, założoną przez uczelnie niepubliczne należące do TEB Academia.

To jest niezwykle trudny proces. Trzeba przekonać do tego uczelnie, ich pracowników. Nie możemy nikogo do tego typu działań zmuszać, ale możemy wspierać środkami, którymi dysponuje minister.

W świetle PSWN federacja dotyczy tylko nauki i doktoratów; ani ona, ani związek uczelni w zasadzie niewiele daje uczestnikom tego procesu.

To jest problem, który trzeba będzie przemyśleć i ewentualnie rozwiązać przy kolejnej nowelizacji ustawy. Na razie zbieramy na ten temat uwagi, m.in. z Gdańska. Taka nowelizacja techniczna będzie kiedyś miała miejsce. Związana będzie m.in. z awansami i funkcjonowaniem Rady Doskonałości Naukowej, która zgłasza do ministerstwa szereg uwag z obszaru swojej aktywności.

Jak pan ocenia stan finansów uczelni publicznych?

Jest zdecydowanie lepszy niż dziesięć lat temu. Nakłady w tym okresie znacząco wzrosły, a gdy skojarzymy to ze spadkiem liczby studentów, zobaczymy całą skalę zjawiska. Nakłady na jednego

studenta wzrosły bodaj o 300%. Mimo to mam świadomość, że musimy starać się o wzrost finansowania uczelni i nauki w ogóle, także na inwestycje, zwłaszcza w takich ośrodkach jak Szczecin, Lublin, Rzeszów, czyli mniejszych, które nie skorzystały z takich dobrodziejstw, jak większe miasta i uczelnie takie, jak UJ, który otrzymał około miliarda złotych na nowy kampus, jak UW, który ma takie same środki zagwarantowane na rozwój swojej bazy, czy jak UAM, który otrzymał znaczące środki na Kampus na Morasku. Teraz musimy wspomóc znacząco rozwój mniejszych ośrodków. Rozmawiamy z rektorami, staramy się pozytywnie odpowiadać na składane wnioski inwestycyjne.

Co pan sądzi o algorytmie rozdziału subwencji? Mam wrażenie, że subwencja wzrasta teraz w miarę równo i nie ma różnicowania, które zapewniał algorytm?

Myślę że obecny model podziału subwencji jest odpowiedni.

Czy ocenia pan finansowanie instytucji badawczych na podstawie algorytmu jako sensowne, czy widzi pan inne sposoby realizacji tego zadania państwa?

Przede wszystkim widzę konieczność wzmocnienia uczelni umiejscowionych poza wielkimi ośrodkami akademickimi, jak Warszawa, Kraków czy Poznań. Musimy wszystkim dać jednakowe szanse, wyrównać je. Naprawdę mamy wiele potrzeb w ośrodkach mniejszych, gdzie również nie brakuje naukowców i dydaktyków kształcących i prowadzących badania na wysokim poziomie. Widzę też konieczność zmiany funkcjonowania Narodowego Centrum Nauki, gdyż w tej chwili ok. 80% środków grantowych trafia do kilku dużych ośrodków akademickich. Nie jest to wykładnią tego, że aż tyle znakomitych badań prowadzi się w tych ośrodkach, ale pewnych nietrafionych zasad rządzących przyznawaniem środków grantowych NCN. Będziemy mocno zastanawiać się wraz z Radą NCN nad tym problemem. Zachęcając nas do tego uczelnie z całej Polski.

Czy zdecydowany nacisk na uczelnie regionalne należy kojarzyć ze zrównoważonym rozwojem kraju?

Również. Jestem zwolennikiem równej konkurencji w nauce. Nic nie robi tak dobrze w życiu społecznym, gospodarczym, a także w nauce, jak zdrowa, na równych prawach konkurencja. Jeśli jej nie będzie, to trzy-cztery ośrodki akademickie będą dobrze finansowane, a pozostałe dostaną grosze i nie będą mogły się należycie rozwijać, a to jest potrzebne krajowi jako całości, ale przede wszystkim poszczególnym miastom, województwom. Zrównoważony rozwój powinien polegać także na tym, że uczelnie z Białegostoku, Lublina i Zielonej Góry mogą rozwijać się na tych samych zasadach, jak te z ośrodków metropolitalnych.

Mimo wzrostów nakładów, wciąż jesteśmy daleko za europejską średnią, nie mówiąc o czołówce.

Potrzebujemy zwiększenia nakładów na naukę – już to powiedzianym – ale także innego ich podziału. No i potrzebujemy środków na infrastrukturę w mniejszych ośrodkach, w których naukowcy powinni mieć takie same szanse, taki sam dostęp do najlepszej aparatury, jak badacze z dużych uczelni i ośrodków akademickich. Tylko w zeszłym roku rozdzieliliśmy pół miliarda złotych na inwestycje w obszarze badań medycznych. Tak samo będziemy robili nadal – korzystając ze środków KPO wzmocnimy także mniejsze ośrodki.



Czy potrzebujemy więcej uczelni? Mamy ich ponad 300, a powstają nowe, np. uczelnie dla Ministerstwa Sprawiedliwości czy Collegium Intermarium. Ta druga jest uczelnią niepubliczną, zatem może ministerstwo mniej interesować.

Zdrowa konkurencja na rynku nauki nikomu nie zaszkodzi.

Co z reformą PAN? Jak pan ocenia propozycję zespołu kierowanego przez prof. Pawła Rowińskiego?

Jest to jeden z naszych priorytetów, ale nie na najbliższy czas. Musimy tę kwestię dokładnie przedyskutować.

Jak do reformy PAN ma się koncepcja Programu Kopernikańskiego?

Nijk się nie ma. Wątpliwości, które są podnoszone, dotyczą kwestii finansowych, ale na razie nie mają żadnych podstaw w rzeczywistości. Program Kopernikański jest gotowy, to część Polskiego Ładu i będziemy go realizować w odpowiednim czasie.

Czy przygotowania do ewaluacji są zakończone i może pan zapewnić, że nie nastąpią już żadne zasadnicze zmiany w tym zakresie, czyli także w rozporządzeniu ewaluacyjnym?

Jesteśmy już na końcowym etapie przygotowań do ewaluacji i na pewno nie czas na jakiegokolwiek zmiany. Doprecyzujemy tylko samo rozporządzenie w ramach istniejącej delegacji ustawowej.

Czy może pan zapewnić środowisko akademickie, że pojawią się programy osłonowe dla studentów i doktorantów uczelni, które w wyniku ewaluacji utracą prawa akademickie?

Oczywiście. Nie możemy ich zostawić bez zabezpieczenia, bez pewności, że mogą bezpiecznie dokończyć studia, doktoraty.

Czy powołanie dyscypliny „nauki o rodzinie” nie zaburza metodologicznie – w końcu chodzi o badania interdyscyplinarne – i tak już rozdętej listy dyscyplin? Czy nie lepiej byłoby powołać strategiczne programy finansowania badań nad rodziną?

W dobie postępującego kryzysu rodziny potrzebujemy pogłębić i zakrojonych na szeroką skalę badań nad rodziną. Ilość głupot na temat rodziny, małżeństwa, prokreacji, płci jest przerażająca. Dlatego uważam, że utworzenie nauk o rodzinie jako odrębnej dziedziny jest bardzo dobrym rozwiązaniem.

Rozmawiał Piotr Kieraciński

Dobra podstawa na przyszłość

Prof. dr hab. inż. Marek Pawełczyk, prorektor Politechniki Śląskiej ds. nauk i przewodniczący Komitetu Polityki Naukowej, pisze, że najbliższa ewaluacja przyniesie cenną wiedzę o systemie nauki w Polsce, a jej wyniki będą dobrą podstawą do sensownej korekty przyszłej oceny nauki.

Jesteśmy na ostatniej prostej przed ewaluacją działalności naukowej w latach 2017-2021. Nowe zasady ewaluacji są jednym z kluczowych elementów reformy systemu zapisanego w ustawie Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce. W odróżnieniu od poprzednich ewaluacji, tym razem ocenie podlegają dyscypliny naukowe. Zmianie uległy kryteria ewaluacji. Wprowadzono w szczególności mechanizmy ograniczające liczbę osiągnięć, jakie może wykazać pojedynczy naukowiec, jak również cały podmiot w dyscyplinie naukowej, tym samym dążąc do weryfikacji kondycji naukowej całej dyscypliny. Takie podejście wymusza rozwój wszystkich osób deklarujących prowadzenie działalności naukowej w dyscyplinie i uzyskiwanie osiągnięć, których nie można w pełni skompensować osiągnięciami wąskiej, nawet bardzo efektywnej naukowo grupy. Rozwiązanie to posiada zarówno zwolenników, jak i sceptyków. Emocje budzi również przyjęta punktacja czasopism naukowych i recenzowanych materiałów z konferencji międzynarodowych.

Wyniki ewaluacji będą miały kluczowe znaczenie dla podmiotu. Wpłyną znacząco na wysokość subwencji, dopuszczenie do udziału w wybranych doskonałościowych programach wsparcia, możliwości kształcenia oraz na uprawnienia do nadawania stopni naukowych. Uzyskanie kategorii niższej od B+ będzie miało wyjątkowo negatywne konsekwencje dla danej dyscypliny i dla całego podmiotu. Dlatego obserwuje się wielki niepokój i niepewność całego środowiska.

Zapowiedź i nieuchronność ewaluacji są ważnym narzędziem w rękach władz podmiotów, motywującym do intensyfikacji aktywności naukowej. Wprowadzono wiele rozwiązań aktywizujących całe grupy naukowców. Ujawniły się jednak również negatywne zjawiska, niezamierzone przez autorów systemu. Obawa przed zanizaniem uśrednionej liczby punktów dla dyscypliny przez niektórych pracowników, niemożliwym do skompensowania przez osoby aktywne, spowodowała masowe zmiany form zatrudnienia z badawczo-dydaktycznych na dydaktyczne. Zwiększyło się zainteresowanie publikowaniem w czasopismach o szybkim procesie redakcyjnym, w wielu przypadkach o mniejszej reputacji naukowej, wymagających jednak znacznych opłat. Zjawisko to nasiliło się w 2020 r., który miał być pierwotnie ostatnim rokiem przed ewaluacją, a po przesunięciu jej o rok ze względu na pandemię było kontynuowane w 2021 r. Proces ten wiąże się z nadmiernym wydatkowaniem środków finansowych na takie publikacje, zamiast inwestowania w rzeczywiste prowadzenie badań i rozwój współpracy. Takie działania mogą mieć pewne dodatkowe usprawiedliwienie w okresie pandemii, w którym trudno było spożytkować środki finansowe na udział w konferencjach, a zwłaszcza w stażach, których efekty długoterminowe mogłyby być znacznie korzystniejsze. W dłuższej perspektywie mogą jednak osłabić zdolności do uzyskiwania kolejnych osiągnięć, tym samym ograniczyć możliwości publikowania w czasopismach i wydawnictwach najbardziej wartościowych, zarówno dla indywidualnych karier, jak i prestiżu podmiotu oraz nauki uprawianej w Polsce. Każda uczelnia jest autonomiczna w swych decyzjach i z pewnością analizuje ten proces, starając się przyjąć najlepszą postawę rozwojową.



Kryteria ewaluacji stały się w niektórych przypadkach wyznacznikiem działalności całych podmiotów, przekładając się bezpośrednio na system oceny okresowej pracowników. Ministerstwo wielokrotnie krytykowało takie podejście. Polityka podmiotu powinna uwzględniać znacznie więcej kryteriów, wśród których są m.in. zrównoważony rozwój jednostek, inwestowanie w badania przełomowe, mimo iż nie przynoszą w pierwszej fazie wymiernych efektów do wykazania w żadnym kryterium ewaluacji, otwieranie nowych obszarów badań, przygotowanie nowych kierunków i unowocześnianie form kształcenia, opieka nad młodą kadrą naukową, odważne i czasochłonne ubieganie się o prestiżowe projekty, popularyzacja nauki itd. Również indywidualny rozwój pracownika powinien uwzględniać ambitne cele kreowania własnej kariery, a jednocześnie umożliwiać jak najlepsze wykorzystanie aktualnego potencjału na rzecz rozwoju jego uczelni. Dlatego korzystne jest zapewnienie elastycznych form rozwoju kariery i zmiany formy zatrudnienia pomiędzy badawczą, badawczo-dydaktyczną a dydaktyczną, według odpo-

wiednio sformułowanych reguł. Taka polityka inwestycyjna zarówno uczelni, jak i pracownika jest uzasadniona, mimo iż przez pewien czas może nie przynosić osiągnięć przekładających się na znaczącą liczbę punktów w ewaluacji.

W drugiej połowie ostatniego roku przed ewaluacją nie są wskazane działania, które zmieniłyby zasady samej ewaluacji. Podważyłoby to zaakceptowany i nie był powszechnie kwestionowany. Warto jednak wprowadzić mechanizmy redukujące negatywne skutki ewaluacji w przypadku uzyskania niskiej kategorii, niezamierzone przez jej twórców, które mogłyby zakłócić funkcjonowanie całego systemu nauki i szkolnictwa wyższego w Polsce. Do najważniejszych należy anonsowane przez ministerstwo osłabienie zapisu o pozbawieniu podmiotu możliwości nadawania stopnia i kształcenia doktorantów na rzecz uniemożliwienia nowej rekrutacji do szkoły doktorskiej, przy zapewnieniu kontynuacji kształcenia już rozpoczętego. Odpowiedzialnością całego systemu jest ochrona młodych adeptów nauki i nieprzenoszenie na nich konsekwencji wynikających z działań od nich niezależnych. Pozytywnie należy ocenić także planowaną możliwość poddania się ponownej ewaluacji, w przypadku odebrania w wyniku najbliższej oceny uprawnień do nadawania stopni naukowych i wynikających z tego konsekwencji.

Jedną z istotnych kwestii budzących wiele emocji jest sposób wyznaczenia wartości referencyjnych. Wypowiadało się już w tej sprawie i środowisko akademickie, i organy opiniujące. Ważne jest wprowadzenie zasady, która by satysfakcjonowała uczelnie i instytuty naukowe PAN oraz badawcze, nie powodując jednocześnie napięć i nie ograniczając współpracy pomiędzy nimi. Dlatego w obecnej sytuacji rozsądne jest wyznaczenie wartości referencyjnych w oparciu o uczelnie, natomiast zastosowanie ich w stosunku do wszystkich podmiotów, o co apelowało środowisko w uzgodnionym stanowisku.

Wszyscy odbierzemy ważną lekcję po zapoznaniu się z wynikami ewaluacji. Otrzymamy obraz kondycji nauki uprawianej w Polsce.

Może on być w części zakłócony niedoskonałościami systemu, ale będzie stanowił ważne źródło informacji. Komisja Ewaluacji Nauki będzie mogła przeanalizować ewaluację, a następnie – w konsultacji ze środowiskiem akademickim – przystąpić do spokojnych prac nad przygotowaniem zasad kolejnej, mając na uwadze olbrzymie jej

znaczenie dla rozwoju podmiotów oraz naukowców. Komitet Polityki Naukowej deklaruje swe zaangażowanie w tym zakresie.

Na str. 28 obszerna rozmowa na temat najbliższej ewaluacji i nie tylko z prof. Błażem Skoczeniem, przewodniczącym Komisji Ewaluacji Nauki.

Grono politechnik powiększone

Z początkiem września Uniwersytet Technologiczno-Przyrodniczy im. Jana i Jędrzeja Śniadeckich w Bydgoszczy stanie się Politechniką Bydgoską. Ustawę o zmianie nazwy uczelni podpisał prezydent Andrzej Duda.

Zgodnie z ustawą Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce publiczną uczelnię akademicką, jaką jest uniwersytet, tworzy się w drodze ustawy, a zatem również zmiana nazwy takiej uczelni jest dokonywana w toku pełnego procesu legislacyjnego. Określenie „politechnika” zarezerwowane jest dla uczelni, której jednostki organizacyjne posiadają uprawnienia do nadawania stopnia naukowego doktora w co najmniej sześciu dyscyplinach, w tym co najmniej czterech w zakresie nauk technicznych. UTP spełnia powyższy warunek, doktoryzować może w ośmiu dyscyplinach, z których pięć należy do dziedziny nauk inżynieryjno-technicznych: automatyka, elektronika i elektrotechnika; informatyka techniczna i telekomunikacja; inżynieria lądowa i transport; inżynieria mechaniczna; inżynieria środowiska oraz górnictwo i energetyka (UTP ma też prawo do doktoryzowania w dziedzinie nauk rolniczych w zakresie rolnictwa i ogrodnictwa oraz zootechniki i rybactwa, a także w dziedzinie nauk ścisłych i przyrodniczych w zakresie nauk chemicznych; habilituje w zakresie inżynierii mechanicznej, rolnictwa i ogrodnictwa oraz zootechniki i rybactwa). Nic nie stało więc na przeszkodzie, by przeprowadzić zmianę nazwy. Tym bardziej, że – jak wskazano w uzasadnieniu rządowego projektu – jest ona zgodna z założeniami uczelni dotyczącymi kierunku jej rozwoju. „Uniwersytet planuje systematycznie rozszerzać ofertę dydaktyczną o nowe kierunki studiów umożliwiające uzyskanie kompetencji inżynierskich, kładąc jednocześnie nacisk na interdyscyplinarny charakter kształcenia. Nowa nazwa uczelni przyczyni się także do jej pozytywnego odbioru w regionie i zwiększy jej rozpoznawalność w otoczeniu społeczno-gospodarczym” – napisano.

Po tym, jak za zmianą szyldu na Politechnikę Bydgoską niemal jednogłośnie opowiedziały się Sejm i Senat, ustawa trafiła na biurko prezydenta. Andrzej Duda podpisał ją 23 czerwca. Zmiana nazwy ma nastąpić z dniem 1 września 2021 r.

O zmianie nazwy UTP mówiło się od wielu lat. Było to także jednym z najważniejszych punktów programu wyborczego rektora prof. Marka Adamskiego. Na początku lutego tego roku przeprowadzono

ogólnouczelniane referendum, w którym ponad 80% głosujących opowiedziało się za zmianą szyldu. Poparcie wyraziły również Senat UTP i Rada Uczelni. Inicjatywa spotkała się z przychylnością władz centralnych oraz lokalnych i regionalnych władz samorządowych.

– Serdecznie dziękuję wszystkim zaangażowanym w prace przy procesie zmiany nazwy naszej uczelni. To wspaniała wiadomość dla całej społeczności akademickiej, ale również dla Bydgoszczy i regionu. Przepelnia mnie radość, ale i świadomość, że przed nami wielkie wyzwanie i ciężka praca pod szyldem Politechniki Bydgoskiej im. Jana i Jędrzeja Śniadeckich – powiedział tuż po złożeniu przez prezydenta podpisu pod ustawą prof. Marek Adamski, rektor UTP.

UTP jest największą i najstarszą państwową uczelnią w Bydgoszczy. Powstał w 1951 roku jako Wieczorowa Szkoła Inżynierska. W 1964 roku przemianowano ją na Wyższą Szkołę Inżynierską. Dekadę później, po połączeniu z bydgoską filią Akademii Rolniczej w Poznaniu, przyjęła nazwę Akademii Techniczno-Rolniczej. Pod obecnym szyldem funkcjonuje od 2006 roku.

Na siedmiu wydziałach UTP: Budownictwa, Architektury i Inżynierii Środowiska; Hodowli i Biologii Zwierząt; Inżynierii Mechanicznej; Rolnictwa i Biotechnologii; Technologii i Inżynierii Chemicznej; Telekomunikacji, Informatyki i Elektrotechniki oraz Zarządzania kształci się ponad 5,9 tys. studentów. Mają do wyboru 34 kierunki studiów I stopnia i 20 kierunków studiów II stopnia. Na UTP zatrudnionych jest ponad tysiąc pracowników, w tym 566 nauczycieli akademickich (58 profesorów, 127 doktorów habilitowanych, 299 doktorów i 82 magistrów). Uczelnia dysponuje rozległym kampusem w Fordonie, wschodniej dzielnicy Bydgoszczy.

Konferencja Rektorów Polskich Uczelni Technicznych skupia obecnie 22 uczelnie członkowskie (w tym 14 z „politechniką” w nazwie) i 8 stowarzyszonych (w czerwcu dołączył do KRPUT Uniwersytet Przyrodniczy we Wrocławiu).

MK



Ile płacimy za dostęp?

Wirtualna Biblioteka Nauki to unikalny zbiór naukowych cyfrowych zasobów literaturowych i baz danych dotyczących zasobów literaturowych oraz ich powiązań i wykorzystania, a także działania wspierające, prowadzone przez Interdyscyplinarne Centrum Modelowania Matematycznego i Komputerowego na Uniwersytecie Warszawskim. Obecnie WBN gromadzi i udostępnia całemu środowisku naukowemu w Polsce ponad 26 tys. tytułów czasopism oraz ok. 157 tys. książek. W kolekcji objętej tzw. licencją krajową, która daje swobodny dostęp pracownikom i studentom z ponad 500 polskich uczelni i instytucji naukowych, znajduje się ponad 5 tys. czasopism wydawanych przez wydawnictwa Elsevier, Springer i Wiley, periodyki z grupy „Science” i „Nature”, „Lancet” i „Cell”, około 142 tys. książek, bazy bibliometryczne Web of Science i Scopus oraz narzędzia analityczne InCites i Scival.

Pozostałe kolekcje czasopism – często wydawane przez stowarzyszenia naukowe, takie jak American Chemical Society, American Physical Society (tzw. society journals), lub poszczególne uniwersytety, takie jak Oxford University Press, Cambridge University Press i ok. trzydzieści innych – dostępne są dla członków konsorcjów polskich uczelni i instytucji w ramach tzw. licencji konsorcyjnych. ICM jest koordynatorem zakupu większości tego typu licencji.

Tylko w 2020 roku polscy naukowcy pobrali z WBN ok. 19,5 miliona artykułów i rozdziałów książek.

Po trzech ostatnich latach trudnych i długotrwałych negocjacji prowadzonych przez ICM z czołowymi wydawcami, WBN daje polskim naukowcom również możliwość publikowania w czasopismach międzynarodowych w otwartym dostępie. W roku 2020 opublikowano w OA ponad 3,6 tys. artykułów, które zostały przedpłacone zbiorczo w ramach nowych umów licencyjnych, a których pierwszym autorem jest badacz zatrudniony w polskiej instytucji naukowej.

Całkowity koszt zakupu wszystkich licencji krajowych, około 50% kosztów licencji konsorcyjnych oraz koszty obsługi WBN (które stanowią ok. 1% całkowitej sumy), są pokrywane z corocznych dotacji Ministerstwa Edukacji i Nauki. Obsługa WBN jest realizowana przez Interdyscyplinarne Centrum Modelowania Matematycznego i Komputerowego Uniwersytetu Warszawskiego na zlecenie ministerstwa.

ICM prowadzi negocjacje i zawiera umowy z wydawcami lub dystrybutorami i członkami konsorcjów, administruje dostępem sieciowym i publikowaniem otwartym, zajmuje się wsparciem użytkowników, szkoleniami oraz prowadzi portal wbn.icm.edu.pl. Wszystkie te zadania realizuje od wielu lat czteroosobowy zespół obsługi licencji WBN w ICM prowadzony przez dr. Pawła Grochowskiego. W negocjacjach z wydawcami stroną polską reprezentuje dyrektor ICM. Roczny koszt zakupu licencji krajowych i zagranicznych wyniósł w 2020 roku 256 mln zł. Na sumę tę składa się 195 mln zł na licencje krajowe oraz 61 mln zł na licencje konsorcyjne.

Początki WBN sięgają roku 1996, kiedy z inicjatywy ówczesnego dyrektora ICM, prof. Marka Niezgodki, został uruchomiony krajowy serwer chemicznych baz danych Beilstein i Gmelin, a wkrótce potem serwer bazy abstraktowej Medline oraz jednej z pierwszych na świecie elektronicznej kolekcji pełnotekstowej zawierającej kilkadziesiąt wiodących czasopism biomedycznych oraz czasopisma „Science” i „Nature”. Zasoby te zostały udostępnione początkowo kilkunastu największym uczelniom oraz kilku instytutom naukowym na zasadzie licencji konsorcyjnych zakupionych dzięki dofinansowaniu przez Komitet Badań Naukowych. Zawartość serwerów ICM zwiększała się stopniowo i w 2009 r. obejmowała 3 tys. czasopism udostępnianych ponad 100 uczelniom i instytutom naukowym w kraju. W 2010 r. Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego wprowadziło pełne finansowanie wybranych zasobów w ramach licencji krajowych. Ten model funkcjonuje obecnie. Licencje krajowe to unikalne na świecie rozwiązanie. W innych krajach podobne zasoby są kupowane dopiero od kilku lat i na razie jedynie na zasadzie licencji konsorcyjnych dla ograniczonej liczby instytucji. Licencje krajowe są stosowane jedynie przez kilka krajów europejskich, ale tylko dla pojedynczych baz bibliometrycznych. Niektóre kraje borykały się z zachowaniem ciągłości swoich licencji, np. konsorcjum niemieckich instytucji akademickich na ponad rok zerwało umowę konsorcijną z wydawnictwem Elsevier, co musiało zostać zrekompensowane przez indywidualne subskrypcje czasopism finansowane przez poszczególne instytucje.

Zasoby, z których mamy prawo korzystać na podstawie licencji krajowych i konsorcyjnych, są udostępniane bezpośrednio

Tabela 1. Zasoby i wykorzystanie WBN w 2020 r.

Typ licencji	Wydawca i zasoby	Liczba pobranych artykułów i rozdziałów lub przeszukań w 2020 r.	Liczba polskich publikacji rocznie, w tym programy OA w 2020 r.
Licencje krajowe dla ponad 500 instytucji, finansowane w 100% przez MNiSW	Elsevier, w tym czasopisma z grup „Lancet” i „Cell” – 1638 czasopism	5.9 mln art.	ok. 5500 w tym 1011 program OA
	Springer – 2235 czasopism	1.9 mln art.	2133 program OA
	Wiley – 1400 czasopism	1.6 mln art.	ok. 1200
	Czasopisma „Science” i „Nature”	0.3 mln art.	kilka
	Książki Springer – 137.000 tomów	6.0 mln rozdz.	ok. 200 książek
	Książki Elsevier i Wiley – 4700 tomów	0.3 mln rozdz.	b/d
	Bazy bibliometryczne Web of Science i Scopus oraz narzędzia analityczne InCites i Scival	5.9 mln przeszukań	n/d
Licencje konsorcyjne dla 10-50 instytucji, finansowane w 50% przez MNiSW	ok. 3000 czasopism z wydawnictw: AIP, APS, ACS, IOP, CUP, OUP, IEEE, LWW, Emerald i TF	3.5 mln art. i rozdz.	ok. 1.700, w tym 506 w programach ACS, IEEE, CUP, OUP, LWW i Emerald
	ok. 18.000 czasopism i 10.000 książek na platformach agregacyjnych JSTOR, ProQuest i Knovel		
	Bazy ekonomiczne OECD, EMIS, Passport	dane niejednorodne	n/d
	Bazy chemiczne Reaxys, CAS SciFinder	0.4 mln przeszukań	n/d
Razem	ok. 26.000 czasopism i 157.000 książek	19.5 mln pobranych artykułów i rozdziałów	ok. 10.700, w tym 3.639 programów OA

z zagranicznych serwerów należących do wydawców lub firm agregujących publikacje z różnych źródeł, a część tych zasobów jest archiwizowana na serwerach ICM z prawem bezterminowego udostępniania. Zasoby licencyjne są dostępne dla wszystkich pracowników i studentów w uprawnionych instytucjach, jak również mobilnie z użyciem osobistych kont użytkowników. Z WBN mogą też korzystać goście bibliotek akademickich i naukowych na terenie tych bibliotek. Bazy bibliometryczne są wykorzystywane także przez administrację uczelni i instytutów badawczych oraz przez instytucje finansujące naukę.

W ostatnich latach istotnym elementem WBN stało się publikowanie otwarte. Pierwszy program tego typu dla polskich autorów działa od 2010 r. w ramach licencji krajowej na czasopisma Springer. Od 2014 r. w ramach WBN jest finansowany udział Polski w międzynarodowym programie publikowania otwartego Scoap3. Programy te wpisały się w międzynarodową inicjatywę otwartej nauki, mającą na celu zmianę modelu publikowania i otwarte udostępnianie wyników badań naukowych finansowanych ze środków publicznych. Do dzisiaj wciąż dominuje tradycyjny „model subskrypcyjny”, w którym czasopisma naukowe są finansowane z opłat subskrypcyjnych za dostęp wnoszonych przez osoby, instytucje lub konsorcja instytucji. Model ten jest na świecie stopniowo zastępowany modelem otwartym, w którym koszt publikacji ponoszony jest przez autora lub instytucję, w której jest on afiliowany (w praktyce najczęściej przez instytucję), która finansuje dane badania. Dzięki temu publikacja jest natychmiast dostępna dla wszystkich użytkowników internetu bez żadnych opłat. W 2018 r. międzynarodowa grupa agencji i fundacji finansujących badania naukowe, wspierana przez Komisję Europejską oraz Europejską Radę ds. Badań Naukowych, ogłosiła Plan S, którego celem jest pełne wprowadzenie modelu otwartego. Polska jest w tej grupie reprezentowana od samego początku przez Narodowe Centrum Nauki, które wpro-

dziło już obowiązek publikowania otwartego w przyznawanych przez siebie grantach.

Plan S zakłada, że w okresie przejściowym badania naukowe mogą być publikowane w tzw. czasopismach hybrydowych, które zawierają zarówno artykuły subskrypcyjne, jak i otwarte. Czasopisma udostępniane w ramach licencji WBN są w większości hybrydowe, a już 8 umów z wydawcami czasopism w ramach WBN ma od 2019 r. charakter umów transformacyjnych. Znaczący to, że obejmują one licencję na dostęp do czasopism przy jednoczesnym stopniowym przesuwaniu kosztów z dostępu na finansowanie publikowania otwartego dla polskich autorów w tych czasopismach.

We wszystkich czasopismach WBN Polscy autorzy publikują ponad 10 tys. artykułów rocznie. W 2020 r. w ramach umów transformacyjnych WBN opublikowano ponad 3,6 tys. artykułów otwartych, których koszt jest wliczony w koszt licencji krajowych i konsorcyjnych albo stanowią one bezpłatny dodatek do tych licencji. W pierwszych czterech miesiącach 2021 w ramach umów WBN polscy autorzy opublikowali już ponad 1,1 tys. artykułów w dostępie otwartym (dane niepełne).

Wirtualna Biblioteka Nauki, stworzona i prowadzona od 1996 roku przez ICM, stanowi bezcenny zasób naukowy dla całego środowiska naukowego w Polsce. Dzięki konsolidacji licencji dostępu do literatury naukowej w skali kraju oraz stworzeniu pojedynczego punktu negocjacyjnego, siła przetargowa Polski jest niezwykle mocna. Przeciętny koszt dostępu do pojedynczego artykułu na wolnym rynku wynosi ok. 30-40 euro, a koszt jednej publikacji w dostępie otwartym to od 2 do 3 tys. euro. Dzięki WBN koszt jednego pobrania artykułu kształtuje się na poziomie ok. 1-2 euro, czyli WBN umożliwia nie tylko niezwykle szeroki, demokratyczny dostęp do literatury, ale również oszczędności rzędu 15-40 razy na każdym pobraniu.

(Zasoby WBN oraz ich wykorzystanie przez polskich naukowców przedstawione są w tabeli.)

Paweł Grochowski, Marek Michalewicz

Miękkie nanomateriały dla elektroniki

Polsko-hispański zespół naukowców udowodnił, że twardość i wytrzymałość materiałów zbudowanych z zaledwie jednej lub kilku warstw atomowych nie zawsze jest większa niż w ich pełnowymiarowych odpowiednikach.

Właściwości mechaniczne nanomateriałów, od których zależy niezawodność działania m.in. elektroniki, optoelektroniki, rezonatorów czy modułów termoelektrycznych, mają kluczowe znaczenie przy projektowaniu nanourządzeń. Przyjęło się uznawać, że twardość i wytrzymałość materiałów zbudowanych z zaledwie jednej lub kilku warstw atomowych, przewyższa parametry ich pełnowymiarowych odpowiedników. Nowe badania prowadzone na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu oraz w Katalońskim Instytucie Nanonauki i Nanotechnologii w Barcelonie zaprzeczają jednak opinii, jakoby wytrzymałość mechaniczna zawsze rosła w skali nano. Naukowcy wzięli na warsztat diselenek molibdenu. W miarę stopniowego zmniejszania jego grubości (aż do zaledwie trzech warstw molekularnych) stawał się on coraz bardziej miękki.

– Pokazaliśmy, że nie zawsze można spodziewać się wzmocnienia pewnych właściwości w skali nano, tak jak jest to w grafenie. Przy budowie nanourządzeń trzeba mieć świadomość tego, że niektóre materiały miękną przy zmniejszaniu ich grubości. Miękki materiał ma mniejszą wytrzymałość na rozzerwanie, ale z drugiej strony jest bardziej giętki, co stanowi atut przy projektowaniu elastycznej elektroniki, która już wkrótce może zastąpić tę krzemową – wyjaśnia dr



hab. Bartłomiej Graczykowski z Wydziału Fizyki UAM, laureat programu FNP FIRST TEAM.

W badaniach naukowcy zastosowali nowatorską, całkowicie bezkontaktową metodę, która mierzy termiczne fale akustyczne o częstotliwościach gigahercowych w materiale i pozwala na wydobycie jego właściwości mechanicznych.

– Obecnie tylko my potrafimy stosować tę technikę. A jest ona bardziej niezawodna i bardziej przydatna niż tradycyjne, ponieważ dostarcza zarówno informacji na temat właściwości mechanicznych, jak i danych o grubości membran – twierdzi Graczykowski.

DWŁ

Plagiaty z cichym przyzwoleniem

Mecenas Andrzej Karpowicz, specjalista z zakresu prawa autorskiego, opisuje, na czym polega plagiat i jak wielkie straty przynosi uczelniom tolerowanie kradzieży własności intelektualnej.

Początek lat dziewięćdziesiątych XX wieku. W Krakowie obroniono doktorat dotyczący twórczości Milana Kundery. Niedługo potem rektor UJ otrzymał list z Kanady. Jego autorka informowała w nim, że kluczowe 20 stron pracy doktorskiej to jej artykuł opublikowany wcześniej w czasopiśmie wydawanym w Paryżu. O sprawie zrobiło się głośno, rzecznik UJ oświadczył przed kamerą TVP: „U nas takie rzeczy się nie zdarzają!“. Jakis czas potem jednak doktorat unieważniono.

Warto zauważyć, że ta historia zdarzyła się przed erą internetu.

Już wówczas więc plagiatowanie było procedurą ryzykowną, choć korzystanie z tekstów zagranicznych zdawało się dość bezpieczne. Niemal 30 lat później przywłaszczanie sobie cudzych tekstów zakrawa na szaleństwo lub głupotę: wszystko trafia do sieci, więc nie sposób liczyć na to, że oszustwo się nie wyda. A jednak ta plaga nie niknie; wprost przeciwnie, jej skala w polskiej nauce jest przerażająca, co dokumentuje niestrudzenie na tych łamach dr Marek Wroński. Wszystko to dla zdobycia pozycji w świecie naukowym lub jej utrzymania, ale na skróty, bez wysiłku.

Rzadko zdarza się, aby twórca nie korzystał w ogóle z dorobku twórczego innych autorów. Formy korzystania z tego dorobku są najrozmaitsze – od inspiracji do opracowania cudzego utworu. Często spotykana forma korzystania z dorobku poprzedników, tyle że nielegalna, to właśnie **plagiat**, a więc przywłaszczenie sobie cudzego autorstwa (inaczej: kradzież) całości utworu bądź jego fragmentu. Inną formą – dozwoloną, jeśli spełniono pewne warunki, o których niżej – jest **cytat**.

Autor powinien dokładnie określić, co w artykule stanowi jego własny wkład, a co jest dorobkiem innych. Powinien starannie zaznaczyć granice swej pracy. Odbiorca literatury naukowej, powinien mieć jasność co do tego, co wnosi sam autor, a co jest dorobkiem innych. Ten cudzą treść może omówić lub zacytować.

Cytowanie polega na przytoczeniu w dziele własnym cudzej pracy, w całości lub części, wskazując jednocześnie autora i źródło, bez wprowadzania własnych zmian i zaznaczając początek i koniec cudzego tekstu. Art. 29 prawa autorskiego określa dozwolony użytek publiczny – wymienia warunki, na jakich prawo zezwala na cytowanie: wolno w celu **wyjaśnienia, analizy krytycznej, nauczania lub w zakresie uzasadnionym prawami gatunku twórczości** przytaczać, w utworach stanowiących samoistną całość, urywki utworów lub drobne utwory w całości. [Przepis ten dotyczy wyłącznie utworów rozpowszechnionych.]

Cytowanie jest więc prawnie dozwolone z chwilą łącznego spełnienia trzech przesłanek: 1) cytuje się w dziele stanowiącym samoistną całość (samodzielny utwór stanowiący przedmiot pr. aut.); 2) robi się to w celu wskazanym przez ustawę – a więc „dla **wyjaśnienia, analizy lub nauczania**” (czyli nie tylko dlatego, że sam nie potrafię); 3) cytat ma rozmiar określony przepisami, a więc dotyczy „urywka utworu” lub „drobnego utworu”.

Nagminne praktyki naruszeń prawa autorskiego, równoznaczne z popełnieniem plagiatu, polegają na praktyce włączania do swego utworu fragmentów naukowego utworu cudzego (w języku polskim lub przekładzie z języka obcego) bez wyraźnego zaznaczenia

początku i końca cytatu (czyli bez użycia cudzysłowu) i bez wskazania źródła (autor/tytuł). Niektórzy naukowcy wskazują w przypisach źródło części zapożyczonych, a czasem nawet numery stron oryginału, co jednak nie ma znaczenia dla sanowania tych praktyk, czyli uwolnienia się od zarzutu plagiatu, wobec braku zaznaczenia granic cytatu (cudzysłow!).

Inny często spotykany, a całkowicie nieskuteczny wybieg plagiatu to wskazanie tytułu książki lub artykułu, z którego przepisano fragmenty lub całość, w wykazie literatury, na końcu książki. Kolejne przypadki maskowania kradzieży to praktyki polegające na wykorzystaniu fragmentów cudzego utworu z wplataniem do niego swoich słów czy zdań, co ma nadać im charakter tekstu własnego i uczynić ten proceder legalnym. Jest to jednak w dalszym ciągu rażące naruszenie praw majątkowych i osobistych pokrzywdzonego autora przywłaszczonych fragmentów.

Zdarzające się przypadki, w których plagiatorem są promotorzy i recenzenci prac studenckich lub doktoranckich, czasami są kwalifikowane przez rzeczników dyscyplinarnych i sądy jako niewielkie przewinienie, przypadki „znikomej szkodliwości społecznej”, rzecz małej wagi („przywłaszczono sobie tylko mniej istotne fragmenty”),

co ma uzasadnić odstąpienie od karania plagiatu. Tymczasem jest to proceder szczególnie zasługujący na potępienie i surowe kary. Niezależnie bowiem od naruszenia praw autorskich pokrzywdzonego studenta lub doktoranta, owi pracownicy „naukowi” wyrządzają szkodliwą krzywdę moralną osobom, które okradają, i których zaufanie do nauczycieli akademickich i uczelni niszczy, jednocześnie podważając sens kariery naukowej. Takie praktyki pracowników naukowych i nauczycieli akademickich (przepisywanie prac studenckich i doktoranckich) dowodzą ich impotencji naukowej, prowadzącej do desperacji i powinny skutkować trwałym wydaleniem z uczelni.

Jak wspominałem, każdy plagiat w końcu wychodzi na jaw. Buntują się okradzeni, choć mieli milczeć jako podwładni: studenci, doktoranci czy w inny sposób uzależnieni od plagiatu. Dostrzegają go często obserwatorzy, którzy śledzą karierę naukowca, wnioskuje z różnych oznak jego niezetelność.

Co powinno się wydarzyć na uczelni po wykryciu plagiatu popełnionego przez jej pracownika? Prawidłowy tok postępowania polega na przeprowadzeniu postępowania wyjaśniającego przez rzecznika dyscyplinarnego uczelni, a gdy zarzuty się potwierdzają, ukaraniu karą dyscyplinarną na uczelni, niezależnie od obowiązku zawiadomienia prokuratury o możliwości popełnienia przestępstwa. Zawiadomienie o popełnieniu plagiatu jest moralnym obowiązkiem każdego pracownika naukowego uczelni. Popełnienie plagiatu jest zagrożone odpowiedzialnością karną (kara grzywny, kara ograniczenia wolności lub pozbawienia wolności do lat trzech) oraz odpowiedzialnością majątkową (prezproszyny, zadośćuczynienie, odszkodowanie).

Konsekwencje mogą więc być niebagatelne. Skąd zatem taki rozmiar tej plagi na polskich uczelniach? Moja odpowiedź brzmi: ponieważ istnieje środowiskowe przyzwolenie na ten proceder. Przywołany wcześniej dr Wroński nieustannie opisuje sposób działania władz uczelnianych, które można określić jako „zamiatanie pod dywan”.



Sprawy ciągną się miesiącami i latami, byle do przedawnienia. Rzecznicy dyscyplinarni (często osoby zupełnie niekompetentne i bez woli działania, co władzom uczelni zupełnie nie przeszkadza) mają trudności z ustaleniem, czy plagiat miał miejsce, choć dysponują tekstami, zarówno oryginalnym, jak i ukradzionym. Ten proceder niektórzy tłumaczą troską o dobre imię uczelni („u nas wszyscy uczciwi”...), ale to nonsens, ponieważ wiadomość o plagiacie i plagiatorze w końcu staje się wiedzą publiczną, a uczelnia traci w dwójnasób: wizerunek i rangę. Czy więc nie lepiej usunąć zgniłe jabłko z koszyka? Czy uczelnia nie zyskałaby na tym, także w ramach prewencji ogólnej („nie tolerujemy u nas plagiatów”)? Tak postępują uczciwi. Ale ton nadają

chyba inni, ci, którzy sami już mają coś na sumieniu bądź liczą się z tym, że mieć mogą. Także ci, którzy uważają, że osoby z niższych szczebli (licencjaci, magistry, doktoranci) mają pracować na swego promotora, a więc wykorzystywanie ich prac naukowych pod swoim nazwiskiem to rzecz najzupełniej naturalna i sprawiedliwa. Mógłbym przytoczyć tu wiele bulwersujących kasusów z mej praktyki adwokackiej, ale przecież FA robi to stale.

Andrzej Karpowicz jest adwokatem, który zajmuje się prawem autorskim i reprezentuje przed sądami osoby pokrzywdzone przez plagiatorów. andrzej.karpowicz@juris.pl

Budżet 2021

Podczas Zgromadzenia Ogólnego KARSP 9 lipca Wojciech Murdzek, sekretarz stanu w Ministerstwie Edukacji i Nauki, przedstawił podział budżetu nauki i szkolnictwa wyższego w roku 2021.

Wydatki na szkolnictwo wyższe i naukę wraz z wydatkami przeznaczonymi na działalność badawczo-rozwojową zaplanowano w ustawie budżetowej na rok 2021 na **31 mld 933 mln zł**, z tego: ze środków budżetu państwa – **27 mld 852 mln zł** oraz ze środków europejskich – **4 mld 081 mln zł**. W relacji do kwoty ujętej w nowelizacji ustawy budżetowej na 2020 r. (31 mld 093 mln zł), wydatki te **wzrosły o 840 mln zł**. Udział wydatków na naukę i szkolnictwo wyższe w relacji do prognozowanego na 2021 r PKB osiągnął 1,32% (wobec 1,28% w ustawie budżetowej na 2020 r.). Aż 80,7% stanowią wydatki części 28 budżetu państwa – Szkolnictwo wyższe i nauka, której dysponentem jest minister właściwy ds. nauki i szkolnictwa wyższego. Odpowiada on za rozdysponowanie **25 mld 772 mln zł**, z tego: ze środków budżetu państwa **21 mld 738 mln zł** i ze środków europejskich **4 mld 34 mln zł**.

o Pracowniczych Planach Kapitałowych. Dodatkowo środki finansowe w ramach subwencji w wysokości **150 mln zł** przyznano jednostkom prowadzącym szkoły doktorskie.

Dodatkowo w rezerwie celowej budżetu państwa zaplanowano **793,2 mln zł** na pokrycie w roku 2021 skutków przechodzących podwyżek wynagrodzeń. Z rezerwy celowej ministra edukacji i nauki przeznaczono na ten cel **648,2 mln zł**.

Laureaci programu **Inicjatywa Doskonałości – Uczelnia Badawcza** otrzymali obligacje skarbowe o wartości **496,7 mln zł**. Uczelnie uczestniczące w konkursie otrzymały zwiększenie subwencji o 2%, co kosztowało budżet państwa **49,1 mln zł**.

NCBR otrzymało **5 mld 225 mln zł** (w tym 5 mld 75 mln pochodzi z budżetu MEiN, a pozostałe z budżetów innych ministrów). NCN dostał w tym roku **1 mld 336 mln zł** (w tym 1 mld 281 mln z budżetu MEiN), ale wkrótce otrzyma dodatkowo **30 mln zł**, co pozytywnie zaopiniowała Komisja Finansów Publicznych. Na pomoc materialną dla studentów przeznaczono **1 mld 475 mln zł**, na współpracę z zagranicą **572,7 mln zł**. Sieć Badawcza Łukasiewicz otrzymała **362,5 mln zł** w tym 272,5 mln zł z budżetu MEiN. Minister nauki i szkolnictwa wyższego dysponuje też **297,2 mln zł** na programy i przedsięwzięcia ministra. Budżet NAWA to **174,9 mln zł**, w tym 120 mln zł z budżetu MEiN. Tegoroczny budżet OPI wynosi **70 mln zł**. Na wydatki majątkowe zaplanowano w budżecie MEiN (po zmianach) **632 mln zł**.

(p)



Fot. Piotr Kieraciński

Na utrzymanie i rozwój potencjału dydaktycznego oraz badawczego, czyli subwencję, przeznaczono **13 mld 786 mln zł**. Środki te trafiły do: uczelni publicznych, uczelni niepublicznych prowadzonych przez kościoły i związki wyznaniowe, finansowane na zasadach uczelni publicznych, niepublicznych uczelni akademickich, które uzyskały takie prawo na podstawie kategoryzacji 2017, instytutów PAN (w tym MIBMiK) oraz instytutów badawczych. Subwencję otrzymuje też Polska Akademia Umiejętności.

Na podstawie art. 368 ust. 9 ustawy PSWN zwiększono wysokości subwencji o **426,3 mln zł** w celu zagwarantowania wszystkim podmiotom objętym podziałem algorytmicznym wzrostu subwencji o 1,5% w porównaniu z rokiem 2020. Miało to też umożliwić pokrycie zwiększonych kosztów pracy w związku z wejściem w życie ustawy



Fot. Piotr Kieraciński

Skarby w akademickich zasobach

Już 58 pozycji liczy Polska Lista Krajowa Programu UNESCO „Pamięć Świata”. Trafiają na nią unikalne skarby narodowego dziedzictwa o fundamentalnym znaczeniu dla historii, kultury i tożsamości naszego kraju. Część z nich przechowywana jest w akademickich zasobach.

Najwięcej takich obiektów znajduje się w Bibliotece Jagiellońskiej. Ostatnio na listę wpisano kolekcję utworów Fryderyka Chopina: Scherzo E-dur pour le piano, *Barcarolla Fis-dur* op. 60, *Mazurek E-moll* op. 17 nr 2, *Mazurek As-dur* op. 7 nr 4 oraz *Mazurek Cis-moll* op. 50 nr 3. Oryginalne rękopisy, kupione w większości od osób prywatnych, dokumentują działalność muzyczną największego polskiego kompozytora. W czasie II wojny światowej Niemcy ukryli je na zamku Waldstein w powiecie kłodzkim. Jesienią 1945 r. przewieziono je do Wrocławia, a w 1947 r. powróciły do Krakowa.

W zbiorach „Jagiellonki” jest także dzieło Jana Długosza z 1448 roku *Banderia Prutenorum* – najstarsza w Europie księga chorągwi zawierająca podobizny 56 chorągwi zdobytych na wojskach krzyżackich, w tym pod Grunwaldem. Prócz tego *O poprawie Rzeczypospolitej* Andrzeja Frycza Modrzewskiego – pierwsze, pochodzące z 1551 r., łacińskojęzyczne wydanie dzieła propagującego wieloaspektową reformę Rzeczypospolitej w dziedzinie życia politycznego, prawodawstwa, szkolnictwa, stosunków z Kościołem. To egzemplarz z własnoręczną dedykacją autora dla króla Zygmunta Augusta. Oryginalny tytuł dzieła to *Commentariorum de Republica emendanda libri quinque*, czyli *Rozważań o poprawie Rzeczypospolitej ksiąg pięć*.

Cenne dziedzictwo stanowią również atlas, mapa i rękopisy Eugenia Romera związane z jego dyplomatyczną działalnością w procesie kształtowania granic Polski. Są to unikatowe relacje naocznego świadka, pokazujące szczegółowy przebieg negocjacji pokojowych i procesów rozwiązywania sporów o granice państwa polskiego. Mapa jest jedynym zachowanym w polskich zbiorach dokumentem ukazującym dokładny, naniesiony czerwonym atramentem przebieg granicy polsko-rosyjskiej z 1920 r., będący wynikiem rozmów pokojowych z przedstawicielami Rosji Radzieckiej w Rydze.

Biblioteka Gdańska PAN, obchodząca właśnie swoje 425-lecie, dysponuje z kolei spuścizną po gdańskim astronomie Janie Heweliuszu. Kolekcja obejmuje 19 różnych dzieł zachowanych w 58 egzemplarzach i 23 woluminach. To oryginalne pierwodruki wydane w latach 1647–1690. Stanowią przykład najwyższej jakości gdańskiej sztuki drukarskiej i introligatorskiej. Zostały oprawione w pergamin, skórę

cielęcą oraz koźlą. Spośród nich na listę trafiły egzemplarze *Selenographia* i *Cometographia* opatrzone odręczną dedykacją astronoma skierowaną do Biblioteki Rady Miasta Gdańska oraz *Selenographia*, *Machinae coelestis pars prior* i *Machinae coelestis pars posterior* z ilustracjami ręcznie kolorowanymi przez samego astronoma, m.in. topograficznymi mapami Księżyca.

W tym samym miejscu znajduje się także bogato zdobiony *Misale (secundum otulam dominorum Teutonicorum)* – XV-wieczny mszał krzyżacki wykorzystywany do celów liturgicznych w Kościele Mariackim przy ołtarzu św. Brygidy. Rękopis zawiera liczne zdobione inicjały, a na szczególną uwagę zasługuje miniatura *Ukrzyżowanie*, przedstawiająca Chrystusa wiszącego na krzyżu z dwoma aniołami zbierającymi do kielichów krew z ran po jego obu bokach. Biblioteka Gdańska PAN to druga pod względem wieku po „Jagiellonce” biblioteka na ziemiach polskich. Jej działalność rozpoczęła się w 1398 r. przy kościele NMP w Gdańsku. Księgozbiór Biblioteki Mariackiej przekazano w 1912 r. jako depozyt do Danziger Stadtbibliothek, której powojenną kontynuatorką jest Biblioteka Gdańska PAN.

Trzy obiekty z krajowej listy UNESCO znajdują się w Zakładzie Narodowym im. Ossolińskich we Wrocławiu: rękopis *Pana Tadeusza* Adama Mickiewicza, autografy *Trylogii* Henryka Sienkiewicza oraz wpisana w tym roku na listę rękopiśmienna spuścizna Juliusza Słowackiego. Ossolineum jeszcze przez II wojnę światową określane było „Domem Słowackiego”, ponieważ posiada najbardziej kompletny zbiór rękopisów wieszca. To nie tylko pamiętki, ale i źródło autorskich tekstów dramatycznych, lirycznych czy filozoficznych i politycznych, do dziś budzące zainteresowanie badaczy i wydawców.

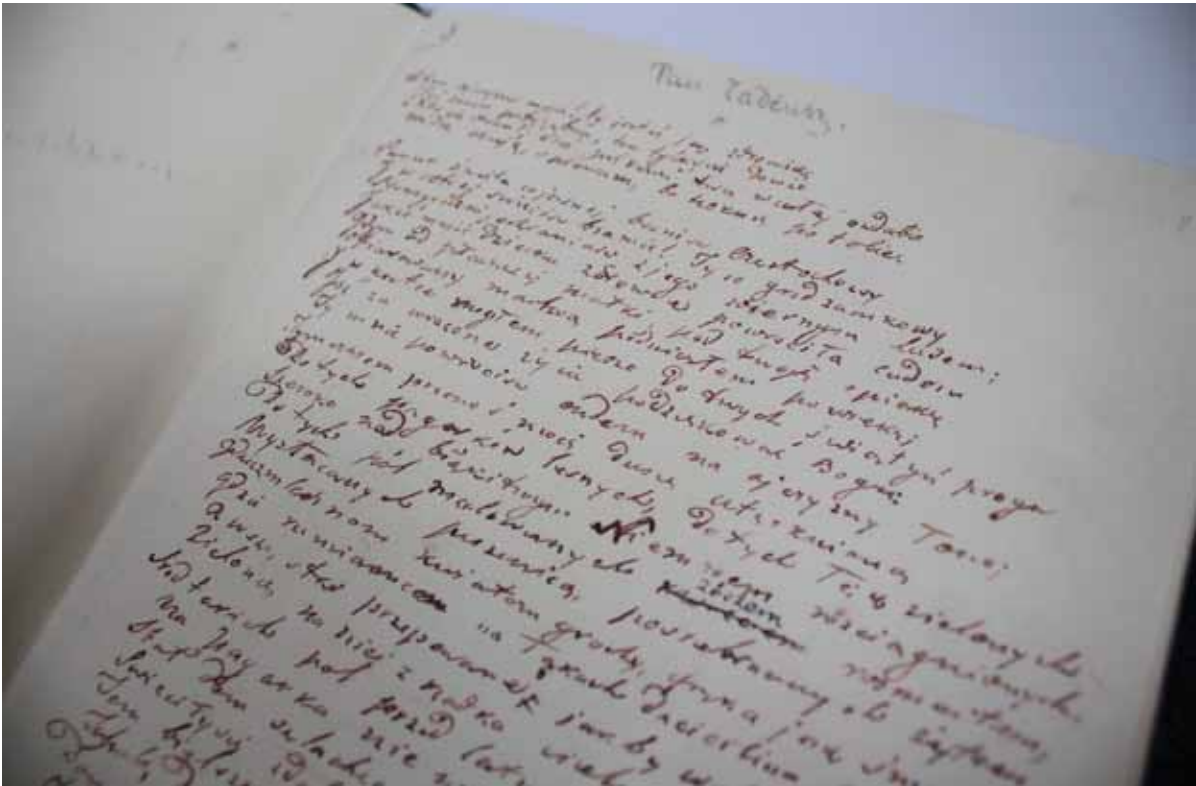
Inną nowością na liście są *Mappy Hrabstwa Białskiego z folwarkami i wsiami do niego należącymi Dóbr Jaśnie Oświeconego Xięcia JMC Hieronima Radziwiłła [..] z wymiaru geometrycznego sporządzone w 1781 roku*, zwane potocznie Atlasem Radziwiłłowskim, ze zbiorów Biblioteki im. Zielińskich Towarzystwa Naukowego Płockiego. W skład tego unikatowego polonicum kartograficznego wchodzi 50 wielkoformatowych map, nie licząc okazałej karty tytułowej i „Regestru”. Dzieła te własnoręcznie wyrysował i pokolorował Leonard Targoński, komornik ziemi łomżyńskiej i geometra królewski, tworząc bezcenne źródło informacji geograficznych i historycznych o mieście Białe, tamtejszym – nieistniejącym już – zamku i zamkowym folwarku oraz rozległych przyległościach. Wszystkie mapy odznaczają się szczegółowością w odwzorowaniu budowli miejskich, sieci dróg, cieków wodnych, a nawet zadrzewień i przydrożnych alei drzew. Niemalą wartość artystyczną mają kartusze legend, ozdobione m.in. okazałymi panopiami i herbami Radziwiłłowskimi.

W Bibliotece Naukowej Polskiej Akademii Umiejętności i Polskiej Akademii Nauk w Krakowie przechowywany jest *Opis żup bocheńskich i wielickich z 1518 r. (Brevis et accurata regiminis ac status zupparum Vielicensium et Bochnensium sub annum Christi 1518 descriptio)* – unikalny opis struktury i funkcjonowania jednego z największych królewskich przedsiębiorstw ówczesnej Europy. To najstarsza (z II poł. XVI w.) zachowana kopia manuskryptu powstałego w 1518 r. w związku z porządkiem obu kopalni przez Jana Onera, kupca krakowskiego, bankiera i zarządcę skarbu Jagiellonów. Oryginał opisu bezpowrotnie zaginął. Kopię kupiono w 1866 r. od Izaaka Himmelblaua, krakowskiego księgarza i antykwariusza.

Archiwum Nauki PAN i PAU w Krakowie dysponuje zbiorem dokumentów *Towarzystwo Naukowe Krakowskie jako korzenie Polskiej Akademii Umiejętności 1815–1872–1918*. Stanowią one jedyne w swoim rodzaju szczegółowe świadectwo długoletniego działania instytucji o wielkich zasługach dla rozwoju polskiej nauki i kształcenia kolej-



„Album podróży na Wschód” Juliusza Słowackiego, Ossolineum



FOT. A. MYŚLIWEK

Rękopis „Pana Tadeusza” Adama Mickiewicza, Ossolineum

nych pokoleń badaczy w okresie rozbiorów, która znacząco wpłynęła na organizację życia naukowego w odrodzonej Polsce.

Proces o Morskie Oko to z kolei zbiór dokumentów z Biblioteki Kórnickiej PAN dotyczących zakończonemu w 1902 r. sporu prawnego wygranego przez Władysława Zamoyskiego o utrzymanie w granicach polskiej Galicji najbardziej malowniczego zakątka Tatr. Zawiera zarówno kaligrafowane rękopisy, korespondencję prywatną i służ-

bową, maszynopisy urzędowe (protokoły, memoriały, wyroki), jak i materiał kartograficzny w postaci map i bogaty zbiór gazet, wycinków prasowych oraz druków opisujących wpływ działań procesowych na opinię publiczną, a także bruliony pism, listów, zapiski i notatki, formularze, telegramy, rachunki, monity, szkice, bilety wizytowe, druki ulotne, odezwy, odciski pieczęci, karty pocztowe, legitymacje, odezwy i petycje z podpisami. W sumie 2376 kart i 56 arkuszy map. Konflikt o przebieg granicy polsko-słowackiej tlił się od I połowy XIX wieku. Zakończył go wyrok międzynarodowego trybunału w Grazu, który w Polsce odebrano jako narodowy sukces.

Biblioteka Uniwersytecka w Warszawie posiada łącznie 12 tomów oprawnych w skórę z tłoczeniami rękopiśmiennych *Widoków i opisów zabytków starożytności w Królestwie Polskim*. Bogato ilustrowane opracowanie stanowi efekt pierwszej w Europie państwowej inwentaryzacji zabytków prowadzonej w połowie XIX w. na terenie Królestwa Polskiego przez Kazimierza Stronczyńskiego. Zawiera ono 425 odręcznych rysunków wykonanych akwarelą i gwaszem. Dzieło dokumentuje warsztat i metody pracy XIX-wiecznego historyka, narodziny nowoczesnego zabytkoznawstwa i konserwatorstwa. Stronczyński wprowadził do obiegu naukowego ogromną liczbę zabytków, nazwisk ich twórców i fundatorów, a także sformułował pierwsze postulaty konserwatorskie.

Program „Pamięć Świata” powstał z inicjatywy UNESCO w 1992 r. Jego celem jest utrwalanie znaczenia wielowiekowego dziedzictwa dokumentacyjnego ludzkości. Polski Komitet Programu UNESCO „Pamięć Świata”, w skład którego wchodzi przedstawiciele największych polskich bibliotek, archiwów oraz środowisk naukowych (przewodniczącym komitetu jest dr Paweł Pietrzyk, naczelny dyrektor Archiwów Państwowych), co dwa lata, począwszy od 2014 roku, wzbogaca Listę Krajową o dokumenty i zbiory mające szczególne znaczenie dla kultury i tradycji polskiej. W czwartej edycji (przełożonej z uwagi na pandemię o rok) uhonorowano w ten sposób 15 obiektów.



„Opis żup bocheńskich i wielickich z 1518 r.”, Biblioteka Naukowa PAU i PAN

Mariusz Karwowski

Na rzecz zrównoważonego rozwoju społecznego

Prace badawcze nad zrównoważonym rozwojem społecznym realizowano w Uniwersytecie Szczecińskim w różnych jednostkach badawczych. Należało to zmienić, zachowując potencjał badawczy i kontakty międzynarodowe. Przygotowano zatem aplikację o utworzenia trzynastej w Polsce Katedry UNESCO.

Koncentracja na rozwoju ekonomicznym i szybkim przewyższaniu kryzysów sprawia, że prawa mniejszości i grup marginalizowanych mogą być pomijane, zwłaszcza na poziomie centralnym. Jak wskazują Bruce Katz i Jeremy Nowak (2018), te same czynniki, które stoją u źródeł populizmu (kryzysy ekonomiczne, wzrastające nierówności, nowe uprawnienia instytucji ekonomicznych i ich lokalnych ekosystemów), przyczyniają się do wzrostu znaczenia lokalnej i regionalnej polityki. Samorządy jednak wciąż niewystarczająco często prowadzą progresywne polityki publiczne. Tymczasem istnieje potrzeba globalnego współdziałania na rzecz zrównoważonego rozwoju społecznego (social sustainability). To podejście polegające na projektowaniu rozwoju dla przyszłych pokoleń z uwzględnieniem potrzeb mieszkańców, którzy do tej pory byli w tym procesie pomijani lub dyskryminowani. Wysiłki badaczy Uniwersytetu Szczecińskiego i ich relacje z partnerami pozaakademickimi mają na celu wspieranie społeczeństwa inkluzywnego, zdolnego do reagowania w zrównoważony sposób na zagrożenia środowiskowe, społeczne i finansowe.

Badania uniwersyteckiego zespołu nad zrównoważonym rozwojem społecznym koncentrują się na decentralizacji polityk równościowych i inkluzywnych, ze szczególnym uwzględnieniem roli miast. Realizowane z partnerami w regionie dotyczą aktywizmu i równości praw (współpraca z województwem i gminami regionu

transgranicznego). Inne koncentrują się na jakości pracy dydaktycznej i powiązaniach między badaniami społecznymi a praktyką (projekt ARROW realizowany z konsorcjum mongolskich uniwersytetów, projekt IMPAKT/Erasmus Mundus z partnerami akademickimi m.in. z Wietnamu i Indonezji).

Korzystając z dotychczasowego dorobku, w nowej katedrze będą rozwijane (z nowymi i dotychczasowymi partnerami) badania nad inkluzywnym rozwojem społecznym (badanie kompetencji obywatelskich, projektowanie zrównoważonych miast), gospodarką odpowiedzialną społecznie (gender mainstreaming, integracja gospodarki nieformalnej), prawami na rzecz mniejszości (badania porównawcze nad ochroną prawną grup defaworyzowanych i zagrożonych wykluczeniem) oraz transformacjami społecznymi.

Uniwersytet Szczeciński jest uczelnią regionalną i z tej pozycji podejmuje inicjatywy ukierunkowane na rozwój otoczenia. Od początku lat dziewięćdziesiątych przy wsparciu samorządu prowadzone są badania nad rozwojem partycypacji w regionie transgranicznym (Euroregion Pomerania, obszar południowego Bałtyku), którego priorytetem jest transfer wiedzy z nauk społecznych do polityk publicznych.

W pracę katedry, która powstanie przy Szkole Doktorskiej USz, zostaną zaangażowani młodzi badacze z ich energią, innowacyjnością i odważnym definiowaniem celów (choćby takich jak sprawiedliwość klimatyczna). Sfinalizowanie prac nad utworzeniem Katedry UNESCO na USz przewidziane jest jeszcze w tym roku.

*dr hab. Maciej Kowalewski,
dyr. Instytutu Socjologii USz*



Rektor USz, prof. Waldemar Tarczyński, o powstającej katedrze:

Dla Uniwersytetu Szczecińskiego podstawowe czynniki dynamicznego rozwoju to wzmocnienie umiędzynarodowienia i rozwój badań interdyscyplinarnych jako obszaru szczególnie atrakcyjnego dla otoczenia społeczno-gospodarczego uczelni. Idea katedr UNESCO stanowi egzemplifikację efektywnej realizacji tych celów, wzmocnioną przez 20 lat doświadczenia. Planujemy połączyć w zespoły badawcze naukowców z różnych dziedzin, którzy zajmą się analizą problemów kluczowych dla naszego regionu, położonego w sercu Europy, uosabiającego wszystkie szanse obszarów o potencjale transgranicznym. Podstawową wartością UNESCO jest szacunek dla różnorodności. I to przesłanie – poprzez aktywność w obszarze nauk humanistycznych, społecznych i przyrodniczych – będzie realizowane przez naszą uczelnię.

Katedry UNESCO w Polsce

Międzynarodowy program Sieci Katedr UNESCO działa od 1992 roku i kładzie nacisk na promocję innowacyjności w badaniach naukowych. Rolą katedr jest m.in. doradztwo przy opracowywaniu polityki edukacyjnej, naukowej i kulturalnej, budowanie pomostów między uczelniami, decydentami i społeczeństwem, promowanie różnorodności kulturowej. Obecnie funkcjonuje 830 katedr UNESCO w 110 państwach. Katedra UNESCO na rzecz zrównoważonego rozwoju społecznego na Uniwersytecie Szczecińskim będzie 13. w Polsce.

Pierwszą była Katedra Praw Człowieka i Pokoju na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu, która działała w latach 1993–

2016. W 1994 roku powstała Katedra UNESCO Trwałego Rozwoju przy Europejskim Instytucie ds. Rozwoju Lokalnego i Regionalnego Uniwersytetu Warszawskiego. Kieruje nią prof. Grzegorz Gorzelak. Dwa lata później zaczęły działać: Katedra UNESCO Jakości Nauczania i Nauki na Uniwersytecie Warmińsko-Mazurskim w Olsztynie (prof. Józef Górniewicz) oraz Katedra UNESCO ds. Kobiet, Społeczeństwa i Rozwoju przy Wydziale Filozofii i Socjologii UW (prof. Renata Siemienińska). W 2004 r. ustanowiono Katedrę UNESCO im. Janusza Korczaka Interdyscyplinarnych Studiów nad Rozwojem i Dobrostanem Dziecka na Wydziale Nauk Pedagogicznych Akademii Pedagogiki

Specjalnej w Warszawie. Od 2016 r. znajduje się w Instytucie Psychologii na Wydziale Stosowanych Nauk Społecznych APS. Jej kuratorem jest dr hab. Anna Odrowąż-Coates. W 2008 r. na Wydziale Ekonomii i Stosunków Międzynarodowych Uniwersytetu Ekonomicznego w Krakowie utworzono Zakład Dziedzictwa Kulturowego i Studiów Miejskich UNESCO (prof. Jacek Purchla). Również w Krakowie, na Akademii Górniczo-Hutniczej, uruchomiono w 2010 r. Centrum Międzynarodowej Promocji Technologii i Edukacji AGH–UNESCO (prof. Janusz Szpytko).

W 2012 r. zainaugurowano działalność Katedry UNESCO Badań Instytucjonalnych i Polityki Szkolnictwa Wyższego przy Centrum Studiów nad Polityką Publiczną na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu (prof. Marek Kwiek). Rok później do sieci dołączył Uni-

wersytet Wrocławski z Katedrą UNESCO Całozyciowego Poradnictwa Zawodowego przy Instytucie Pedagogiki (prof. Jean Guichard). Uniwersytet Jagielloński doczekał się takiej jednostki w 2014 r., kiedy w Instytucie Europeistyki powstała Katedra UNESCO ds. Edukacji o Holokaucie (prof. Zdzisław Mach). W 2018 r. na Uniwersytecie Opolskim utworzono Katedrę UNESCO z zakresu prawa ochrony dóbr kultury. Funkcjonuje w ramach Centrum Prawa Ochrony Dóbr Kultury UNESCO (dr Alicja Jagielska-Burduk). Najmłodszą, jak dotąd, jest działająca od 2 lat Katedra UNESCO Ekohydrologii i Ekologii Stosowanej, ustanowiona na Wydziale Biologii i Ochrony Środowiska Uniwersytetu Łódzkiego (prof. Maciej Zalewski).

MK

NPRH polemiki

Rada NPRH dysponuje pełną autonomią

Szanowny Panie Redaktorze,

W najnowszym numerze FA (6/2021) znajduje się następująca wypowiedź prof. Grażyny Borkowskiej: „od czasów objęcia resortu przez Jarosława Gowina, a później przez Przemysława Czarnka zaczęły się – wcześniej niepraktykowane – ingerencje władzy w wyniki konkursu. Za min. Gowina incydentalne, dzisiaj frontalne. Potrzeba «poprawienia» ustaleń ekspertów sprawiła, iż ostatni konkurs w module «Dziedzictwo narodowe» został zablokowany przez szefów resortu na długie miesiące” (s. 16).

Każde stwierdzenie w tych trzech zdaniach jest nieprawdziwe, a cały fragment jest insynuacją. Stwierdzam kategorycznie, że w okresie, w którym przewodniczę Radzie NPRH (od 2016), nigdy nie było nawet najmniejszych prób ingerowania w wyniki konkursów ani przez ministra, ani kierownictwo resortu, ani przez kogokolwiek z pracowników ministerstwa. Rada NPRH dysponuje pełną autonomią w zakresie formułowania celów i zasad programu, przeprowadzania konkursów i ustalania ich wyników (list rankingowych). Te ostatnie są rezultatem trzyetapowego konkursu (z wyjątkiem modułu Uniwersalia 2.1), monitorowanego przez Radę NPRH w zakresie zgodności jego

przebiegu z procedurą, która każdorazowo jest podawana do publicznej wiadomości. Na podstawie ocen i rekomendacji ekspertów Rada rekomenduje ministrowi wnioski do kolejnego etapu lub finansowania. Najmniejsze korekty w rekomendacjach ekspertów (nie ich ocen!) Rada przedstawia ministrowi w szczegółowych raportach. Nigdy się nie zdarzyło, by którykolwiek z ministrów zmieniał wyniki konkursów lub je blokował, mimo że NPRH jest tzw. programem ministra, co znaczy, że minister może podjąć decyzję o finansowaniu dowolnego projektu bez pomocy jakiegokolwiek rady czy ekspertów.

Prof. Borkowska obraża nie tylko wymienionych z nazwiska ministrów, ale też Radę NPRH, traktując ją jako atrapę, której można zmieniać wyniki jej pracy. Jeśli prof. Borkowska nie przedstawi choćby jednego dowodu tych „incydentalnych” i „frontalnych” ingerencji resortu w wyniki konkursów NPRH, będzie to znaczyć, że kłamie. Postulowanie się inwektywami i publiczne głoszenie nieprawdy jest chyba opisane w kodeksach etycznych wielu instytucji, w których zasiada autorka cytowanych słów?

*prof. Włodzimierz Bolecki
przewodniczący Rady NPRH*

Jeszcze kilka zdań w sprawie NPRH

W niektórych postępowaniach nie ma dowodów i trzeba oprzeć się na poszlakach. Tak jest i tym razem. Fakt, iż nie mam wglądu w tryb pracy NPRH, nie zwalnia mnie z myślenia.

1. Wiem z własnego doświadczenia, iż żadna rada programu nie jest autonomiczna, bo wszystkie ważne decyzje, dotyczące finansów, kalendarza konkursowego, daty podpisania listy nagrodzonych zapadały i zapadają poza nią.
2. Konkursy podobne w formule do modułu „Dziedzictwo narodowe” rozstrzygane są w ciągu maksimum pół roku. Tymczasem konkurs ogłoszony w końcu roku 2019 nie został do tej pory sfinalizowany, osiągnął co najwyżej półmetek.
3. Logiczne pytanie brzmi: co się dzieje, dlaczego to **tym razem** tak długo trwa. Nikt jednak nie kwapił się do złożenia jakichkolwiek wyjaśnień. Wygląda na to, że członkowie Rady, łącznie z jej Przewodniczącym, po prostu nie znają odpowiedzi na to pytanie. Rozumiem, że w innym przypadku podzieliłoby się nią ze środowiskiem.

4. Ważnym krokiem, osłabiającym moje opinie, byłoby podanie przez Radę konkretnej daty zamknięcia konkursu, tak jak wcześniej autonomię Rady uwiarygodniałoby złożenie wyjaśnień tłumaczących (skandaliczne) opóźnienie. Nic takiego nie nastąpiło.
5. Ostatnie argumenty: zadałam pytanie o przedłużający się konkurs NPRH urzędnikom ministerialnym. Odpowiedzieli, że minister analizuje odwołania. Minister, a nie Rada.
6. Zadałam to samo pytanie Panu min. Bernackiemu. Odpowiedział, że ministerstwo nie jest zadowolone z Programu i przygląda się jego założeniom/rozstrzygnięciom.

Wniosek o pełnej, silniejszej niż kiedykolwiek, ingerencji ministerstwa w Program nie jest więc insynuacją (nie powazyłabym się na nią), ale logicznym wnioskiem wysnutym z przeanalizowanych obserwacji i szczątkowych informacji. Szczególnie, że jedne i drugie napływały w kontekście nieuprawnionych zmian, jakich dokonał minister w liście czasopism, ignorując podział obowiązków określony w ustawie z 2018 roku.

Grażyna Borkowska

Inwestycyjna hossa

Uczelnie to mocny gracz na rynku inwestycji budowlanych, o czym świadczą oddawane co rusz realizacje i umowy podpisywane na wykonanie kolejnych.

W czerwcu oddano do użytku nowy gmach Biblioteki Uniwersyteckiej im. Jerzego Giedrojcia w Białymstoku. Inwestycja kosztowała ponad 30 mln zł, z czego ok. 26,5 mln to środki pochodzące z dotacji celowej MEiN oraz sprzedaży obligacji skarbowych przekazanych przez ministerstwo. Dwukondygnacyjny obiekt ma 3250 m² powierzchni użytkowej. Na parterze znajduje się wypożyczalnia książek oraz magazyn na milion woluminów zaopatrzonej w regały kompaktowe mierzące w sumie ok. 14 km długości, pracownie biblioteczne, pomieszczenia biurowe i techniczne. Przy wejściu głównym zamontowano wrzutnię książek, do której czytelnicy mogą zwracać wypożyczone egzemplarze bez konieczności wchodzenia do biblioteki, także poza godzinami jej pracy.

Na piętrze najwięcej miejsca zajmuje przestronna czytelnia na co najmniej 40 miejsc, z wolnym dostępem do książek, a w niej – na antresoli – 9 kabin pracy indywidualnej, w tym 2 dla osób niepełnosprawnych. W czytelnicy, która swoje podwoje otworzy wraz z nowym rokiem akademickim, udostępnionych zostanie początkowo 80 tys. książek i czasopism. Zasób ten będzie systematycznie zwiększany. Centralną część wyższej kondygnacji zajmuje atrium, w którym odbywać się będą kameralne wydarzenia kulturalne lub naukowe. Biblioteka stanie się w kampusie Uniwersytetu w Białymstoku, w którym w przyszłości – jak zapowiedział rektor prof. Robert Ciborowski – znajdą się wszystkie uczelniane obiekty.

Infrastruktura Politechniki Świętokrzyskiej powiększyła się o stadion z trybunami dla 500 widzów. Studenci mogą już

korzystać z pełnowymiarowego boiska piłkarskiego z nawierzchnią ze sztucznej trawy, sześciotorowej bieżni okólnej o nawierzchni poliuretanowej o długości 400 m, ośmiotorowej bieżni na prostej o długości 130 m, rzutni dla młociarzy, kulomiotów, dyskoboli i oszczepników, skoczni do skoku o tyczce, wżwyz i w dal oraz boiska do sportów plażowych. Obiekt jest w pełni przystosowany dla osób z niepełnosprawnościami i dzięki oświetleniu może być użytkowany również w nocy. Uczelnia planuje organizację zawodów młodzieżowych i akademickich mistrzostw Polski. Inwestycja pochłonięła ponad 18 mln zł, z czego blisko 7,5 mln zł stanowiło dofinansowanie z Ministerstwa Kultury, Dziedzictwa Narodowego i Sportu.

Na Kampusie Ochota ruszyła budowa nowego gmachu Wydziału Psychologii Uniwersytetu Warszawskiego. To druga największa inwestycja uczelnianego programu wieloletniego. Jej wartość wynosi blisko 140 mln zł. Obiekt stanie w obrębie ulic Żwirki i Wigury, Banacha oraz Pasteura. Będzie miał 8 kondygnacji, w tym 6 naziemnych. Jego powierzchnia wyniesie 26,6 tys. m². Wewnątrz zaprojektowano 30 sal dydaktycznych: wykładowych, seminaryjnych, komputerowych; pomieszczenia do pracy cichej oraz aulę, w której odbywać się będą wykłady i spotkania z udziałem blisko 400 osób. W gmachu znajdują się także laboratoria dostosowane do prowadzenia badań indywidualnych i grupowych w dziedzinie nauk psychologicznych. Możliwość dzielenia pomieszczeń za pomocą ścian przesuwanych pozwoli na dostosowanie obiektu do potrzeb jego użytkowników. Projekt przewiduje również m.in. zastosowanie roz-



Fot. Lukasz Nowicki

Biblioteka Uniwersytecka
w Białymstoku



Fot. UP

Centrum Badawczo-Wdrożeniowe i Dydaktyczne Innowacyjnych
Technologii w Ogrodnictwie Uniwersytetu Przyrodniczego w Lublinie



Fot. Piotr Bajnowski/Architekt

Gmach Wydziału Psychologii
Uniwersytetu Warszawskiego

wiązań na rzecz zrównoważonego rozwoju i ochrony środowiska, np. energooszczędne instalacje elektryczne, wykorzystanie systemów odzyskiwania energii cieplnej i odnawialnych źródeł energii. Na dachu powstanie ogród społecznościowy typu *urban farming*. Pierwsze zajęcia w nowym budynku odbędą się w roku akademickim 2023/2024.

Nowa siedziba Collegium Humanum – Centrum Badań nad Człowiekiem budowana jest w kampusie akademickim Uniwersytetu Medycznego im. Karola Marcinkowskiego w Poznaniu przy ul. Rokietnickiej. Inwestycja, która zintegruje uczelnie jednostki z zakresu nauk podstawowych rozlokowane w różnych punktach miasta, kosztować będzie blisko 37 mln zł, z czego 1/3 dofinansuje Europejski Fundusz Rozwoju Regionalnego. W czterokondygnacyjnym budynku o powierzchni 3,3 tys. m² swoją siedzibę znajdą: Katedra i Zakład Mikrobiologii Lekarskiej, Zakład Medycyny Środowiskowej, Zakład Immunologii oraz Katedra i Zakład Medycyny Sądowej. W nowym miejscu naukowcy będą prowadzili badania dotyczące oceny wpływu szkodliwych czynników środowiskowych na organizm człowieka; oceny stanu i funkcji jelit; nowoczesnej i wydajnej diagnostyki chorób opartej na technikach obrazowania i nowatorskich technikach detekcji; innowacyjnych i skutecznych metod diagnostyki chorób cywilizacyjnych. Zająmą się też bakteriami lekoopornymi i zakażeniami związanymi z eliminowaniem zakażeń szpitalnych, a także metodami immunoterapii nowotworów.

W Gospodarstwie Doświadczalnym Uniwersytetu Przyrodniczego w Lublinie wmurowano kamień węgielny pod budowę Centrum Badawczo-Wdrożeniowego i Dydaktycznego Innowacyjnych Technologii w Ogrodnictwie. W uroczystości uczestniczył minister edukacji i nauki Przemysław Czarnek, który przypomniał że w ostatnich miesiącach jego resort wsparł inwestycje na lubelskim Felinie kwotą ponad 15 mln zł. Nowe przedsięwzięcie ma kosztować 17 mln zł. Centrum będzie się składało ze zautomatyzowanych szklarni – każda o szerokości 8 m i długości 32 m – wyposażonych w nowoczesny system doświetlania roślin światłem LED, hali wegetacyjnej z systemem automatycznego zamgławiania oraz budynku o powierzchni

690 m², w którym znajdą się sale wielofunkcyjne i laboratoryjne ze sprzętem audiowizualnym. Zamontowane zostaną także ogniwa fotowoltaiczne oraz zbiorniki na wody opadowe. Infrastruktura posłuży do nowatorskich badań nad roślinami modelowymi i użytkowymi wykorzystywanymi nie tylko do celów rolniczych i żywieniowych, ale również przez przemysł i farmację, zwłaszcza w zakresie sterowania ekspresją genów oraz modyfikacji cech jakościowych i metabolitów wtórnych czynnikami endogennymi. Centrum zostanie wyposażone w automatyczny system sterowania światłem oraz dozowania pożywki i fertygacji. Możliwy będzie wybór długości fali do naświetlania, napowietrzenie, koncentracja pary wodnej i ditlenku węgla. Obiekty zostaną oddane do użytku w połowie przyszłego roku.

Centrum zintegrowanych laboratoriów badawczych środowiska morskiego dla przemysłu offshore powstanie na Uniwersytecie Morskim w Gdyni. Uczelnia od lat jest liderem na polskim rynku offshore w zakresie badań środowiskowych i wykonywania dokumentacji środowiskowej, geofizycznej, geologicznej i geotechnicznej dla inwestycji morskich, szczególnie w odniesieniu do energetyki wiatrowej. W zamierzeniach pomysłodawców Centrum Offshore UMG ma być załączkiem „Polskiej Doliny Offshore”. Kluczowym atutem lokalizacji jest bezpośredni dostęp do Nabrzeża Wiśloujście, które umożliwi postój i obsługę statków badawczych, szkoleniowych oraz serwisowych, zarówno dla uniwersytetu, jak i kontrahentów. Koncepcja przewiduje wybudowanie dwóch budynków dwukondygnacyjnych o łącznej powierzchni użytkowej 5,5 tys. m², w tym magazynu na urządzenia i sprzęt pomiarowy o powierzchni 440 m². Centrum będzie siedzibą certyfikowanych laboratoriów Instytutu Morskiego UMG, m.in. Laboratorium Geotechnicznego Zakładu Geotechniki Morskiej, Laboratorium Zakładu Ochrony Środowiska (analizy chemiczne) oraz Laboratorium Elektroniki Morskiej (monitoring zagrożeń środowiskowych). Budynek stanie przy ulicy Roberta de Plelo w Gdańsku. Zakończenie prac zaplanowano na marzec 2023 roku. Wartość inwestycji wraz z wyposażeniem szacowana jest na ok. 50 mln zł.

Mariusz Karwowski



Fot. PSK

Stadion Politechniki Świętokrzyskiej w Kielcach



Fot. Budopol

Collegium Humanum – Centrum Badań nad Człowiekiem Uniwersytetu Medycznego im. Karola Marcinkowskiego w Poznaniu



Fot. UMG

Centrum Offshore Uniwersytetu Morskiego w Gdyni

Uczelnie (nie)dostępne

Zachodniopomorski Uniwersytet Technologiczny w Szczecinie jest najbardziej dostępną cyfrowo polską uczelnią – wynika z raportu przygotowanego przez wrocławską agencję Kinaole Solutions. To pierwsza tak kompleksowa analiza szkół wyższych pod kątem ich dostępności w sieci. Jak zauważają autorzy, odpowiednie dostosowanie serwisów internetowych lub aplikacji umożliwia korzystanie z nich jak największej grupie użytkowników. Szczególną uwagę objęte są osoby z grupy wykluczenia cyfrowego, czyli takie, które mają ograniczenia sensoryczne bądź intelektualne i nie mogą w równie wygodny oraz bezproblemowy sposób korzystać z produktów lub usług. Z pomocą przychodzi im wówczas technologie wspomagające/asystujące (np. czytniki ekranów), jednak jeśli strona nie jest do nich dostosowana, to trudniej będzie po niej nawigować, a w niektórych przypadkach jest to wręcz niemożliwe.

Zestawienie powstało na podstawie kryteriów występujących w wytycznych WCAG 2.1 (Web Content Accessibility Guidelines), które dotyczą osób z niepełnosprawnością wzroku (niewidomych, niedowidzących) oraz głuchych. Rekomendacje te odnoszą się do postrzegalności, funkcjonalności, zrozumiałości i solidności serwisów internetowych. Wśród 16 kryteriów znalazły się m.in. zawartość nietekstowa, audiodeskcrypcje, kontrola odtwarzania dźwięku, kontrast, odstępy w tekście, tytuł strony czy jej język.

– O dostępności powinniśmy myśleć przed przystępowaniem do projektowania, a nie – jak to ma zwykle miejsce – na jego końcu. Zastanawiając się nad metodologią, zdecydowaliśmy się wyselekcjonować te kryteria, które nie wymagają obicia technicznego i których zmiany mogą być bardzo szybko wdrożone – tłumaczy autorzy raportu.

Do badania, które zostało przeprowadzone w okresie luty–marzec 2021 r., wybrano strony główne 50 czołowych szkół wyższych według rankingu „Perspektyw”, w tym 8 niepublicznych. Średni wynik z zakresu dostępności dla wszystkich badanych podmiotów wyniósł 41,74%. Twórcy raportu zwrócili uwagę na deklarację dostępności. To opis dostępności podmiotu dla osób z niepełnosprawnościami. Informuje o rozwiązaniach, ale też problemach, jakie spotykają na stronie internetowej, w aplikacji mobilnej i budynkach danej instytucji. Nawet jeśli serwis internetowy jest niedostępny, to musi mieć w pełni dostępną deklarację, która opisuje ten stan. Obowiązek taki nakłada na każdy podmiot publiczny ustawa o dostępności cyfrowej z 2019 r. Okazuje się, że nie wszystkie uczelnie publiczne posiadają taką deklarację (miało tylko 30), za to w niepublicznych w ogóle jej nie było.

Jakie błędy z zakresu dostępności najczęściej zauważyli audytyrzy? Zaledwie 4 uczelnie zadbały o to, by informacje, struk-

tura oraz relacje pomiędzy treściami przedstawionymi w prezentacji mogły być odczytane przez program komputerowy lub były dostępne w postaci tekstu. Walidacja kodu HTML wskazała jedynie 5 szkół wyższych, które w treści wprowadzonej za pomocą języka znaczników posiadały nie więcej niż 10 błędów. W tej grupie tylko jedna uczelnia (!) posiada kod wolny od błędów (Akademia Górniczo-Hutnicza w Krakowie). Jedna uczelnia na pięć zapewniła też tekstową alternatywę dla treści nietekstowych na swojej stronie. Najmniej uwag było co do tytułu strony (86% uczelni zadbało o to, aby strony miały tytuły, które opisują ich cel lub przedstawiają ich temat), języka strony (w 84% przypadków domyślny język każdej strony internetowej może zostać poprawnie odczytany przez program komputerowy) i odstępów w tekście (trzy uczelnie na cztery zapewniają możliwość zmiany odstępu między wierszami, akapitami, słowami i literami).

W rankingu najlepiej wypadł Zachodniopomorski Uniwersytet Technologiczny w Szczecinie. Nie powinno to być zaskoczeniem, zważywszy na fakt, że uczelnia od lat dba o dostosowanie swojego serwisu do potrzeb osób z niepełnosprawnościami, starszych i narażonych na wykluczenie cyfrowe. Trzykrotnie (2017, 2018 i 2019) otrzymywała prestiżowe wyróżnienie w konkursie „Strona Internetowa bez Barier”. Drugie miejsce zajęła Politechnika Gdańska, a podium zamknął Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. W pierwszej „10” są jeszcze: Politechnika Rzeszowska im. Ignacego Łukasiewicza, Uniwersytet Gdański, Akademia Leona Koźmińskiego w Warszawie, Uniwersytet Przyrodniczy we Wrocławiu, Politechnika Poznańska, Uniwersytet Śląski w Katowicach i Uniwersytet Mikołaja Kopernika w Toruniu. Słabo wypadły dwie największe polskie uczelnie: Uniwersytet Warszawski zajął miejsce w połowie stawki, a jeszcze dalej jest Uniwersytet Jagielloński (39). Co ciekawe, Polsko-Japońska Akademia Technik Komputerowych w Warszawie otwiera dopiero trzecią „dziesiątkę”.

Najwięcej do poprawy mają jednak uczelnie z końca rankingu: Wyższa Szkoła Biznesu National-Louis University w Nowym Sączu, Uniwersytet Rolniczy im. Hugona Kołłątaja w Krakowie oraz Szkoła Główna Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie. Na ich stronach brakuje tekstowej alternatywy lub jest ona niezgodna z treścią nietekstową, kontrast niektórych elementów względem tła jest niewystarczający, a struktura nagłówków – niepoprawna.

Autorzy raportu zwracają uwagę, że tylko 21 uczelni daje możliwość pominięcia sekcji nagłówkowej osobom korzystającym z czytnika ekranu. Dlaczego to takie istotne? Prywatnie nie chcielibyśmy słuchać spisu treści za każdym razem, gdy tylko w audiobooku lektor przechodzi na następną stronę – zauważają.



Dr hab. inż. Jacek Wróbel, prof. ZUT, rektor ZUT:

Nasza uczelnia od lat dba o dostosowanie strony internetowej do potrzeb osób z niepełnosprawnościami, starszych oraz narażonych na wykluczenie cyfrowe. Byliśmy trzykrotnie nagradzani w prestiżowym konkursie „Strona Internetowa bez Barier”. W 2019 r. znaleźliśmy się w gronie sygnatariuszy partnerstwa na rzecz dostępności w programie „Dostępność Plus”. Od kilku lat prowadzimy cykliczne szkolenia dla pracowników z redagowania stron internetowych, tworzenia dostępnych e-dokumentów (dokumenty tekstowe i tekstowo-graficzne, arkusze kalkulacyjne) oraz materiałów dydaktycznych z dostępności cyfrowej. Wyróżnienia te świadczą o wysokiej jakości prowadzonych usług na rzecz dostępności cyfrowej.

Zaobserwowano też, że kilka uczelni posiada wielojęzyczne serwisy. Niestety, przy tego typu rozwiązaniach konieczne jest zaznaczenie w strukturze kodu języka odpowiadającego danej wersji strony, aby program komputerowy odczytał ją w poprawny sposób. I jeszcze jedna częsta praktyka – tzw. karuzele z dużymi zdjęciami, które co kilka lub kilkanaście sekund się zmieniają. – Zapewnienie dostępności

takiemu elementowi wcale nie jest trudne, ale oprócz opcji przewijania w tył i do przodu, musimy zadbać jeszcze o możliwość... zatrzymania tej karuzeli – dodają eksperci z Kinaole Solutions.

Mariusz Karwowski



Fot. Zuzanna Czekalska

Anna Czekalska, pełnomocnik rektora ZUT ds. dostępności cyfrowej:

Nie ma dostępności cyfrowej bez świadomości czym ona jest, dla kogo może stanowić istotny warunek korzystania ze stron internetowych oraz co zrobić, by umożliwić równy dostęp do nich wszystkim użytkownikom. Dlatego pierwszym krokiem jest zrozumienie tej tematyki. Jeśli mówimy, że budynek jest niedostępny dla osób poruszających się na wózkach inwalidzkich, bo brakuje windy – to raczej wszyscy zrozumiemy ten komunikat. A jeśli strona internetowa jest niedostępna, bo występuje na niej pułapka klawiaturowa? Co to jest i jak to stwierdzić? Otóż, kiedy poruszamy się po danej stronie powinniśmy móc skorzystać z niej zarówno za pomocą klawiatury (np. osoby z dysfunkcjami kończyn górnych), jak i z użyciem myszy. Podobnych przykładów jest dużo więcej. Dlatego właśnie szablon stron internetowych ZUT został kilka lat temu dostosowany najpierw do standardu WCAG 2.0, a później WCAG 2.1. Nasi redaktorzy publikując treści dbają o teksty alternatywne, starają się używać nagłówki w hierarchicznej kolejności, a także poprawnie określają cel linków. Dbamy też o poprawność kodu strony internetowej, a dokumenty na niej są publikowane w wer-

sji dostępnej cyfrowo lub posiadają dostępną cyfrowo alternatywę. Nie oznacza to, że ten temat już zamknęliśmy. Dostępność jest procesem. Strony internetowe „żyją”, zmieniają się. Staramy się cały czas wносить nowe rozwiązania i udogodnienia dla wszystkich, w tym osób z niepełnosprawnościami.

Przemyska dwudziestolatka

Państwowa Wyższa Szkoła Wschodnioeuropejska w Przemyślu kończy 20 lat. Jej mury opuściło dotąd ok. 5 tys. absolwentów.

Początkowo funkcjonowała jako Państwowa Wyższa Szkoła Zawodowa. Pod obecną nazwą działa od 2006 roku. Powstała jako uczelnia humanistyczna, nawiązująca do najstarszych tradycji akademickich Przemyśla: XV-wiecznej szkoły kapitulnej z rektorem wyznaczonym przez Akademię Krakowską i XVII-wiecznego kolegium jezuickiego.

Rozpocząła swoją działalność, oferując studia I stopnia na trzech kierunkach. Obecnie kształci na 16 kierunkach humanistycznych, społecznych, technicznych, artystycznych i medycznych (w tym trzech kierunkach II stopnia). Struktura uczelni oparta jest na trzech instytutach: Humanistyczno-Artystycznym, Nauk Społecznych i Ochrony Zdrowia, Nauk Technicznych. Studiuje w nich obecnie 935 osób, w tym 278 cudzoziemców. Mają oni możliwość zdobywania kompetencji m.in. na profesjonalnych obrabiarkach CNC, drukarkach 3D, korzystania z pracowni tachografów, stacji diagnostycznej i in. PWSW zatrudnia 167 osób, w tym 106 nauczycieli akademickich (10 profesorów, 9 doktorów habilitowanych, 54 doktorów i 33 magistrów).

Kampus uczelni tworzy 6 budynków: Pałac Lubomirskich (na fot.), Kolegium Nowe, Kolegium Wschodnie, Kolegium Techniczne, biblioteka, akademik. Na poddaszu Kolegium Technicznego w 2020 roku powstało Centrum Modelowania i Symulacji Komputerowych dla studentów projektowania graficznego. Obecnie trwa remont Kolegium Wschodniego, które będzie dostosowane do potrzeb pielęgniarstwa.

Księgozbiór Biblioteki Uczelnianej liczy ponad 64 tys. woluminów druków zwartych oraz blisko 4,3 tys. czasopism. Biblioteka

posiada także zbiory specjalne liczące blisko 200 jednostek inwentarzowych. Są to przede wszystkim zbiory kartograficzne oraz taśmy magnetofonowe, płyty kompaktowe i kasyety wideo. Blisko 800 jednostek to zdigitalizowane materiały rękopiśmienne rzadkich opracowań z XIX i początków XX wieku (głównie dzieje Kresów Wschodnich), map, planów, fotografii i niewielkie ilości prasy.

Od 2018 roku PWSW bierze udział w edukacyjnym projekcie Collegium Carpathicum, który ma na celu wymianę wykładowców między siecią uniwersytetów znajdujących się na terenie Karpat, m.in. na Ukrainie, Słowacji, Czechach, Rumunii i na Węgrzech. Dwukrotnie – w 2019 i 2020 roku – PWSW była beneficjentem konkursu „Dydaktyczna Inicjatywa Doskonałości”. Rektorem uczelni (już drugą kadencję) jest dr Paweł Trefler, prof. PWSW.

MK



Bitwa o prestiż

Prof. Łukasz Sułkowski z Uniwersytetu Jagiellońskiego mówi o warunkach udanych konsolidacji uczelni, pokazując przykłady z innych krajów.

Powody konsolidacji są zróżnicowane. Mogą to być fuzje i przejęcia z powodów biznesowych, czysto ekonomicznych. Konsolidacja jest wtedy połączona z restrukturyzacją. Powoduje ona efekt ekonomii skali, daje korzyści w postaci ograniczenia administracji. Ta grupa



konsolidacji jest dość popularna w Stanach Zjednoczonych. Duży uniwersytet wchłania mniejsze i korzysta ze wzrostu.

Druga forma, typowa dla sektora szkolnictwa wyższego, to konsolidacje strategiczne. One wynikają z dążenia uczelni do uzyskania lepszych pozycji międzynarodowych. To jest bitwa o prestiż. Dzięki połączeniu potencjałów naukowych, korzystając z większej bazy, można powiększyć liczbę studentów, a dzięki temu dokonać jakiegoś rodzaju rebrandingu, czyli zmiany nazwy na silniejszą i wyrazistszą, a także zmiany strategii uczelni.

Spektakularnym przykładem są Helsinki i Alto University. W tej instytucji połączono uczelnie helsińskie, które nosiły konwencjonalne nazwy, np. Uniwersytet Ekonomiczny, Politechnika Helsińska oraz Uniwersytet Sztuki i Wzornictwa. To była głęboka i stymulowana centralnie konsolidacja. W Europie, w systemach demokratycznych musi nastąpić połączenie różnych motywacji. Często impuls w postaci ogromnych zachęt jest odgórny, państwowy. Takie programy zrealizowano w Finlandii i Francji, gdzie uczelnie się skonsolidowały. Prze-

znaczono ogromne fundusze, aby uczelnie konsolidujące się miały z tego wyraźne korzyści.

Skąd to się wzięło? Skąd taka presja na konsolidację? Na początku XX wieku pojawił się ranking szanghajski. W wielu krajach europejskich efektem jego pojawienia był tzw. szok szanghajski – tak daleko znalazły się w tym zestawieniu europejskie uniwersytety z kontynentu pod względem osiągnięć naukowych, w porównaniu z uniwersytetami amerykańskimi i pnącymi się do góry chińskimi. Francja, która miała wielkie ambicje w ramach swoich polityk publicznych, natychmiast doszła do wniosku, że bez silnych uniwersytetów traci na prestiżu, zatem stworzyła programy doskonałości naukowej oraz konsolidacji i program nakłaniania uczelni do fuzji. Znam dobrze przypadek Grenoble, który przebadalem i opisałem w książce. Z połączenia trzech, a teraz już pięciu uczelni publicznych, które nosiły rozpoznawalne międzynarodowo nazwy: Joseph Fourier University, Pierre Mendès-France University, Stendhal University, powstał tam nowy uniwersytet – Université de Grenoble Alpes (UGA). Dzięki skupionemu potencjałowi i ogromnym pieniądząom rządowym w ciągu kilku lat wywindował swoją pozycję w rankingu szanghajskim, ale i Francja mogła powiedzieć: relatywnie poprawiliśmy swoją pozycję i rozpoznawalność. To tylko jedna z korzyści – z poziomu ładu akademickiego. Ale jest też drugi poziom – zarządzania. Mianowicie została zmieniona nazwa i zwiększyła się skala działalności. Dla kogoś z zagranicy stare nazwy małych lokalnych uczelni nic nie znaczą, a University of Grenoble Alpes z nowym logo z wizerunkiem Alp – to jest prosty znak rozpoznawczy – dał się zapamiętać. Mamy nowy element identyfikacji, zwiększa się rozpoznawalność na świecie, przyjeżdżają nowi studenci, badacze. Jeśli chodzi o mechanizm, to z jednej strony mamy zachęty państwowe, a z drugiej wolę autonomicznych uczeni, które się dogadały, ale także wolę interesariuszy, wyrażaną przez rady uczelni, np. przedstawiciele samorządów czy biznesu lokalnego, którzy uczestniczą w realizacji trzeciej misji, wspomagając choćby obszar fundraisingu.

W grze musi być spora stawka. W Polsce jest ona zdecydowanie za mała – kilkuprocentowe zwiększenie budżetu nie stanowi wyraźnej zachęty. We Francji to były naprawdę duże środki, znacznie większe w stosunku do budżetów konsolidujących się uczelni niż w Polsce. U nas tych zachęt w zasadzie nie ma. Nasze przepisy stanęły w pół drogi. Pójście w kierunku związku czy federacji, które w nazwie nie będą miały słowa „uniwersytet”, nie spełni swojego celu, bo tego wzrostu potencjału, tej pozycji nie będzie widać w rankingach międzynarodowych. Bez odpowiedniej prostej, rozpoznawalnej nazwy, nie ma szans na poprawę pozycji międzynarodowej. Rozwiązanie federacyjne może skutkować tylko pod tym warunkiem, że uczelnie zgodzą się na jedną nazwę, pod którą będą afiliować, publikować, gromadzić dorobek, prowadzić kształcenie, doktoryzować.

Drogę do konsolidacji zagradzają trzy blokady. Pierwszą jest władza. Zawsze podskórnie, podświadomie pulsuje problem stanowisk: kto tym będzie rządził, czy nie oddamy stanowiska rektora, czy nie będziemy mieć mniej stanowisk dla swoich ludzi, czy nie nastąpi konsolidacja wydziałowa. Drugą jest obawa przed zmianą. Pracownicy mogą się bać o swoje miejsca pracy. Trzeci czynnik, który ujawnia się wszędzie na świecie, ma charakter kulturowy. On dochodzi do głosu także w biznesie. Dobrze prosperujące koncerny motoryzacyjne (Daimler Chrysler i Mercedes-Benz), których konsolidacja powinna przynieść wielkie korzyści w postaci synergii potencjałów i możliwo-

ści, nie mogły się skonsolidować, gdyż dzieliła je kulturowa przepaść. Uczelnie również często mają odmienne kultury organizacyjne, systemy wartości, inne praktyki zarządcze, inne zwyczaje pracownicze i po prostu przyzwyczajenia ludzi. Jeśli fuzja między uczelniami ma

być udana, to trzeba rozwiązać problem władzy, zarządzania zmianą i problem połączenia odmiennych kultur organizacyjnych.

Notował Piotr Kieraciński

Federacja międzynarodowa?

Prof. dr hab. inż. Jarosław Bosa, rektor Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu, mówi o pozytywnych i negatywnych uwarunkowaniach konsolidacji uczelni.

Ustawa Prawo o szkolnictwie wyższym, czyli poprzednia ustawa, dała możliwość powoływania związków uczelni, ale nie określała celów tych związków, nie było też prawnych mechanizmów ich funkcjonowania. Takie związki działają, a właściwie trwają, w kilku ośrodkach, niektóre już blisko dziesięć lat, ale nie bardzo wiadomo, co tego rodzaju miękka konsolidacja wykreowała, jaka jest wartość dodana takich bytów. Kłopotem jest odpowiedź na pytanie, po co tworzyć związek. Czy ma on poprawić funkcjonowanie uczelni „związkowych”, czy chodzi o rankingi krajowe, a może widoczność międzynarodową? W żadnym z tych obszarów nie ma wyraźnych korzyści dla uczelni, które tworzą związek. Funkcjonowanie tego prawa to był czas na to, żeby przeprowadzić dyskusje, przyjrzeć się sobie bliżej, ale niejako z góry, przez pryzmat związku. Taką rolę spełniła tzw. Deklaracja Pawłowska we Wrocławiu. To był projekt powołany na poziomie rektorów i w tym gronie akceptowany w pełni. Działało to także na poziomie senatów – powołano zespoły, które miały analizować sytuację w różnych obszarach działalności uczelni. Im dalej w dół, tym niższy był poziom akceptacji dla konsolidacji. To był mechanizm top-down, który – generalnie – nie zadziałał. Tym samym nie miało to szans rozwoju i przetrwania. Teraz każdy ośrodek akademicki kreuje własny model współpracy i ewentualnej konsolidacji.

Związek uczelni w Gdańsku jest ciekawym założeniem, bo trzy uczelnie, które go tworzą, są komplementarne względem siebie, nie rywalizują, ale się uzupełniają, będą się wzmacniać. Skala 50 tys. stu-

dentów też jest akceptowalna z punktu widzenia zarządzania, ale także pod względem siły wpływu związku. To się może udać, o ile ludzie znajdą ze sobą wspólny język i wspólny interes. Te uczelnie dotychczas sobie nie przeszkadzały, czasami nawet współpracowały – najciekawszym przykładem współpracy jest Międzyuczelniany Wydział Biotechnologii – nie konkurowały ani o studenta, ani na rynku naukowym. Czy znajdą wspólny interes? Co mogą osiągnąć razem? To ciekawy przykład, gdy w związku nie ma wyraźnego lidera, jest trzech partnerów.

Inna sytuacja jest np. w Krakowie czy Poznaniu, a także we Wrocławiu. Tam są silni liderzy, czasami aż dwóch w ośrodku. W Poznaniu wyraźnym liderem był i jest UAM. Można tamtejszą propozycję federacji potraktować jako powrót do źródeł Uniwersytetu Poznańskiego, co nie dotyczy jednak Politechniki Poznańskiej, też silnej, choć mniejszej uczelni. To będzie próba federalizowania silnych uczelni o mocnych tożsamościach. Konsolidacja w tej sytuacji wymaga wielu lat pracy, ale idea jest bardzo ciekawa. We Wrocławiu mamy zupełnie inną sytuację, bo liderów jest dwóch: Uniwersytet Wrocławski i Politechnikę Wrocławską; podobnie jest w Krakowie czy Warszawie. Konsolidacja – związek, federacja, pełna konsolidacja – musi dać wartość dodaną. Każdy członek takiej grupy musi na tym zyskać; to powinno być działanie, które każdemu przynosi satysfakcję i korzyści.

Mysząc o federacji uczelni Wrocławia, proponowałbym ujęcie jej w kontekście międzynarodowym, a naszymi najbliższymi sąsiadami zagranicznymi są uczelnie w Dreźnie i Pradze. Stworzenie federacji wewnątrz miasta nikomu chyba nic nie da. Zupełnie inaczej, gdybyśmy stworzyli federację międzynarodową.

Federacja, według Prawa o szkolnictwie wyższym i nauce, czyli aktualnej ustawy, ogranicza się do badań i doktoratów. Tymczasem uniwersytet jest po to, żeby kształcić. Ograniczenia ustawowe w gruncie rzeczy nie pozwalają nam kształcić wspólnie. Takie kształcenie musi kończyć się dwoma dyplomami, a nie jednym, wspólnym dyplomem. Zmiany legislacyjne powinny iść w tym kierunku, żeby skupić się na możliwości wspólnego kształcenia. Konsekwencją będą bardziej interdyscyplinarne tytuły zawodowe i w konsekwencji doktoraty. Naszą słabością jest także to, że doktoraty robią u nas nasi absolwenci. Wciąż kręcimy się w kółko. Mamy tak ustawiony system, że to nasz magister jest najlepszym kandydatem na doktora. Po co nam poszukiwać kandydatów po całej Polsce czy świecie, skoro mamy go u siebie? To należałoby zmienić i forma federacji może w tym pomóc.

Na marginesie, nie uważam, że lepszy doktorat z geodezji robi geodeta, bo mam już doświadczenie, że znakomity doktorat naukowy z geodezji może zrobić matematyk. Tu nie są potrzebne kompetencje zawodowe, ale szeroka naukowa perspektywa, dobry pomysł i odpowiednie narzędzia. W konsekwencji doktoraty mogą być interdyscyplinarne. Inaczej jest w przypadku doktoratu wdrożeniowego – to jest doktorat zawodowy, zatem ważne są kompetencje zawodowe.

Wracam do konsolidacji: chodzi o to, żeby kandydatów na doktorów pozyskiwać z szerszego rynku, ale z obszaru pewnego zaufania, a takim obszarem mogą być sfederowane uczelnie z różnych krajów,



ale z w miarę bliskiego sąsiedztwa. Musimy zmienić model kariery naukowej i federacje mogą temu sprzyjać. Gdy robiliśmy we Wrocławiu w ramach KNOW pierwsze wspólne studia doktoranckie, założenie było proste: doktorant musi mieć dwóch promotorów, jeden może być z zagranicy. Chodzi o to, aby odwrócić proces: gdy uczelnie są sfederowane, to doktorant może wybierać, w jakiej dyscyplinie lub wręcz w dziedzinie chce korzystać z zasobów infrastrukturalnych i ludzkich wewnątrz federacji.

Potrzeba konsolidacji uczelni ma związek z przyszłością młodych ludzi, którzy z tych naszych rozproszonych uczelni po prostu uciekną. Jednak duża, rozpoznawalna w świecie uczelnia – np. w postaci fede-

racji, zwłaszcza międzynarodowej – mogłaby być dla nich atrakcyjna jako miejsca studiów, pracy. Trzeba mocno pracować nad tym, aby nasze uczelnie były europejskie, lecz nie tylko w sensie przynależności do tzw. uniwersytetów europejskich, tylko poprzez wspólne, europejskie atrakcyjne programy badawcze. Na dziś nie mamy dobrego rozwiązania prawnego, które prócz możliwości federalizowania się uczelni zawierałoby zachętę i gwarancję stabilności. Perspektywa stabilności musi dotyczyć kilkudziesięciu lat, a nie dwóch czy trzech. To jest jak że ścieżką z NCN do NCBR. Wszyscy mówią, żeby tą ścieżką iść, ale nie bardzo wiadomo po co.

Notował Piotr Kieraciński

Sposób na rozpoznawalność

Prof. Krzysztof Wilde, przewodniczący Zgromadzenia Związku Uczelni w Gdańsku im. Daniela Fahrenheita i rektor Politechniki Gdańskiej, mówi o korzyściach, jakich spodziewają się uczelnie współtworzące związek.



Związek Uczelni w Gdańsku im. Daniela Fahrenheita powstał jesienią 2020 r., a więc niespełna rok temu. Tworzą go Gdański Uniwersytet Medyczny, Politechnika Gdańska i Uniwersytet Gdański. Wraz z rektorami pozostałych dwóch uczelni, czyli prof. Marcinem Gruchałą z GUMed i prof. Piotrem Stepnowskim z UG uznaliśmy, że połączenie możliwości naszych uczelni i kompetencji naszych naukowców, dydaktyków oraz studentów, może przynieść świetne efekty oraz wymierne korzyści – nie tylko dla naszych uczelni, ale też Gdańska i całego regionu Pomorza.

Długo zastanawialiśmy się nad wyborem patrona Związku. Padło na urodzonego w Gdańsku i słynnego na całym świecie naukowca Daniela Fahrenheita. Jego międzynarodowa rozpoznawalność i uznanie jego dokonań naukowych są świetną wizytówką naszego poro-

zumienia. Co ciekawe, Daniel Fahrenheit urodził się w bezpośrednim sąsiedztwie kampusów Politechniki Gdańskiej i Gdańskiego Uniwersytetu Medycznego, a niektóre źródła podają, że często spędzał rodzinne czas na malowniczych terenach, na których leżą dzisiaj kampusy obu uczelni.

Co prawda Fahrenheit zyskał sławę dopiero w dalszym etapie życia, przebywając już na emigracji, ale był gdańszczaninem w pełnym tego słowa znaczeniu. W wielu krajach, m.in. w Azji i Ameryce, jest jednoznacznie kojarzony z systemem pomiaru temperatury, dzięki czemu jego nazwisko jest używane na co dzień przez miliony ludzi na świecie. Jednocześnie niewielu z nich ma świadomość, że pochodził z Gdańska, że tutaj się wychował i pracował, by dokonać w przyszłości ważnych i przełomowych odkryć. Chcemy to zmienić.

Konsolidacja trzech gdańskich uczelni pod patronatem Daniela Fahrenheita przyniesie nam jednak nie tylko wyższą rozpoznawalność w Polsce i Europie, ale również kilka innych wartości dodanych, które w swojej książce pt. *Fuzje uczelni* opisuje prof. Łukasz Sułkowski (wypowiedź Ł. Sułkowskiego na str.). Konsolidacja przynosi bowiem szereg innych korzyści, m.in. redukcję niektórych kosztów funkcjonowania. Powołaliśmy niedawno 21 międzyuczelnianych zespołów, które opracowują strategię konsolidacji, oceniają bieżący stan i zasoby wszystkich trzech uczelni, a także pracują nad możliwością powołania centrów wspólnej obsługi różnych obszarów działalności GUMed, PG i UG. Już teraz widzimy, że przyniesie to wymierne efekty.

Ważnym elementem jest też wielkość ośrodka akademickiego, który powstanie dzięki konsolidacji. Łączna liczba studentów naszych uczelni to 42 tys. Mieści się to w amerykańskich standardach, które mówią, że o wiele trudniej zarządza się strukturą grupującą powyżej 70-80 tys. studentów, natomiast ok. 40-50 tys. studentów daje możliwość sprawnego zarządzania, a także odpowiednio wysokiego oddziaływania na region i otoczenie uczelni.

Uniwersytet Fahrenheita w liczbach:

- 143 – łączna liczba kierunków studiów
- 42,2 tys. – łączna liczba studentów
- 31 – liczba dyscyplin naukowych
- 406 – liczba naukowców z tytułem profesora
- 968 – liczba doktorów habilitowanych
- 1723 – łączna liczba doktorantów
- 43 – liczba naukowców na liście 2% najlepszych naukowców na świecie

Kolejna wartość dodana to siła połączonych uczelni. Według wyliczeń firmy Elsevier, nasz Związek znalazłby się w ścisłej czołówce uniwersytetów w Polsce pod względem potencjału naukowego i obszaru oddziaływania. Każda z naszych pomorskich uczelni jest w krajowej skali niewielka, ale poziom oddziaływania całej trójki byłby dużo wyższy. Łatwiej jest wtedy inicjować duże inwestycje, pozyskiwać granty na badania, a także prowadzić negocjacje.

Zespoły, o których wspominałem, już jesienią będą dysponować scenariuszami wspólnego działania na takich płaszczyznach, jak m.in. zamówienia publiczne, zasoby biblioteczne, wspólna promocja marki Związku czy aktywności naukowe w różnych obszarach, np. medycyny i inżynierii. Następnie dokonamy drobiazgowej analizy i zdecydujemy,

które z przedstawionych przez nie scenariuszy dadzą nam synergię i powinny zostać wcielone w życie.

Bardzo ważnym elementem procesu jest akceptacja tej idei przez społeczność akademicką wszystkich trzech uczelni. I nie mam tu na myśli wyłącznie władz, senatów i rad uczelni, ale wszystkich: pracowników naukowych, dydaktycznych i administracyjnych oraz studentów i doktorantów. Ich głos jest dla nas niezwykle istotny, dlatego zaplanowaliśmy organizację serii wewnętrznych debat i konferencji, które będą poświęcone naukowym, dydaktycznym i organizacyjnym elementom konsolidacji. Osobiście jestem przekonany, że ostateczny efekt, który w najbliższych latach wypracujemy wspólnymi siłami, okaże się korzystny dla wszystkich przedstawicieli naszej społeczności akademickich.

Przez pryzmat wspólnego interesu

Dr hab. Marcin Kalinowski prof. WSB, prezydent Federacji Naukowej WSB–DSW przedstawia wnioski z dwóch lat funkcjonowania jedynej polskiej federacji uczelni.

Pozytywna ocena dwuletniej działalności Federacji Naukowej WSB–DSW nie jest tylko efektem formalnego powołania instytucji, ale zmiany zasad funkcjonowania w zakresie zarządzania działalnością naukową w grupie uczelni, które ją tworzą. W Federacji powołane zostały Rady Naukowe Dyscyplin, które monitorują i opiniują działania w poszczególnych dyscyplinach naukowych. Pracownicy badawczy i badawczo-dydaktyczni z poszczególnych dyscyplin spotykają się cyklicznie (obecnie oczywiście on-line), wymieniając się doświadczeniami i nawiązując współpracę naukową z innymi uczelniami federacyjnymi. Największą korzyścią wydaje się pobudzenie współpracy badaczy reprezentujących tę samą dyscyplinę naukową, pochodzących z różnych uczelni oraz rozwój realizowanej wspólnie współpracy międzynarodowej.

Współpraca uczelni tworzących federację rodzi również szereg problemów. Samo powołanie federacji nie daje właściwie żadnych konkretnych korzyści poza tą, że mniejsze uczelnie mogą wspólnie poddać się ewaluacji działalności naukowej, prezentując dorobek wspólnego zespołu pracowników naukowych w dyscyplinie. Wspólna ewaluacja to z jednej strony konieczność ścisłej współpracy, z drugiej zaś zgoda na wdrożenie pewnych jednolitych rozwiązań i wspólnego monitoringu działań. Wymaga to pełnej transparentności uczelni tworzących federację. W Federacji Naukowej WSB-DSW założyliśmy w związku z tym funkcjonowanie organów kolegialnych, które podejmują najważniejsze decyzje: Kolegium Rektorów i Zgromadzenia Federacji.

Dla ułatwienia bieżącego monitoringu działań we wszystkich uczelniach organizacji wdrażamy jednolite narzędzie do gromadzenia i analizy dorobku naukowego. W Federacji Naukowej WSB-DSW sytuacja w zakresie bieżącej współpracy jest nieco ułatwiona, ponieważ wszystkie uczelnie członkowskie działają w jednym holdingu i od wielu lat współpracują ze sobą w zakresie działalności dydaktycznej i organizacyjnej. Funkcjonowanie w federacji uczelni wymaga dojrzałości jednostek i myślenia przez pryzmat wspólnego interesu

Federacja Naukowa WSB–DSW zrzesza cztery uczelnie niepubliczne: Dolnośląską Szkołę Wyższą we Wrocławiu, Wyższą Szkołę Bankową w Gdańsku, Wyższą Szkołę Bankową w Poznaniu oraz Wyższą Szkołę Bankową we Wrocławiu. Z federacją stowarzyszona jest Wyższa Szkoła Bankowa w Toruniu.

Uczelnie federacji posiadają uprawnienia do nadawania stopnia doktora w dyscyplinach: pedagogika, ekonomia i finanse, nauki o zarządzaniu i jakości oraz uprawnienia habilitacyjne w zakresie pedagogiki.



całej grupy, a nie jedynie interesów każdej z nich. To trudne, ale kluczowe i jak się wydaje, może przynieść wiele korzyści samym uczelniom i całemu rynkowi szkolnictwa wyższego w Polsce.

Zapewne pozycja naszej federacji zostanie w pełni ugruntowana poprzez pierwszą ewaluację działalności naukowej z udziałem tej nowej w polskim prawie formy organizacyjnej. Naturalnie, nie wszystkie szczegółowe rozwiązania dotyczące funkcjonowania tej organizacji są już gotowe. Wiele z nich powstaje wskutek pojawiających się na bieżąco szczegółowych pytań i precedensów.

Zarządzanie federacją może się komplikować, gdy dochodzimy do spraw finansowych. Federacja nie jest bowiem uprawniona do otrzymywania subwencji na działalność naukową, a zatem na jej utrzymanie muszą składać się uczelnie uczestniczące. Trudna może okazać się odpowiedź na pytanie o sprawiedliwy podział kosztów, szczególnie jeśli występują duże różnice w wielkości uczelni federacyjnych.

Myślę, że idea tworzenia federacji uczelni na tak rozdrobnionym rynku szkolnictwa wyższego jak w Polsce to dobry pomysł. Być może w przyszłości stanie się jedną z dróg łagodnej konsolidacji rynku szkolnictwa wyższego i wzmocnienia pozycji polskich uczelni na arenie międzynarodowej.

Notował Piotr Kieraciński

Trudne konsolidacje

Problem konsolidacji uczelni nie jest w Polsce nowy. Niektóre tzw. stare uniwersytety, jak Szczeciński czy Gdański, powstały właśnie w wyniku konsolidacji mniejszych branżowych uczelni (zwykle pedagogicznych i ekonomicznych) istniejących w obecnych miastach uniwersyteckich. Na początku lat 90. miała miejsce pierwsza po upadku komunizmu konsolidacja uczelni. W Krakowie do Uniwersytetu Jagiellońskiego dołączyła tamtejsza Akademia Medyczna. Jak trudny jest proces konsolidacji odmiennych, autonomicznych uczelni – choć pochodzących z jednego pnia – świadczy fakt, że jeszcze w połowie lat 90. prof. Stanisław Konturek, prorektor UJ ds. Collegium Medicum przestrzegął (!) w Bydgoszczy inne uczelnie medyczne przed dołączeniem do uniwersytetów. Za symboliczne zwieńczenie konsolidacji UJ i Akademii Medycznej w Krakowie można uznać fakt wyboru w 2012 r. medyka, prof. Wojciecha Nowaka, na rektora UJ.

W wyniku konsolidacji Wyższej Szkoły Pedagogicznej i opolskiej Filii Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego powołano w 1994 roku Uniwersytet Opolski. Ówczesna Wyższa Szkoła Inżynierska w Opolu nie zdecydowała się przystąpić do uniwersytetu i wkrótce uzyskała status politechniki. Teraz zaś UO cieszy się ze zwiększenia subwencji o 3% dzięki kolejnej konsolidacji – z Państwową Medyczną Wyższą Szkołą Zawodową w Opolu. W wyniku konsolidacji powstały jeszcze trzy nowe uniwersytety: Zielonogórski, Warmińsko-Mazurski i Rzeszowski, choć w Rzeszowie nie udało się skupić w uniwersytecie wszystkich uczelni publicznych, podobnie jak w Opolu poza uniwersytem została politechnika. W Bydgoszczy nie udało się powołać uniwersytetu z połączenia Wyższej Szkoły Pedagogicznej, Akademii Techniczno-Rolniczej i Akademii Medycznej. Koniec końców ta, obawiając się włączenia do Uniwersytetu Kazimierza Wielkiego, wykonała działanie wyprzedzające, dołączając w 2004 roku do toruńskiego Uniwersytetu Mikołaja Kopernika. W 2009 roku połączyły się Akademia Rolnicza w Szczecinie i Politechnika Szczecińska. Dziesięć lat po konsolidacji rektor Zachodniopomorskiego Uniwersytetu Technologicznego przyznawał, że ten proces wciąż trwa. W 2010 r. powstała w Szczecinie Akademia Sztuki. To o tyle ciekawe, że oprócz jednostek uczelni publicznych – filii Akademii Muzycznej w Poznaniu i Katedry Edukacji Artystycznej Uniwersytetu Szczecińskiego – w jej skład weszły jednostki z rozwiązanej właśnie prywatnej Wyższej Szkoły Sztuki Użytkowej. Z konsolidacjami – zdecydowanie odgórnymi – mieliśmy też do czynienia przy okazji pierwszej po transformacji ustrojowej reformie wyższych szkół wojskowych. W jej wyniku – m.in. wskutek konsolidacji niektórych uczelni oficerskich – powstała obecna struktura wyższego szkolnictwa wojskowego.

Po roku 2010 w kwestii konsolidacji szkolnictwa wyższego nie działo się wiele, mimo iż wyniki międzynarodowych rankingów wskazywały na konieczność integracji szkół wyższych, a na Zachodzie Europy, m.in. we Francji, Danii czy Finlandii, poważne konsolidacje uczelni dokonywały się z inicjatywy, przy zainteresowaniu i ogromnej pomocy finansowej państwa. Okazywały się też skuteczne, o czym mówi prof. Łukasz Sułkowski (str. 22). Po 2015 roku wzrosło zainteresowanie tzw. miękkimi formami konsolidacji, czyli związkami uczelni oraz federacjami.

Skuteczne twarde konsolidacje w ostatnich latach dotyczyły włączenia do uniwersytetów słabych i małych publicznych uczelni zawodowych (np. w Sandomierzu – konsolidacja z Uniwersytem im. Jana Kochanowskiego w Kielcach oraz w Sulechowie – konsolidacja z Uniwersytem Zielonogórskim). W tych wypadkach chodziło jednak głównie o ratowanie substancji i dorobku „zawodówek”. Liczne konsolidacje o charakterze biznesowym miały miejsce w sektorze uczelni niepublicznych.

Wreszcie w 2015 roku Akademia Górniczo-Hutnicza, Politechnika Krakowska i Uniwersytet Rolniczy w Krakowie powołały Związek Uczelni „InnoTechKraK”. W 2017 roku powstał Związek „Uczelnie Ślą-

skie”, założony przez Akademię Techniczno-Humanistyczną w Bielsku-Białej, politechniki Częstochowską, Opolską i Śląską oraz Uniwersytet Śląski. O jakichś oszałamiających rezultatach ich działalności nie słychać. W końcu 2017 roku Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej, Politechnika Lubelska i Uniwersytet Przyrodniczy w Lublinie powołały Związek Uczelni Lubelskich. Przez kilka pierwszych lat istnienia organizacja nie dawała znaku życia (więcej w artykule Mariusza Karwowskiego na str. 78). W roku 2018 powołano do życia Związek Wielkopolskich Publicznych Uczelni Zawodowych, który tworzą Akademia Kaliska, Państwowa Uczelnia Stanisława Staszica w Pile oraz państwowe wyższe szkoły zawodowe w Gnieźnie, Lesznie i Koninie. Czas związków uczelni dobiega końca. Zapewne jako ostatni powstał Związek Uczelni im. D. Fahrenheita w Gdańsku, o którym w FA opowiada prof. Krzysztof Wilde, rektor Politechniki Gdańskiej (str. 24).

Z nową ustawą nadeszła era federacji. Uczelnie publiczne nie rwały się do federalizowania, za to wykorzystywała tę opcję grupa uczelni, których założycielem jest TEB Akademia. Pisz o tym prof. Marcin Kalinowski, prezydent Federacji Naukowej WSB-DSW (str. 25). W 2019 r. Akademia Marynarki Wojennej z Gdyni i Akademia Wojsk Lotniczych w Dęblinie podpisały umowę o powołaniu federacji. Rozpocznie ona działalność pierwszego października. O federacji zaczęli też mówić nowi rektorzy publicznych uczelni Poznania, czyli Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza, Politechniki Poznańskiej, uniwersytetów Ekonomicznego, Medycznego i Przyrodniczego, a także Akademii Wychowania Fizycznego w Poznaniu. Prace nad powołaniem federacji prowadzi zespół prorektorów zainteresowanych uczelni, na czele którego stoi prof. Andrzej Lesicki, były rektor UAM, a jego zastępcą jest prof. Tomasz Łodygowski, były rektor Politechniki Poznańskiej.

Warto też przypomnieć kilka podejść do konsolidacji uczelni Wrocławia. Najbliższa realizacji była inicjatywa połączenia Uniwersytetu Wrocławskiego i Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu. Sporządzono wtedy bilans wejścia i korzyści, powołano zespoły robocze, odbyło się kilka głosowań w Senatach. Ostatecznie do konsolidacji nie doszło (o wrocławskich próbach i perspektywach konsolidacji mówi prof. Jarosław Bosy, rektor UPWr str. 23).

Tymczasem w Lublinie prof. Wojciech Załuska, nowy rektor dotychczas nie zainteresowanego działaniem w ZUL Uniwersytetu Medycznego w Lublinie, zainicjował współpracę lubelskich uczelni w dziedzinie cyfryzacji. Wkrótce potem podpisał list intencyjny o współpracy z ZUL. Także ks. prof. Mirosław Kalinowski, rektor niezainteresowanego dotąd udziałem w ZUL Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego Jana Pawła II, wyraził gotowość współpracy w tych obszarach, w których to będzie możliwe. Powołano zespoły robocze złożone z prorektorów oraz kanclerzy. Zainicjowano powstanie wspólnej karty, uprawniającej do korzystania z bibliotek, obiektów sportowych i kultury. Jak zapewnia prof. Radosław Dobrowolski, rektor UMCS, ma się ona pojawić jeszcze w tym roku kalendarzowym. Inny zespół zaproponował wspólne programy naukowe, w tym „Staż za miedzą”, a jeszcze inny trzy wspólne programy kształcenia, które mają pojawić się w ofercie uczelni już w rekrutacji 2022 – w tym przypadku w uczelni wiodącej ma się odbywać 75% zajęć.

Prawo dotyczące konsolidacji wciąż jest miękkie, jakby zatrzymane w pół drogi, np. federacja nie dotyczy kształcenia (!). Zachęta w postaci 3% subwencji jest niewielka i bynajmniej do niczego nie zachęca. Tymczasem studentów jest mało. Kilka miast akademickich ma duży potencjał konsolidacyjny. Wskazałbym choćby Lublin, Rzeszów, Opole, Białystok, Szczecin. Żeby do sensownych i trwałych połączeń doszło, potrzeba lepszego prawa i znacznie większej pomocy, a może także inicjatywy, państwa.

Piotr Kieraciński

Na papierze i w krzemie

Trzydzieści lat temu, w maju 1991 roku, ukazało się pierwsze wydanie „Wiadomości Uczelnianych”, biuletynu informacyjnego Wyższej Szkoły Inżynierskiej w Opolu, a od 1996 roku Politechniki Opolskiej. Dziś tę piękną rocznicę przypomina znaczek Poczty Polskiej, który prezentujemy z dumą i satysfakcją. Znaczek zaprojektowany został w Dziale Promocji, Komunikacji i Kultury PO, podobnie jak pozostałe, upamiętniające inne rocznicowe wydarzenia uczelni w roku 2021, o czym za chwilę.

Inicjatorem powołania do życia uczelnianej gazety był prof. Jerzy Skubis, wówczas prorektor ds. nauki. Właśnie na początku maja 1991 r. zaproponował Krystynie Dudzie – wtedy wykładowcy Studium Języka Polskiego dla Cudzoziemców – realizację swojego pomysłu. Już nazajutrz odbyło się spotkanie założycielskie kilkusobowej redakcji i przydział zadań. Piszącej te słowa (Krystynie Dudzie – red.) przypadła rola redaktor naczelnej. Zabraliśmy się do pracy i pod koniec miesiąca wydany został pierwszy numer periodyku pn. „Wiadomości Uczelniane” w nakładzie 150 egz. Jakże skromny technicznie, lecz z wyraźnie określonymi założeniami programowymi. Każde wydanie miesięcznika otwierał „Wywiad z...”, potem informacje „Z prac Senatu”, aktualności „Z życia Uczelni” oraz „Studia i studenci”. Te działy obecne są przez cały okres ukazywania się biuletynu, z czasem dochodzą nowe, lecz pierwsze ustalenia realizowane są nieprzerwanie od maja 1991 r. do lipca 2013 roku, przez 239 kolejnych wydań tradycyjnych, czyli w formie drukowanej.

Od lipca 2013 WU zasadniczo zmieniły formułę przechodząc w „stan wirtualny”, jak określiła to Lucyna Sterniuk-Gronek, która przejęła kierowanie redakcją w roku 2013. Do końca 2020 r. w serwisie było już 4 tysiące wpisów. – Powitalny wpis w elektronicznych WU zatytułowaliśmy „W nowej odsłonie dla wielu odsłon”, bo odtąd gazetą zaczęły rządzić nowe, sieciowe zasady. Czytelnicy pozostali czytelnikami, to najważniejsze – wspomina Lucyna Sterniuk-Gronek – ale artykuły stały się „newsami”, przewrócenie kartki zastąpiła odsłona, a WU ze swojej zwartej formy, która miała konkretną objętość, nakład i czas ukazowania się, zmieniły formułę na otwarty, redagowany na bieżąco serwis, który pęczył z każdą nową informacją. Niewątpliwymi plusami zmiany były dynamika (informacje zmieniały się jak w kalejdoskopie), interaktywność (artykuły można było wzbogacić odnośnikami do powiązanych informacji, filmami, plikami i dowolną liczbą zdjęć, a potem otrzymać infor-

mację zwrotną o popularności danego wpisu) oraz jednoczesny dostęp do wszystkich archiwalnych treści. Od wydania papierowego różniła go też większa aktualność. Z miesięcznika WU stały się nawet nie dziennikiem, ale wręcz „godzinnikiem” (ale, broń Boże, nie godzinówką!) – tak duże bywało tempo umieszczania najświeższych informacji. Aby mu sprostać, cały (aż dwuosobowy) zespół musiał działać wielozadaniowo. Redaktor zabierał ze sobą aparat, a fotograf dyktafon. Wspólnie edytowali też informacje, bo portal WU to gazeta, która domagała się nieustannej uwagi – wciąż trzeba coś było dopisywać, wymienić zdjęcia, albo ogłaszać niecierpiące zwłoki apele.

Przez te trzydzieści lat „Wiadomości Uczelniane” towarzyszą życiu środowiska akademickiego Politechniki Opolskiej, dbając o rzetelny i ciekawy przekaz dla każdego członka uczelnianej społeczności.

Za każdym dziełem stoją ludzie, a przez trzydzieści lat z gazetą współpracowało kilkadziesiąt osób: „korespondentów wydziałowych”, pracowników odpowiedzialnych za skład, projekt graficzny, dystrybucję... Nie sposób nie wspomnieć jeszcze jednej osoby, która „serce związała z gazetą”, czyli Sławoja Dubiela. Któż nie widział w akcji fotografa obecnego na niemal wszystkich uczelnianych wydarzeniach? Co oczywiste, większość materiału fotograficznego w WU jest jego autorstwa.

Zatem pomysł prof. Jerzego Skubisa okazał się twórczy i dalekosiężny. A z okazji jubileuszu przygotowujemy wyjątkową publikację, która pozwoli poznać uczelnianą gazetę z różnych perspektyw i – przy odrobinie wyobraźni – wręcz usłyszeć szelest wertowanych stron, ale pomyśleliśmy też o nowoczesnej, „krzemowej” wersji. Po prostu, elitarny rarytas dla koneserów historii.

Warto przy tym pamiętać, że rocznica gazety bynajmniej nie jest jedyną tegoroczną okazją do świętowania. Dla uczelni, która od 25 lat cieszy się statusem politechniki, jest to jubileusz 55-lecia. Ponadto swoje 15-lecie obchodzi Orkiestra Politechniki Opolskiej działająca pod batutą Przemysława Ślusarczyka, a w grudniu przypada 10-lecie Muzeum Politechniki Opolskiej i Lamp Rentgenowskich.

Kawał historii zapisany nie gdzie indziej, jak na łamach „Wiadomości Uczelnianych”.

Krystyna Duda, Lucyna Sterniuk-Gronek



Rozmowa z prof. Błażem Skoczeniem, przewodniczącym Komisji Ewaluacji Nauki

To be or not to be

Jakakolwiek próba porównania nieznanego dorobku podmiotu z nieistniejącymi wartościami referencyjnymi musi być traktowana jako nadużycie. Podmioty, które korzystają z usług tych instytucji, mogą się bardzo rozczarować w konfrontacji z ewaluacyjną rzeczywistością, która może być zupełnie inna, aniżeli wskazują zatrudnione firmy.

Wkrótce ewaluacja, która jak zwykle budzi wiele kontrowersji i obaw.

Ewaluacja nie jest polskim wynalazkiem ani naszą wyłączną domeną. To procedura realizowana w różnych wariantach w wielu europejskich krajach. Najbardziej tradycyjna funkcjonuje w Wielkiej Brytanii – to słynny brytyjski REF, czyli The Research Excellence Framework, który jest punktem odniesienia dla innych tego typu działań. Jest wspierana przez cztery instytucje finansujące badania naukowe w Anglii, Walii, Szkocji i w Irlandii Północnej, i ma czysto ekspercki charakter. To ewaluacja, która przewiduje powołanie dużego grona ekspertów w czterech grupach nauk: medycznych, o zdrowiu i o życiu, fizycznych, inżynierskich i matematycznych, społecznych oraz humanistycznych i w dziedzinie sztuki. Ten sposób oceny nie jest bardzo wysokie koszty; w Zjednoczonym Królestwie jest to mniej więcej 1% środków publicznych przeznaczonych na finansowanie badań naukowych.

U nas byłby to koszt chyba nie do zaakceptowania, tak dla społeczności akademickiej, jak i dla władz państwowych.

Też tak myślę. Dlatego polski pomysł na ewaluację jest nieco inny i rozwijany w odmiennym kontekście. Warto przypomnieć, że ewaluację działalności naukowej prowadzimy od lat 90. ubiegłego wieku, a obecną postać wielokryterialną przybrała ona w latach 2012-13. Odseparowaliśmy wówczas kryteria, które mają odmienny charakter i przypisaliśmy im odpowiednie wagi. Wprowadziliśmy kategorię A+, która wskazywała elitę naukową kraju. W ewaluacji w 2017 roku poprawiliśmy wiele niedoskonałości, co sprawiło, że stała się ona bardziej dojrzała.

Powiedział pan, że REF jest punktem odniesienia, ale przecież nikt w Europie nie stosuje podobnej metody oceny nauki.

To prawda, lecz bardzo podobny system ma Australia. We Włoszech osobno ewaluuje się nauki ścisłe i inżynierjno-techniczne, a osobno nauki humanistyczne i społeczne. W ocenie tych pierwszych wykorzystuje się wskaźniki bibliometryczne, a w humanistycie ocena ma charakter wyłącznie ekspercki. W Holandii ministerstwo przygotowało „protokół standardowy”, według którego poszczególne podmioty raz na sześć lat ewaluują się same. Jest do tego celu powołany międzynarodowy zespół ekspercki. Ten system jest wysoko ceniony, gdyż ocena jest zdecentralizowana – ewaluują się podmioty oraz grupy badawcze. Jest wreszcie ewaluacja, którą osobiście bardzo

wysoko cenię, dokonywana przez Wysoką Radę ds. Ewaluacji Nauki i Szkolnictwa Wyższego we Francji. Należę do zespołu eksperckiego, który dokonuje co pewien czas oceny instytucji we Francji. Uczestniczyłem w trzech tamtejszych ewaluacjach. Wyróżnikiem francuskiego podejścia do ewaluacji podmiotu jest kompleksowość oceny, dotyczy ona bowiem zarówno badań naukowych, jak i kształcenia, o ile jest ono w jednostce prowadzone. W związku z tym oceniamy podmiot całościowo, poczynając od struktury, budżetu, sposobu funkcjonowania, aż po sposób organizacji badań i ich wyniki oraz organizację i efekty kształcenia, a także wpływ badań naukowych na kształcenie. Opracowanie statystyczne podmiotu stanowi podstawę ewaluacji, ale ocena końcowa ma wyłącznie ekspercki charakter. Jest to również system kosztowny. Zespół ekspertów, który ma ocenić jednostkę, spędza w niej trzy dni, rozmawia z jej władzami, widzi, jak ona działa. Ma to sens, bowiem zarówno struktura, jak budżet, a także sposób realizowania badań i dydaktyki, dają nam pełny obraz instytucji. Dopiero na samym końcu eksperci przedstawiają ocenę oraz rekomendacje, w których zawarte są punkty krytyczne, które należy poprawić. Wysoka rada ma własny budynek i budżet, zatrudnia ekspertów, ale i administrację. To zupełnie odmienny system od naszego. Polska Komisja Ewaluacji Nauki zajmuje się wyłącznie oceną jakości działalności naukowej podmiotów w dyscyplinach nauki.

Z wyjątkiem ewaluacji szkół doktorskich, o ile uznamy to za działalność dydaktyczną...

Rzeczywiście, mamy ocenę szkół doktorskich w swoich obowiązkach, ale to jest coś innego niż ewaluacja działalności naukowej, która nas czeka w najbliższym czasie. Te dwie sprawy są opisane w odrębnych rozporządzeniach. Ewaluacja szkół doktorskich ma bardziej holistyczny charakter, trochę zbliżony do modelu francuskiego, gdyż oceniamy jeden i drugi aspekt działalności szkół: jakość kształcenia oraz jakość opieki i wsparcia w działalności naukowej. Wynik ewaluacji dyscyplin będzie miał wpływ na możliwość prowadzenia szkół doktorskich.

Czemu służy ewaluacja za granicą? Czy chodzi tylko o podział pieniędzy, czy też jest powiązana z innymi elementami?

W znakomitej większości chodzi jednak o to, czy środki na badania są właściwie wykorzystywane, czy przynoszą spodziewane efekty. U nas ewaluacja mieści się obecnie w samym

sercu reformy szkolnictwa wyższego i nauki, co spowodowało, że nabrała większego znaczenia. Poprzednio miała wyłącznie wymiar finansowy – chodziło o to, by we właściwy sposób podzielić środki na dotację statutową, co swoją drogą miało inne znaczenie w uczelniach, a inne w instytutach PAN. Teraz wyniki ewaluacji wpłyną na bardzo wiele aspektów działalności jednostek naukowych. Począwszy od tego, jaki status będzie miała taka instytucja, czy będzie uczelnią akademicką czy nie, czy będzie mogła posługiwać się nazwą politechniki lub uniwersytetu, przez uprawnienia do nadawania stopni naukowych, co ma kluczowe znaczenie dla budowania grup badawczych, a kończąc na przyznaniu środków finansowych. Ewaluacja ma istotny wpływ na być lub nie być podmiotów nauki.

Poprzednie ewaluacje dotyczyły jednostek naukowych, w tej chwili mówimy o ewaluacji dyscyplin nauki. A to niejedyna zmiana.

To najważniejsza zmiana. O ile wcześniej w grupie wspólnej oceny znajdowały się podmioty niekoniecznie reprezentujące jedną dyscyplinę, istniały bowiem liczne jednostki naukowe, w których uprawiano ich kilka, o tyle teraz oceniamy osiągnięcia grup naukowców reprezentujących w podmiocie poszczególne dyscypliny nauki. Była np. grupa wspólnej oceny, która obejmowała architekturę, inżynierię lądową oraz inżynierię środowiska – trudno nazwać ją jednorodną. Gdy dostrzegliśmy, że liczne jednostki mają niejednorodny charakter, że pracują w nich przedstawiciele odmiennych dyscyplin, które mają własną kulturę badań naukowych i publikowania, różne typowe wskaźniki bibliometryczne, powstała koncepcja, żeby ewaluować podmioty w dyscyplinach nauki. Wydaje się, że to dobry pomysł. Ewaluacja została umocowana w ustawie Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce i w rozporządzeniu o ewaluacji jakości działalności naukowej. W Komisji Ewaluacji Nauki pracują trzy stałe zespoły, które zajmują się: ewaluacją podmiotów w dyscyplinach nauki (pod kierunkiem prof. Zbigniewa Kąkole z AGH), wykazem czasopism i wydawnictw (pod kierunkiem dr. hab. Emanuela Kulczyckiego, prof. UAM) oraz ewaluacją szkół doktorskich (pod kierunkiem dr. hab. Dominika Antonowicza, prof. UMK). Jesteśmy świadomi tego, że listy czasopism punktowanych oraz wydawnictw recenzowanych monografii naukowych budzą szczególne emocje, gdyż liczba punktów ma istotne znaczenie w ewaluacji. To jednak nie jest nowość, bo już poprzednio mieliśmy listy czasopism, które także budziły emocje i dyskusje.

Czy ktoś stosuje parametryzację czysto bibliometryczną?

Nie. Nie licząc nauk ścisłych i inżynierskich, chyba trudno byłoby rzetelnie ocenić dyscyplinę z innych dziedzin nauki przy pomocy samych wskaźników bibliometrycznych.

Mamy system mieszany. Gdzie pojawiają się wskaźniki bibliometryczne, a gdzie czynnik ekspercki?

Bardzo cenię zrównoważoną koncepcję oceny w systemie mieszanym, parametryczno-eksperskim. Nasza ewaluacja nie została ukształtowana ad hoc, ale wynika z dotychczasowych doświadczeń. W obecnym kształcie jest to dojrzały system, który zawiera dwa kryteria o charakterze parametrycznym i dwa eksperckie. W kryterium pierwszym i drugim wyznaczamy sumę osiągnięć punktowanych (m.in. na podstawie wskaźników bibliometrycznych) i dzielimy przez liczbę osób (N) prowadzących działalność naukową w danej dyscyplinie. Trzecie kryterium oraz kryteria odnoszące się do kategorii A+, służące wyłonieniu najlepszych podmiotów, mają charakter ekspercki. W tym ostatnim przypadku oprócz ekspertów krajowych będziemy powoływali również ekspertów zagranicznych.

Wydłużaliśmy okres oceny; wciąż budzi emocje fakt pojawienia się dwóch okresów o odmiennych zasadach punktowania dorobku.

Rzeczywiście, trzeba było wydłużyć okres podlegający ocenie o rok z powodu pandemii i zaangażowania uczelni w przygotowanie zdalnego kształcenia. Wydłużenie okresu oceny do pięciu lat nie budziło większych wątpliwości. Inaczej jest z tą drugą sprawą. Dyskusja na ten temat trwa od dawna. Z obecnego rozwiązania nikt nie jest zadowolony, bowiem niesie one ze sobą szereg pułapek. Publikacje w „Nature” z grudnia 2018 roku będą ważyły 50 punktów, a te opublikowane miesiąc później – już 200.

Zdajemy sobie jednak sprawę z tego, że to jest równoważne.

Tak, ale nie zmienia to faktu, że będziemy dodawali do siebie punkty przypisane czasopismom w różnych wykazach. Na szczęście ten mankament nie dotyczy monografii i patentów, które są wyceniane według aktualnej punktacji w całym okresie podlegającym ewaluacji osiągnięć naukowych.

Skoro pan wspomniał patenty: czy będzie nimi można nadrobić braki publikacyjne, jak poprzednio?

Nie. Ograniczono wyraźnie tę możliwość, mimo świadomości, że w pewnych dyscyplinach patent jest również formą komunikacji naukowej. Teraz można będzie zgłosić – średnio rzecz ujmując – jeden patent na osobę. Liczba patentów w danej dyscyplinie została ograniczona do N. To zmniejszy możliwość zastępowania publikacji patentami. Musimy mieć świadomość, że objęcie ochroną pewnych pomysłów czy wyników badań ma głębokie uzasadnienie. Zbyt często się zdarza, że publikujemy otwarcie znakomite pomysły zamiast objąć je wcześniej ochroną własności intelektualnej.

Czy wydłużenie okresu oceny do pięciu lat będzie komuś sprzyjało albo komuś szkodziło?

Wszystkim będzie służyło, bo wszyscy mieli więcej czasu na oswojenie się z zasadami ewaluacji i powiększenie dorobku. Podmioty mają więcej czasu na zdeponowanie swoich osiągnięć w bazie POLon. Wydaje się, że nie ma ani jednego podmiotu w kraju, który by narzekał na wydłużenie okresu oceny.

W przyszłości jednak zostaną cztery lata?

Na to wygląda, ale oczywiście jest to kwestia do dyskusji. Bywają różne okresy ewaluacji, np. Holendrzy uznali, że – mówiąc językiem matematyki – całkowanie po okresie sześciolatnim jest lepsze, lepiej eksponuje osiągnięcia.

Dawniej mówiło się o milionie tych zdarzeń. Czy stworzenie slotów w miejsce pojedynczych zdarzeń ewaluacyjnych ograniczy ich liczbę?

W ewaluację są na stałe wpisane dwa instrumenty: sposób uporządkowania osiągnięć podmiotu – i temu w gruncie rzeczy służą tzw. sloty, bo przecież takie pojęcie nie pada w rozporządzeniu – oraz tzw. pole 3 N, które służy Komisji Ewaluacji Nauki do oceny podmiotu w danej dyscyplinie nauki. Pole 3N jest podstawą do oceny najlepszych osiągnięć. Poprzednio ewaluowaliśmy 996 jednostek naukowych, które generowały osiągnięcia badawcze i przekazywały je w sposób nieograniczony. W poprzednich ocenach określiliśmy ważoną liczbę osiągnięć służących za podstawę ewaluacji na poziomie 3N i tym samym ograniczyliśmy liczbę osiągnięć branych pod uwagę w ocenie jednostki. Teraz mamy podobną sytuację, ponieważ liczba 3N pozostała, zmieniła się natomiast liczba dyscyplin w podmiotach podlegających ewaluacji – jest ich obecnie ponad 1200, czyli więcej niż liczba jednostek naukowych ocenianych poprzednio. Liczba zdarzeń ewaluacyjnych będzie zatem co najmniej tak duża, jak



Prof. dr hab. inż. Błażej Skoczeń (ur. w 1960 r.) kieruje Centrum Projektowania Akceleratorów Cząstek Elementarnych na Politechnice Krakowskiej. Prowadzi badania w zakresie mechaniki, w tym konstrukcji powłokowych, modelowania konstytutywnego materiałów, niskich temperatur, teorii plastyczności, przemian fazowych, mechaniki uszkodzeń, fizyki ciała stałego oraz akceleratorów cząstek elementarnych. Jest autorem ponad 150 publikacji i opracowań naukowych, w tym 3 monografii. W latach 1995–2005 pracował w Europejskiej Organizacji Badań Jądrowych (CERN). Na Politechnice Krakowskiej był dyrektorem Instytutu Mechaniki Stosowanej i kierownikiem Zakładu Mechaniki Ciał Stałych. Jest wiceprzewodniczącym Komitetu Mechaniki PAN, członkiem Komisji Nauk Technicznych Polskiej Akademii Umiejętności. Był członkiem Komitetu Ewaluacji Jednostek Naukowych, a obecnie kieruje pracami Komisji Ewaluacji Nauki. Jest ekspertem zagranicznym w ewaluacji instytucjonalnej jednostek naukowych we Francji (HCÉRES) i polskim delegatem do Rady Dyrektorów Międzynarodowego Centrum Naukowego Mechaniki CISM (Włochy). Należy do Rady Kuratorów w Wydziale IV Nauk Technicznych PAN. Jest redaktorem działu Encyklopedii Mechaniki Ośrodków Ciągłych (Springer) i członkiem komitetów redakcyjnych 2 czasopism z listy JCR.

w poprzedniej ewaluacji, a może nawet większa. Celem budowania slotów nie było zmniejszenie liczby zdarzeń, ale ograniczenie wpływu pojedynczego badacza na ocenę dyscypliny w podmiocie. Jeśli mamy na podstawie ewaluacji przyznać podmiotowi uprawnienia, to musimy zmierzyć średnią efektywność w dyscyplinie. Zdajemy sobie sprawę, że są wybitni naukowcy, którzy cały swój dorobek mogliby umieścić w polu 3N i zapewnić sukces swojej jednostce. Ale nie o to nam chodzi. Są np. osoby, które mają liczne samodzielne publikacje, jednak w dorobku mogą wykazać tylko cztery wybrane, uznane za najlepsze. Większość naukowców jednak publikuje prace współautorskie, a ich dorobek zostanie umieszczony w koszyku, jakim są tzw. sloty, za pomocą jednostkowego udziału autora. Warto zauważyć, że w związku z wydłużeniem okresu oceny KEN zaproponowała zwiększenie liczby slotów z czterech do pięciu. Jednak ministerstwo uznało, że należy pozostać przy czterech slotach.

Czy w innych systemach ewaluacyjnych ogranicza się oceniani dorobek?

W Wielkiej Brytanii naukowiec przedstawiał swoje cztery najlepsze osiągnięcia. Warto jednak przypomnieć, że nie oceniano na tej podstawie naukowca, ale instytucję. My również nie oceniamy poszczególnych pracowników, ale aktywność całej instytucji. Prowadzimy ewaluację instytucjonalną i stosujemy adekwatne miary o charakterze instytucjonalnym. W polskim

modelu oceniamy instytucję z perspektywy dyscyplin nauki, w których pracownicy prowadzą badania. Musimy zatem budować miary dostosowane do sposobu funkcjonowania instytucji w nauce. Jedną z nich jest tzw. efektywność naukowa, czyli suma osiągnięć wszystkich badaczy w danym podmiocie i w danej dyscyplinie podzielona przez liczbę N. Tak więc te cztery publikacje naukowca to mała cegiełka w całym dorobku instytucji. Brytyjczycy powołują armię dobrze wynagradzanych ekspertów, którzy oceniają dorobek instytucji na podstawie tego, co pokażą jej pracownicy. My mówimy: proszę swoje publikacje umieścić w czterech slotach. Komisja Ewaluacji Nauki uzyska do nich dostęp za pomocą centralnej bazy danych i na tej podstawie dokona oceny. W dwóch pierwszych kryteriach ocenimy na podstawie sumy punktów podzielonych przez liczbę N, czyli przez liczbę badaczy. W pozostałych kryteriach dokonamy eksperckiej oceny przedstawionego dorobku. Co ciekawe, we Włoszech naukowcy przedstawiają tylko dwa najważniejsze osiągnięcia. Nie ma zatem jednolitego systemu, który obowiązywałby we wszystkich krajach europejskich, są natomiast wytyczne przygotowane przez Komisję Europejską, które mówią, w jaki sposób należy dokonywać oceny osiągnięć naukowych. Staramy się do tych wytycznych dowiązać. Trzeba jednak pamiętać, że nasz system ma charakter dwuetapowy: najpierw dokonujemy oceny podmiotów (ewaluacji), a potem – w wyniku porównania osiągnięć z tzw. wartościami referencyjnymi – wyznaczamy kategorie naukowe (kategoryzacja) i podejmujemy uchwałę w sprawie kategorii naukowych proponowanych dla podmiotów. Kategorie ostatecznie przyznaje podmiotom minister w drodze decyzji administracyjnej. Na podstawie uzyskanej kategorii następuje przyznanie lub odmowa przyznania prawa do nadawania stopni naukowych. Natomiast w Europie Zachodniej tego nie ma. We Francji ewaluacja kończy się na raporcie i stosownych rekomendacjach. Na tej podstawie przyznawane są środki finansowe dla danego podmiotu.

Ilu ekspertów zaangażujecie do ewaluacji?

Właśnie tworzymy bazę ekspertów, którzy zechcą wziąć udział w ewaluacji. Zapewne będzie to kilkaset osób. Oprócz specjalistów zgłaszanych przez członków KEN pozyskujemy też kandydaty za pośrednictwem innych gremiów kolegialnych po to, by utworzyć jak najszerzą bazę. Ważnym zadaniem Komisji jeszcze w bieżącym roku będzie ocena monografii spoza wykazu. Tak więc pierwsi zatrudnieni do ewaluacji eksperci podejmą się właśnie tego zadania. Chodzi nam o takie osoby, które mają doświadczenie w zakresie ewaluacji, np. już w niej uczestniczyli, także za granicą, albo w swoich jednostkach pracowali nad przygotowaniem podmiotu do oceny. Z uzupełnionej bazy ekspertów Komisja wyłoni grupy eksperckie do wykonania określonych zadań, a więc oceny monografii spoza wykazu, oceny w zakresie poszczególnych kryteriów ewaluacji czy w zakresie kategorii A+. Ocena monografii spoza listy wydawnictw publikujących recenzowane monografie naukowe otwiera ewaluację. Zakończenie tego etapu nastąpi do końca września bieżącego roku. Podmioty, które działają w dziedzinach nauk humanistycznych, społecznych i teologicznych mogą zgłosić do pięciu monografii spoza wykazu, które zostaną ocenione przez ekspertów. W przypadku pozytywnej oceny taka monografia uzyska sto punktów. Zostaną one włączone do osiągnięć podmiotu, który je zgłosił w danej dyscyplinie nauki.

Jest jeszcze jedna instytucja, od której sporo w ewaluacji zależy, mianowicie Ośrodek Przetwarzania Informacji, który zapewni otoczenie informatyczne tego procesu.

Tak. Ewaluacja dokonuje się między trzema ośrodkami: Departamentem Nauki w Ministerstwie Edukacji i Nauki,

Komisją Ewaluacji Nauki, która działa w ekosystemie ministerstwa, ale reprezentuje środowisko naukowe i akademickie kraju, oraz Ośrodkiem Przetwarzania Informacji, instytucją, która wspiera cały proces od strony informatycznej. OPI bardzo poważnie potraktował to zadanie i przygotowuje systemy informatyczne potrzebne do ewaluacji. Najważniejszy jest System Ewaluacji Dorobku Naukowego, dzięki któremu cały proces będzie można sprawnie przeprowadzić. Zawiera on szereg modułów, w tym moduł optymalizacyjny, dzięki któremu do pola 3N zostaną wybrane te osiągnięcia podmiotu, które maksymalizują jego wynik końcowy.

Czy wszystkie systemy są już gotowe?

Przygotowujemy obecnie oprogramowanie do oceny monografii spoza wykazu, dzięki niemu podmioty będą mogły zgłosić poszczególne pozycje, a eksperci je ocenić. Na pewno pozostałe składowe oprogramowania będą gotowe i przetestowane na czas. Przygotowujemy także podręczniki do ewaluacji. Ukazał się już podręcznik dotyczący oceny działalności w dziedzinie sztuki, który posłuży zarówno ekspertom, jak i podmiotom. Jest dostępny w sieci i można go pobrać. Sukcesywnie będą się ukazywać kolejne, czyli podręcznik do kryterium trzeciego oraz do oceny działalności niejawniej. Jest też w przygotowaniu podręcznik do weryfikacji zgodności osiągnięcia naukowego z dyscypliną. Mamy zatem w planach cztery podręczniki, zarówno dla podmiotów, jak i dla ekspertów.

Może warto powiedzieć coś o terminach.

Przekonanie, że ewaluacja rozpocznie się w roku 2022, jest błędne. Już teraz można zgłaszać osiągnięcia w systemie POLon (via PBN). Niedługo otworzymy (rozmowa była autoryzowana 12 lipca – red.) nabór monografii spoza wykazu. Można będzie zgłaszać do końca września bieżącego roku. Kolejnym elementem, który zgłasza się w terminie do 30 września, są badania w zakresie obronności i bezpieczeństwa państwa, objęte klauzulą poufności lub tajności. Trzeba je zgłosić i określić proporcje pomiędzy nimi a badaniami jawnymi. Podmioty prowadzące badania niejawne przechowują wyniki u siebie. Ministerstwo wyłoni specjalną komisję złożoną z osób, które mają uprawnienia w zakresie dostępu do informacji poufnych lub tajnych, czy też tajnych wysokiego szczebla. Komisja będzie oceniać te osiągnięcia na miejscu, w podmiocie, wg instrukcji, którą przygotowuje KEN. Zostaną one dodane do osiągnięć jawnych podmiotu. W październiku rozpocznie się ocena osiągnięć spoza wykazu, która powinna zakończyć się do końca listopada. Warto przypomnieć, iż zgłaszane do oceny monografie naukowe muszą być wydane, tj. te z pierwszych czterech lat okresu oceny muszą mieć ostateczną formę, a te z 2021 roku muszą mieć numer ISBN, ale nie muszą mieć ostatecznej formy. Do końca bieżącego roku powołamy zespoły eksperckie do oceny podstawowych kryteriów czy do kategorii A+. Główny etap ewaluacji rozpoczniemy 1 lutego 2022 roku. Do 10 lutego przekażemy jednostkom wykaz ich osiągnięć pobranych z POLon-u, które znalazły się w polu 3N w wyniku działania modułu optymalizacyjnego. Podmiot ma 3 tygodnie na zapoznanie się z tym wykazem i odniesienie się do tego, co zaproponowała KEN. Jeśli uzna, że ma korzystniejsze rozwiązanie od tego, które wskazała Komisja, może zmienić osiągnięcia naukowe w polu 3N i przedstawić własny wykaz. Jednostki naukowe opracowały własne algorytmy optymalizacyjne i mają prawo z nich skorzystać. Tak więc wartości referencyjne, które pozwolą na wyznaczenie kategorii podmiotów, opracujemy najwcześniej w kwietniu 2022 roku. Cała operacja ewaluacji i kategoryzacji ma się zakończyć w czerwcu przyszłego roku.

Dlaczego pole 3N?

W ubiegłych latach została wykonana swoista analiza wrażliwości, która miała pokazać, w jaki sposób długość pola wpływa na zróżnicowanie jednostek. Chodzi zatem o to, aby za podstawę ewaluacji przyjąć taką liczbę osiągnięć, dzięki której będzie dobrze widać różnice pomiędzy jednostkami. Gdyby ograniczyć pole wyłącznie do najwyższych punktowanych osiągnięć, różnice między podmiotami byłyby niewielkie. Gdyby to pole było natomiast dłuższe, to wpływ słabszych osiągnięć byłby zbyt duży. Stąd pole 3N okazało się optymalne i sprawdzono się w dwóch poprzednich ewaluacjach. Był taki moment, kiedy próbowano ograniczyć jego długość do 2N, ale okazało się to ryzykowne z punktu widzenia ewaluacji w kontekście braku znaczących różnic między ocenianymi jednostkami w niektórych dyscyplinach.

Co z ewaluacją humanistyki? Część humanistów wciąż ma zastrzeżenia.

Docierają do nas różne głosy, w tym akceptujące system, który obecnie obowiązuje. Chcę wyraźnie podkreślić, że nauki humanistyczne zostały w rozporządzeniu wyjątkowo docenione. Przyznano im dodatkowe poziomy punktacji. Np. w przypadku najwyższych punktowanych monografii mają one dodatkowe 50% punktów. W przypadku innych nauk monografia może liczyć na 200 punktów, a w humanistyce na 300. To wyraźny ukłon w kierunku nauk humanistycznych, społecznych i teologicznych. Podobnie jest z monografiami spoza wykazu – mogą je zgłaszać tylko te dyscypliny. Trzeci aspekt to możliwość zgłoszenia w polu 3N do 20% monografii o wartości punktowej nieprzekraczającej 100 pkt, podczas gdy inne nauki mogą ich zgłosić nie więcej niż 5%. Kolejny wyróżniający aspekt to próg kwotowy wprowadzony w ramach oceny efektów finansowych badań naukowych (w kryterium drugim), w wyniku którego uzyskuje się jeden punkt. Dla wszystkich nauk jest on dwukrotnie wyższy niż dla humanistyki. W kryterium trzecim nauki te mają również możliwość zgłoszenia dodatkowych opisów wpływu. Zatem w rozporządzeniu ewaluacyjnym nauki humanistyczne, społeczne i teologiczne są wyraźnie docenione i mają możliwość wskazania typowych dla nich osiągnięć, które są wyżej punktowane. Atmosfera wokół nauk humanistycznych i społecznych jest obecnie bardzo dobra. Niemal połowa członków KEN reprezentuje właśnie te dziedziny nauki. Wspólny, uniwersalny system ewaluacji, ale uwzględniający specyfikę poszczególnych dziedzin wiedzy, jest zdecydowanie lepszy od tworzenia dwóch odrębnych systemów, jak we Włoszech. Pozwala bowiem na wspólne spojrzenie na osiągnięcia podmiotów naukowych w Polsce i łączy naukowców, a nie dzieli.

Czy cała ewaluacja musi być przeprowadzana w tym samym czasie? Każda dyscyplina mogłaby być ewaluowana co cztery lata, ale jedna ewaluuje się teraz, inna za rok, a kolejna za dwa lata.

To ciekawe pytanie, które w istocie rzeczy dotyczy samego sedna systemu francuskiego, w którym ewaluacja dokonuje się w sposób ciągły, falami (vague). Taka „fala ewaluacji” obejmuje określony rodzaj jednostek czy dany region. Pozwala to rozłożyć cały proces ewaluacji w czasie. Ma to pewne zalety, ale ma też istotną wadę: należałoby powołać do życia instytucję, która zatrudniałaby etatowych pracowników, także administracyjnych, miała określony budżet i w sposób ciągły prowadziłaby ten proces. Z pewnością ewaluacja byłaby wówczas dużo droższa, ale za to zapewniałaby stały dopływ informacji do ministerstwa na temat tego, w jaki sposób rozwijają się poszczególne sektory nauki, regiony itp. To jest pytanie, jak ważna jest ewaluacja w danym kraju. W Wielkiej Brytanii jest – pomimo wyraźnej krytyki – bardzo doceniana, o czym świadczy wysokość

nakładów. Francuzi zrobili to samo – uznali, że jest to ważna sprawa i warto na nią wyłożyć duże środki finansowe. Jeżeli bowiem – z zachowaniem właściwych proporcji w stosunku do państw europejskich – wydajemy poważne, choć wciąż zbyt małe, środki na naukę, to warto ocenić, czy podmioty właściwie je wydają, czy podnoszą jakość i efektywność prowadzonych badań naukowych, a także czy wpływają na poprawę widoczności polskiej nauki w świecie.

Jakie jest znaczenie międzynarodowej pozycji dyscyplin dla naszej ewaluacji?

Posługujemy się tym wskaźnikiem przy wyznaczaniu wartości referencyjnych. To jest sama istota ewaluacji i kategoryzacji. Rozporządzenie nakłada na KEN sposób wyznaczenia wartości referencyjnych dla poszczególnych dyscyplin w oparciu o osiągnięcia podmiotów, ale także z uwzględnieniem pozycji Polski w tych dyscyplinach na świecie.

Jak tę pozycję wyznaczyć?

Stosujemy bazę Scimago Journal and Country Rank.

Na razie te wartości referencyjne nie są ustalone, gdyż...

Jeszcze nie spłynęły wszystkie dane, które są do tego potrzebne. Dlatego też nie sposób teraz wskazać, jaką kategorię otrzyma konkretna jednostka w danej dyscyplinie nauki. Wyobraźmy sobie pewną hipotetyczną dyscyplinę nauki. Organizujemy podmioty rozwijające tę dyscyplinę w grupę wspólnej oceny. Osiągnięcia wszystkich podmiotów są brane pod uwagę w algorytmie wyznaczania wartości wzorcowych w poszczególnych kryteriach. Na podstawie tych wartości są następnie wyznaczane wartości referencyjne dla kategorii A, B+ oraz B. Ale to dopiero połowa pracy – został zbudowany pierwszy układ współrzędnych. Drugi element to sprawdzenie, jak wygląda pozycja Polski w tej dyscyplinie na świecie. Stosujemy Scimago, ponieważ ta baza jest najszersza, obejmuje także subdyscypliny, co lepiej pozwala nam dopasować nasze dyscypliny do danych uzyskanych z bazy. Mamy wiele dyscyplin heterogenicznych, np. inżynieria środowiska, górnictwo i energetyka – składają się na nią aż trzy duże sektory, a każdemu z nich odpowiadają kolejne składowe. Właśnie w bazie Scimago możemy znaleźć te składowe. Na tej podstawie budujemy pozycję Polski w poszczególnych dyscyplinach nauki, uwzględniając takie wskaźniki, jak indeks Hirscha, liczba cytowań czy liczba cytowań bez autocytowań. Dla dyscyplin, które są bardzo mocne, będziemy mogli wartości referencyjne, opracowane uprzednio na podstawie osiągnięć ocenianych podmiotów, odrobinę obniżyć, żeby więcej jednostek wprowadzić do wyższych kategorii. Natomiast dyscyplinom, których pozycja międzynarodowa jest nieco słabsza, odrobinę tę poprzeczkę podniesiemy, aby trochę mniej jednostek naukowych znalazło się w kategoriach A, B+ oraz B. W ten sposób kategoryzacja będzie odzwierciedlała także pozycję naszych uczonych na świecie. Kiedy wartości referencyjne zostaną ostatecznie ukształtowane, wtedy będzie można mówić o przeprowadzeniu kategoryzacji. Podkreślam: wartości referencyjne poznamy nie wcześniej niż w kwietniu 2022 roku. Zatem prognozowanie kategorii dyscyplin w danej jednostce naukowej przed poznaniem tych wartości nie ma żadnych podstaw. Dorobek każdego podmiotu za okres podlegający ocenie będzie już wtedy nie tylko znany, ale ukształtowany w formie ankiety ewaluacyjnej, przeanalizowanej przez system optymalizacyjny i sprawdzonej lub skorygowanej przez same podmioty. Będzie zatem można ten dorobek uwzględnić w procesie tworzenia grup wspólnej oceny, ocenić, a następnie wyznaczyć wartości referencyjne. To jedna z końcowych czynności poprzedzających kategoryzację.

Czy to znaczy, że nie znając grup wspólnej oceny i wartości referencyjnych, nie można sensownie prognozować wyników ewaluacji?

Zdecydowanie nie można. Ani na obecnym etapie, ani nawet z początkiem przyszłego roku. Zdajemy sobie sprawę z tego, że w wielu podmiotach działają komercyjne instytucje, które oferują podmiotom usługi związane z ewaluacją, w tym określenie – z pewnym prawdopodobieństwem – przyszłej kategorii. Chcę z całą mocą podkreślić, że na obecnym etapie nie da się tego odpowiedzialnie zrobić. Potrzebne są bowiem dwa elementy: komplet osiągnięć podmiotów w danej dyscyplinie na przestrzeni pięciu lat, znajomość grupy wspólnej oceny oraz opracowanie wartości referencyjnych. Żaden z tych elementów nie jest jeszcze znany. Jakakolwiek próba porównania nieznanego dorobku podmiotu z nieistniejącymi wartościami referencyjnymi musi być traktowana jako nadużycie. Podmioty, które korzystają z usług tych instytucji, mogą się bardzo rozczarować w konfrontacji z ewaluacyjną rzeczywistością, która może być zupełnie inna aniżeli wskazują zatrudnione firmy.

KRASP zgłaszał do KEN propozycję, aby inaczej potraktować pracowników naukowo-dydaktycznych z uczelni i pracowników naukowych instytutów PAN.

Rzeczywiście obecne zapisy w rozporządzeniu przewidują wartości referencyjne zdefiniowane dla danej dyscypliny bez względu na rodzaj jednostek. Tymczasem praca badawcza w instytutach PAN wygląda inaczej niż w uczelniach, gdzie dużą część czasu pracownika zajmuje dydaktyka. KRASP proponuje uwzględnienie tego faktu. Z uwagi na zapisy ustawowe i zawarte w rozporządzeniu nie da się obecnie przeprowadzić tego, co czyniliśmy w poprzednich ewaluacjach, gdy osobno definiowaliśmy wartości referencyjne dla instytutów PAN, a osobno dla uczelni. Zatem specyfika pracy w każdej z tych grup jednostek była brana pod uwagę. Obecne rozwiązania podkreślają, że dyscyplina nauki w instytucie PAN znaczy tyle samo, co w uczelni. Oceniamy grupę naukowców, którzy prowadzą badania i publikują w tej samej dyscyplinie. Ponieważ nie należy zmieniać rozporządzenia ani ustawy tuż przed ewaluacją, pozostało nam uwzględnić tę różnicę w taki sposób, że wartości referencyjne będą wyznaczane na podstawie dorobku uczelni, a potem na ich podstawie będą ewaluowane także inne podmioty.

Wiemy, że wcześniej manipulowano liczbą N w ten sposób, że zwalniano słabego pracownika na jeden dzień, aby nie był uwzględniany w ocenie.

Nie mamy żadnych narzędzi, żeby przeciwdziałać takim praktykom. Obserwujemy także przenoszenie pracowników na stanowiska dydaktyczne, aby zmniejszyć liczbę N i podnieść sztucznie efektywność naukową. Niesie to ze sobą pewne skutki, nie tylko dla ewaluacji, zmienia bowiem obraz instytucji.

Ile jest tzw. innych podmiotów w ewaluacji?

To są jednostkowe podmioty, np. muzea, fundacje czy firmy, które prowadzą badania naukowe. Poddajemy ewaluacji na mocy ustawy uczelnie akademickie, instytuty naukowe PAN, a także instytuty międzynarodowe. Inne uczelnie, np. zawodowe, mogą się również zgłosić do oceny. Podobnie instytuty badawcze – oceniamy tylko te, które złożą stosowny wniosek. Tak samo jest z tzw. innymi podmiotami prowadzącymi działalność naukową w sposób samodzielny i ciągły.

Do końca grudnia zamykamy ten okres ewaluacji. Pierwszego stycznia rozpoczyna się nowy okres oceny. Tymczasem wiemy już, że na listach czasopism są takie, które zostały z baz usunięte czy też mimo obecności w bazach prowadzą dość niecne

praktyki. Czy KEN przewiduje korektę list czasopism przed kolejną ewaluacją?

Lista czasopism punktowanych wymaga systemowego podejścia. Nasze możliwości w tej materii precyzuje rozporządzenie w sprawie sporządzania wykazów monografii naukowych oraz czasopism naukowych i recenzowanych materiałów z konferencji międzynarodowych. Zmiany na liście czasopism punktowanych dokonywane są obecnie przez KEN wyłącznie w trybie par. 14a ww. rozporządzenia.

Raczej in plus, a nie in minus.

Tak, o te czasopisma, które weszły do międzynarodowych baz (WoS, Scopus, ERIH+) wymienionych w rozporządzeniu. Ale jest też uchwała KEN, która wskazuje na pewne problemy z listą. Była ona bowiem tworzona w określonym czasie i jest oparta na już nieaktualnych wskaźnikach wpływu. Część czasopism weszła do międzynarodowych baz, a część została z nich usunięta. Należałoby to uwzględnić.

Zdążyć przed styczniem 2022?

Nie. Teraz absorbuje nas ewaluacja i kategoryzacja, a dopiero po zakończeniu kategoryzacji, czyli w drugiej połowie 2022 r., będziemy mogli podjąć inne zadania.

W gruncie rzeczy ewaluacja będzie się działa bardzo szybko.

Tak. W poprzedniej ewaluacji mieliśmy czas do końca września, czyli kilka miesięcy dłużej.

Kluczowa w tej ocenie będzie kategoria B+.

Rzeczywiście. Kategoria B+ pojawiła się, gdyż w poprzedniej ewaluacji kategoria B była bardzo pojemna. Między jednostkami z dolnej strefy i tymi z czołówki ówczesnej kategorii B była przepaść. Stąd pomysł na dodatkową kategorię. Ustawowo od tej kategorii zależą liczne kwestie, w tym uprawnienia w zakresie doktoryzowania i habilitowania. Jest to zatem wrażliwy element i właściwe zdefiniowanie wartości referencyjnych będzie kluczowe.

Minister nauki zapowiada łagodzenie skutków niezyskania tej kategorii...

Rzeczywiście wygląda na to, że powstanie program osłonowy. Nie tylko zapowiada to minister, ale także KRASP wystąpił z tego rodzaju propozycją. Wynika to z faktu, że od kategorii B+ bardzo wiele zależy i podmioty obawiają się konsekwencji kategoryzacji.

Proszę omówić trzy kryteria ewaluacji.

Ich lista i charakter wynikają z naszych wcześniejszych doświadczeń. Skoro w wyniku obecnej ewaluacji przyznajemy uprawnienia, to należało wycofać kryterium drugie z poprzedniej ewaluacji, gdyż odnosiło się do uprawnień jednostki naukowej. Mamy zatem trzy koszyki, do których wkładamy osiągnięcia jednostki – np. uczelni czy instytutu – w danej dyscyplinie. Do pierwszego koszyka wkładamy typowe osiągnięcia naukowe w postaci publikacji, czyli artykułów, monografii, rozdziałów w monografiach, redakcji monografii, doniesień konferencyjnych, patentów itp. To jest kryterium, które będzie oceniane parametrycznie. Nazwałem je intensywnym, gdyż suma osiągnięć z tego koszyka będzie dzielona przez liczbę N, czyli wyznaczamy średnią liczbę punktów przypadającą na jednego pracownika. Podobnie będzie z kryterium drugim, które jednak dotyczy teraz zupełnie innego rodzaju osiągnięć: projektów badawczych zarówno krajowych, jak i międzynarodowych, zwłaszcza chodzi tutaj o granty uzyskane w wyniku procedur konkursowych. Do tego dołączona jest komercjalizacja wyni-

ków badań naukowych, prezentowana w postaci kwot pozyskanych w wyniku komercjalizacji. Tu także wynik dzielimy przez liczbę N, czyli kryterium ma charakter intensywny. Natomiast trzecie kryterium, które polega na ocenie wpływu działalności naukowej na społeczeństwo i gospodarkę, jest ekstensywny, a będzie ocenione w sposób ekspercki. Chcemy za jego pomocą pokazać, jak badania naukowe przekładają się na rozwój społeczny i cywilizacyjny. Będziemy to oceniać w dwóch warstwach: znaczenia i zasięgu tego wpływu. Kiedy te trzy koszyki zostaną ocenione, to będziemy mieli dla danego podmiotu w danej dyscyplinie nauki wyniki w poszczególnych kryteriach. Następnie będą one porównywane z wartościami referencyjnymi ustalonymi dla danej dyscypliny. Wtedy dopiero zobaczymy, w którym miejscu oceniany podmiot znalazł się w reprezentowanej przez niego dyscyplinie. Dlatego powtórzę: w tej chwili nie da się przewidzieć końcowego wyniku ewaluacji.

Każde kryterium ma inną wagę zależnie od dziedziny nauki.

Rzeczywiście starano się w ten sposób uwzględnić charakter każdej dziedziny badań. Widać wyraźnie różnicę między naukami ścisłymi lub inżynierskimi a humanistycznymi czy społecznymi. Na przykład w naukach inżynierskich waga w pierwszym kryterium wynosi 50%, ale w drugim aż 35%. To docenienie faktu, że współpraca z gospodarką ma duże znaczenie dla tych nauk. Suma wag wynosi zawsze 100%. Ostateczny wynik jest zatem ważony za pomocą zestawu wag opracowanych dla danej dziedziny.

Jak powstaje kategoria A+? Ile jednostek może ją otrzymać?

To zależy od optyki, jaką przyjmie ministerstwo. Naszym zadaniem jest zbadać, czy dany podmiot w określonej dyscyplinie kwalifikuje się do kategorii A+. Dokonuje się to w ten sposób, że porównujemy osiągnięcia podmiotów z najlepiej ocenionym podmiotem w danej dyscyplinie, którego dorobek uznajemy za 100%. Dokonania jednostek, które mogą aspirować do kategorii A+, w kryterium pierwszym muszą osiągnąć wartość progową, którą ustala KEN. Najprościej rzecz ujmując, jednostka musi osiągnąć w kryterium pierwszym co najmniej 80% wyniku najlepszego podmiotu w danej dyscyplinie – to warunek konieczny. Inne warunki podlegające ocenie eksperckiej to osiągnięcia naukowe o międzynarodowym znaczeniu, mające wpływ na rozwój cywilizacyjny, liczba wysoko punktowanych artykułów i monografii, liczba i ranga cytowań, projekty badawcze o wysokim prestiżu, wybitne dzieła, a także znaczenie wyników badań naukowych dla rozwoju społecznego i gospodarczego kraju. Wszystkie osiągnięcia pretendentów do A+ będą przedmiotem oceny ekspertów. Proszę jednak zauważyć, że są też kategorie B i C, a ta ostatnia będzie miała dla jednostki równie istotne skutki co kategoria B+. W ewaluacji z roku 2013 otrzymało ją około 8% jednostek, a w 2017 r. około 11%, czyli znacznie więcej niż najwyższą kategorię A+. Dlatego tak ważne jest instrumentarium, które stworzymy, a które ma zobiektywizować ocenę. Zostało ono zbudowane w oparciu o pewnego rodzaju umowę środowiskową – rozporządzenie było konsultowane ze środowiskiem naukowym i akademickim w kraju. Ta umowa musi zostać wykonana rzetelnie i obiektywnie, aby proces był transparentny i akceptowany przez środowisko. Jeśli tak sprawę postawimy, to otrzymamy wynik, który powstał na podstawie realizacji zapisanej umowy. Przedstawimy go ministrowi wraz z uchwałą podjętą przez KEN w sprawie proponowanych kategorii naukowych, ustalonych na podstawie wyników ewaluacji podmiotów w dyscyplinach nauki.

Rozmawiał Piotr Kieraciński

Czy istnieją miejsca wspólne nauki i kultury popularnej? Gdzie ich szukać? Jaki jest obraz nauki w powieści popularnej, filmie fabularnym, internecie, komiksie, telewizji? Zapytaliśmy o to badacze popkultury. W prezentowanym bloku autorzy zajmują się takimi zjawiskami jak wpływ kultury popularnej wywierany na badania historyczne czy obraz fizyki kwantowej w prasie popularnej. Innym zagadnieniem jest to, w jaki sposób nauka bada popkulturę. Co jest przedmiotem analizy i jakich używa się metod. Zapraszamy do lektury.

Redakcja

Krzysztof M. Maj

Humaności wymagają reedukacji

Musimy przestać wreszcie traktować dostęp do kultury w kategoriach klasowego przywileju i skończyć z utożsamianiem erudycji z rozeznaniem w jednym tylko medium, którym osobliwie za każdym razem jest literatura, ewentualnie zaś teatr bądź kino (oczywiście to niezależne).

Humanistyce w Polsce od lat zdaje się patronować strofa z *Pogody* Leopolda Staffa: „Ale mam zwykłą skrzypkę, co nuci, / o tem, co znikło, co już nie wróci”. Nie zliczę, ile razy usłyszałem już (a nie żyję na tym świecie przesadnie długo), że humanistyka się kończy, nikt nic nie czyta, muzea osnuwają się pajęczynami, słuchowisk radiowych już nie ma, teatry świecą pustkami, a poeci przymierają głodem. Charakterystyczne, że nikt nie wieszczy podobnie funebrycznego kresu sztuce cyfrowej, grom wideo, komiksom, serialom czy anime, ale bynajmniej nie dlatego, że te obszary sztuki, w odróżnieniu od wcześniej wymienionych, rozkwitają. Nikt nie wieszczy im zguby z tej raczej przyczyny, że zostały one apriorycznie wyłączone spod refleksji głównych nurtów badań humanistycznych.

Jeszcze z czasów studiów doktoranckich na Wydziale Polonistyki Uniwersytetu Jagiellońskiego pamiętam przednią anegdotę, którą nie sposób nie podzielić się w Roku Lemowskim z czytelnikami „Forum Akademickiego”. Otóż pewien mój znajomy, zgłosiwszy przedmiot fakultatywny poświęcony właśnie twórczości Stanisława Lema, w przypływie płonnej nadziei osmielił się zaproponować kolejny, w ramach którego chciał przedstawić już twórczość Ursuli le Guin i pisarzy fantasy. W odpowiedzi usłyszał zdziwione zdanie jednego z ówczesnych prodziekanów i prominentnych krytyków literackich: „Ale przecież już miał pan coś o tej fantastyce, to chyba wystarczy?”. Tłumacząc per analogiam: to zupełnie tak, jakby prowadzącemu zajęcia o reportażu literackim zaopiniowano seminarium o prozie Olgi Tokarczuk zdaniem: „Ale ileż można wałkować tę faktografię, wziąłbyś się pan za Sapkowskiego!”. Jeśli pominiemy fakt, iż twórczość Andrzeja Sapkowskiego faktycznie mogłaby być w tym wypadku lepszym wyborem, łatwo dostrzeżemy tu absurd sytuacji. Jawny brak kompetencji i elementarnego rozeznania w zakresie fantastyki czy szeroko pojętej popkultury jest w polskiej humanistyce z latwością

wybacznym, podczas gdy najmniejsze ubytki na głównonurtowej erudycji podlegają solennemu osądowi. Skutkiem tego większość studentów kształconych przez polskich literaturoznawców, filmoznawców i kulturoznawców kończy edukację z mylnym wyobrażeniem o kulturze zawężonej do wycinka, który z braku lepszego określenia nazwiemy wysokoartystycznym, dowartościowanym przez krytykę akademicką i betonującym polską kulturę w bezpiecznym obszarze co bardziej tradycyjnych na polskim gruncie poglądów, wartości i gustów. Jest to o tyle interesujące, że duża część wykluczanej przez polskich humanistów kultury – rozwijająca się, co znamienne, w środowisku cyfrowym, poza więc głównym obiegiem muzealnym, wystawienniczym, festiwalowym et cetera – nie tylko cieszy się ogromnym zainteresowaniem młodych odbiorców, ale generuje gigantyczne przychody. Skąd więc przekonanie polskiej humanistyki o tym, że sztuka i kultura umierają? Skąd powtarzane od początku pandemii dramatyczne apele o ratowanie aktorów i poetów, a nie, dajmy na to, projektantów gier wideo lub organizatorów konwentów fantastycznych? Skąd wzgarda dla erudycji młodego pokolenia, obejmującej nie sztuki Shakespeare’a, a seriale, piosenki czy anime?

Zinstytucjonalizowana wzgarda

Bardzo wiele mówi się w badaniach humanistycznych o różnorodnych narzędziach instytucjonalizujących wykluczenie. Michel Foucault nazwał to mikrofizyką władzy – niewidoczną, pełzającą, montującą maszynę wojenną w dyskursie, jak powiedzieliby z kolei Gilles Deleuze i Félix Guattari. Teoretycznie dziś bowiem bardzo wiele się dzieje w obszarze dowartościowywania popkultury, fantastyki czy gier wideo, ale są to działania w znacznej mierze odosobnione lub pozorowane. Nie wpływają one w żadnym stopniu na zmianę myślenia głównych nurtów polskiej humanistyki. Przykładowo na wielu uczelniach uru-



rys. Sławomir Makal

chamiane są przedmioty fakultatywne z zakresu szeroko pojętej kultury popularnej czy fantastyki, ale już nie mieści się w głowie wielu to, że nie należałoby wprowadzać takiej dystynkcji i kulturę popularną traktować jako część kultury sensu largo, a literaturę fantastyczną włączając do kanonu historycznoliterackiego w formie przedmiotów kursowych. Podobnie w szkołach: włączenie każdego utworu chętniej czytanego przez uczniów opiewa się równie hucznie, co goliardzi koniec średniowiecza („che solliievo che solliievo – siamo fuor dal Medioevo!” – rym goliardzki, wykładający się w polszczyźnie jako: „Jaka ulga, każdy rzeczce, skończyło się średniowiecze”), gdy tymczasem większość z nich łąduje daleko poza podstawą programową, w bezpiecznym azylu znanym jako „lektury ponadobowiązkowe do ewentualnego wybrania po sfinalizowaniu podstawy programowej wypełniającej wszelako 99,999% czasu lekcyjnego w ciągu roku”. Uniwersytety i szkoły w obszarze humanistyki łączy wbrew pozorom nie to, że współdzielą misję edukacyjną, lecz to, że w obydwu tych instytucjach betonowaniu polskiej kultury w głębokim dziewiętnastym stuleciu trudnią się bowiem ci sami poloniści, kształceni częstokroć na tych samych filologiach ze specjalnością nauczycielską.

Oczywiście szkody nie kończą się na szkołach, choć niewątpliwie to tam przeważająca większość społeczeństwa ma możliwość poznania najpełniejszego niejednokrotnie obrazu kultury. Filolodzy polscy znajdują też często zatrudnienie w wydawnictwach, domach kultury, fundacjach i stowarzyszeniach, samorządach organizujących festiwale literackie i kulturalne czy rozmaitych instytucjach trudniących się promocją kultury polskiej za granicą. To właśnie im zawdzięczamy fakt, że twórczość Andrzeja Sapkowskiego nie była znana w krajach anglosaskich, zanim nie wypromowała jej prywatna firma CD Projekt RED znakomitymi gramami z serii *The Witcher*. Im także wciąż zawdzięczamy mizerną liczbę angielskich przekładów prozy Stanisława Lema czy równie znikomą liczbę anglojęzycznych tłumaczeń powieści Jacka Dukaja, wydawanego przez tę samą oficynę, co książki Olgi Tokarczuk. To dzięki nim także rokrocznie Nagrody Nike omijają szerokim łukiem prozę fantastyczną (z jedynym wyjątkiem *Baśni o wężowym sercu* Radka Raka, o której jednakże jury Nike z ogromnym wysiłkiem mówiło unikając słowa „fantastyka”, zmieniły to dopiero stanowcze kontry samego autora), w programach telewizyjnych w rodzaju *Xięgarnia* jeśli się o fantastyce wspomina, to wyłącznie w szyderczym tonie (*Xięgarnia, odcinek 295: Robert M. Wegner*), a na główne festiwale literackie w Polsce (hojnie dotowane z Ministerstwa Kultury bez względu na rządzącą opcję polityczną) nie zaprasza się prozaików tego nurtu, mimo że, jak zaznaczyliby co złośliwi, w odróżnieniu od poetów akurat sprzedają swoje utwory zainteresowanym czytelnikom i nie muszą lobbować za wprowadzeniem opłaty reprograficznej.

Piszę to bynajmniej nie w płochy potrzebie wyszydzenia środowiska literaturoznawczego, które sam nolens volens reprezentuję. Nie. Powód jest daleko poważniejszy. Otóż obraz polskiej humanistyki budowany jest właśnie na kanwie tego rodzaju niepokojących praktyk, zaskarbiających sobie z roku na rok coraz większe grono polemistów i wkrótce w ich świetle politycy i społeczeństwo zaczną oceniać wszystkie dyscypliny humanistyki, w tym i te pilnie potrzebujące środków na rozwój i innowacje. Trudno bowiem w nieskończoność przychylnym okiem patrzeć na schizofreniczny obraz rzeczywistości, w którym z jednej strony kształtuje się narracja o postępującym analfabetyzmie kulturalnym Polaków, podsycana statystykami o zniżującym poziomie czytelnictwa, a z drugiej – narracja klasistowskiej wzgardy, dezawuuująca znaczną część sztuki i kultury z tego tylko powodu, że... no właśnie, z jakiego? Że cieszy się popularnością i się sprzedaje?

W kulturoznawstwie nie funkcjonowałaby kategoria kultury „masowej”, a w repertuarach filharmonii nie królowała muzyka „poważna”, gdyby w języku nie zakorzeniła się dystynkcja o charakterze pozornie krytycznym, a faktycznie – jak odnotował to Pierre Bourdieu w *Społecznej krytyce władzy sądowniczej* – klasowym, współtworząca mitologię artystów i intelektualistów, w której gusta ogólnoludzkie „są traktowane z nie mniejszą wzdumą niż chłopstwo w konserwatywnej ideologii podupadającej arystokracji” (Pierre Bourdieu, *Distinction. A social Critique of the Judgement of Taste*, przekł. Richard Nice, Cambridge, MA: Harvard University Press, s. 62). Dystynkcja ta w Polsce, zauroczona peerelowskim mitem inteligentności, jest szczególnie niebezpieczna, bo prowadzi do systemowego wykluczania młodych pokoleń niezainteresowanych inwestycją swego wolnego czasu w poznawanie sztuki o tak wyraźnym adresie klasowym. Dziś o wiele tańsze jest uczestnictwo w kulturze proponowanej przez serwisy streamingowe z opłatami subskrypcyjnymi niż kształtującym się na poziomie trzech średnich kaw lub granie w gry wideo zapewniające nie kilka, a kilkaset godzin kontaktu ze sztuką w cenie dwóch biletów do muzeum, aniżeli zakup karnetu na festiwal klasycznej muzyki instrumentalnej za jedną trzecią średniej krajowej lub biletu do opery za niewiele mniejszą kwotę. Dodatkowo cóż z tego, że młody człowiek wybierze się do rzeczony opery lub teatru, skoro doświadczenie to nie przełoży się w żaden sposób na możliwość uczestnictwa w społecznym obiegu kulturalnym czy, ujmując rzecz prościej, sposobność porozmawiania na ten temat z rówieśnikami?

Jako groznawca staram się być na bieżąco z gramami wideo nie tylko dlatego, że się nimi pasjonuję, ani nawet nie dlatego, że przydaje mi się to do prowadzenia zajęć z zakresu badań nad gramami wideo i światotworzeniem na Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie, ale dlatego, że nie chcę wypaść z obiegu. Dziś bowiem erudycję w większym stopniu kształtuje nie znajomość współczesnych poetów awangardowych, a właśnie nowych filmów, seriali czy gier wideo. Zderzenie z rzeczywistością, w której twierdzi się coś zgoła odwrotnego, może mieć zatem dla młodych pokoleń dwójaki skutek i za każdym razem negatywny. Po pierwsze, może wykształcić postawy snobistyczne i w dalszej perspektywie przyczynić się do postępującej hermetyzacji środowisk artystycznych i studiów humanistycznych. Po drugie, może wywołać bunt i sprzeciw, przyczyniając się w dalszej perspektywie do dokładnego samego. W obydwu wypadkach również humanistyka pozostaje stratna – i to nie tylko w zakresie prestiżu tej gałęzi nauki, i tak już podupadającego dzięki aktywności wielu jej przedstawicieli, lecz w aspekcie dla niej najważniejszym: mianowicie otwartości i wrażliwości.

Sztuka cyfrowa ratunkiem humanistyki

Historia jest ważna, ale tylko wtedy, gdy służy wyciąganiu wniosków na przyszłość. Wydaje mi się, że polska humanistyka zapomina o tej istotnej funkcji badań historycznych, archiwalistycznych i dokumentalistycznych, zamykając się na nie mniej ważny ze swych obowiązków, mianowicie rejestracji różnorodnych przejawów kultury rozwijających się tu i teraz. Dziś artystą jest nie tylko literat, poeta, rzeźbiarz, aktor, performer czy reżyser, ale także concept artysta, level designer czy twórca fanfików. Smutne, że nie dysponujemy na określenie tych profesji polskimi odpowiednikami, tak samo jak nie rozporządzam żadnymi ekwiwalentami anglojęzycznych pojęć nazywających rozmaite komponenty gier wideo, światy cyfrowe czy nawet nurty prozy fantastycznej (steampunk, cyberpunk, sword & sorcery, solarpunk, urban fantasy etc.) i zwykle muszę je sam żmudnie przekładać w publikacjach naukowych. W językowym obrazie naszego świata nie ma na nie miejsca; uzus wymazuje je z semantycznego widnokręgu bezwzględny prawem braku

powszechnego zapotrzebowania. Młodzież szkolna nawet nie zdaje sobie sprawy z tego, że Bruno Schulz należy do tego samego nurtu fantastyki, co Mervyn Peake (twórca cyklu *Gormenghast*) czy Neil Gaiman (autor *Amerykańskich bogów*, *Nigdziebądź*, *Gwiezdnego pyłu* czy *Koraliny*), bo poloniści wolą powtarzać bajędy o „mityzacjach rzeczywistości”, byleby tylko nie użyć zakazanego f-word. Z kolei gry wideo, jeśli pojawiają się w jakichkolwiek mediach, to najczęściej są to media branżowe i próżno szukać ich recenzji w dziale kulturalnym dowolnego czasopisma, bo prędzej je znajdziemy w sekcji nowych technologii.

Skutek marginalizowania kultury rezonującej w wyobraźni współczesnych odbiorców z oficjalnych nurtów obiegu – akademickiego, publicystycznego, krytycznego i medialnego – jest więc taki, że większość osób nie ma dziś poczucia obcowania ze sztuką, mimo że... obcuje z nią na co dzień w internecie. Bezpośrednim tego powodem (i dowodem zarazem) jest rosnący exodus odbiorców kultury do mediów niezależnych, przede wszystkim na YouTube, gdzie strategie wykluczenia stosowane przez tradycyjne instytucje kulturotwórcze nie mają zastosowania. Dobrym testem tego jest pobieżne bodaj sprawdzenie liczby wyświetleń i subskrypcji rozmaitych kanałów tworzonych przez instytucje kultury, teatry, muzea czy uniwersytety, a następnie porównanie ich z wartościami generowanymi z dzieciinną łatwością przez najmłodszych nawet twórców, u progu kariery niemogących nawet zamarzyć o takim zapleczu finansowym, a mimo to robiących dla rozwoju i rejestrowania praktyk kulturalnych więcej niż ogół wszystkich stypendystów Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Co mogłoby zrobić humaniści, żeby zmienić ten stan rzeczy i zasypać przepaść dzielącą, przykładowo, profesjonalną krytykę literacką muskającą podbródki nad tomikiem poetyckim z wykorzystaniem filozofii Martina Heideggera i vlogerów książkowych ograniczających sztukę recenzentką do prostych sądów wartościujących wyrażanych w gwiazdkach i skalach punktowych? Najbardziej brutalna odpowiedź brzmi: doksztalić się. Oczywiście, można wiekuiście obarczać winą za stan nauk humanistycznych kolejnych ministrów edukacji, ale można również zastanowić się nad tym, kto rzeczonych ministrów edukacji wykształcił, jakie przedstawił im wartości i z jakim wycinkiem kultury zapoznał. To samo dotyczyć będzie wszystkich innych przedstawicieli świata kultury, począwszy od

nauczycieli szkolnych, a skończywszy na organizatorach festiwalu i recenzentach wniosków grantowych.

Jak nadrobić jednakże kilkadziesiąt lat udawania, że nie istnieją powieści fantastyczne, gry wideo, kryminały, komiksy, anime, filmy superbohaterskie, muzyka nieinstrumentalna, manga, manhwa, franczyzy transmedialne czy kultura fanowska? Trudno powiedzieć. Utopijna alternatywa, do której sformułowania zachęcałaby Ruth Levitas – promująca podejście do utopii nie tylko jako do przejawu światotwórstwa, ale także metody działania i zmieniania rzeczywistości tu i teraz – skłaniałaby ku temu, by zacząć się wzajemnie edukować. Wyższościowe diatryby, w rodzaju tej sformułowanej przez przewodniczącą jury Nagrody Nike, prof. Inę Iwasiów, sztydzącą z komentarzy dotyczących „promowania [przez jurorów] nudnej poezji i prozy, której nikt nie będzie czytał”, na pewno nic nie zmienią – ba, rzekłbym wręcz, iż pogorszą sytuację. Musimy przestać wreszcie traktować dostęp do kultury w kategoriach klasowego przywileju i skończyć z utożsamianiem erudycji z rozeznaniami w jednym tylko medium, którym osobliwie za każdym razem jest literatura, ewentualnie zaś teatr bądź kino (oczywiście to niezależne). Tylko w ten sposób osiągniemy pożądaną równowagę, dzięki której – tak jak w fandomie – oferta kulturalna stanie się prawdziwie zróżnicowana, a miłośnicy różnorodnych mediów zyskają okazję do pogłębionej dyskusji o tych formach działalności artystycznej, w których znajdują upodobanie. Tylko w ten sposób wymusimy reformę kierunków kulturoznawczych, literaturoznawczych, filmoznawczych i innych, a także – pilnie potrzebne – rozwijanie młodej dyscypliny groznawstwa oraz wszelkich innych gałęzi humanistyki upominających się o dowartościowanie zaniedbanych dotąd w polskiej refleksji mediów. Jedynie w ten sposób wreszcie zyskamy szansę na nauczenie się czegoś od młodych pokoleń, które nie powinny być skazywane na kulturalną banicję tylko i wyłącznie dlatego, że nie boją się nazywać beniaminków polskiej krytyki literackiej nudnymi grafomanami, zwłaszcza w czasach, w których czas możliwy do poświęcenia na czytanie warto przeznaczać wyłącznie na najlepsze teksty wobec bezprecedensowo rozległej i niezwykle wartościowej oferty mediów cyfrowych i interaktywnych.

Dr Krzysztof M. Maj, badacz gier wideo, Katedra Technologii Informatycznych i Mediów, Wydział Humanistyczny AGH w Krakowie

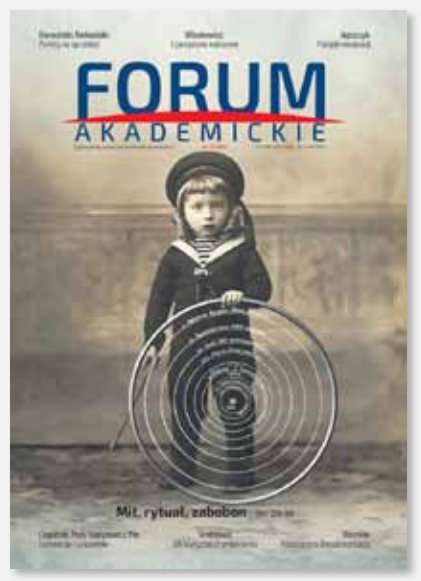
Prenumerata „Forum Akademickiego” w 2021 r.

Szanowni Państwo,
Drodzy Czytelnicy i Sympatycy „Forum Akademickiego”,
Serdecznie zapraszamy do prenumeraty „Forum Akademickiego” w 2021 roku.

Roczna prenumerata dla instytucji będzie kosztowała 230 zł;
prenumerata numerów 1-6: 120 zł, a 7-12: 110 zł.

Prenumeratorom indywidualnym oferujemy specjalną bonifikatę,
w związku z czym koszt prenumeraty wyniesie 166 za cały rok
i 86 zł za pół roku.

Redakcja



Inspiracje fizyką kwantową w prasie New Age'owej

Poniżej przyglądam się mitologizującym, popkulturowym, niespecjalistycznym i nienaukowym przedstawieniom fizyki kwantowej w prasie masowej. Skupiam się na jednym, konkretnym wątku – koncepcji kosmosu jako powiązanej z sobą całości – by pokazać, jak na bazie wiedzy naukowej tworzy się funkcjonalnie sensotwórcze mitologie kosmosu i człowieka.

Kultura popularna, postrzegana tutaj jako pewien typ aktywności semiotycznej człowieka, ma wpływ na funkcjonowanie niemal wszystkich instytucji społecznych. Dotyczy to również nauki akademickiej, której odkrycia i teorie udostępniane są nie tylko specjalistycznemu gronu czytelników publikacji naukowych, ale również odbiorcom niespecjalistycznym. Oczywiście sposób opakowania wiedzy naukowej różni się w zależności od tego, do kogo jest adresowana – w publikacjach popularnonaukowych, a szczególnie tych przeznaczonych dla odbiorcy niespecjalistycznego, często pisanych przez nienaukowców, wiedza naukowa jest przepuszczana przez filtr popularyzatorski, zupełnie inny niż w publikacjach stricte naukowych.

Nieścisłości występujące pomiędzy publikacjami niespecjalistycznymi a tymi zgodnymi z literą i konsensusem nauki wynikają z różnych źródeł. Z jednej strony wiedza naukowa jest trudna do prezentacji osobie nieznającej się na rzeczy. W przypadku fizyki kwantowej problem jest o tyle trudniejszy, że przedstawienie jej teorii czy wynikającego z niej obrazu rzeczywistości wymaga przywołania subtelnych, neopozytywistycznych kontekstów filozoficznych. Jest więc nie tylko treściowo, ale i epistemologicznie skomplikowana.

Mówiąc wprost, wiedza naukowa, by stała się przyswajalna dla odbiorcy niespecjalistycznego, wymaga odpowiedniego sformatowania. Wątek ten rozwija Marcin Napiórkowski (*Mitologia współczesna*, Warszawa 2013), analizujący różnego typu ruchy antynaukowe, w tym ruch antyszczepionkowy. Uznaje, że mają one formę maszyn mitotwórczych, dostarczają swoim uczestnikom obrazu świata o mitycznej strukturze. Konstytutywną cechą mitu jest kategoria sensu, która ma wartość egzystencjalną – zawarty w micie obraz świata dowartościowuje człowieka i stanowi wzorzec do kształtowania swojego życia. W dużym uproszczeniu opowieść mityczna jest podporządkowana antropocentrycznej funkcji poszukiwania sensu w kosmosie i własnym życiu, a nie naukowej funkcji tworzenia opisu maksymalnie samoświadomego, neutralnego i zgodnego z danymi obserwacyjnymi.

Poniżej przyglądam się takim mitologizującym, popkulturowym, niespecjalistycznym i nienaukowym przedstawieniom

fizyki kwantowej w prasie masowej. Skupiam się na jednym, konkretnym wątku – koncepcji kosmosu jako powiązanej z sobą całości – by pokazać, jak na bazie wiedzy naukowej tworzy się funkcjonalnie sensotwórcze mitologie kosmosu i człowieka.

Wszystkie cytowania pochodzą z tekstów opublikowanych w miesięczniku „Nieznany Świat”. Ten wydawany od początku lat dziewięćdziesiątych magazyn poświęcony jest zagadnieniom z kręgu zjawisk paranormalnych, niewyjaśnionych, nadzwyczajnych, UFO. Pomimo tak ekscentrycznej tematyki, regularnie pojawiają się w nim teksty poświęcone fizyce kwantowej i różnym jej motywom. Za ich pomocą „Nieznany Świat” próbuje przekonać czytelników do prawdziwości tez prezentowanych na jego łamach. Przeglądając kolejne numery „Nieznanego Świata” z lat 1990-2015, postanowiłem wybrać te artykuły, w których wspomniany temat kosmicznych więzi był omawiany przy wykorzystaniu fizyki kwantowej. Zebrana pula badawcza została dokładnie przejrzana i przeanalizowana, a następnie wybrano z niej i zaprezentowano poniżej najciekawsze cytowania.

Zasada kosmicznej korespondencji

Ważną ideą składową nowoczesnej mitologii z kręgu New Age jest przekonanie, że kosmos i człowiek tworzą połączony z sobą, holistyczny układ. Wątek ten jest szeroko obecny w tekstach „Nieznanego Świata”, gdzie sugeruje się, że cały kosmos przenikają identyczne proporcje, rozpoznawane tak w muzyce, jak i fizyce cząstek subatomowych:

[1] „Różne części składowe i formy istnienia, miliardy różnorodnych elementów Wszechświata pulsują jednym rytmem i harmonijnie ze sobą współdziałając, tworzą gigantyczną całość” (1993, 11, s. 4).

[2] „Muzykolog Hans Kayser oraz wspomniany Rudolf Haase znaleźli odpowiedniki zdań harmonicznych również w fizyce, akustyce, arytmetyce, geometrii, cybernetyce, pismach objawionych różnych religii oraz w filozofii. (...) Fis zaś równa się odległości trytonowej od c. Proporcję tę odnajdujemy w atomie azotu uczestniczącego w procesie fotosyntezy” (1993, 01, s. 6).

[3] „Obecnie wiadomo, że pewne prawidłowości zaobserwowane w mikroświecie, czyli efekty kwantowe, dotyczą również makroskali” (2002,09, s. 24).

Harmonia jest często stosowanym terminem w opisywaniu sposobu funkcjonowania kosmicznej całości, której poszczególne elementy wprawione mają być w identyczny kosmologiczny rytm.

[4] „Według niej (teorii strun – P.Z.) wszystko jest zbudowane z ministrun o wielkości 10-33 cm, będących w ciągłym drganiu. Wszystko – każdy atom materii i energii. Świadomość, że my i wszystko co nas otacza, cały glob (...), cały Wszechświat, to jeden ogromny, wibrujący i ewoluujący w ciągłym rezonansie organizm będący Umysłem, a zarazem jego częścią – prowadzi nas ku Światłu i epoce Wodnika” (2006, 01, s. 34).

Często też wskazuje się na istnienie sił fizycznych, które – podobnie jak proporcje lub ruch – mają czynić wszystko, co istnieje, jednym. Obecne w tych fragmentach stwierdzenia sugerują, że siły takie są ukryte w głębinach świata materialnego, stając się jego ukrytym porządkiem lub kwantowym oddziaływaniem.

[5] „Prawdopodobnie jest ona następstwem tzw. ukrytego porządku (postulowanego przez dr. Davida Bohma, profesora fizyki na Uniwersytecie Londyńskim), który scala naszą czasoprzestrzenną rzeczywistość z wyższymi wymiarami Wszechświata” (2012,02, s. 16).

[6] „Fizycy postulują, że świadomość zawdzięcza swą nielokalność kwantowym oddziaływaniom pola punktu zerowego wiążącemu Wszechświat w jedną spójną całość” (2013,04, s. 21).

W fragmentach tych często powraca termin pole, który okazuje się wygodny w mówieniu o tym, czego bezpośrednio nie widać, lecz o czego istnieniu pouczyć ma sam sposób funkcjonowania rzeczywistości:

[7] „...pola informacyjne, które zdają się przenikać wszystkie wymiary naszego Wszechświata” (02.2012, Danuta Adamska-Rutkowska, *Fenomen teleportacji*, s. 16-20).

Zestawieniem słownym chętnie stosowanym jest pole morfogenetyczne, które, podobnie jak pola w powyższych fragmentach, łączy w całość różne dziedziny kosmosu.

[8] „Teoria pól morfogenetycznych tłumaczy nierozzerwalny związek mię-

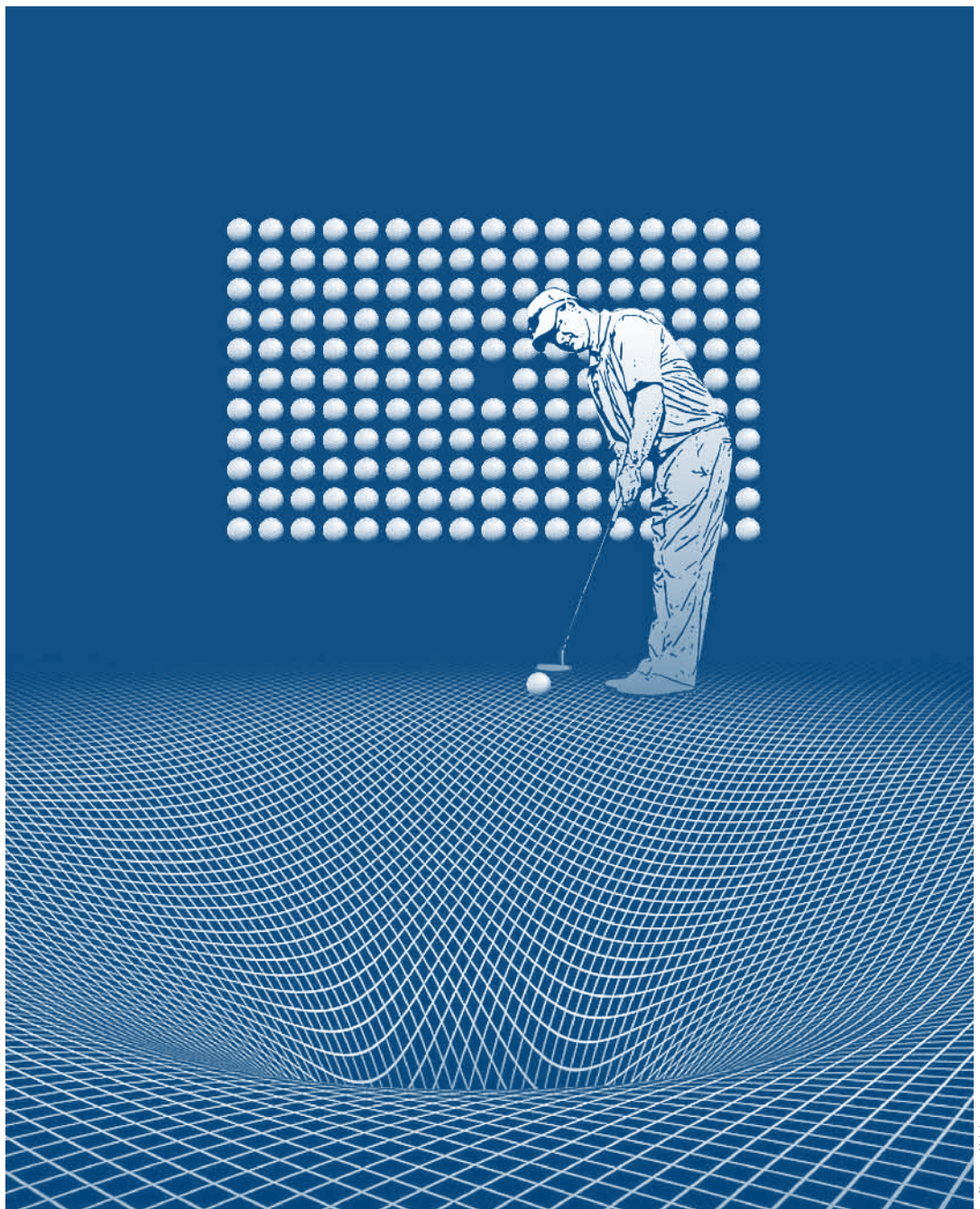
dzy światem grubej materii, a mikroświatem badanym przez fizykę kwantową. Nie wyjaśnia jednak, kto wymyśla te pola organizujące życie” (09.2001, Tadeusz Oszubski, *Wyprawa do źródeł człowieka*, s. 7-9).

[9] „Każdy z nas obserwował kiedyś stado ptaków w locie. Widział, jak wiele osobników jednocześnie zmienia kierunek. (...) Jest to możliwe właśnie dzięki istnieniu Pól, które pozwalają na przekazywanie takich informacji dokładnie i bez żadnej zwłoki” (07.2013, Jolanta Żelech, *Medycyna jutra*, s. 4-9).

Jako w górze tak i na dole – mit jedności kosmosu

Nie będzie zaskoczeniem, że wszystkie obiekty wypełniające rzeczywistość mają być ze sobą połączone właśnie na poziomie *subatomowym*. Również tutaj źródłem wyobrażeń jest fizyka kwantowa:

[10] „...Einstein wywnioskował istnienie tajemniczych związków wzajemnych między bytami powstałymi wspólnie –



Rys. Sławomir Mela

bliźniaczymi cząsteczkami elementarnymi” (07-08.1993, Jerzy Wais, *Opuszczam ziemię, odkrywam siebie*, s. 4-6, 33).

[11] „Udowodniono wówczas (w eksperymencie Alaina Aspecta) ponad wszelką wątpliwość, że struktura subatomowa jest (...) nielokalna, że dwa wydarzenia zachodzące w odległych punktach przestrzeni zdają się być powiązane w momencie ich zajścia, są – mimo dzielącej je przestrzeni – jednym wydarzeniem!” (01.2002, Wojciech M. Chłudziński, *Zaskakujące eksperymenty*, s. 56-58).

[12] „Znamy to z fizyki kwantowej. Wszystko trwa w jednym czasie, wszystko jest cały czas połączone, bez przestrzeni, bez początku, bez końca” (03.2014, Ian Mc Nay, *W polu wiecznej świadomości*, wywiad z: Pim van Lommel, s. 24).

Jedność kosmosu jest konceptualizowana poprzez wskazanie na istnienie powiązań nie tylko w skali mikrokosmicznej, lecz także w skali dużych obiektów.

[13] (rosyjski naukowiec – P.Z.) „wiele lat temu zaprezentował teorię o biosferze naszej planety jako jednolitym organizmie, w którym wszystkie formy istnienia wpływają na siebie wzajemnie pod względem informacyjnym. Występowanie tego rodzaju oddziaływań postulował również genialny fizyk i wynalazca serbskiego pochodzenia Nikola Tesla (...), który uznał, że muszą one wykorzystywać zjawiska falowe, nazwane przez niego falami skalarnymi (dziś rozwinięcie tej koncepcji znajdujemy w fizyce kwantowej)” (Danuta Adamska-Rutkowska, *O lewitacji bez sensacji*, 08.2011, s. 22-23).

[14] „Teoria pól morfogenetycznych tłumaczy nierozrwalny związek między światem grubej materii, a mikroświatem badanym przez fizykę kwantową” (09.2001, Tadeusz Oszubski, *Wyprawa do źródeł człowieka*, s. 7-9).

[15] **„Wszystkie części Matrycy wpływają na siebie i wiedzą o sobie wszystko natychmiast, stanowiąc jedno pole energii i świadomości.** Dlatego uzdrawianie na odległość zachodzi od razu. Gdy uzdrowiciel znajduje się np. w Warszawie i przesyła energię miłości (duchowe światło) z czakry serca z intencją uleczenia osoby chorej, która mieszka w Bostonie, to odczuje ulgę lub mrowienie dokładnie w tej samej chwili, albo z przesunięciem w czasie o kilkanaście sekund” (01.2013, Ewa May, *Boska matryca światła*, s. 12-15, podkreślenie oryginalne).

Często powraca także jeden z flagowych motywów dyskursu fizyki kwantowej; chodzi o konieczność uwzględnienia obecności badacza w opisie eksperymentu i jego – nie do końca zrozumiałej i wyjaśnionej – wpływu na uzyskiwane wyniki eksperymentalne. Motyw ten przedstawiany jest w zgromadzonym materiale w sposób swoisty. Choć w najogólniejszym zarysie poszczególne teksty zdają się iść szlakiem interpretacji proponowanych przez samych naukowców, to jednak wchodząc w szczegól, zauważamy, że znacząco zmieniają jej tor. Przede wszystkim doprowadzają do skrajnej postaci naukową interpretację o współzależności przedmiotu badania od badacza, co wyraźnie widoczne jest w określeniach: „nie może już być ostro oddzielony”; „stają się jednym”; (fakt obserwacji jest) „współgrą”.

[16] „Przebieg czasu nie ma tu znaczenia. Z jednym wyjątkiem: chwili, w której dokonywana jest obserwacja. W tym momencie bowiem dochodzi do nieuniknionego określenia czasu. Ma wtedy również miejsce oryginalna współgra między obserwatorem a obiektem obserwowanym, gdyż wpływają one nawzajem na siebie” (09.2011, Andrzej Szmilichowski, *Syndrom rozbitej szklanki i parę związanych z tym pytań*, s. 32-34).

Na koniec warto zaznaczyć, że rekonstruowana tu wizja rzeczywistości odpowiada strukturze ezoterycznego myślenia, którą omawia w swoim klasycznym studium Antoine Faivre. Wśród istotowych czterech cech myślenia ezoterycznego wymienia on właśnie koncepcję całkowitej współzależności wszystkich piętér tworzących kosmiczną całość. Przy-

kładowo, świat w skali mikroskopowej (np. człowiek) stanowi odzwierciedlenie rzeczywistości w skali makroskopowej, np. układu gwiazd na niebie (Antoine Faivre: *Access to Western Esotericism*, New York 1994, s. 4-11). Jest to typ ezoterycznego holi-zmu, w którym kosmos postrzega się jako mechanizm wprawiony w ruch, przypominający żywą istotę.

[17] „W ostatecznym zaś rozrachunku byłoby to pierwsze naukowe potwierdzenie zdalnego wpływania umysłu na materię, a jeśli tak dzieje się w mikrokosmosie, pozostaje tylko krok do tego, by podobne zjawisko uznać w makroświecie” (01.2002, Wojciech M. Chłudziński, *Zaskakujące eksperymenty*, s. 56-58).

[18] „Obecnie wiadomo, że pewne prawidłowości zaobserwowane w mikroświecie, czyli efekty kwantowe, dotyczą również makroskali. Dotyczy to szczególnie naszej świadomości, a zwłaszcza tych jej obszarów, z którymi współczesna nauka jeszcze sobie nie radzi” (09.2002, Grażyna Fosar, Franz Buldorf, *Sygnaly z przeszłości*, s. 22-25).

Mitologiczna rekontekstualizacja fizyki kwantowej

Specyfika tekstów, z których zaprezentowane fragmenty wydobyci, domaga się krótkiego podsumowania. Jakie funkcje semantyczne kształtują poszczególne wypowiedzi? Do najważniejszych należy wspomniana na wstępie funkcja usensownienia rzeczywistości, ustanowienia jej znaczeniowego nomosu. W telegraficznym skrócie: potrzeba odczuwania lub dyskursywnego konceptualizowania sensu jest psychologiczno-kulturowa i realizuje się w różnych praktykach sensotwórczych, zwłaszcza tych inspirowanych mitem kosmologicznym. W powyższych przykładach jest to mit o siłach wypełniających świat doczesny, za sprawą których wszystkie jego elementy stają się wewnętrznie powiązane ze sobą.

Napiórkowski twierdzi, że ruchy antynaukowe zyskują społeczne uznanie właśnie z uwagi na ich mitologiczną formę, w której same przedstawiają się społeczeństwu. Społeczeństwo chce mitu i chce poprzez mit rozumieć siebie i świat. Zaprezentowane fragmenty emanują poczuciem sensu w każdym fragmencie i to ono wydaje się algorytmem kształtującym cały przekaz.

Antropocentryzm to kolejna istotna cecha zaprezentowanych tekstów. Przedstawiona w nich wizja rzeczywistości jest skrojona na miarę człowieka – kosmos posiada niektóre ludzkie atrybuty, zyskuje postać psychomorficzną. Ponadto jego obraz jest zbudowany z prostych struktur i metafor opozycyjnych, typowych dla myślenia potocznego. Naiwnie przyjmowany, antropocentryczny punkt widzenia w opisie kosmosu jest kluczowym składnikiem tego mitu.

Pod tym względem popkultura jest przestrzenią, w której wiedza ulega deterytorializacji, a także deinstytucjonalizacji. Wiedza naukowa – taka jak fizyka kwantowa – może być przetwarzana na nowe kody i prezentowana w nowych, popkulturowych kontekstach. W przywołanych fragmentach obraz fizyki kwantowej jest w mniejszym stopniu zależny od wyjściowego, akademickiego kontekstu, w większym natomiast – od mitologicznej, holistycznej wizji kosmosu. Należy więc podkreślić, że fizyka kwantowa nie jest prezentowana jako dyscyplina naukowa, ale jako zbiór wiedzy mającej potwierdzać prawdziwość mitu o holistycznej całości kosmosu. Jest to bardzo drastyczne wykoślawienie obrazu fizyki kwantowej, typowe dla tekstów popkultury, w których upraszczająca rekontekstualizacja prezentowanych treści jest jedną z podstawowych strategii tworzenia wszelkich przekazów.

Paweł Zaborowski, kulturoznawca i religioznawca, doktorant na Wydziale Polonistyki Uniwersytetu Jagiellońskiego. Zajmuje się badaniem pogranicza kultury i religii w perspektywie postsekularnej.

Piotr Kołodziejczyk

„Widzę cudowne rzeczy...”

Warto zadać pytanie o wzajemny wpływ nauk historycznych i popkultury oraz zmian zachodzących w tych obszarach nauki pod wpływem zjawisk popkulturowych. Wówczas okazać się może, że mamy do czynienia z niemal idealną symbiozą. . .

Słowa wypowiedziane 26 listopada 1922 roku przez Howarda Cartera na widok wnętrza odkrytego właśnie grobowca faraona Tutenchamona rozniosły się po świecie za sprawą ówczesnych mediów lotem błyskawicy. I choć archeologia, nie tylko jako pasja, ale także jako dyscyplina naukowa, istniała już od jakiegoś czasu, to dopiero odkrycie nienaruszonego od kilku tysięcy lat grobowca egipskiego władcy i powiązanie z tym wydarzeniem tajemniczych zgonów zawładnęło wyobraźnią masowego odbiorcy i zapoczątkowało powstanie jej popkulturowego wizerunku. Warto jednak zadać szersze pytanie o wzajemny wpływ nauk historycznych i popkultury oraz zmian zachodzących w tych obszarach nauki pod wpływem zjawisk popkulturowych. Wówczas okazać się może, że mamy do czynienia z niemal idealną symbiozą...

W poszukiwaniu korzeni

Początki zainteresowania przeszłością i jej wykorzystaniem do budowania pożądanego przekazu odnajdziemy bez trudu już w okresie starożytności. Egipscy władcy szybko zrozumieli, że odpowiednio dostosowany do możliwości percepcyjnych odbiorcy przekaz wizualny może z powodzeniem służyć ich polityce dynastycznej. Sprzyjała temu także egipska religia, w której nieruchomy, namalowany lub wyrzeźbiony obraz był równie żywy jak prawdziwe osoby czy przedmioty. Konwencja, w której przedstawiano postać władcy, sytuacje, w których go portretowano, jego militarne sukcesy czy budowany przez króla dobrostan mieszkańców Egiptu stały się na niemal trzy tysiące lat systemem państwowego przekazu, skierowanego do egipskiego ludu. To wówczas narodził się także dychotomiczny schemat przedstawiania rzeczywistości, wykorzystujący odwieczny konflikt między siłami zła i dobra, nocy i dnia, świata ludzi i świata bogów. Elementem spajającym całość był oczywiście faraon, niejako zawieszony między światem ziemskim i niebiańskim. Niebawem podobne metody komunikacji i zawłaszczania dla siebie przekazów kulturowych zaczęły stosować wszyscy władcy ówczesnego świata. Już nie tylko egipcjacy, ale także sumeryjscy, akadyjscy czy hetyccy władcy bliskowschodnich imperiów wspierali swoje panowanie odniesieniami do przeszłości i wielkich przodków, obrazami własnych zwycięstw i walecznych czynów. Kształtował się semiotyczny związek między twórcami przekazu a jego odbiorcami, którzy mieli się z nim utożsamiać.

Sięganie do przeszłości – mitycznej lub rzeczywistej – stało się metodą uwiarygodniania własnego panowania i budowania rodowych, arystokratycznych legend. A ponieważ popyt rodzi

podaż, jak można było się spodziewać rosła grupa ludzi interesujących się przeszłością i próbujących ją rekonstruować. Tak zaczęła się długa droga prowadząca nas od mitu do historii. Bo choć pierwsze znane nam opisy dawnych czasów były bez wątpienia obarczone silnym paradygmatem religijnym, a pierwsi greccy kronikarze opisywali z reguły mitologię założycielską politycznych systemów terytorialnych, w których funkcjonowali, to już niebawem w europejskim obszarze kulturowym pojawił się grecki dziejopis Herodot, który jako pierwszy podjął się niełatwego wówczas zadania oddzielenia w swoim przekazie tego co prawdziwe od tego, co jest jedynie domeną legend. Jego greccy i rzymscy naśladowcy tworzyli już dzieła historyczne niepozbawione oczywiście schematyzacji i symboliki, służących także wzmocnieniu (lub osłabieniu) pozycji czy wizerunku arystokratów i władców. W tym samym czasie podobnymi narzędziami zaczęli posługiwać się pisarze chińscy czy perscy. Powstawał więc uniwersalny kod zjawisk kulturowych, zamknięty jedynie w semantycznych granicach percepcji masowego odbiorcy.

Narodziny wszechobecnego obrazu

Rzymscy wodzowie i cesarze nigdy nie lekceważyli potęgą obrazów i dbali o to, by ich siła służyła im jak najczęściej. Zbudowali rozległą i obejmującą niemal wszystkie aspekty życia sieć symboli i przekazów skierowanych do mas. Od języka i prawodawstwa, rzeźby, filozofii i poezji, poprzez architekturę i wojskowość, aż do ludycznych krwawych rozrywek i państwowego rozdawnictwa – wszystko to było zarówno powieleniem wcześniejszych wzorców, jak i działaniem nowatorskim, prowadzonym ze skalą i rozmachem godnymi największego istniejącego wówczas imperium. Siłą rzymskiej kultury stał się jej masowy i wszechobecny w starym świecie rytm, schemat i dorobek. Ten ostatni był i jest wykorzystywany już od czasu upadku Cesarstwa rzymskiego w V w. n.e., aż do czasów nam współczesnych. Trudno także oprzeć się wrażeniu, że rzymski sposób pojmowania świata i opisywania jego dziejów wdarł się na stulecia w umysły historiografów i poszukiwaczy śladów przeszłości.

Epoki średniowiecza i renesansu kontynuowały pomysły starożytnych, budując wizerunek królów i feudałów. Masowy, klarowny, wykonany przy użyciu powszechnie rozumianych symboli religijny przekaz stał się także w rękach chrześcijańskich duchownych podstawowym narzędziem przekazywania prawd wiary i ostrzeżenia przed konsekwencjami grzechu i odejścia od kościoła. Nadal mamy tu zatem do czynienia z uniwersalizmem obrazu i powiązanego z nim słowa, „pakietem danych”

przygotowanych według starych przepisów, ukierunkowanych na pobudzenie konkretnych myśli i czynów, tłumaczących nie zawsze łatwą rzeczywistość i namawiających do konkretnych zachowań, pożądaných z punktu widzenia autorów przekazu.

W sidłach mitu

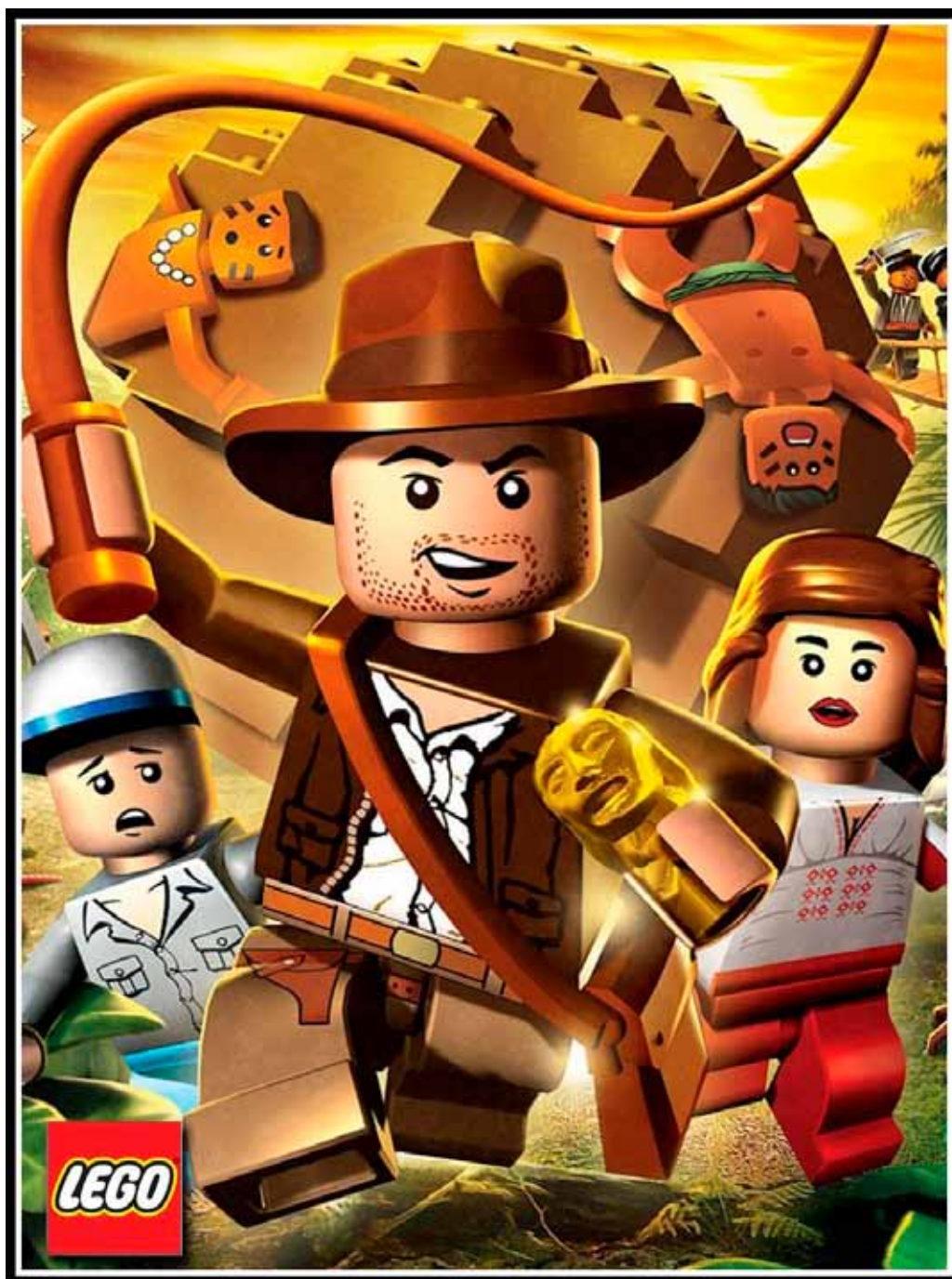
Kwestią czasu było nadejście buntu przeciwko prostocie, wulgarności i miałości popularnego przekazu. Narodziny nowoczesnego świata, oddzielającego rozumowe spojrzenie na świat i jego prawa od uczuciowej fali wrażeń i jednoznacznych symboli, wywołały w XVIII wieku krytykę masowości sztuki i nauki, uznając je za subiektywnie postrzegane i niemożliwe do przekazywania językiem rodzącej się od stuleci kultury masowej. Wykazywano także kluczową rolę twórców jako „kapłanów” obrazu i słowa, którzy nie powinni schlebiać gustom mas, a generować dzieła w wysokiej wartości poznawczej i estetycznej. Takie przemiany musiały z kolei doprowadzić do sytuacji, w któ-

rej publiczność nie rozumiała dzieł i nie była w stanie intelektualnie nadążyć za ich autorami. Ludzie zajmujący się badaniem przeszłości wypracowywali tymczasem podstawy naukowego podejścia do swojej pracy, lecz nadal zależni byli od mecenasów wymagających od nich konkretnej perspektywy.

Narodziny kapitalistycznego, przemysłowego świata, w którym osłabł mecenat i narodziła się kluczowa rola dyrektorów, wydawców czy zarządców, wzbudziły nadzieję na wyniesienie kulturowego języka znaków i symboli na wyższy poziom. Szybko jednak okazało się, że na rynku rządzonego przez kapitał liczy się popyt, warunkowany potrzebami i możliwościami percepcyjnymi ludu. Ta wydawałoby się smutna konstatacja nadała jednak naukom historycznym, już dobrze ugruntowanym pod koniec XVIII i w XIX wieku, zupełnie nową rolę. Okazało się, że historycy, historycy sztuki i archeolodzy, potrafią nie tylko prowadzić coraz odważniejsze, bardziej złożone badania i analizy, ale także zaspokajając potrzeby masowego odbiorcy, żąd- nego sensacji i tajemniczości. Tak narodził się mit odkrywcy dawnych tajemnic, podsycany przez samych naukowców prezentujących swoje skarby w mrocznych wnętrzach i w oparach nierzeczywistej, tajemniczej magii.

Jednocześnie zainteresowanie przeszłością znajdowało coraz szersze odbicie w literaturze i sztukach wizualnych, by w końcu przejść w XX wieku na telewizyjne i kinowe ekrany. Czy taka sytuacja wpływała na postawy badaczy i sposób prowadzenia przez nich prac? Jeszcze jak! Tam gdzie liczył się sukces rozumiany jako oczarowanie publiczności i sponsorów, tam musiał powstać pęd ku odkryciom, naukowym przełomom, poszukiwaniom nieznanego i dawno zaginionego świata. Powstające w XIX wieku masowo gabinety osobliwości, kopie antycznych budowli czy prywatne kolekcje domagały się coraz to nowych zabytków, a także osób je katalogujących i badających. Przez długie dziesięciolecia nauki historyczne, osobliwie archeologia, pozostawały w mitycznej bańce popkulturowych marzeń i potrzeb. Pozwalały szerokim rzeszom odbiorców dotykać niewyobrażalnych bogactw dawnych władców, przedwiecznej tajemnicy i zanurzać się choć na chwilę w mrocznym, nieznanym i najczęściej nierozumianym, dawnym świecie.

Ten niezwykły świat zawieszony pomiędzy popkulturą a nauką był jakże ważnym odbiciem emocji i lęków ówczesnego człowieka. Chęć szybkiego wzbogacenia się i zdobycia sławy



poprzez dokonanie spektakularnego odkrycia mieszała się w nim z obawą przed nieznanymi, mrocznymi siłami wyzwalanymi na skutek złamania tabu, jakim od zarania dziejów otaczane są choćby groby czy ciała zmarłych osób. Budziły się do życia odwieczne pragnienia i lęki człowieka, podawane widzowi w niezwykle atrakcyjnym sosie, przyprawianym coraz lepszymi efektami specjalnymi.

Synergia potrzeb i działań

Dziś w postrzeganiu popkultury dominują nieco inne wzorce. Analizujemy ją z perspektywy antropologii, socjologii czy psychologii. Zwracamy uwagę na techniczne możliwości powielania kulturowych wzorców i symboli, jakie daje nam rozwój technologii. Niewątpliwie pojawienie się słowa drukowanego, a później radia i telewizji oraz Internetu, wprowadziło świat kultury popularnej na niekończące się oceany możliwości. Nie oddzieliło jednak nauki od mitu. Przeciwnie, wzmocniło go i nadało mu jeszcze większą moc. Badacze przeszłości nadal postrzegani są przez masowego odbiorcę w specyficzny sposób, choć najczęściej nie zdają sobie z tego sprawy. I nadal są w tym miejscu potrzebni! Wskazują na to nie tylko nieustanne próby polityków, ale także badaczy, manipulowania przekazem historycznym czy budowania alternatywnych opowieści o bohaterach i zbrodniarzach. Widzimy to także w szerokiej obecności mitów i legend związanych z przeszłością i pracą ludzi ją odkrywających w literaturze, sztuce, a przede wszystkim w obrazach filmowych, które powstały w ciągu ostatnich stu lat.

Świat ciągle potrzebuje opozycji swój-obcy, znany-nieznany. Przecistawianie sobie kultury elitarnej i masowej ma charakter

analogiczny do starożytnych opozycji dobra i zła czy harmonii i chaosu. Tymczasem efekty pracy historyków czy archeologów funkcjonują z powodzeniem na obu tych płaszczyznach. Stanowią podstawę naszej wiedzy o własnych korzeniach, porażkach i sukcesach naszych przodków, budują bazę pojęciową dla dzisiejszego świata, ale także doskonale radzą sobie jako elementy rozrywki, a nawet zabawy. Dość wspomnieć w tym miejscu o historycznych grach komputerowych czy przygodowo-archeologicznych produkcjach National Geographic czy Discovery. Tego typu przekaz staje się coraz ważniejszym sposobem upowszechniania wiedzy naukowej w obrazkowym świecie szybkich przekazów.

Język, pismo, sztuki piękne czy użytkowe stanowią bez wątpienia środek wzajemnego komunikowania się. Kultura popularna to zatem ciągły dialog pomiędzy twórcą a odbiorcą. Jednak to język jest najdoskonalszą formą porozumienia. Posługiwanie się nim nie wymaga dodatkowych wyjaśnień. Słowo niosące w sobie cały swój sens to pojęcie, które stanowi zarazem wyjaśnienie, całe nasze rozumienie świata. Dlatego poza mową wszystko inne pozostaje zagadką, sekretem i tajemnicą. W przypadku egipskich hieroglifów – pisma obrazkowego – znaczenie nie jest takie oczywiste, zostało ukryte. Podobnie jest z wieloma przejawami sztuki pochodzącymi z dawno minionych kultur. Są one dla nas bliższe hieroglifom aniżeli językowi, jako że stanowią próbę nawiązania łączności w niemy sposób. Sens przekazu popkultury wpisany jest w jej dwoistą kondycję: wolę wyrazu i milczące rozstrzygnięcie jej przekazu. Przekaz jest więc zbiorem znaków kryjących w sobie istotne informacje. Jego wewnętrzna sprzeczność wyraża się pomiędzy tym co oczywiste i zawarte w znakach, a tym co utajone



i co stanowi jego prawdziwy sens. Proces powstawania obrazu świata zachodzi w naszej psychice, ale sposób jego opisywania i wyrażania zależy od wielu czynników zewnętrznych, takich jak nasza historia, kultura czy przekonania religijne kształtujące ludzką świadomość.

Jedną z pierwszych nowożytnych koncepcji filozoficznych odnoszących się do sfery obrazowości to heideggerowska idea *światoobrazu*, będąca sposobem pojmowania rzeczywistości oraz stosunku do niej, społecznego, a także jednostkowego. Według jej autora każda epoka posiada swój obraz świata. W zależności od miejsca i czasu, w jakich został uformowany, wyraża on odmienne treści. Jest to żywy organizm podlegający ciągłej zmianie za sprawą nieustannego rozwoju człowieka. Obraz ten powstaje także dzięki dostarczaniu nam przez badaczy przeszłości nowych danych i doświadczaniu w ten sposób procesu rozszerzenia wiedzy o człowieku i jego życiu, który zbliża nas do prawdy. Obecność w kulturze popularnej elementów związanych z historią człowieka i jego kultury materialnej, społecznej i symbolicznej nie jest więc efektem pobocznej działalności człowieka, nie jest zatem niejako skutkiem ubocznym naszego istnienia. Zjawiska tego typu są silnie związane z naszą psychiczną potrzebą zrozumienia świata i uzyskania odpowiedzi na pytanie, jak w tym świecie żyć.

Pobudka Christine

15 lipca 1974 roku na ekranach telewizorów w USA pojawiła się prezydentka Christine Chubbuck, która smutnym głosem

powiedziała: „Zgodnie z polityką kanału 40., polegającą na dostarczaniu wam krwi i wnętrzności, na żywo i w kolorze, zobaczycie po raz pierwszy próbę samobójczą”. Chwilę później oddała do siebie śmiertelny strzał z rewolweru. Co chciała nam powiedzieć swoim czynem? Z pewnością chciała nas ostrzec przed niepohamowaną żądzą doświadczania – z bezpiecznej odległości telewizyjnego ekranu – przemocy i cierpienia innych ludzi. Chciała nam pokazać, jakie koło zatoczyliśmy od czasów ludzi mordowanych na rzymskich arenach do czasów telewizji „na żywo”. Bo przecież ci sami ludzie, którzy oburzają się na rzymskie zwyczaje, z miską popcornu oglądają na swoich plazmach obrazy z rozgrywających się w tym samym czasie wojen i kataklizmów.

Właśnie po to potrzebna nam jest symbioza nauk historycznych i kultury popularnej. Jej język to współczesna lingua franca. W świecie nowoczesnych mediów liczy się klarowność narracji i jej wizualna atrakcyjność. Dzięki temu możemy w umysłach mas budować obraz historii ludzkości jako procesu ciągłego i nasyconego ważnymi wydarzeniami, których szepty i echa nadal słychać. Tylko dzięki nieustannemu splataniu się ścieżek badaczy przeszłości ze ścieżkami twórców popkultury możemy odciskać w masowej wyobraźni nasze piętno, rozwijając ich wiedzę i wrażliwość.

Dr Piotr Kołodziejczyk, Instytut Archeologii
Uniwersytetu Jagiellońskiego



PETER CUSHING · CHRISTOPHER LEE · YVONNE FURNEAUX · Directed by **TERENCE FISHER** · Screenplay by **JIMMY SANGSTER**
Produced by **MICHAEL CARRERAS** · Associate Producer **ANTHONY NELSON-KEYS** · A HANMER FILM PRODUCTION · A UNIVERSAL INTERNATIONAL RELEASE

Adam Regiewicz

Między łajzą a ekspertem

Wizerunek filologa w polskiej narracji kryminalnej

Obecność humanistycznych naukowców wprowadza do powieści element kolorytu. To co w potocznym obiegu uznawane jest za przejaw negatywności (społeczne niedostosowanie, finansowa bezradność, życiowa nieporadność), w powieści jawi się jako atrakcja. W przeciwieństwie do swoich kolegów z nauk ścisłych, którzy zazwyczaj przedstawiają się w sposób bezpłciowy, wręcz nudny, humaniści stanowią prawdziwą kolekcję indywidualiów.

Niemal dwadzieścia lat temu, w 2002 r., Marek Koterski nakręcił jeden z najważniejszych filmów w polskiej kinematografii – *Dzień Świra*. Opowiedziana tam historia jednego dnia z życia inteligenta wydaje się jak w soczewce skupiać najważniejsze kwestie dotyczące miejsca inteligenta we współczesnej Polsce. Adaś Miauczyński, bohater filmu, jest adeptem polonistyki, którą skończył z wyróżnieniem. Odrzucił propozycję pracy naukowej na rzecz mozolnej pracy w szkole, której teraz nienawidzi. Powody są prozaiczne: wypalenie zawodowe, niski prestiż społeczny, marna płaca, brak perspektyw. Jakiegokolwiek próby wzlotu nad „martwym światem uludy” kończą się zderzeniem z przyziemną rzeczywistością. Barbara Hollender w krytycznej refleksji nad filmem („*Dzień świra*” Marka Koterskiego po 15 latach) nazywa reżyserską opowieść tragedią, opowieścią o zagubieniu, w której nie ma nadziei, gdzie frustracja przegradza się w agresję. Wykrzyczana, w duchu rewolucyjna odezwa Adasia Miauczyńskiego („Nie, no to nie do wiary. Nie, to być nie może. Osiem lat podstawówki, cztery liceum. Potem pięć, bite, studiów, dyplom z wyróżnieniem, dwadzieścia lat praktyki, i oto mi płacą, jak by ktoś dał mi w mordę. Ja pierdołę, kurwa! O bracia poloniści, siostry polonistki, stu trzydziścioro było nas na pierwszym roku. Myśleliśmy, że nogi Boga złapaliśmy, że oto nas przyjęto do szkoły poetów. Szkoła poetów, Jesus, kurwa, ja pierdołę! Przez pięć lat stron tysiące, młodość w bibliotekach. A potem bida, bida i rozczarowanie! A potem beznadzieja i starość pariasa i wszechporażająca nas wszystkich pogarda, władzy od dyktatury, aż po demokrację, która nas, kałamarzy, ma za mniej niż zero”), który odbiera w szkolnej kasie wypłatę w wysokości 760 zł, wyznacza podstawowe elementy wizerunku polskiego humanisty w obiegu popularnym: niespełnienie, ubóstwo, rozczarowanie.

Tyle nazw na określenie bezrobocia

Jeśli sięgnąć do badań socjologicznych, lista ta znacznie się wydłuży. Wśród wymienianych często pojawiają się określenia niepraktyczny, bezrobotny, niekonkretny, niespecjalistyczny, naiwny, niespełniony, nielogiczny/niemyślący logicznie, desperacki i fatalny (Podają za: E. Woźniak-Wrzesińska, „*Umysł to*

za mało”. *Kulturowy stereotyp humanisty – zarys perspektywy poznawczej*, „Kwartalnik Językoznawczy” 2014, nr 4, s. 53-54). Krążące w sieci memy, będące dziś dla współczesnego społeczeństwa rodzajem trybuny czy internetową wersją Hyde Parku, poprzez które wyraża ono swoje poglądy na świat i konstruuje wyobrażenia, zasypują żartami na temat wykształconych adeptów kierunków humanistycznych. Do najpopularniejszych należą anegdoty związane z życiowym niedostosowaniem („Doktora! Szybko!”. „Jestem doktorem”. „Ten człowiek ma zawał”. „Doktorem filozofii”. „On umiera!”. „Memento mori...”), brakiem rozsądnej pracy („Filozof, polonista, historyk, teolog. Tyle nazw posiada język polski na określenie bezrobocia”) i niezajomością podstawowych zasad ekonomii („Nazywam siebie humanistą, bo nie umiem liczyć”). Na taką sytuację złożyło się wiele czynników. Inteligencji o humanistycznej proveniencji dostawało się zarówno za czasów komunistycznego reżimu, który starał się marginalizować wpływ humanistyki na życie codzienne, jak i po transformacji ustrojowej, wyznaczającej nowy porządek społeczny na podstawie poziomu dochodów. Na negatywny stereotyp humanisty wpłynęło także przesunięcie akcentu z idei kształcenia uniwersyteckiego na nauki przyrodnicze i matematyczne.

Przepaść między przedstawicielami nauk ścisłych i humanistycznych pogłębiła się pod wpływem ponowoczesnej odmiany scjentyzmu opierającego się na przekonaniu, że empiryczna rzeczywistość podlega dającym się ustalić algorytmom. Wiara w efektywność i przydatność nauk ścisłych jako gwaranta procesu nowoczesności wyparła niemal całkowicie z dyskursu nauki humanistyczne. Z punktu widzenia przyjętego przez „ścisłowców” humaniści przypominają „duże dzieci” bawiące się w piaskownicy, gdy tymczasem ich koledzy opanowali technologię wyrabiania z tego piasku szkła. Na dodatek kształcenie humanistyczne, leżące u podstaw myśli uniwersyteckiej, uległo współczesnej koncepcji kształcenia utylitarne. Karl Jaspers, komentując negatywne zmiany dokonujące się w świecie akademickim, w *Ideji uniwersytetu* pisał: „Lekarz, nauczyciel, urzędnik administracji, sędzia, proboszcz, architekt, wszyscy oni wykonują jakiś zawód, całym sobą, w totalności swych warun-

ków życia, choć każdy z nich z zupełnie innej strony. Wykształcenie do tych zawodów jest bezduszne i czyni w zawodzie nie-ludzkim, jeśli nie prowadzi do całości, nie rozwija organów pojmowania i nie wskazuje szerszego horyzontu, jeśli nie czyni ludzi bardziej filozoficznymi”. Współczesne oczekiwania względem uczelni oraz jej pracowników wydają się zgoła inne. Ceni się pragmatyzm i zaradność, umiejętność konkretnego zastosowania w życiu naukowych rozwiązań, z tego powodu „bycie humanistą” stało się symbolem nieporadności i nieokreśloności zarazem. Jaki bowiem zawód ma humanista – adept studiów filologicznych lub pracownik naukowy na tymże kierunku?

Między miłością do Stachury a pragnieniem mercedesa

Na koniec warto jeszcze wspomnieć o parytecie płciowym, wszak kierunki humanistyczne w znacznej większości wybierane są przez kobiety. Na taki trend składa się wiele czynników, spośród których wymienimy tylko kształcenie kompetencji miękkich, potencjalną profesję nauczycielską czy ogólną niechęć do nauk ścisłych. I choć nikt nie odważy się dziś głośno postawić takiej tezy, to podskórnie podejrzewa, że feminizacja humanizmu (a zwłaszcza filologii) ma znaczący wpływ na jego popularny odbiór. Już w latach dziewięćdziesiątych Maciej Mielecki, w wierszu *im z polonistyki*, zawarł taki obraz koleżanek po fachu: „Są ciepłe jak kaloryfery w lipcu. Łatwe i trudne / w patrzeniu na nie. Mają swoje zasady i popękany / lakier na imitujących coś spinkach. W skórzanych / torbach noszą piórnik z Myszka Miki i podpaski”. Wpisany w wiersz obraz polskiego humanisty, żyjącego pomiędzy miłością do Stachury a pragnieniem nowego mercedesa, na stałe wpisał się w społeczne imaginariusz, podtrzymywane przez samą literaturę.

Do tej niespójności nawiązuje wszak Jerzy Pilch w *Spiśie cudzołożnic*, każąc swojemu bohaterowi, Gustawowi, asystentowi w Instytucie Polonistyki, opiekować się zagranicznym gościem, wybitnym humanistą ze Szwecji. Ten jednak

zamiast ołtarza Wita Stwosza w kościele Mariackim, Barbakanu i pomnika Adama Mickiewicza woli spotkanie z beautifil girl w jednym z krakowskich nocnych klubów. Zaskoczony i zarażony zażenowaną sytuacją Gustaw z doktora nauk humanistycznych przeistacza się w alfonsa, który próbuje znaleźć gościni odpowiednią dziewczynę. Rozdarty między iście polską gościnością a kompleksem Polski, który nakazuje wciąż dowodzenie wielkości narodu, powołując się na wielkie nazwiska: Słowackiego, Wojtyłę, Curie-Skłodowską, Kościuszkę, Chopina, Gustaw czuje się zagubiony, bezradny, sfrustrowany. Wyrazem tego będzie powtarzane z pijanym Szwedem zdanie: „We are two Protestants at the heart of Roman Catholic Poland”. Bycie protestantem w katolickim kraju staje się znakiem kulturowej mniejszości, pewnego rodzaju niszowości, wiążąc ów rys z wykonywanym zawodem. Bycie humanistą naznaczone jest w jakiś sposób odrębnością, życiową nieporadnością, a nawet szaleństwem.

Takie zachowanie zdradza profesor Brankowski, wykładowca częstochowskiej filologii, bohater *Stancji* Wioletty Grzegorzewskiej, który podczas wykładu „mruży szczerze oczka, kręci się przed katedrą, po czym zdejmując tweedową marynarkę, wskakuje na ławkę w pierwszym rzędzie (...) i prezentuje znaną z jogi pozycję kwiatu lotosu”. Bycie „freakiem” przeplata się tu z figurą nieporadności i całkowitym brakiem dystansu do siebie. Na ten ostatni aspekt zwraca uwagę Wit Szostak w satyrze na środowisko akademickie *Sto dni bez słońca*. Chociaż, jak deklaruje sam autor (*Każdy ma w sobie coś z Srebronia*. Rozmowa z Witem Szostakiem opublikowana w „Forum Książki” 2/2014), Lesław Srebrni mógłby być kimkolwiek, to wydaje się, że skumulowane w nim wady, „skłonność do samooszukiwania się, do obrony w rozpaczliwy sposób własnych iluzji”, idealnie wpisują się w potoczny obraz humanisty. Z biurokratycznej pomyłki bohater powieści wyprowadza misję rozślawienia nikomu nieznanego pisarza (Filipa Włócznika), dowartościowując tym samym siebie jako badacza. Srebrni jest przeko-



rys. Sławomir Makal

nany, że znalazł się pośród elity światowej humanistyki, choć w rzeczywistości znajduje się na wymyślnym uniwersytecie na wyspach Finnegana, daleko poza głównym i ważnym dyskursem naukowym, gdzie panuje, jak niegdyś scharakteryzowała akademickie środowisko Agata Bielik-Robson – „wtórnym rynek idei”.

Eksperti w niemodnej odzieży

Z powyższych obrazów wyłaniają się bardzo konkretne typy wizerunkowe polskich humanistów-filologów, obecne w popularnym obiegu za pośrednictwem powieści kryminalnej. Nie trzeba chyba przekonywać, że to właśnie kryminał jest dziś nową formą powieści obyczajowej, nowoczesną formą rejestracji społecznych napięć, zawierającą zapis obyczajów różnych środowisk i warstw społecznych, odprawianych rytuałów, wyznawanych poglądów, głoszonych ideologii. Przy okazji prowadzonych śledztw powieść kryminalna bada stosunki panujące wewnątrz grup społecznych, zawodowych, politycznych czy wyznaniowych, dzięki czemu można przyglądać się obowiązującym w danej kulturze wartościom. Jeśli niczym nadzwyczajnym dla kryminału nie jest wprowadzanie postaci profesorów z zakresu nauk medycznych, psychologicznych, chemicznych, a nawet geograficznych, to wykorzystanie postaci o humanistycznej proveniencji nie jest tak powszechne.

Jednym z kluczowych powodów wprowadzania naukowców reprezentujących filologię jest ich wiedza na temat komunikacji. W *Różach cmentarnych* autorskiego duetu Krajewski-Czubaj do pomocy policji zostaje powołana profesor Artemida Prociw-Bury, językoznawczyni z Uniwersytetu Gdańskiego, która pomaga określić idiolekt i socjolekt poszukiwanego mordercy. Właśnie poprzez podejście do języka zostaje opisany Jarosław Pater, komisarz warszawskiej komendy, który jako adept filologii poprawia kolegów, doprowadzając ich do szału, co zresztą zostaje mu wypomniane w chwili słabości, gdy „zaczęłeś gadać po ludzku. Nie jak ten profesor Bralczyk z telewizji. Jak tu przyjechałeś, to się krzywiłeś na gadki moich ludzi. Poprawiałeś ich, pouczałeś. Byli trochę na to wkurwieni, ale nie mieli nic do gadania. A teraz sam mówiłeś tak jak oni”.

Niezwykłość, a zarazem odrębność pracownika naukowego zostaje w przypadku Artemidy Prociw-Bury podkreślona niezwykłym zestawieniem imienia z nazwiskiem oraz ubiorem, na który zwraca uwagę komisarz Jarosław Pater: „Wyciągnięty i sprany T-shirt mocno kontrastował z modnymi okularami o potężnych oprawkach, które zasłaniały jej pół twarzy. Spod spódnicy wystawały stopy w sandałach i w kraciastych podkolanówkach”. Zewnętrzne obrazowanie wydaje się jednym z najważniejszych czynników identyfikujących współcześnie tożsamość akademika-humanisty. Pani profesor zdecydowanie wymyka się typowemu wizerunkowi, któremu odpowiada charakterystyczny dresscode: marynarka (zazwyczaj granatowa), biała koszula i coś pod szyją (krawat lub fular) jak w przypadku profesora Emilianowicza, u którego szuka porady komisarz Nawrocki z *Człowieka ostatniej szansy* Jarosława Klejnockiego, albo doktora habilitowanego Krzysztofa Wieczorka, bohatera powieści *Krew, pot i łzy*, który „Ubrany był w jasną, tweedową marynarkę ze sporymi łątami na łokciach. Miał wysoko podciągnięte, nieco zbyt duże spodnie ściśnięte w połowie torsu mocno wysłużonym, brązowym, skórzanym paskiem. (...) Na nosie miał duże okulary w cienkich oprawkach, które co chwilę poprawiał nerwowym ruchem, szybko mrugając przy tym oczyma”. Carla Mori do wizerunku dodaje okulary, które są nieodłącznym elementem obrazowania humanisty, dlatego Mario, policjant z powieści Wiktora Hagena (*Dzień zwycięstwa*) posługuje się tym stereotypem w ocenie podejrzanego: „Z wyglądu profesorek na uniwersytecie, okularki, gar-

niturek i teczuszka”. To samo powie o jednym z policjantów – Nemhauserze, pracującym w warszawskiej dochodzeniówce, że „ze swoim kucykiem, okularami, wyglądem doktoranta z uniwersytetu” nie pasuje do policyjnej roboty (*Granatowa krew*).

Z drugiej strony coraz częściej można spotkać pracowników wydziałów filologicznych, których wizerunek odstaje od typowego obrazu profesora. Tomasz Wroczyński, przdziekan do spraw studenckich Wydziału Filologicznego Uniwersytetu Warszawskiego, gdy spotyka się w *Południku 21* Jarosława Klejnockiego z komisarzem Ireneuszem Nawrockim z Komendy Stołecznej, ubrany jest w dżinsy, czerwoną koszulę i zamszową kurtkę. Wroczyński ręce trzyma w kieszeniach, a na szyi dynda mu smycz z pendrive'em. W *Ucieczkach Jakuba Krafta* tytułowy bohater, a zarazem profesor zagraniczny wizytujący polską uczelnię, to mężczyzna w średnim wieku, „cierpiący niewątpliwie na syndrom «buntownika z wyboru»”, o czym świadczą rozczochrane blond włosy i nieogolona twarz, które przywozili innym pracownikom na myśl kogoś bezdomnego. Kraft wygląda jak zagubione w czasie dziecko epoki punka: w scho-dzonych glanach i zielonej przydługawej kurtce. Jeszcze dalej idzie Klejnocki w portretowaniu zamkniętego na obserwację psychiatryczną i podejrzanego o morderstwo (nomen omen) Jarosława Klejnockiego, ubranego w granatowy drelich z pomarańczowymi lampasami na nogawkach. Ten szaleniec, zamknięty na oddziale obserwacyjnym, wydaje się literaturoznawczym wcieleniem Hannibala Lectera, geniusza zbrodni oraz zapalonego humanisty.

Kolekcja indywiduów

Zewnętrzne niedopasowanie uniwersyteckich pracowników zostaje zrekomensowane ich niepoślednią rolą, jaką odgrywają w śledztwach. Ich wiedza i umiejętności przyczyniają się, jeśli nie do bezpośredniego ujęcia sprawcy, to przynajmniej do wskazania właściwego tropu w śledztwie. Zamknięty w radomskim więzieniu Klejnocki podsuwa Nawrockiemu właściwy kontakt, jako wybitny historyk literatury XIX wieku wyjaśnia komisarzowi kontekst zbrodni, której przyczyną sięgają stowarzyszenia sztyletników i Juliusza Verne'a. Podobną ekspercką rolę pełnią: Krzysztof Wieczorek jako znakomity semiotyk, naprowadzający dziennikarkę na właściwy trop czy Sebastian Gralak, doktorant profesor Prociw-Bury, który bez trudu wyjaśnia zagadkową frazę pozostawioną na miejscu zbrodni w *Różach cmentarnych*. Pomimo odpychającej często aparycji, humaniści, wyspecjalizowani w sztuce języka, komunikacji i symbolicznego imaginariu, doskonale wypełniają swoją rolę.

Wydaje się zatem, że powieść kryminalna silnie funkcjonalizuje postaci akademików. Z jednej strony wykorzystuje ich umiejętności do budowania fabuły, wyjaśniania motywacji bohaterów, polaryzowania stanowisk śledczych. Tym samym ich obecność w świecie przedstawionym uzasadniona jest specjalistyczną i wysoko cenioną wiedzą, podobnie jak ma to miejsce w przypadku przedstawicieli nauk ścisłych, medycznych czy przyrodniczych. Z drugiej strony obecność humanistycznych naukowców wprowadza do powieści element kolorytu. To co w potocznym obiegu uznawane jest za przejaw negatywności (społeczne niedostosowanie, finansowa bezradność, życiowa nieporadność i inne), w powieści jawi się jako atrakcja. W przeciwieństwie do swoich kolegów z nauk ścisłych, którzy zazwyczaj przedstawiają się w sposób bezpłciowy, wręcz nudny, humaniści stanowią prawdziwą kolekcję indywiduów, zawsze gotowych, by zabrać głos.

Prof. dr hab. Adam Regiewicz, Uniwersytet Humanistyczno-Przyrodniczy im. Jana Długosza w Częstochowie, Wydział Humanistyczny, Instytut Literaturoznawstwa

Ewaluacja dyscyplin w środowisku punktozy

Dla mnie minimum, które przed najbliższą ewaluacją dyscyplin musi wykonać KEN, to zwrócić się z apelem do jednostek, aby w spisie dorobku publikacyjnego przedstawionego do ewaluacji nie wykazywać tych publikacji, które ukazały się w wydawnictwach umieszczonych na listach Predatory Publishers (np. IBIMA Publishing czy „European Research Studies Journal”).

Problem punktozy nasilił się odkąd w życie weszła Ustawa 2.0. Nowe uregulowania dotyczące ewaluacji dyscyplin spowodowały, że już wcześniej krytykowany system punktowy ujawnił swoje wady ze szczególnym nasileniem. Do najdotkliwszych z nich należą: przymus ustawicznego publikowania przez pracownika, nawet wtedy gdy aktualny stan zaawansowania badań nie daje ku temu podstaw, lobbiny i korupcja związane z agresywną działalnością tzw. hakerów nauki, a wreszcie negatywny wpływ punktozy na morale młodych pracowników, którzy dochodzą do wniosków, że nie ma sensu prowadzenie porządnych, a więc z konieczności wieloletnich prac badawczych. Wystarczy dwa tysiące dolarów, do tego dołączyć „literature review” i efekt punktowy ten sam.

Trudno wskazać zalety systemu punktowego, gdyż autorzy tej koncepcji gdzieś zniknęli. Nikt nawet nie próbuje, choćby w trakcie dyskusji prowadzonej m.in. na łamach „Forum Akademickiego”, bronić tego pomysłu. Moim zdaniem jedyna jego zaleta jest taka, że ułatwia on pracę osobom zarządzającym polską nauką i to na każdym szczeblu. Wystarczy jedno kliknięcie myszką, aby na ekranie komputera pojawiły się dane świadczące o tym, że uczelnia A (8 tys. pkt) jest gorsza od uczelni B (10 tys. pkt), a z kolei uczelnia B do pięt nie dorasta uczelni C, która tych punktów naściboliła 100 tys. W ten sam prosty sposób, korzystając z komputerowego systemu ewaluacyjnego, można klasyfikować wydziały, katedry, poszczególnych pracowników naukowych. Wniosek z tego taki, że hierarchowie życia akademickiego nie oddadzą łatwo wygodnego narzędzia ewaluacji.

W działaniach ewaluacyjnych wymagana jest ocena wielokryterialna, także jakościowa. Ale, jak piszę w swoim artykule pt. *Uczelnie w czasie punktozy* (FA 5/2021), „moc dorobku punktowego jest zwykle bezkonkurencyjna. Jednoznaczne kryterium ilościowe zawsze zdominuje rozmyte kryteria jakościowe, zwłaszcza gdy czasu jest mało, gonią inne sprawy na mieście, a podmiotów do oceny dużo. Także decyzja wydana na podstawie kryterium ilościowego zwykle się obroni w przypadku wszelkich odwołań, reklamacji, a nawet sporów sądowych”. W dalszej części artykułu przyjrzymy się, jak system

punktowy, ze wszelkimi jego wadami i praktycznie brakiem zalet, wpłynie na zbliżającą się ewaluację jednostek.

Haker nauki opublikuje wszystko

Zasady ewaluacji nauki za pomocą systemu punktowego mają swoje umocowanie ustawowe: Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce z dn. 20 lipca 2108 r., dział 6. Ewaluacja jakości kształcenia, ewaluacja szkół doktorskich i ewaluacja jakości działalności naukowej, rozdz. 3. Ewaluacja jakości działalności naukowej. Przypomnijmy, że zgodnie z ustawą ewaluacja dyscypliny następuje na podstawie osiągnięć wymienionych w art. 265, a w szczególności w ust. 6. Ten akt prawny usankcjonował metodę punktową przy ocenie osiągnięć polegającą na tym, że (art. 265 ust. 10) „Wydawnictwom, czasopismom i materiałom z konferencji, (...), przypisuje się punkty będące miarą ich renomy”. I dalej zgodnie z art. 267 ust. 2 minister właściwy do spraw szkolnictwa wyższego i nauki określa zasady sporządzania wykazu wydawnictw, czasopism naukowych i recenzowanych materiałów z konferencji międzynarodowych oraz sposób ustalania i przypisywania im liczby punktów, mając na uwadze uznaną renomę czasopism i materiałów z konferencji.

Ustawa powołała Komisję Ewaluacji Nauki, w skrócie KEN (art. 271 ust. 1), w celu permanentnego nadzoru nad poprawnością wszelkich działań związanych z ewaluacją nauki. Do zadań KEN należy przede wszystkim: przeprowadzanie ewaluacji działalności naukowej, przygotowywanie projektów wykazów czasopism i konferencji wraz z przypisaniem im odpowiedniej wyceny punktowej, a także sporządzanie analiz w zakresie ewaluacji działalności naukowej.

Od momentu opublikowania wykazu, o którym mowa w art. 267, polski system punktowy stał się obiektem zmasowanego, bezwzględnie ataku hakerów nauki z całego świata. Błyskawicznie zorientowali się, że wprowadzona Ustawą 2.0 ewaluacja punktowa daje niepowtarzalną możliwość wyssania z budżetu polskiej nauki gigantycznych pieniędzy.

Hakerzy nauki to grupa osób powołująca predatory / fake journal, a następnie poprzez odpowiednie zabiegi (lobbying,

korupcja) doprowadzająca do umieszczenia wydawnictwa w ministerialnym wykazie czasopism z odpowiednio wysoką punktacją. Za predatory journals można uznać „czasopisma, w których publikowane prace naukowe nie podlegają ocenie eksperckiej lub wykonana jest ona w oparciu o bardzo niskie standardy. Czasopisma te mają charakter wydawnictw publikujących w tzw. otwartym dostępie (*open access*), często oferują swe usługi po wygórowanych cenach, z krótkim procesem publikacyjnym” (cytat z listu dyrektora Narodowego Centrum Nauki z 18.09.2018).

Nie bawmy się jednak w niuanse. Haker nauki opublikuje wszystko, co mu wysłesz, pod warunkiem, że do artykułu dołączysz dwa tysiące dolarów; zwrótnie otrzymasz zaświadczenie o bonusie w postaci odpowiedniej liczby punktów ewaluacyjnych. Do jednego z hakerów wysłałem anglojęzyczną wersję regulaminu studiów swojej macierzystej uczelni. Otrzymałem odpowiedź, że przyjęli wraz z gratulacjami za wysoki poziom naukowy – czekają na pieniądze.

Demolka systemu punktowego

Atak agresywnego biznesu wydawniczego po opublikowaniu wykazów spotkał się z zerowym oporem ze strony osób i instytucji ustawowo odpowiedzialnych za jakość i bezpieczeństwo nauki polskiej. W efekcie trwające od prawie dwóch lat bezkarne działania hakerów wewnątrz polskiego systemu punktowego spowodowały taką jego demolkę, że w praktyce, przynajmniej w niektórych dziedzinach (zarządzanie, ekonomia), system utracił kompletnie wiarygodność jako narzędzie ewaluacji dyscyplin.

Przyjrzyjmy się wpływowi hakerów na potencjalne wyniki ewaluacji na przykładzie konferencji IBIMA, którą firmuje International Business Information Management Association. Ta typowa fake konferencja organizowana jest przez Khalida S. Solimana nieposiadającego żadnych akademickich afiliacji, a wspierana przez egzotycznie wyglądający Komitet Programowy. Konferencja IBIMA została wydalona z listy CORE Rankings, a organizator IBIMA Publishing jest umieszczony na liście predatory publishers (*List of Predatory Publishers | Stop Predatory Journals*). Mimo to KEN dalej traktuje publikację na IBIM-ie jako dokonanie naukowe o uznanej renomie warte 70 pkt.

Jeżeli podczas zbliżającej się ewaluacji będziemy oceniać jednostki jedynie na podstawie aktywności publikacyjnej pracowników na IBIM-ie, to najlepszą uczelnią w Polsce jest Uniwersytet Ekonomiczny we Wrocławiu: 334 teksty, 23380 punktów, do kieszeni p. Solimana – zapewne coś około 110 tys. dolarów; dalej Politechnika Częstochowska: 269 tekstów, 18830 punktów, 90 tys. dol.; Uniwersytet Szczeciński 147 tekstów, 10290 pkt, 45 tys. dol. Oceniam, że z budżetu polskiej nauki na rachunek p. Solimana transferuje się kwoty rzędu 0.5 mln dol. rocznie.

Osobiście przy najbliższej ewaluacji stawiabym jednak na Uniwersytet Szczeciński jako lidera w kategorii „ocena działalności naukowej”. Uczelnia ta zastosowała oryginalne podejście do oferty hakerów. Nie tylko z niej chętnie korzysta, lecz także co najmniej współpracuje z fake journal, jakim jest „European Research Studies Journal” (<https://www.ersj.eu/issues>), koszt publikacji 1600 euro, 100 punktów ewaluacyjnych! O związkach pomiędzy ścisłym kierownictwem Uniwersytetu Szczecińskiego, a greckimi założycielami ERSJ Marek Wroński pisał w FA 3/2021. To nieindeksowane przez Web of Science i usunięte ze Scopusa czasopismo (luty 2021, powód: publication concerns) zostało przez p. Jolantę Szczepaniak umieszczone w wykazie stanowiącym aneks do artykułu *Potencjalnie drapieżne w wykazie czasopism* (FA 4/2021). W spisie treści numerów specjalnych ERSJ wyraźnie dominują autorzy z Pol-

ski. Przykładowo ostatni numer ERSJ v. XXIV, nr 1 zawiera sto artykułów, w tym autorstwa polskich naukowców – 97. Tylko na tym jednym numerze organizatorzy przekreślili 200 tys. dolarów z budżetu polskiej nauki. Wydaje mi się, że KEN w ramach swoich funkcji nadzoru powinna tę sprawę zgłosić do prokuratury, w końcu za wyprowadzenie mniejszych sum zwykli ludzie idą do pudła na parę lat.

Kiedy zgłosiłem do ERSJ – oczywiście w ramach prowadzonego przeze mnie eksperymentu badawczego – chęć opublikowania artykułu, otrzymałem od wydawcy wzorzec poligraficzny w postaci artykułu *The Problem of Bankruptcy in Listed Companies* sygnowany przez Waldemara Tarczyńskiego, Małgorzatą Tarczyńską-Luniewską i Kingę Flagę-Gieruszyńską. Poza publikowaniem w ERSJ prof. Tarczyński pełni także funkcję rektora Uniwersytetu Szczecińskiego na kadencję 2020-2024.

Oryginalny sposób naganiania

Także na liście uczelni sponsorujących predatory publisher, jakim jest IBIMA, Uniwersytet Szczeciński zajmuje medalowe trzecie miejsce. A propos, interesująca obserwacja: ciekawy ludek z tych polskich naukowców. Zawsze, gdy badałem jakiś fake journal, zauważałem wyraźną nadreprezentację naszych rodaków. Przykładowo na IBIM-ie jesteśmy drudzy, za Rosją, a przed Rumunią.

Oryginalny sposób naganiania młodych pracowników nauki do publikowania na łamach ERSJ zastosował Uniwersytet Mikołaja Kopernika w Toruniu. Otóż za jeden artykuł umieszczony w ERSJ młody naukowiec otrzymuje stypendium naukowe z rąk rektora (<https://portal.umk.pl/pl/article/nagrodeni-za-publicacje>). Także ta wiodąca uczelnia, wyróżniona jako uniwersytet badawczy, preferuje publikowanie swoich przełomowych dokonań na IBIM-ie – siódme miejsce na liście polskich uczelni najczęściej publikujących na IBIM-ie. Obserwując to wszystko, patron uczelni zapewne przewraca się w grobie.

Przy najbliższej ewaluacji nauki w prezentowanym do oceny spisie dokonań na pewno poczesne miejsce zajmą publikacje firmowane przez MDPI – MultiDisciplinary Publishing Institute. Ten chiński koncern specjalizuje się w wywieszaniu w sieci publikacji naukowych. MDPI prowadzi bardzo inteligentną grę, polegającą na znalezieniu takiego sposobu prowadzenia biznesu, aby z jednej strony móc wywieszać w sieci rocznie 120 tys. artykułów i kasować 200 mln dol. w APF (Article Processing Fee), z drugiej, nie narazić się na zarzuty, że niektóre czasopisma MDPI balansują na granicy predatory journal.

W stosunku do MDPI prof. Jeffrey Beall, autor słynnej listy Bealla, sformułował zastrzeżenia w artykule *Chinese Publisher MDPI Added to List of Questionable Publishers*, Scholarly Open Access. Większość tych zarzutów pozostaje aktualna do dziś, zwłaszcza: „its mission is to earn as much money as possible through article submissions, the publisher regularly accepts questionable papers”. Około 5% artykułów wywieszanych przez MDPI pochodzi z Polski, co także jest przykładem nadreprezentacji polskich naukowców. Wydatki z budżetu polskiej nauki z tytułu APF można oszacować na ok. 10 mln dol.

Kluczem do sukcesu MDPI jest przede wszystkim agresywny marketing, typowy raczej dla sprzedawców bielizny niż poważnego wydawnictwa naukowego. Wydawca ten ogłasza co chwila oferty typu Black Friday czy Happy Tuesday, proponując czasowe obniżenie APF do 1500 czy 1000 franków szwajcarskich. Mogą zejść nawet do 100 dol., a i tak wyjdą na swoje. Koszty publikacji w sieci są znikome. Tym bardziej że wydawnictwa nie płacą ani autorom, ani recenzentom – najwyżej oferując bonusy w postaci obniżenia tym osobom APF. Praktycznie cały APF idzie do kieszeni organizatorów biznesu publikacyjnego. Wiem, co piszę, przez dziesięć lat byłem co-editorem

czasopisma indeksowanego przez Web of Science. Policzyłem koszty wywieszenia artykułu w sieci. Serwer oferujący pamięć 1.5 TB jest do wynajęcia za 100 tys. zł. Proszę to przykładowo podzielić przez 120 tys. artykułów rocznie – wychodzi mniej niż 20 centów.

Przy tego typu agresywnej promocji ważną rolę odgrywa sieć osobistych kontaktów w relacji wydawnictwo – profesura uczelni. Praktycznie w każdej dużej uczelni, zwłaszcza wśród tzw. osób funkcyjnych, wydawnictwa publikujące na masową skalę mają swoich „rezydentów” otoczonych wiernymi „naganiaczami” opłacanymi poprzez udział w pozyskanym APF. Łatwo ich zidentyfikować, wystarczy tylko obserwować, kogo i co promują w ofertach rozsyłanych wśród podwładnych i znajomych. Casus MDPI jest o tyle ważny, że obserwując tempo ekspansji MDPI, można przypuszczać, że w ciągu kilku lat koncern ten zmonopolizuje polski rynek wydawnictw naukowych, a tym samym będzie miał decydujący wpływ na przebieg ewaluacji nauki.

Źródło problemów

Oczywiście to nie uczelnie spowodowały, iż w niektórych ważnych dziedzinach nauki system punktowy stracił wiarygodność. Choć bez wątpienia wiele jednostek (rektorów?) mogłoby podejść z większą rezerwą do zjawiska masowego publikowania pracowników w wydawnictwach o co najmniej dyskusyjnej proweniencji. Źródła problemów z hakerami należy szukać w KEN-ie. Przypomnijmy: organ ten jest odpowiedzialny za „przygotowywanie projektów wykazów czasopism i konferencji wraz z przypisaniem im odpowiedniej wyceny punktowej”. Zgodnie z art. 274 KEN ma za zadanie z własnej inicjatywy, p. ust. 4, 6, sporządzanie opinii, ocen w zakresie wszelkich spraw, które mają wpływ na poprawność procesu ewaluacji. KEN nie jest instytucją powołaną ad hoc, działa w sposób permanentny, w sposób ciągły są kasowane pensje i diety. Tym samym wymienione wyżej zadania także powinny być realizowane w sposób ustawiczny poprzez bieżące monitorowanie sytuacji w polskiej nauce, zwłaszcza w obszarze czasopism i konferencji naukowych.

KEN była stale informowana, że polski system punktowy jest obiektem ataku agresywnych wydawców. Wiele osób, w tym niżej podpisane, kierowały pisma alarmujące, że punkty za publikacje są przedmiotem



Fot. Stefan Ciechan

sprzedaży. W „Forum Akademickim” ukazały się liczne artykuły sygnalizujące ten problem (E. Radościński, *Punkty na sprzedaż*, FA 3/21). Czy KEN zabrała głos w tej dyskusji? Jest przecież ustawowo (art. 274 ust. 1 pkt 6) zobligowana do sporządzania analiz w zakresie ewaluacji jakości działalności naukowej. Czy sporządziła choć jedną analizę dotyczącą wpływu tego rodzaju działalności wydawniczej na jakość systemu punktowego? Niestety po sporządzeniu wykazu i skonsumowaniu obfitego budżetu z pieniędzy podatników komisja zapadła w zimowy letarg, z którego się nie obudziła do dzisiaj.

A przecież mogła zrobić wiele. Na podstawie twardych faktów mogła poradzić ministrowi, aby wszczął procedurę usunięcia z wykazu czasopism, które zostały napiętnowane na listach Predatory Journals czy też Predatory Publishers, jak na przykład IBIMA Publishing. Do tego nie trzeba powoływać kolejnych pięćdziesięciu zespołów. Tak jak całkiem niedawno minister podniósł „wycenę” niektórych czasopism, tak samo można było zwrócić się do niego o pilne usunięcie, albo przynajmniej zmniejszenie wyceny punktowej niektórych tytułów. Upoważnienie takie zawarte jest w ustawie art. 267 ust. 2. Jeżeli KEN się obawia, że oznacza to negację praw nabytych (nie podzielałam tego zdania), to komisja powinna przynajmniej sporządzić własną listę (typu wykaz Jolanty Szczepaniak) adresowaną do polskiego środowiska naukowego. Na pewno apel o unikanie pewnych czasopism i konferencji skierowany do środowiska przez cieszącą się zaufaniem komisję podziałałaby. W ten sposób można by choć częściowo ograniczyć aktywność szczególnie agresywnych hakerów i zapobiec wypływowi setek tysięcy dolarów z budżetu polskiej nauki do kieszeni predatory publishers.

Jeżeli ktoś ma wątpliwości co do jakości pracy KEN, to wystarczy zajrzeć na stronę internetową z protokołami z posiedzeń za 2021 r. (Protokoły KEN – 2021 r. – Ministerstwo Edukacji i Nauki – www.gov.pl). To, co tam zobaczymy, w slangu informatycznym określa się jako świńskie pastwisko (pig pasture). Takiego lekceważenia otoczenia przez komisję afiliowaną przy ministerstwie, mającą swe umocowanie ustawowe, dysponującą sporym budżetem, jeszcze nie widziałem. Proszę zajrzeć do tych protokołów: dwa, trzy zdania, odwoływanie się do nieistniejących załączników. Masakra! A poza tym mamy czerwiec 2021, a protokoły wywieszono dwa, ze stycznia i marca.

Założmy własny, polski odpowiednik MDPI

Jak zatem w świetle tych faktów będzie wyglądała najbliższa ewaluacja jakości działalności naukowej? Prawdę mówiąc, już jest pozamiatane. Dokonania dokonane, punkty policzone. Punkty uzyskane nawet od najbardziej powiązanych ze światem przestępczym hakerów czy też wydawców umieszczonych na liście Predatory Publishers zostały naliczone zgodnie z wykazem czasopism i nikt nie ma prawa ich negować. Oczywiście na początku ewaluacji będzie trochę zamieszania, jakieś reklamacje, kwestionowanie ze strony „porządných” uczelni dorobku punktowego tych, które w sposób wyjątkowo bezczelny kupowały punkty u hakerów. Ale jak to u nas: jeszcze nigdy tak nie było, żeby jakoś nie było. Na reklamacje się odpisze, uczelniom, które będą wyjątkowo pyszczyć, coś się dorzuci albo się je trochę postraszy. I będzie dobrze. Rozpocznie się kolejny okres ewaluacyjny, miliony dolarów znowu będą płynąć do hakerów, a z powrotem kwity z punktami. Ciekawe, co by na to powiedziały rzesze sprzątaczek, pielęgniarek, kierowców, którzy ze swoich podatków łożą na zabawę zwaną polską nauką.

Puszczając wodze fantazji nie do spełnienia, myślę jednak, że ewaluacja powinna zmierzać w kierunku oceny jakościowej, tekstowej – typu peer review. Marginalnie traktując liczbę zebranych punktów, grupa ekspertów powinna przygotować

wielostronicową ocenę jednostki wskazującą na kilka, ale rangi światowej, osiągnięć, punktującą określone ułomności przedstawionego dorobku, formułującą rady, jak powinien się kształtować dalszy rozwój naukowy uczelni. Przede wszystkim powinien być jednak oceniony stan kadrowy uczelni, czy są tam tak zwane Names, a zatem osoby ze względu na dokonania rozpoznawalne, znane w wymiarze światowym, a co najmniej europejskim. A może wniosek będzie wręcz przeciwny: dorobek ilościowy jest imponujący, ale w sumie jednostka jest przechwalnią miernot, które potrafią sprytnie wykorzystywać patologie systemu punktowego? Ale znowu wracamy do świata realnego – komu będzie się chciało robić takie recenzje?

Dla mnie minimum, które przed najbliższą ewaluacją musi wykonać KEN, to zwrócić się z apelem do jednostek, aby w spisie dorobku publikacyjnego przedstawionego do ewaluacji nie wykazywać tych publikacji, które ukazały się w wydawnictwach umieszczonych na listach Predatory Publishers (np. IBIMA Publishing czy „European Research Studies Journal”).

Na koniec mój pomysł autorski mający trochę formę prowokacji intelektualnej. Koszty, jakie ponosi budżet polskiej nauki z tytułu APF, są horrendalne – ponad 100 mln zł rocznie (to dane z MEiN). Jak pisze profesor Grzegorz Węgrzyn, spełnienie przez każdego pracownika nauki wymogów ewaluacji będzie nas kosztować 1 mld zł. Co w zamian dostajemy? Rutynową i raczej pobieżną obróbkę redakcyjną, przyklejenie etykiety czasopisma i wywieszenie artykułu w sieci, za co płacimy 1 mld zł – trochę grosza. Moja propozycja jest następująca. Założmy własny, polski odpowiednik MDPI. Nazwijmy go Narodowy (rozumie się samo przez się!) Instytut Rozpowszechniania Polskiej Myśli Naukowej (NIRPMN). Instytut ten będzie wywieszał bezpłatnie w sieci publikacje naukowe polskich autorów. Aby zapewnić minimalny poziom merytoryczny, każdy artykuł będzie recenzowany, a konkluzja będzie jedna: nadaje się / nie nadaje się do wywieszenia pod egidą NIRPMN. Moim zdaniem zagwarantuje to, że przeciętny poziom merytoryczny artykułów zaakceptowanych przez NIRPMN, nie będzie gorszy niż średnia w formule OA. Otworzy to drogę do akceptacji NIRPMN przez witryny typu Web of Science.

Proponowałbym całkowite zignorowanie drugo- i trzeciorzędnych wydawnictw i zaprzestanie płacenia im haraczu w postaci APF. Publikowanie za opłatą dopuściłbym jedynie w odniesieniu do czasopism z listy filadelfijskiej. W ten sposób polska nauka zaoszczędziłaby minimum 500 mln zł bez jakiegokolwiek uszczerbku na prestiżu.

Oczywiście pomysł ten spotka się ze wzruszeniem ramion, zostanie obśmiany – tak najłatwiej. Inni zaczną mnożyć zastrzeżenia, że na przykład akceptacja przez Web of Science to zmuszony proces. Hakerom jednak się udaje wejść na Web of Science, uzyskać 100 pkt w KEN, trzeba tylko chcieć. Proszę pamiętać, chodzi o sumy liczone w setkach milionów złotych a zatem – placet experiri.

Mój kolejny artykuł będzie dotyczyć indywidualnej oceny pracowników. Jednak już dziś mogę stwierdzić, że: indywidualna ocena pracownika na podstawie systemu punktowego nie ma umocowania prawnego, przynajmniej na poziomie ustawowym; na uczelniach ocena tego typu w stosunku do pracownika jest bezprawna, można wykazać, że indywidualna ocena pracownika oparta na systemie punktowym stanowi naruszenie przepisów Kodeksu Pracy.

Edward Radościński
profesor tytularny nauk ekonomicznych
radosinskie@gmail.com

Artykułem Tomasza Pawłuszki otwieramy cykl o nowych kierunkach badań społecznych. Interesują nas kierunki, które wyłoniły się w ostatnich latach na świecie, a także już te ugruntowane, które zmieniły swoje oblicze. Jakie są źródła powstawania nowych kierunków badań? Które z nich mają największy potencjał? Jaki wpływ na kształt nauk społecznych wywiera polityka prowadzona przez redakcje czasopism naukowych? Jakie znaczenie mają mody, ideologie, polityka i inne czynniki pozanaukowe? Które kierunki porzucono ze szkodą dla rozwoju nauki? Jakie konsekwencje mają ostatnie przemiany w badaniach społecznych? Czy istnieje polska specyfika w tych badaniach?

Redakcja

Tomasz Pawłuszko

Kondycja nauk o bezpieczeństwie

W 2021 roku mija dekada od utworzenia nowej dyscypliny nauk społecznych, jaką są nauki o bezpieczeństwie. Początkowo wraz z naukami o obronności miała ona zastąpić dawne nauki wojskowe i otworzyć je na środowiska cywilne. W 2018 roku tematykę nauk o obronności włączono do nauk o bezpieczeństwie. W niniejszym tekście przyjrzymy się kondycji tej gałęzi wiedzy.

Interdyscyplinarny temat badań

Powstawanie nowych nauk społecznych nie jest w ostatnich dekadach niczym dziwnym. Badania naukowe rozwijają się zazwyczaj poprzez obserwację nowych zjawisk społecznych, jak i poprzez wynalazki. W przypadku studiów społecznych dominuje oczywiście ten pierwszy przypadek. W ciągu ostatniego półwiecza rozwinęły się na przykład studia miejskie (urban studies), studia nad pokojem (peace research) czy studia nad rozwojem (development studies). Ważne naukowo stały się też badania na pograniczu tradycyjnych dyscyplin, takie jak geografia ekonomiczna, socjologia rozwoju i polityka gospodarcza. Oprócz wymienionych dwóch przyczyn rozwoju nauk należy dodać przyczynę trzecią. Jest to potrzeba kształcenia dla praktyki. To właśnie ona odpowiada za rozwój nauk o bezpieczeństwie, których genezę niektórzy wiążą z kształceniem służb mundurowych. Potencjał tych nauk wydaje się jednak o wiele szerszy.

W klasyfikacji OECD nie istnieją osobne nauki o bezpieczeństwie. Problematyka bezpieczeństwa jest raczej polem badawczym dla wielu różnych nauk. Należą do nich politologiczne studia bezpieczeństwa (security studies) i studia strategiczne (strategic studies), historia wojen i wojskowości (war studies), nauki wojskowe (military science), nauki policyjne (police studies), inżynieria bezpieczeństwa i pożarnictwo (safety science) czy studia nad obronnością (defence studies). Nie należy zapominać o ważnych tematach badawczych, takich jak bezpieczeństwo żywnościowe i bezpieczeństwo ekonomiczne (ekonomia), jak i bezpieczeństwo społeczne i jednostkowe (socjologia, polityki publiczne, psychologia). W efekcie uzyskujemy konglomerat różnych tematów i podejść do ich wyjaśniania. Brak ustalonego kanonu wiedzy może być tu zarówno szansą, jak i kłopotem. Wielu badaczy pod hasłem „bezpieczeństwo” rozumie

zupełnie inne rzeczy. Rozdźwięk pomiędzy powyższymi ujęciami jest też zauważalny w Polsce. Dotyczy to wszystkich kluczowych aspektów powstającej nauki, takich jak: wykształcenie uczonych, używane teorie, cytowania, tłumaczenia zagraniczne, tematyka periodyków naukowych, towarzystwa naukowe, oferowane kierunki studiów etc. Przyjrzymy się tym aspektom po kolei.

Powstawanie nowej nauki

Bezpieczeństwo narodowe i bezpieczeństwo wewnętrzne to kierunki dydaktyczne, które w wielu miejscach wyparły studia politologiczne. W rozmowach studenci często deklarują, że po studiach chcieliby trafić do rozmaitych instytucji bezpieczeństwa, takich jak wojsko, straż graniczna lub policja. Z pewnością dostęp do tych struktur jest bardziej osiągalny i oferuje lepsze perspektywy zawodowe niż w przypadku „branż” polityki i dyplomacji, które kojarzą się ze studiami politologicznymi. Nasylenie rynku pracy absolwentami politologii i stosunków międzynarodowych wywołało przekonanie społeczne, że studia te „nie dają pracy” i „nie kojarzą się z popularnym zawodem”. Kierunki związane z bezpieczeństwem otwierano jednak głównie na wydziałach prawa i politologii, co sprawiło, że nauki o bezpieczeństwie cechują się znacznym podobieństwem do nauk o polityce i administracji oraz prawa.

Piszę o tym dlatego, że powstawanie nowej nauki opiera się zawsze na kadrach z nauk pokrewnych i na zasobach wiedzy zastanej. W przypadku nauk o bezpieczeństwie środowisko naukowe tworzą badacze wywodzący się z nauk politycznych, wojskowych, prawnych, pedagogicznych i pokrewnych. Naukowcy dostosowali podejmowane badania do bieżącej pracy dydaktycznej. Większość z nich zajmuje się dziś problemami bezpieczeństwa narodowego i lokalnego. Tymczasem używane

w kilku popularnych w obiegu podręcznikach teorie pochodzą raczej z obszaru bezpieczeństwa międzynarodowego (realizm, liberalizm, konstruktywizm to teorie stosunków międzynarodowych). Teorie te – bez odpowiedniego przystosowania – nie nadają się do wyjaśniania zjawisk lokalnych. W efekcie prace z obszaru bezpieczeństwa narodowego cechuje raczej uproszczony instytucjonalizm, czyli komentarz do ustawy i aktów prawnych niższego rzędu powołujących daną instytucję bezpieczeństwa. Tłumaczenia prac zagranicznych na polski w zasadzie nie występują, zarówno jeśli chodzi o teorię bezpieczeństwa, jak i studia szczegółowe nad wojnami, konfliktami, zarządzaniem kryzysowym czy funkcjonowaniem służb mundurowych w różnych warunkach. W monografiach i periodykach naukowych prace zagraniczne cytowane są rzadko. Do połowy 2021 roku tylko jedno z polskich czasopism z obszaru nauk o bezpieczeństwie było notowane w bazach Scopus, był to „Przegląd Strategiczny” z poznańskiego UAM.

Nauki o bezpieczeństwie ukonstytuowały się zatem, opierając się głównie na lokalnym obiegu wiedzy. Głównym uzasadnieniem tego faktu jest często deklarowana konieczność kształcenia żołnierzy, policjantów, strażaków, służb specjalnych i innych formacji kojarzonych z bezpieczeństwem państwa. Podawana im wiedza ma być możliwie „praktyczna”. Czy jednak uzasadnia to odchodzenie od przeglądu stanu badań na świecie? Jak zresztą wykonać taki przegląd, skoro nie ma ustalonego kanonu wiedzy o bezpieczeństwie różnych podmiotów czy instytucji (człowieka, grupy, regionu, państwa etc.)? Budowa wiarygodnych teorii i opartych na nich studiów szczegółowych pozostaje głównym wyzwaniem dla polskiego środowiska badaczy bezpieczeństwa.

W zakresie recepcji światowego stanu badań istnieją w Polsce pewne różnice. Badacze bezpieczeństwa międzynarodowego wywodzący się z nauk o polityce orientują się raczej na dyskurs międzynarodowy i w cytowaniach ich tekstów zauważamy

studia przypadków z różnych państw. Badacze bezpieczeństwa wewnętrznego czy lokalnego są na to mniej otwarci. W efekcie ukonstytuowały się w Polsce dwa obiegi wiedzy naukowej. Uczelnie cywilne skupiają się na rozwoju studiów strategicznych, badaniu resortów siłowych i polityki bezpieczeństwa różnych państw. Uczelnie wojskowe i służb państwowych zajmują się raczej lokalnymi i prawnymi aspektami bezpieczeństwa. Różnice widzimy w tematyce i miejscach publikacji, kierunkach cytowań, a także w obszarach programowych konferencji i powoływanych towarzystw naukowych.

Pewnego rodzaju specjalizacja obu środowisk wokół różnych aspektów bezpieczeństwa nie jest niczym złym. Ramy prawne wyznaczone przez Ustawę 2.0 wskazują jednak wyraźnie oczekiwane obszary rozwoju nauki. Są nimi aktywność publikacyjna i umiędzynarodowienie. Rozproszenie sił i dorobku naukowego może zatem działać na niekorzyść nowo powstającej nauki.

Struktura badań nad bezpieczeństwem

W 2018 roku opublikowałem wyniki kwerendy na temat zawartości głównych czasopism naukowych w obszarze studiów bezpieczeństwa (security studies). Do kwerendy wybrałem ukazujące się przez ćwierć wieku woluminy periodyków, takich jak: „International Security”, „Security Studies”, „Security Dialogue”, „Journal of Strategic Studies”, „Journal of Peace Research” oraz „Journal of Conflict Resolution”. Czasopisma te mają od dekad najwyższe wskaźniki wpływu na kształt debaty nad bezpieczeństwem w świecie nauk społecznych. Odnotowywane są one zarówno w globalnych rankingach nauk o polityce, jak i w rankingach nauk wojskowych. Moim celem było wówczas dokonanie przeglądu głównych tematów badawczych na świecie pod kątem poszukiwania dobrych praktyk dla debaty w Polsce. Dwa lata później rozszerzyłem studia na badania porównawcze międzynarodowych podręczników i sylabusów z wiodących uczelni światowych oraz bazy danych i wskaźniki uży-



Fot. Stefan Ciechan

wane w nauce i dydaktyce bezpieczeństwa narodowego oraz międzynarodowego.

Wykonane przeglądy pozwoliły wskazać istnienie trendów zasadniczo zbieżnych z założeniami ogólnymi Ustawy 2.0. Zdecydowanie rośnie umiędzynarodowienie wiodących czasopism, poziom teoretycznego wyrażania, znaczenie badań ilościowych, zakorzenienie w teorii i filozofii nauk społecznych oraz interdyscyplinarność podejmowanych tematów. Współcześnie do studiów nad bezpieczeństwem kwalifikowane są zarówno tematy tradycyjne (np. odstraszanie, wojny, powstania, negocjacje), jak i takie jak: psychologia zagrożeń, konflikty społeczne, przemoc seksualna, mesjanizm, mentalność terrorystów, bezpieczeństwo miast, tortury, reputacja, etnografia bezpieczeństwa czy wirtualizacja przemocy i wiele innych. Większość tych tematów jest nieobecna w polskim dyskursie, co jest pokłosiem zarówno wspomnianego braku tłumaczeń zagranicznych, jak i braku dostępu do najnowszych baz czasopism w obszarze nauk społecznych (sam korzystałem z baz i bibliotek DGAP w Berlinie i PISM w Warszawie). Uczelnie polskie przyjęły bowiem przedziwne założenie, że do rozwoju badań na europejskim poziomie wystarczy samokształcenie badaczy na potrzeby lokalnej dydaktyki.

Szukając informacji na temat procesu powstawania szkół naukowych w naukach społecznych natrafiałem na rozmaite wzorce. Podczas wspomnianych kwerend moją uwagę zwrócił zwłaszcza rozwój instytucjonalny studiów nad pokojem (peace research), które z lokalnej skandynawskiej niszy naukowej stały się w ciągu trzech dekad uznaną na świecie dyscypliną badań akademickich i praktycznych. Skandynawowie stawiali tu na kilka kluczowych punktów. Po pierwsze – wysoka specjalizacja badaczy, po drugie – publikowanie w wydawnictwach globalnych, po trzecie – budowanie sieci współpracy, stypendiów i tworzenie rynku konferencji międzynarodowych. Działania te umożliwiały ochronę głównej idei i tematu badań, pozwalały na wzmacnianie standardu kompetencji, służyły opracowywaniu nowych narzędzi (indeksy konfliktów, rankingi handlu bronią etc.), powoływanie nowych instytucji (think tanki) i budowanie wizerunku niezbędnego do zakorzenienia nowej dyscypliny nauki w świadomości społecznej. Dzisiaj studia nad pokojem są jednymi z najbardziej zaawansowanych pól badań w naukach społecznych, a badania wojskowe i politologiczne, mieszają się tu z psychologią, ekonometrią i kulturoznawstwem.

Próbując zidentyfikować główne czynniki sukcesu skandynawskich badań nad pokojem, zwróciłem uwagę na podstawowe instytucje nauki. Są nimi: zespół badawczy, teoria, seria wydawnicza o zasięgu ponadkrajowym, towarzystwa naukowe, współpraca z sektorem rządowym i biznesem w celu pozyskiwania grantów, co z kolei pozwala prowadzić badania na poziomie międzynarodowym. Czy stanie się to również udziałem polskich badaczy?

Potencjał studiów nad bezpieczeństwem w Polsce

Próbując zestawzić atuty i słabości nowej dyscypliny nauki, jaką są nauki o bezpieczeństwie w Polsce, zdecydowałem się na wykonanie prostej analizy typu SWOT, znanej w naukach o zarządzaniu. Do atutów polskich nauk o bezpieczeństwie na pewno należą: szeroka baza dydaktyczna, duże zainteresowanie studentów, istniejące czasopisma naukowe, powiązanie z resortami siłowymi państwa oraz sprzyjające warunki na rynku pracy. Do słabości, wskazywanych przez wielu autorów, należą: rozmyty przedmiot badań, słabość refleksji teoretycznej, rozproszone obiegi wiedzy, niewielka współpraca zagraniczna, brak tłumaczeń zagranicznych oraz kadra naukowa pochodząca z różnych dyscyplin i wyznająca odrębne wizje rozwoju nauki. Do szans stojących przed rozwojem nauk o bezpieczeństwie (jak i innych nauk społecznych!) należą: powrót

do badań jakościowych w naukach społecznych, umiędzynarodowienie debaty naukowej dzięki Internetowi, rozwój nowych podejść do bezpieczeństwa, powiązanie zagadnień bezpieczeństwa z kwestią nowych technologii (np. sztucznej inteligencji) oraz perspektywy współpracy z instytucjami bezpieczeństwa. Do zagrożeń można by zaliczyć: ryzyko spadku popularności nauk społecznych, utratę prestiżu przez rozmaite instytucje bezpieczeństwa, pogorszenie trendów na rynku pracy, brak anglojęzycznego dorobku naukowego lub też „wrogie przejęcie” tematów badawczych przez inne nauki, na przykład ekonomię, zarządzanie czy psychologię.

Powyższe stwierdzenia podkreślają pewne cechy wspólne wielu polskich nauk społecznych. Przez dekady istnienia PRL były one rozwijane w izolacji od międzynarodowego dyskursu. W okresie transformacji ustrojowej Polska przeszła okres boomu edukacyjnego, co skutkowało ogromnym wzrostem liczby studentów. Powstał mechanizm finansowania uczelni na podstawie dydaktyki, a nie jakości badań naukowych. Beneficjentem i ofiarą tych zmian stały się zwłaszcza nauki społeczne. Uczni zaczęli wykładać na wielu uczelniach, lecz z tego powodu nie mieli czasu na recepcję stanu badań światowych. Nagła zmiana reguł systemowych w ostatnich latach budziła więc zrazu duży sprzeciw, gdyż przez kilkadziesiąt lat reguły uprawiania nauki były zupełnie inne. Powstaje pytanie, czy pokolenia naukowców wychowanych wedle wcześniejszych reguł będą potrafiły wytworzyć nową dyscyplinę nauki. Nauki o bezpieczeństwie wydają się tu fascynującym studium przypadku. Budowane są bowiem na podstawie praktyk społecznych istniejących we wcześniej rozwijanych naukach pokrewnych (politologia i prawo, skądinąd najmniej umiędzynarodowione z polskich nauk społecznych), ale problematyka badawcza przez nie podejmowana jest obecnie bardzo umiędzynarodowiona i niesie ze sobą wiele wyzwań. Najbliższe lata będą sprawdzianem dla polskich badaczy.

Unikatowa dyscyplina

Wcześniejsze uwagi wskazują na fakt, że nauki o bezpieczeństwie w sposób udany zastąpiły dość hermetyczne nauki wojskowe i stworzyły szersze ramy dla badaczy i praktyków z innych dyscyplin wiedzy. Powstała zatem dyscyplina unikatowa na skalę OECD, która może połączyć wiedzę i osiągnięcia nauk politycznych, wojskowych, policyjnych i innych. Sukcesem okazało się wypromowanie na tej bazie popularnych kierunków studiów, co umożliwiło przetrwanie i rozwój kadr naukowych oraz budowę podstawowych instytucji nauki, takich jak towarzystwa naukowe i czasopisma. Nauki o bezpieczeństwie zadowolily się w formalnych strukturach polskich uczelni. Jednak najbliższe lata ich rozwoju będą musiały przebiegać w reżimie oczekiwań Ustawy 2.0, jakimi są umiędzynarodowienie i nacisk na zagraniczne publikacje naukowe. W chwili obecnej powstają szkoły doktorskie, które mają kształcić przyszłych badaczy według nowych reguł.

Analizy światowego „rynku” badań wykazują, że do włączenia się do globalnego obiegu konieczne są: nowoczesne teorie, publikacje anglojęzyczne, tworzenie lokalnych studiów przypadku „w pakiecie” z innowacyjnymi wyjaśnieniami procesów społecznych oraz dostęp uczonych do najnowszych osiągnięć nauki (w tym przypadku – do baz danych i najnowszych monografii). Wydaje się, że nie wszystkie te kwestie są niemożliwe do osiągnięcia. Wymagają jednak przyjęcia pewnej świadomej strategii działania zarówno ze strony ministerstw, jak i uczelni oraz poszczególnych uczonych.

Dr Tomasz Pawłuszko jest adiunktem w Akademii Wojsk Lądowych. Ostatnio wydał Nauki o bezpieczeństwie. Budowanie szkoły naukowej (Księgarnia Akademicka, Kraków 2020).

Marek Rymsza

Usługi społeczne i nowy profesjonalizm praktyk pomocowych

Od lat sześćdziesiątych XX wieku narastała w Europie krytyka całodobowych placówek leczniczo-opiekuńczych jako instytucji totalnych – udzielających wsparcia, ale odbierających pacjentom i pensjonariuszom prawo do samostanowienia. Dopiero na naszych oczach profesjonalne praktyki pomocowe przechodzą prawdziwą rewolucję. Rewolucja polega na dążeniu do ich uśrodkowania, uspołecznienia i spersonalizowania. Chodzi o to, aby korzystanie ze wsparcia nie wyrwało człowieka niesamodzielnego z naturalnego środowiska życia. Na uczelniach wypracowuje się obecnie podstawy nowej metodyki kompetentnego pomagania.

Państwo dobrobytu (welfare state) to jedno z najważniejszych europejskich osiągnięć ery nowożytnej, dzięki któremu udało się rozwiązać XIX-wieczną kwestię robotniczą i na długie lata powiązać rozwój gospodarczy z rozwojem społecznym. Jak do tego doszło? W jakiej kondycji są współczesne europejskie państwa dobrobytu? I na czym polega zachodząca tam rekonstrukcja?

Narodziny i rozwój państw dobrobytu w Europie

Kwestia społeczna to wiązka współwystępujących problemów, którym można zaradzić tylko przez kompleksowe, wieloaspektowe działania publiczne. Po rewolucji przemysłowej taką kwestią okazała się sytuacja środowisk robotniczych: warunki pracy w fabrykach, kopalniach i hutach oraz warunki życia rodzin robotniczych. Rewolucja przemysłowa przyniosła także niekorzystne zmiany ekologiczne, w tym uciążliwy smog w ośrodkach przemysłowych i miastach. Ale smog nie został włączony do kwestii robotniczej, stał się dopiero składnikiem kwestii ekologicznej XXI wieku.

Istotą pierwszej rewolucji przemysłowej było wprowadzenie do produkcji maszyn parowych wykorzystujących energię ze spalania paliw kopalnych (najpierw węgla, potem także ropy naftowej). Dzięki maszynom można było produkować więcej, szybciej i po niższych kosztach niż w manufakturach opartych na pracy fizycznej ludzi. Potaniała zwłaszcza praca najemna, gdyż obsługa maszyn nie wymagała specjalnych kwalifikacji.

Pracodawcy nie mieli przy tym żadnych zobowiązań wobec pracowników poza wypłatą wynagrodzenia, a i z tego często nie wywiązywali się w terminie. Praca była po prostu towarem

kupowanym na rynku, a masowa migracja z obszarów wiejskich do ośrodków przemysłowych sprawiała, że podaż pracy znacząco przewyższała popyt. Nie było norm regulujących warunki pracy; robotnikom nie wolno było strajkować, zrzeszać się w związki zawodowe ani prowadzić negocjacji zbiorowych z pracodawcami. Ci ostatni zaś dokonywali w swym gronie uzgodnień, aby utrzymać niskie płace na rynku. Drastycznie niskie płace robotników niewykwalifikowanych doprowadziły do masowego podejmowania pracy w fabrykach przez dzieci z rodzin robotniczych.

W celu poprawy sytuacji środowisk robotniczych podjęto działania, które zaczęto określać mianem polityki społecznej. W ramach tej polityki stopniowo poprawiano warunki pracy najemnej oraz tworzone krajowe systemy zabezpieczenia społecznego, aby zapewnić świadczenia w sytuacji utraty zdolności do zarobkowania oraz z tytułu wychowywania dzieci.

Uregulowane stosunki pracy (państwa europejskie wyróżniają się rozbudowanymi kodeksami pracy) i zinstytucjonalizowane systemy zabezpieczenia społecznego (najważniejsze są tu ubezpieczenia społeczne funkcjonujące w każdym państwie na naszym kontynencie) tworzyły infrastrukturę welfare states i zarazem podwaliny charakterystycznego dla Europy Zachodniej XX wieku ładu zbiorowego określanego jako nowoczesne społeczeństwo przemysłowe. Ład ten oparty był na stabilności gospodarczej, bezpieczeństwie socjalnym i systematycznie rosnącym dobrobycie.

W II połowie XX wieku nauki społeczne przez kilkadziesiąt lat skrupulatnie analizowały drogę Europy Zachodniej do dobrobytu (Polska i inne kraje naszego regionu zeszyły

z tej drogi wraz z wprowadzeniem ustroju socjalistycznego). Publikowano liczne monografie poszczególnych europejskich państw dobrobytu, rozwijały się analizy porównawcze. Porównywano zachodnioeuropejskie welfare regimes między sobą oraz z innymi państwami rozwiniętymi, jak Stany Zjednoczone, Australia czy azjatyckie tygrysy, a analizy wychodziły zazwyczaj na korzyść rozwiązań europejskich. Skokowe zmiany technologiczne w organizowaniu produkcji, przedstawiane jako kolejne rewolucje przemysłowe, wpisywano w trajektorię rozwoju gospodarczego Europy (i świata). Rewolucją 2.0 określono upowszechnienie elektryczności i wykorzystanie gazu ziemnego jako kolejnego paliwa energetycznego, a rewolucją 3.0 – rozwój przemysłu opartego na zaawansowanych technologiach. To, że Europę na drodze rozwoju gospodarczego wyprzedziły najpierw Stany Zjednoczone, a następnie azjatyckie tygrysy, nie zmieniało ogólnego przekonania, że europejskie państwa dobrobytu i europejski model demokracji wyznaczają standardy rozwoju cywilizacyjnego w skali globalnej.

Przekonanie brytyjskiego uczonego Thomasa Humpreya Marshalla, że rozwój demokracji europejskich wiódł od upowszechnienia praw cywilnych w XVIII wieku, przez upowszechnienie praw politycznych w XIX wieku do rozwoju praw socjalnych w wieku XX, przekuto wręcz na tezę o „końcu historii”. Miał on nastąpić wraz z końcem XX wieku, a dowodem był upadek komunizmu w Europie Środkowo-Wschodniej oraz transformacja Polski i innych państw regionu na przełomie XX i XXI wieku w stronę europejskich welfare states opartych na połączeniu demokracji politycznej, wolnego rynku i społeczeństwa obywatelskiego.

Dziś, ponad trzydzieści lat od upadku komunizmu w Europie, nikt o końcu historii już nie mówi i nie pisze. Zbyt wiele zmian dzieje się na naszych oczach i to nie Europa stoi w ich awangardzie. Ogłoszono kryzys europejskich państw dobrobytu, podjęto próby częściowego rozmontowania infrastruktury socjalnej jako balastu na drodze dalszego rozwoju ekonomicznego. Wdrażano programy deregulacji rynku pracy i częściowej komercjalizacji systemów zabezpieczenia społecznego, ograniczono wydatki na cele społeczne, wprowadzano mechanizmy konkurencji do sfery publicznej. Kierunek tych reform wyznaczyła ideologia neoliberalna. W naukach społecznych rosło zaś przekonanie, że nowoczesne społeczeństwo ery przemysłowej nie jest bynajmniej kresem rozwoju, a późną nowoczesność czy ponowoczesność charakteryzuje raczej płynność, elastyczność i niepewność niż stałość, stabilność i bezpieczeństwo.

Usługi społeczne jako trzeci filar dobrostanu społecznego

Czy to wszystko oznacza zmierzch europejskich państw dobrobytu? Otóż najnowsze badania, koncepcje teoretyczne i wprowadzane rozwiązania praktyczne nie pozwalają na taką konstatację. Mamy raczej do czynienia z rekonstrukcją welfare states, aby wpisać je w nowy wyłaniający się ład zbiorowy.

Europejskie państwa dobrobytu oparte są na trzech filarach. Trzecim elementem społecznego dobrostanu – obok uregulowanego rynku pracy i zinstytucjonalizowanego zabezpieczenia społecznego – są usługi społeczne. Przez lata pozostawały one w cieniu dwóch większych filarów, stanowiąc dopełnienie działań regulacyjnych (rynek pracy) i redystrybucyjnych (zabezpieczenie społeczne). Rozwój tego trzeciego filaru wyznacza dzisiaj zasadniczy kierunek ewolucji europejskich welfare states.

Usługi społeczne to wsparcie niepieniężne świadczone przez specjalistów z różnych profesji i zawodów pomocowych. Zalicza się do nich zawody medyczne, pracowników socjalnych, pedagogów szkolnych, psychoterapeutów, terapeutów zajęciowych, doradców zawodowych, pośredników pracy, ani-

matorów kultury, organizatorów społeczności lokalnej, streetworkerów i wielu innych specjalistów od pomagania. Rozwój szeroko rozumianych usług społecznych jest kluczowym elementem europejskiego filaru społecznego wyznaczającego obecnie agendę unijnej polityki społecznej, co stanowi nowy impuls rozwojowy po latach koncentracji na promocji zatrudnienia. W myśl unijnych założeń usługi społeczne mają być kompleksowe i powszechnie dostępne, a korzystanie z nich nie powinno prowadzić do społecznej stygmatyzacji.



Celem usług społecznych jest poprawa dobrostanu naszego codziennego funkcjonowania, chodzi o zapewnienie możliwie wysokiego komfortu życia w razie choroby, niepełnosprawności, starzenia się, samotności oraz umożliwienie pełnienia – pomimo ograniczeń – funkcji i ról społecznych i w ten sposób podtrzymanie uczestnictwa w życiu społecznym.

W XX wieku w europejskich państwach dobrobytu działalność pomocowa została w znacznej mierze sprofesjonalizowana i zinstytucjonalizowana. Innymi słowy, działania pomocowe

powierzono specjalistom i postanowiono prowadzić w sposób zorganizowany, w tym w placówkach całodobowego pobytu. W tych ostatnich umieszcza się ludzi z różnych względów niesamodzielnych życiowo, aby ich usamodzielnic, czyli niejako „naprawić” (wyleczyć, zresocjalizować, zrehabilitować), albo się nimi opiekować (opieka dotyczy osób starszych, niepełnosprawnych, dzieci w pieczy zastępczej). Wzorem pomagaczy-profesjonalistów (ang. helping professionals) stali się lekarze – fachowcy po kierunkowych studiach wyższych, pracujący w szpitalach



Fot. Stefan Ciechan

i ambulatoriach, wykorzystujący w pracy zawodowej wiedzę naukową, nowoczesny sprzęt medyczny i często decydujący „za pacjentów” (w imię ich dobra, czyli przywrócenia zdrowia). Od lat sześćdziesiątych XX wieku narastała w Europie krytyka całodobowych placówek leczniczo-opiekuńczych jako instytucji totalnych – udzielających wsparcia, ale odbierających pacjentom i pensjonariuszom prawo do samostanowienia. Ale dopiero na naszych oczach profesjonalne praktyki pomocowe przechodzą prawdziwą rewolucję. Rewolucja polega na dążeniu do ich usrodowikowania, uspołecznienia i spersonalizowania. Chodzi o to, aby korzystanie ze wsparcia nie wyrwało człowieka niesamodzielnego z naturalnego środowiska życia. W myśl nowych założeń usługi społeczne mają być dostępne w środowisku lokalnym, w miejscu zamieszkania, mają być szyte na miarę potrzeb i oczekiwań osób korzystających ze wsparcia i być świadczone w sposób upodmiotawiający, a nie uprzedmiotawiający usługobiorców. Zwraca się uwagę, że usługi personalizowane są de facto współformowane przez osoby korzystające ze wsparcia, co ekonomści określają mianem koprodukcji usług.

Nauka szuka nowych sposobów organizacji i świadczenia usług społecznych, aby wykorzystać zdobycze czwartej rewolucji przemysłowej spod znaku nowych technologii IT. Rewolucja 4.0 na naszych oczach reorganizuje ład zbiorowy prawdopodobnie w nie mniejszym stopniu (a na pewno szybciej) niż pierwsza rewolucja przemysłowa. Warto przy tym zauważyć, że wywołane zastosowaniem nowoczesnych rozwiązań IT łączy się programowo z transformacją energetyczną i szeroko rozumianą kwestią ekologiczną. Rewolucja 4.0 kończy erę rozwoju gospodarczego opartego na paliwach kopalnych jako podstawowym źródle energii, a zarazem rozwiązywanie XXI-wiecznej kwestii ekologicznej jest niejako kontynuacją działań z okresu rozwiązywania XIX-wiecznej kwestii robotniczej. Proekologiczność nowego zielonego ładu (który dopiero się wyłania) nie sprowadza się bowiem li tylko do upowszechniania nowych sposobów wytwarzania i konsumowania energii, ale ma bardziej uniwersalny wymiar, którego podstawą jest troska o jakość życia ludzi, rodzin i społeczeństw. Ważnym elementem społecznego dobrostanu jest tu dostęp do usług społecznych. Rozwiązania IT mają ułatwić dostęp, ale świadczenie usług pozostaje w rękach profesjonalnych helperów, gdyż ze względu na oczekiwany współczynnik humanistyczny i środowiskowy nie da się tego zadania powierzyć inteligentnym maszynom. Zarazem chodzi o nowy format profesjonalizmu praktyk pomocowych. Profesjonalny pomagacz w tym formacie to nie specjalista, który – jak kiedyś lekarz – „wie lepiej”, co człowiekowi jest potrzebne, ale także nie sterylny realizator złożonych zamówień, jak to ma miejsce w skomercjalizowanych usługach medycyny estetycznej. To specjalista potrafiący zbudować relację pomocową opartą na wzajemnym szacunku i partnerskiej współpracy. Korzystający z pomocy to zaś ani podopieczni, ani konsumenci, lecz mieszkańcy, obywatele. Na uczelniach wypracowuje się obecnie podstawy nowej metodyki kompetentnego pomagania.

Monitoring polityki deinstytucjonalizacji

Reorganizację praktyk pomocowych niezbyt fortunnie zwykło się określać w dyskursie publicznym i w dokumentach programujących mianem polityki deinstytucjonalizacji. Deinstytucjonalizacja to proces przechodzenia od organizowania wsparcia opartego na placówkach do jego organizowania w sposób usrodowikowy, z wykorzystaniem zasobów lokalnych społeczności, a zwłaszcza infrastruktury usług społecznych, tak aby osoby niesamodzielnego życiowo mogły pozostawać w swoich domach, rodzinach i środowiskach. Celem deinstytucjonalizacji jest uspołecznienie udzielanego wsparcia i zarazem jego personalizacja. Deinstytucjonalizacja to więc w swej istocie pro-

gram pozytywny; istotą zmiany systemowej nie jest tu likwidacja placówkowych form wsparcia, ale oferowanie wsparcia adekwatnego do potrzeb w sposób pozwalający osobom wspieranym funkcjonować w możliwie pełnym stopniu w życiu społecznym. Deinstytucjonalizacja to tak naprawdę usrodowikowanie systemu pomocowego.

Celem operacyjnym deinstytucjonalizacji jest zastępowanie, gdy to możliwe, placówek długookresowej, całodobowej opieki innymi rozwiązaniami organizacyjnymi. To właśnie w takich placówkach istnieje wysokie ryzyko organizacji pobytu według logiki instytucji totalnej, polegającej na świadomym bądź mimowolnym dążeniu personelu do zagospodarowania formalnymi regulami wszystkich aspektów pobytu pensjonariuszy w placówce. Osoby mieszkające w takich placówkach de facto wychodzą z roli mieszkańców, a ich społeczny status sprowadzony zostaje do roli niesamodzielnego życiowo pensjonariuszy, kontrolowanych przez „wiedzący lepiej” fachowy personel. Zarazem nie oznacza to bynajmniej dążenia do zamykania czy ograniczenia działalności placówek dziennego pobytu. Chodzi raczej o środowiskowy model ich funkcjonowania, a więc o otwartość, odbiurokratyzowanie i współpracę z otaczającym środowiskiem. Placówki otwarte o profilu środowiskowym, ujmując to obrazowo, są bardziej w posiadaniu korzystających ze wsparcia mieszkańców niż zatrudnionego tam personelu i stają się bardziej elementem środowiska lokalnego niż zasobem infrastrukturalnym w dyspozycji władzy lokalnej czy służb społecznych.

Pandemia potwierdziła konieczność rozwijania środowiskowych form wsparcia opartych na usługach społecznych. Liczne badania jasno pokazały, że seniorzy pozostający w swych domach i korzystający ze wsparcia rodziny, sąsiadów, służb społecznych i wolontariuszy znaleźli się pomimo ograniczeń związanych z koronawirusem w znacznie lepszym położeniu niż pensjonariusze domów opieki, poddani w imię wymogów reżimu sanitarnego wielomiesięcznej izolacji społecznej.

Wszystkie państwa członkowskie UE powinny obecnie wdrażać politykę deinstytucjonalizacji. Na początku lipca 2021 roku polski rząd przedstawił do konsultacji społecznych projekt „Strategii rozwoju usług społecznych”. Przewiduje ona koncentrację działań na rzecz usrodowikowania praktyk pomocowych w pięciu obszarach, jakimi są: wsparcie osób niepełnosprawnych, piecza zastępcza, wsparcie osób z problemami i zaburzeniami psychicznymi, opieka senioralna, pomoc w wychodzeniu z kryzysu bezdomności.

15 marca 2021 roku zorganizowaliśmy na Uniwersytecie Warszawskim (w trybie zdalnym) międzynarodową konferencję *Deinstytucjonalizacja w politykach publicznych. Nowy paradygmat rozwoju z udziałem decydentów publicznych* (w tym przedstawicieli Komisji Europejskiej i rządu), naukowców i praktyków z organizacji pozarządowych (w tym europejskich organizacji sieciujących). Po konferencji powołaliśmy na naszej uczelni Obserwatorium Deinstytucjonalizacji. To grupa badawcza skupiająca naukowców z Wydziału Stosowanych Nauk Społecznych i Resocjalizacji, Centrum Europejskiego, Instytutu Studiów Społecznych im. Profesora Roberta Zajonca oraz Digital Economy Lab, która stawia sobie za cel prowadzenie monitoringu procesów deinstytucjonalizacji i usrodowikowania praktyk pomocowych w naszym kraju. Grupa, oprócz wspomnianej konferencji, zorganizowała też cykl trzech seminariów tematycznych *Monitorowanie procesów deinstytucjonalizacji*. Po wakacjach chcielibyśmy przystąpić do prac analityczno-badawczych, tak aby w marcu 2022 roku móc przedstawić monitoringowy bilans otwarcia.

Dr hab. Marek Rymśa, socjolog, kieruje Zakładem Socjologicznych Analiz Polityki Publicznych w Instytucie Stosowanych Nauk Społecznych UW. Pradziekan do spraw rozwoju i współpracy na Wydziale Stosowanych Nauk Społecznych i Resocjalizacji UW

Tomasz Zając

Dane rejestrowe w badaniach społecznych

Dane pochodzące z rejestrów tworzonych przez organy administracji publicznej dają niespotykane możliwości prowadzenia badań wzdlużnych dotyczących bardzo szczegółowych zagadnień. W tym artykule chciałem przybliżyć czytelnikom tego rodzaju badania, które będą zajmowały w moim przekonaniu coraz bardziej prominentną pozycję w naukach społecznych.

W ostatnim czasie w Internecie krążą memy żartujące z najpopularniejszych typów artykułów w różnych dziedzinach nauki. Wśród tytułów mających reprezentować typy publikacji socjologicznych znalazła się przeprowadzona w Skandynawii analiza danych rejestrowych wskazująca na związek pomiędzy mobilnością społeczną a udziałem owsianki w diecie dziadków. Choć trudno uznać memy internetowe za poważne źródła, to niekiedy obserwacje są bardzo trafne. Tak jest w tym wypadku. Zwraca on uwagę na dwie kwestie. Po pierwsze, dane pochodzące z rejestrów tworzonych przez organy administracji publicznej dają niespotykane możliwości prowadzenia badań wzdlużnych dotyczących bardzo szczegółowych zagadnień. Po drugie, istnieje duże prawdopodobieństwo, że autorami tego typu publikacji są badacze skandynawscy. Kraje skandynawskie mają bowiem długą tradycję wykorzystywania danych rejestrowych w badaniach społecznych. W tym artykule chciałem przybliżyć czytelnikom tego rodzaju badania, które będą zajmowały w moim przekonaniu coraz bardziej prominentną pozycję w badaniach społecznych.

Specyfika badań wykorzystujących dane administracyjne

Badania oparte na danych z rejestrów administracyjnych odróżniają się od tradycyjnych badań społecznych tym, że dane nie są zbierane w trakcie wywiadów czy ankiet. Za gromadzenie informacji odpowiada administracja, najczęściej publiczna. Dzieje się to w ramach różnego rodzaju procesów administracyjnych, wypełniania obowiązków urzędowych czy też świadczenia usług publicznych. Przykładowo informacje o zarobkach gromadzone są w związku z płaceniem podatków lub odprowadzaniem składek na ubezpieczenia społeczne. Informacje na temat podejmowanych studiów czy uzyskanych dyplomów przekazywane są przez uczelnie do centralnych repozytoriów w związku z finansowaniem edukacji wyższej ze środków publicznych. Podobnie rejestrowane są różnego rodzaju świadczenia wypłacane przez państwo. Dane te mogą zostać następnie poddane odpowiedniej obróbce i wykorzystane do prowadzenia analiz. Zbiory analityczne używane

przez badaczy są więc niejako efektem ubocznym procesów administracyjnych.

Powstało już niemało publikacji, również w języku polskim, wskazujących na zalety wykorzystania danych rejestrowych w badaniach społecznych. Największą spośród nich wydaje się dostęp do informacji dotyczących całych populacji. Nawet największe badania sondażowe obejmują z reguły jedynie pewne wycinki populacji będących przedmiotem zainteresowania badaczy. W przypadku badań reprezentacyjnych, tj. opartych na próbie, wyniki obarczone są zawsze niejaką niepewnością. Problem ten jest znacznie mniejszy lub wręcz znika w przypadku wykorzystania danych populacyjnych.

Innym problemem, na który często natrafiają badacze chcący skoncentrować się na małym wycinku populacji, jest brak odpowiednich danych. O ile nie zostały przeprowadzone badania specjalnie dla danej zbiorowości, co jest kosztowne, to pozostaje wykorzystanie szerszych danych, np. reprezentatywnych dla całego kraju. W takim przypadku często jednak problematyczna okazuje się niewielka liczba obserwacji. Na przykład jeśli obiektem zainteresowania badaczy jest grupa stanowiąca 1% całej populacji, to w reprezentatywnej próbie liczącej 10 tys. osób, a więc bardzo dużej, możemy spodziewać się jedynie około 100 osób należących tej grupy. Jakikolwiek analizy w podgrupach, wyróżnionych chociażby ze względu na płeć czy wiek, oznaczają wnioskowanie na podstawie wyników zebranych dla kilkunastu do kilkudziesięciu osób. W badaniach populacyjnych tego typu problemy występują znacznie rzadziej.

Kolejnym obszarem, w którym dane rejestrowe są szczególnie przydatne, są badania wzdlużne, skupione na trendach oraz relacjach między zdarzeniami odległymi w czasie. W rejestrach administracyjnych zbierane są zapisy kompletnych sekwencji zdarzeń. Przykładowo rejestry ZUS zawierają zapisy wszystkich odprowadzanych składek, co pozwala odtworzyć status poszczególnych osób na rynku pracy w kolejnych miesiącach, a także przeanalizować trajektorie zarobków. Szczególnie użyteczne są dane transakcyjne zawierające zapisy poszczególnych zdarzeń, np. informacje na temat zapisów na zajęciach na uczelni, stopnie uzyskane w trakcie studiów czy też uzyskane świadcze-

nia medyczne. Ponieważ dane są gromadzone przez wiele lat, możliwe jest nie tylko śledzenie historii jednostki, ale nawet zbadanie relacji między pokoleniami. Zebranie również dokładnych danych metodą sondażową jest znacznie trudniejsze, a często wręcz niemożliwe. Jednym rozwiązaniem jest wielokrotny kontakt z badanymi, jak to ma miejsce w badaniach panelowych. Drugim jest poproszenie badanych o opisanie zdarzeń z przeszłości. Oba rozwiązania są obciążające dla badanych, obciążone błędami i kosztowne, a dane niekoniecznie będą dokładniejsze niż te zbierane w rejestrach. Nawet przy corocznym kontakcie z badanymi trudno oczekiwać, że będą zawsze potrafili (i chcieli) odtworzyć w trakcie wywiadu zarobki z kolejnych miesięcy. Jeszcze trudniej wymagać podania tak szczegółowych informacji w kwestionariuszu dotyczącym wielu lat. W badaniach opartych na danych rejestrowych nie jest konieczne poleganie na pamięci badanych, która może być zawodna. Nie ma też problemu odmów odpowiedzi.

Dodatkowo, ze względu na swój charakter, dane administracyjne są często dokładniejsze i lepiej zweryfikowane niż informacje zbierane w badaniach sondażowych. Wynika to z faktu, że dane te są podstawą podejmowania decyzji administracyjnych i rozliczeń. Dobrym przykładem są dane dotyczące dochodów z różnych źródeł. Wielu badanych uchyla się od odpowiedzi na pytania dotyczące dochodu. Osoby chcące udzielić odpowiedzi mogą mieć trudności z pamiętaniem, ile zarobiły z różnych źródeł, a także z dokonywaniem operacji matematycznych, np. sumowaniem dochodu dla pewnego okresu lub dla gospodarstwa domowego. Kolejne trudności mogą wynikać z konieczności podania kwoty netto lub brutto. Sięgnięcie po dane podatkowe, np. zeznania roczne, pozwala na uniknięcie tych problemów.

Niezwykle istotnym argumentem przemawiającym za wykorzystaniem danych rejestrowych jest ich relatywnie niska cena. Znika bowiem największy koszt badań sondażowych, czyli zbieranie danych. To zadanie zostało już wykonane przez administrację w ramach realizacji jej zadań statutowych. Nie oznacza to jednak, że tego typu badania można prowadzić całkowicie bezkosztowo. Eksport danych z rejestrów, łączenie informacji z różnych źródeł oraz odpowiednie zabezpieczenie danych wiążą się z kosztami. Oszczędności nadal są jednak znaczne.

Przykłady badań wykorzystujących dane rejestrowe

W literaturze nie brakuje przykładów badań ilustrujących możliwości, jakie stwarzają dane administracyjne. Dane zebrane przez Statistisk sentralbyrå, Norweski Urząd Statystyczny, posłużyły Elisabeth Hovdhaugen (2009) do badania losów edukacyjnych osób, które przerwały studia i pokazania, że porzucenie studiów z reguły nie oznacza odejścia z systemu szkolnictwa wyższego, ale jedynie transfer do innej instytucji. Z kolei Liza Reisel (2011) „type” : „article-journal”, „volume” : „84” }, „suppress-author” : 1, „uris” : [„http://www.mendeley.com/documents/?uuiid=ede5ece6-7602-483b-8ff6-75478382a7dd”] }, „mendeley” : { „formattedCitation” : „(2011 przeanalizowała dane dotyczące dwunastu lat losów młodzieży w wieku od 15 do 17 lat, żeby pokazać wpływ pochodzenia społecznego na osiągnięty poziom wykształcenia. Jeszcze dłuższy okres przeanalizowali Manudeep Bhuller, Magne Mogstad i Kjell G. Salvanes (2011, 2014) w badaniu związków pomiędzy zarobkami osiąganymi w ciągu całego życia a edukacją. Badanie dotyczyło populacji mężczyzn urodzonych w Norwegii w latach 1943-1963 i wykorzystywało dane dotyczące zarobków z lat od 1967 do 2010.

Nie mniej interesujące są badania prowadzone z wykorzystaniem danych SCB, czyli szwedzkiego urzędu statystycznego. Francis Kramarz i Oskar Nordström Skans (2014) przeanalizo-

wali siedem lat historii zawodowych osób, które zakończyły edukację na poziomie średnim lub wyższym w latach 1988-95, aby pokazać jak sieci rodzinne oraz charakterystyki przedsiębiorstw, w których pracują rodzice, wpływają na szanse tego, że dzieci podejmą pracę w tej samej firmie co rodzice. Badanie pokazało, że rola więzi rodzinnych jest znaczna, w szczególności kiedy dzieci miały niższe osiągnięcia edukacyjne, a sytuacja na rynku pracy była trudniejsza. Natomiast badanie, które przeprowadzili Maria Polyakova, Petra Presson, Katja Hofmann i Anupam B. Jena (2020), pokazało rosnącą dziedziczność zawodu lekarza w Szwecji. W ciągu trzech dekad odsetek lekarzy, których jedno z rodziców było lekarzem, wzrósł trzykrot-



Fot. Steinar Cichan

nie i osiągnął poziom około 20%. Z kolei Petra Persson i Maya Rossin-Slater (2018) pokazały, że stres związany z utratą bliskich, jakiego matka doświadcza w trakcie ciąży, powiązany jest z wyższym prawdopodobieństwem zażywania przez dziecko leków stosowanych w leczeniu ADHD w dzieciństwie oraz antydepresantów w późniejszym okresie.

Badanie wykorzystujące dane rejestrowe nie ograniczają się jednak wyłącznie do Skandynawii. Jan Kabátek i Francisco Perales (2020) wykorzystali holenderskie dane administracyjne, aby pokazać, że dzieci wychowywane przez pary jednopłciowe nie mają gorszych osiągnięć edukacyjnych, w tym wyników standaryzowanych testów, szansy ukończenia szkoły

lub też pójścia na studia wyższe. Wcześniejsze badania borykały się z problemem za małych prób. W tym wypadku badacze, mając dostęp do danych całej populacji dzieci (około 1,5 mln), mogli przeanalizować trajektorie edukacyjne ponad 3000 dzieci wychowywanych przez pary jednopłciowe.

Szerokim echem w świecie odbiły się badania Raja Chetty, Johna Friedmana, Emmanuela Saeza, Nicholasa Turnera i Danny'ego Yagana (2017), w których wykorzystali dane podatkowe oraz dane dotyczące edukacji, żeby przeanalizować międzypokoleniową mobilność społeczną w Stanach Zjednoczonych. Analiza wykazała m.in., że szanse dostania się na studia na prestiżowej uczelni należącej do Ligi Bluszczonej były 77 razy większe



wśród dzieci pochodzących z rodzin należących do 1% o najwyższych dochodach niż wśród dzieci z 25% najbiedniejszych rodzin.

Rosnąca popularność danych administracyjnych

Badania wykorzystujące dane rejestrowe są coraz popularniejsze. Ma to związek z rosnącym zainteresowaniem ze strony administracji, na które złożyło się kilka trendów. Coraz większy nacisk kładziony jest na prowadzenie polityk na podstawie faktów (ang. evidence-based policy-making) oraz na transparentność i otwieranie danych. Jednocześnie rośnie świadomość wartości zasobów danych, jakimi dysponuje administracja publiczna. Nie bez znaczenia jest także rozwój technologii cyfrowej i wiązana z nim większa dostępność i popularność narzędzi spod znaku Big Data i sztucznej inteligencji.

Wytworzenie mechanizmów pozwalających generować z danych rejestrowych zasoby analityczne, czyli zbiory, na których możliwe jest prowadzenie analiz, bywa dość żmudnym zadaniem. Trudności techniczne mają z reguły znaczenie drugorzędne. Istotną przeszkodą są obawy dotyczące ochrony prywatności oraz bezpieczeństwa danych. Nie bez znaczenia jest też lęk gestorów danych przed zbyt dużym odkrywaniem się i utratą kontroli nad tym, w jaki sposób ich dane są analizowane i jakie wnioski z tych analiz są wyciągane. Przygotowanie rozwiązań prawnych i organizacyjnych pozwalających na łączenie danych z różnych rejestrów i wykorzystanie ich w analizach jest, szczególnie na początku, czasochłonne.

Należy się spodziewać, że coraz więcej zasobów będzie ze sobą łączonych. Po pierwsze, jasne stają się korzyści z wykorzystania danych rejestrowych. Po drugie, instytucje oswiają się z wykorzystaniem danych do badań. Po trzecie, każdy kolejny projekt będzie mógł wykorzystywać wcześniejsze doświadczenia, co powinno znacznie przyspieszyć proces łączenia i wykorzystywania danych. Po czwarte, w miarę otwierania się rejestrów będą pojawiać się nowe pytania badawcze i pomysły włączenia do analiz nowych zasobów danych.

Dobłą ilustracją rosnącej popularności wykorzystania danych rejestrowych w badaniach społecznych stanowią powstające na świecie systemy monitorowania losów absolwentów. Niegdyś tego typu badania były zdominowane przez ankiety prowadzone wśród absolwentów, z reguły niezbyt długo po zakończeniu nauki. Kraje skandynawskie były pionierami w wykorzystaniu danych z rejestrów do systematycznego monitorowania sytuacji zawodowej absolwentów. W Europie z podobnych rozwiązań korzystają obecnie także Austria, Flandria, Litwa, Słowacja i Węgry. Polska znajduje się w tej dziedzinie w czołówce europejskiej. Prace nad wykorzystaniem w tym celu danych ZUS rozpoczęły się przeszło dekadę temu i zaowocowały uruchomieniem Systemu Monitorowania Losów Ekonomicznych Absolwentów (ELA) w 2015 r. Wkrótce działać będzie podobny system monitorujący losy zawodowe absolwentów szkół zawodowych.

Mechanizmy udostępniania danych naukowcom

Obecnie potencjał naukowy systemów takich jak ELA nie jest w pełni wykorzystywany. Wprawdzie na podstawie danych ELA powstają publikacje naukowe, lecz przy obowiązujących regulacjach prawnych dostęp do zbiorów może mieć jedynie ograniczona grupa badaczy. Zdecydowanie lepszym rozwiązaniem jest stworzenie infrastruktury umożliwiającej bezpieczne łączenie danych z różnych rejestrów i udostępnianie zanonimizowanych danych jednostkowych zarówno analitykom z agencji rządowych, jak i naukowcom. W tej chwili zaledwie kilka państw zbudowało tego rodzaju rozwiązania.

Jednym z przykładów jest australijski Multi-Agency Data Integration Project (MADIP), system będący efektem współpracy między Australian Bureau of Statistics (ABS), Australian Taxation Office, Department of Education, Skills and Employment, Department of Health, Department of Social Services i Services Australia. ABS jest odpowiedzialny za łączenie danych oraz ich udostępnianie. Dostępne zasoby obejmują charakterystyki demograficzne, dane podatkowe, informacje dotyczące miejsca zamieszkania, edukacji na poziomie wyższym, świadczeń socjalnych oraz usług medycznych, jak również informacje zebrane w ramach spisów powszechnych, a więc są bardzo szerokie.

Dostęp do zasobów MADIP mają zarówno agencje federalne i stanowe, jak i pracownicy instytucji badawczych, lecz analiza danych została obwarowana wieloma mechanizmami kontrolnymi, by odpowiednio chronić dane obywateli. Udostępniane są tylko elementy potrzebne do uzyskania odpowiedzi na pytania badawcze. Przed udostępnieniem dane są anonimizowane. Aby korzystać ze zbiorów, należy przejść odpowiednie szkolenie. Wszelkie analizy odbywają się w DataLab, zdalnym środowisku, do którego wolno się logować wyłącznie z bezpiecznych przestrzeni. Sesje są w całości nagrywane. Przed wyeksportowaniem z systemu wyniki analiz są sprawdzane przez pracowników ABS. Jest to jedyny sposób, w jaki wyniki mogą być pobierane. Zabronione jest robienie zrzutów ekranu, a nawet odręcznych notatek, które zawierałyby jakiegokolwiek wyniki analiz. Nie wolno rozmawiać o wynikach z nikim, kto nie należy do zespołu projektowego. Kary za złamanie zasad są bardzo surowe. Indywidualni badacze, a nawet całe instytucje, mogą stracić dostęp do danych, w skrajnych wypadkach naruszenie zasad może wiązać się z odpowiedzialnością karną i pobyt w więzieniu.

Jak nie zostać w tyle?

Bez dostępu do odpowiednich danych nie da się prowadzić badań naukowych. W Polsce brakuje, w znacznej mierze ze względu na ich wysoki koszt, badań wzdłużnych na dużych próbach, takich jak np. brytyjskie ONS Longitudinal Study, Understanding Society: the UK Household Longitudinal Study czy niemiecki National Educational Panel Study. Trudno jest przez to prowadzić pewne typy badań, co ogranicza możliwości uczestnictwa w międzynarodowej debacie naukowej.

Jednocześnie administracja gromadzi znaczne ilości danych, które dzięki powszechnemu wykorzystaniu numeru PESEL można dość łatwo łączyć. Potencjał analityczny tych danych pokazują prowadzone przez administrację projekty, takie jak ELA czy Mapa Potrzeb Zdrowotnych. Kolejnym krokiem powinno być zbudowanie mechanizmów instytucjonalnych gwarantujących dostęp do danych szerszym kręgiem naukowców. Szansę na to stwarza projekt Zintegrowanej Platformy Analitycznej realizowany przez polski rząd we współpracy z naukowcami z Uniwersytetu Warszawskiego oraz Szkoły Głównej Handlowej. Projekt ma na celu zintegrowanie różnego rodzaju zasobów danych, a także przygotowanie zasad ich wykorzystania. Zakłada też szeroką współpracę ze środowiskiem naukowym. Jeśli w następstwie projektu uda się wytworzyć trwałe mechanizmy udostępniania danych do celów naukowych, z pewnością dowiemy się wiele na temat polskiego społeczeństwa. Powinniśmy też móc się spodziewać wzrostu liczby polskich publikacji w prestiżowych czasopiśmie naukowych, co też nie jest bez znaczenia.

Dr Tomasz Zajac, The University of Queensland, Australia

Paweł Majewski

Niełatwa przygoda Stanisława Lema z nauką XX wieku

Trzecia możliwość, najtrudniejsza i najbardziej ryzykowna, polega na podejmowaniu prób artystyczno-intelektualnego ujęcia możliwych wpływów pracy naukowej i jej efektów na stan kultury, społeczeństwa i cywilizacji oraz długofalowych konsekwencji technicyzacji ludzkiego świata i poddawania go praktycznym skutkom odkryć naukowych. Właśnie tę możliwość wybrał Lem.

Autorowi *Solaris* przypadł w udziale trudny los. Nie tylko doświadczył jako młody człowiek największej katastrofy, jaka spotkała dotychczas cywilizację zachodnią – czyli drugiej wojny światowej i holokaustu, z którego ledwo uszedł z życiem – ale również, już jako dojrzały pisarz i intelektualista, przyszedł mu mierzyć się z mocno spolaryzowanym odbiorem własnej twórczości.

Przenikającym całą tę twórczość środkiem artystycznym było bowiem konsekwentne przekształcanie wiedzy naukowej w tworzywo literackie. Wybór takiego środka pociągnął za sobą w przypadku Lema daleko idące konsekwencje, z których pierwszą było wejście przez tego pisarza już na samym początku jego drogi na obszar literatury fantastycznonaukowej – był to bowiem od połowy dziewiętnastego wieku jedyny gatunek literacki, w ramach którego można było na szeroką skalę stosować wiedzę naukową jako budulec świata przedstawionego, a nie tylko jako jego element (jakim wiedza ta jest na przykład w *Lalce* Prusa). Niestety, science fiction przez długi czas postrzegana była – na podstawie oceny przeważnej części jej wytworów – jako gatunek podrzędny, artystycznie i intelektualnie marny oraz służący głównie zaspokajaniu niewybrednych gustów masowej publiczności. Dwaj jego ojcowie założyciele, Jules Verne i Herbert George Wells, po dziś dzień są rzadko dostrzegani przez akademicką naukę o literaturze. Specyfika fantastyki naukowej nie jest głównym tematem tego szkicu, więc jedynie marginalnie i bez szczegółowego uzasadnienia można tu stwierdzić, że wiele spośród jej wybitniejszych utworów zawiera godne uwagi diagnozy stanu nowoczesnej kultury i cywilizacji, jej kryzysów, lęków i zagrożeń. Fantastyczne wizje przyszłości i śmiałe spekulacje dotyczące naukowego i technicznego zaawansowania ludzkiej społeczności były bowiem

– choćby dla Wellsa i Lema – intelektualnymi laboratoriami służącymi do przeprowadzania analiz wpływów, jakie niepowstrzymany postęp naukowy i techniczny wywiera na kondycję naszego gatunku, zarówno społeczną, jak i psychologiczną. Analizy te rzadko prowadziły do optymistycznych wniosków. Dlatego postrzeganie tych i licznych innych autorów sf jako entuzjastycznych piewców nowoczesnej nauki i techniki, często nie do końca rozumiejących to, o czym piszą, za to zawsze przekonanych o słuszności swojej sprawy, nie jest w pełni trafne.

Nietrafna opinia o Lemie jako pozytywistycznym entuzjście technokracji była pierwszym z szeregu narosłych wokół niego nieporozumień – tym, które wynikało z jego pechowej, a zarazem nieuniknionej afiliacji do gatunku fantastyki naukowej. W rzeczywistości pisarz zawsze przejawiał wyczerzenie na dwuznaczności wiążące się z postępem naukowym i technicznym w kontekście jednoczesnych szans i zagrożeń cywilizacyjnych, jakie z niego wynikają. W jego tekstach nietrudno natrafić na fragmenty, w których w techniczonym środowisku bohaterów nagle wyłania się obraz destrukcji, zagłady i śmierci, pozornie będący tylko sensacyjnym sztafżem dla akcji powieściowej, lecz przy głębszym wniknięciu w materię i konteksty fabuły ugruntowany w doświadczeniu osobistym Lema i w jego głębokich obawach o los człowieczeństwa. Szeregiem znane starcze zgorzknienie pisarza, wyrażające się w jemiadach na nędzę współczesnej cywilizacji wypełniających jego późną publicystykę, nie było rezultatem jakiegoś nagłego rozczarowania, lecz ostateczną konsekwencją trwającej całe życie wewnętrznej debaty tego twórcy o przeciwstawnych kierunkach rozwoju cywilizacji technicznej, debaty, w której po kilkudziesięciu latach przeważały argumenty negatywne. A kiedy przyjrzeć się jego najsławniejszym i najgłębszym intelektualnie

utworom literackim, można dostrzec, że postacie takie, jak Kris Kelvin z *Solaris*, profesor Piotr Hogarth z *Głosu Pana*, Hal Bregg z *Powrotu z gwiazd*, Rohan z „*Niezwykłego*” czy pilot Pirx to ludzie zawsze niepewni co do własnej pozycji w świecie wypełnionym stworzonymi przez człowieka urządzeniami technicznymi, niepewni swoich relacji z maszynami, które silnie determinują ich egzystencję, niepewni wreszcie co do tego, czym są obce formy życia inteligentnego, z którymi mogli zetknąć

się dzięki zaawansowaniu własnej technologii. W antropologii Lema człowiek nie jest zdomowiony w wykreowanym przez siebie świecie, wie natomiast, że urządzenia tego świata mogą stać się dla niego niebezpieczne.

Punkty styczne języków nauki i literatury

Drugim typem nieporozumień dotyczących pisarstwa Lema były radykalne różnice w odbiorze tego pisarstwa na Zach-



Rys. Sławomir Mahal

dzie i na Wschodzie w czasach podziału politycznego świata na te dwa obozy. Pisarz unikał na ogół wszelkich zaangażowań ideologicznych. Chociaż można doszukać się w jego dorobku kilku serwitutów skierowanych wobec ustroju socjalistycznego, to jednak jest w nim również sporo tekstów krytykujących niewydolność ekonomiczną i funkcjonalną tego ustroju. Problem z odbiorem twórczości Lema polegał na tym, że w krajach bloku wschodniego, a zwłaszcza w ZSRR, cieszył się on jako

pisarz wielkim poważaniem, był czytany przez akademików i zapraszany na sympozja naukowe, zaś na spotkania autorskie z nim przybywały tłumy ludzi, natomiast w krajach zachodnich i w USA traktowano go bardzo długo jako jeszcze jednego wytwórcę podrzędnej literatury fantastyczno-przygodowej. Ten stan rzeczy zaczął ulegać zmianie dopiero pod koniec lat osiemdziesiątych, właśnie wtedy, kiedy Lem zaprzestał tworzenia tekstów literackich. Siła oddziaływania stereotypu „fantastyki naukowej” była tak potężna, że nawet te utwory Lema, które są właściwie sfabularyzowanymi rozważaniami filozoficznymi o naturze i granicach poznania ludzkiego – jak *Solaris*, *Głos Pana* czy „*Niezwyczęzony*” – były przez wiele lat postrzegane głównie jako powieści przygodowe. Tylko nawiasowo dodajmy, że trudności z włączeniem Lema do „wysokich” sfer literatury, to znaczy do grona twórców badanych i omawianych przez akademicką krytykę literacką, brały się w dużej mierze również stąd, że literaturoznawcy nie czuli się pewnie, obcując z jego twórczością, ponieważ nie dysponowali kompetencjami w dziedzinach, po których on poruszał się z dużą swobodą.

Skoro jednak wskazano tu przekształcanie wiedzy naukowej w tworzywo literackie jako fundamentalną jakość literatury tworzonej przez Lema, to należy powiedzieć coś na temat samego procesu tej transformacji. Języki nowoczesnej nauki i języki nowoczesnej literatury mają bowiem pewne punkty stykowe, lecz zasadniczo są bardzo od siebie odmiennymi sposobami wyrażania treści ludzkich umysłów w ich relacjach wobec świata zewnętrznego.

Pozycja Lema i pod tym względem była dwuznaczna, liminalna i problematyczna. Dla większości odbiorców niebędących przedstawicielami świata nauki jawił się on jako przejmujący onieśmieleniem pisarz-uczony posługujący się mnóstwem trudnych, niezrozumiałych, nieznanymi z życia codziennego terminów i pojęć, o których nie sposób było – bez posiadania wiedzy fachowej – orzec, czy są prawdziwymi terminami naukowymi, czy literackimi neologizmami urobionymi przez pisarza na bazie tej terminologii. Lem zaś był mistrzem neologizacji, wykazywał wyjątkowe zdolności i chęci do wymyślania nowych słów, a językoznawcy opublikowali wiele rozpraw klasyfikujących jego neologizmy. Choćby na przykład w *Kongresie futurologicznym* pojawia się przeszło sto nazw leków i substancji psychotropowych wymyślonych przez autora na podstawie nazewnictwa stosowanego wówczas w prawdziwej farmakopei. Trudno się dziwić, że wykształceni na tradycyjnych formach literackich humaniści nie czuli się pewnie w kontakcie z prozą Lema. Symptomatyczna jest opinia sformułowana na ten temat przez Andrzeja Kijowskiego: „żaden słownik wyrazów obcych nie wystarczy na to, by szyfr naukowo-filozoficzny Lema przełożyć na język dyletanta” („*Twórczość*”, 1969, nr 2). Skądinąd w późnej fazie pracy pisarskiej, a zwłaszcza w publicystyce, Lem rzeczywiście przejawiał skłonność do zbędnego komplikowania werbalnego i terminologicznego swoich sądów, co z przyjemnością wytykali mu niechętni krytycy. W dwudziestym pierwszym wieku widać natomiast, że te cechy stylu Lema były antecedencją podgatunku fantastyki naukowej znanego dziś jako *hard sf* i cechującego się wprowadzaniem (a czasem „wrzucaniem”) odbiorcy do świata przedstawionego bez żadnych odautorskich czy wewnątrz narracyjnych objaśnień natury i zasad funkcjonowania tego świata.

Wyprzedzenie Dawkinsa i oczywiste potknięcia

Sprawa ta wyglądała jednak zupełnie inaczej z perspektywy świata nauki. Dla jego przedstawicieli cała science fiction ma w sobie często coś podejrzanego: treści poznawcze uzyskane w ramach procedur naukowych są tam zniekształcane, nadużywane i poddawane rozmaitym formom intelektualno-



-artystycznej (albo pseudointelektualno-pseudoartystycznej) hochsztaplerki. W przypadku Lema pewną rolę odgrywał tu również fakt, że pisarz ten, kreując się dość wyraźnie na znakomitego fachowca i eksperta w wielu dziedzinach nauk ścisłych i stosowanych, nie miał w rzeczywistości nawet tytułu magistra, nie ukończył bowiem studiów medycznych, poprzestając na absolutorium, aby uniknąć przymusowego powołania do wojska. Jego autorytatywność na obszarze nauki mogła zatem być niebezpiecznie postrzegana jako forma zawłaszczenia kulturowego (by posłużyć się tym modnym obecnie pojęciem) i to jest jednym z powodów, którymi należy tłumaczyć pewną powściągliwość reprezentantów nauk ścisłych w wypowiedzaniu się o jego twórczości. Kreowane przez niego opisy działania fantastycznych mechanizmów w odległej przyszłości, polegające na swobodnej ekstrapolacji faktycznego stanu techniki, czy też chwytów polegające na przebieganiu rezultatów naukowych ustaleni w groteskowo-komicznej sztafaż w opowiadaniach ze zbiorów *Bajki robotów i Cyberiada* mogły się wydawać wielu fachowcom czymś podobnym do teorii spiskowych wywodzonych ze skarykaturowanych treści nauk społecznych i humanistycznych.

Niektórzy krytycy, chcąc przeciwstawić się dominującemu w kulturze popularnej wizerunkowi Lema jako nieomylnego mędrca i proroka, wskazywali na nieścisłości i błędy rzeczowe w jego tekstach, które wynikły albo z niedbałego zastosowania jakiegoś terminu czy koncepcji, albo wręcz z ich niewłaściwego zrozumienia. Do najczęściej przytaczanych w tym kontekście cytowań należy pierwsze zdanie „*Niezwycięzonego*”: „*Niezwyciężony, krążownik drugiej klasy, największa jednostka, jaką dysponowała baza w konstelacji Liry, szedł fotonowym ciągiem przez skrajny kwadrant gwiazdozbioru*”. Pisarz zapomniał tutaj, że dwuwymiarowa siatka konstelacji gwiazdnych porządkująca widok firmamentu z powierzchni naszej planety nie ma zastosowania w trójwymiarowej przestrzeni kosmicznej, do czego dołącza się jeszcze dość nieoczywiste zastosowanie pojęcia „kwadrant”. Takich potknięć można u niego znaleźć całkiem sporo, choć dla równowagi osądu od razu można dodać, że w *Wykładzie inauguracyjnym Golema* (mającym pierwodruk w 1973 roku) podał on, i to ze szczegółami, opis idei, która okazała się zbieżna z ogłoszoną kilka lat później przez Richarda Dawkinsa koncepcją „samolubnego genu”.

Proces „artystycznej językowej” obróbki wiedzy naukowej

Istotą sprawy nie są tu jednak lapsusy, które mogą zdarzać się nawet najlepszym ekspertom. Kluczowe jest dla naszego tematu pytanie: jak można i jak należy przekształcać wiedzę naukową w artystyczny tekst literacki? W krótkim artykule brak miejsca na szczegółową analizę fragmentów tekstów Lema, która pozwoliłaby rozwinąć i uszczegółwić uwagi sformułowane w poprzednich akapitach i pokazać, jak dokładnie przebiegał proces „artystycznej językowej” obróbki wiedzy naukowej w wykonaniu tego pisarza. Ograniczę się więc do wskazania trzech najogólniejszych możliwości prowadzenia takiego zabiegu.

Pierwszą z nich jest możliwość minimalistyczna: w ogóle nie można i nie należy dokonywać takiego przekształcenia. Naukowcy i literaci to dwie całkowicie odrębne grupy społeczne i intelektualne; niech więc każda z nich robi, co do niej należy i nie wtrąca się do tego, co robi druga. Takie stanowisko można spotkać w wielu debatach o statusie poznawczym i rolach społecznych obu form ludzkiej działalności intelektualnej, literatury i nauki, prowadzonych przez ostatnie dwa stulecia. Jego najbardziej dobitnym wyrazem był spór o koncepcję „dwóch kultur” przedstawioną w 1959 roku w wykładzie i eseju o takim właśnie tytule przez angielskiego fizyka i powieściopi-

sarza C.P. Snowa. Snow, który sformułował pogląd o stopniowej utracie przez humanistyczną kulturę literacką wpływów na stan zbiorowej świadomości społecznej na rzecz środowiska naukowców zajmujących się dziedzinami ścisłymi i stosowanymi, został poddany zmasowanej, ostrej krytyce przez przedstawicieli tej pierwszej. Niestety (używam tego słowa, ponieważ sam do niej należę) ewolucja humanistyki w drugiej połowie dwudziestego wieku doprowadziła ją najpierw do stanu całkowitej niezrozumiałości dla osób z zewnątrz, następnie zaś, już w bieżącym stuleciu, do sytuacji, w której humaniści coraz rzadziej tworzą treści dające się określić jako „nauka”, coraz częściej zaś zajęci są uprawianiem bieżącej publicystyki. W zaistniałej sytuacji Snow zwyciężył z za grobu, ponieważ publiczność czytelnicza (a ściślej, ten jej segment, który przejawia ambicje intelektualne) w naszych czasach jest generalnie bardziej zainteresowana tym, co mają jej do powiedzenia fizycy i biologowie, aniżeli tym, co mogą jeszcze powiedzieć literaturoznawcy i filozofowie.

Druga możliwość transformacji nauki w literaturę polega na tym, że specjaliści z różnych dziedzin nauki piszą popularne przewodniki po tych dziedzinach, w których metody i wyniki badań przedstawiane są w sposób przystępny dla laików, przy użyciu języka naturalnego. W Polsce Ludowej ukazywało się wiele takich publikacji, na ogół na wysokim poziomie, pisali je bowiem wybitni fachowcy. Warto wspomnieć, że w ostatnich latach istnienia PRL ukazywała się między innymi seria broszur „Przeczytaj, może zrozumiesz”, w której referowano na przykład najnowsze ówczesne odkrycia z zakresu fizyki cząstek czy astronomii pozagalaktycznej; w naszych czasach żaden wydawca nie zgodziłby się jednak publikować cokolwiek pod tytułem tak bardzo zniechęcającym potencjalnych nabywców. Dziś opcję uprzystępniania nauki przez jej pracowników na użytek szerszej publiczności stosuje się rzadziej na obszarze piśmiennictwa (choć takie serie wydawnicze, jak „Na ścieżkach nauki” Prószyńskiego, wciąż jeszcze podtrzymują dobre praktyki), częściej zaś w dziedzinie pokazowej, czego przykładem w naszym kraju jest działalność publiczna Centrum Nauki Kopernik.

Trzecia możliwość, najtrudniejsza i najbardziej ryzykowna, polega na podejmowaniu prób artystyczno-intelektualnego ujęcia możliwych wpływów pracy naukowej i jej efektów na stan kultury, społeczeństwa i cywilizacji oraz długofalowych konsekwencji technicyzacji ludzkiego świata i poddawania go praktycznym skutkom odkryć naukowych. Właśnie tę możliwość wybrał Lem. Istotą jego pracy literackiej nie było bowiem samo tylko referowanie stanu nauki czy wyobrażanie sobie jej przyszłego rozwoju, lecz przedstawianie za pomocą środków literackich tego, jak rozwój nowoczesnych prac naukowych na wielu obszarach oddziałuje na kondycję naszej cywilizacji, społeczeństwa i kultury. Wartością jego dorobku jest zawarta w nim dogłębna dyskusja niejednoznaczności tego wpływu oraz ustawiczne podkreślanie skutków powodowanych przez zderzanie coraz potężniejszych narzędzi wpływu człowieka na świat zewnętrzny z naszym uposażeniem mentalnym i emocjonalnym, które wykazuje postęp jedynie w wizjach tych autorów, którzy wciąż wierzą w to, że ulepszenie naszych technologii musi pociągnąć za sobą ulepszenie naszych charakterów. Żeby przekonać się, jak złudna jest ta wiara, wystarczy spędzić kilka godzin w mediach społecznościowych. Rozważana w takim świetle, twórczość tego pisarza jest może bardziej aktualna w dwudziestym pierwszym wieku, niż była w dwudziestym.

Dr hab. Paweł Majewski, prof. UW w Zakładzie Historii Kultury, Instytut Kultury Polskiej Uniwersytetu Warszawskiego

Dariusz Brzostek

Lem i nauka (po latach)

Jest więc Lem stronnikiem nauki, ale także jej skrupulatnym krytykiem, ujawniającym jej słabości i niedomagania wszędzie tam, gdzie rości sobie ona prawa do wszechmocy. Jej niedostatki są jednak nieuniknioną ceną za przyrost wiedzy, nawet jeśli ten okazuje się powolny i miejscami zwodniczy.

W rocznicę setnych urodzin Stanisława Lema zainteresowanie dorobkiem autora *Solaris* wzrosło w sposób istotny z zupełnie zrozumiałych względów. Inaczej jednak niż w przypadku twórczości innych wybitnych polskich literatów, zainteresowanie to nie wypłynęło ani wyłącznie, ani przede wszystkim ze strony badaczy literatury czy twórców kultury, lecz także ze środowisk naukowych w najszerszym rozumieniu tego pojęcia. Lem bowiem był i, jak wolno sądzić, wciąż jest, czytany chętnie przez przedstawicieli różnych dziedzin i dyscyplin naukowych – od socjologii po chemię i fizykę. Co więcej, zdarzało się nierzadko, że jego pozycja filozofującego powieściopisarza była zdecydowanie wyższa wśród matematyków i astronomów niż wśród literaturoznawców, skłonnych postrzegać go nieco protekcyjnie jako „tego autora historii o robotach w kosmosie”, nawet pomimo pionierskich analiz jego utworów dokonywanych przez Antoniego Smuszkiewicza, Jerzego Jarzębskiego, Stanisława Beresia i Andrzeja Stoffa. Prawdę powiedziawszy, przez wiele lat aktywnej kariery literackiej Lem poruszył nieco mocniej środowisko polonistyczne tylko raz, gdy w roku 1968 opublikował *Filozofię przypadku* – obszerny, książkowy esej, w którym zaangażował wiedzę z zakresu cybernetyki, teorii gier i genetyki do stworzenia własnej, osobliwej teorii dzieła literackiego. Odpowiedzieli mu wówczas na łamach „Pamiętnika Literackiego” Janusz Sławiński, Kazimierz Bartoszyński i Henryk Markiewicz, a pisarz ochoczo podjął dyskusję. Wcześniej, w roku 1954, polemizował Lem na łamach „Życia Literackiego” z Andrzejem Kijowskim na temat miejsca science fiction w estetyce socrealistycznej, ale była to raczej drobna, choć uszczypliwa, wymiana zdań.

Owa ambiwalentna pozycja Lema – wybitnego pisarza, uprawiającego literaturę postrzeganą w dyskursie akademickim jako forma sztuki rozrywkowej, a zatem „niskiej” – wynikała ze swojej bezradności rodzimej humanistyki wobec tekstów i konwencji kultury popularnej, źle usytuowanej w kontekście uprawianej powszechnie w ramach rodzimego literaturoznawstwa hermeneutyki arcydzieł. Sytuacji tej nie poprawiał zresztą i ten fakt, że sam autor traktował uprawianą przez siebie konwencję

literacką z pewną dozą lekceważenia, pisząc, że są to „bajdoly science fiction” i ubolewając nad tym, iż wypełniają ją zazwyczaj spektakularne „kosmiczne hiper-superbijatyki”, deprecjujące wszelkie walory fikcji spekulatywnej, za jaką gotów był uznać fantastykę naukową – pisaną przez nielicznych, doceniających jej potencjał, twórców: Herberta George’a Wellsa, Philipa K. Dicka czy braci Strugackich.

Pytanie o miejsce twórczości Lema

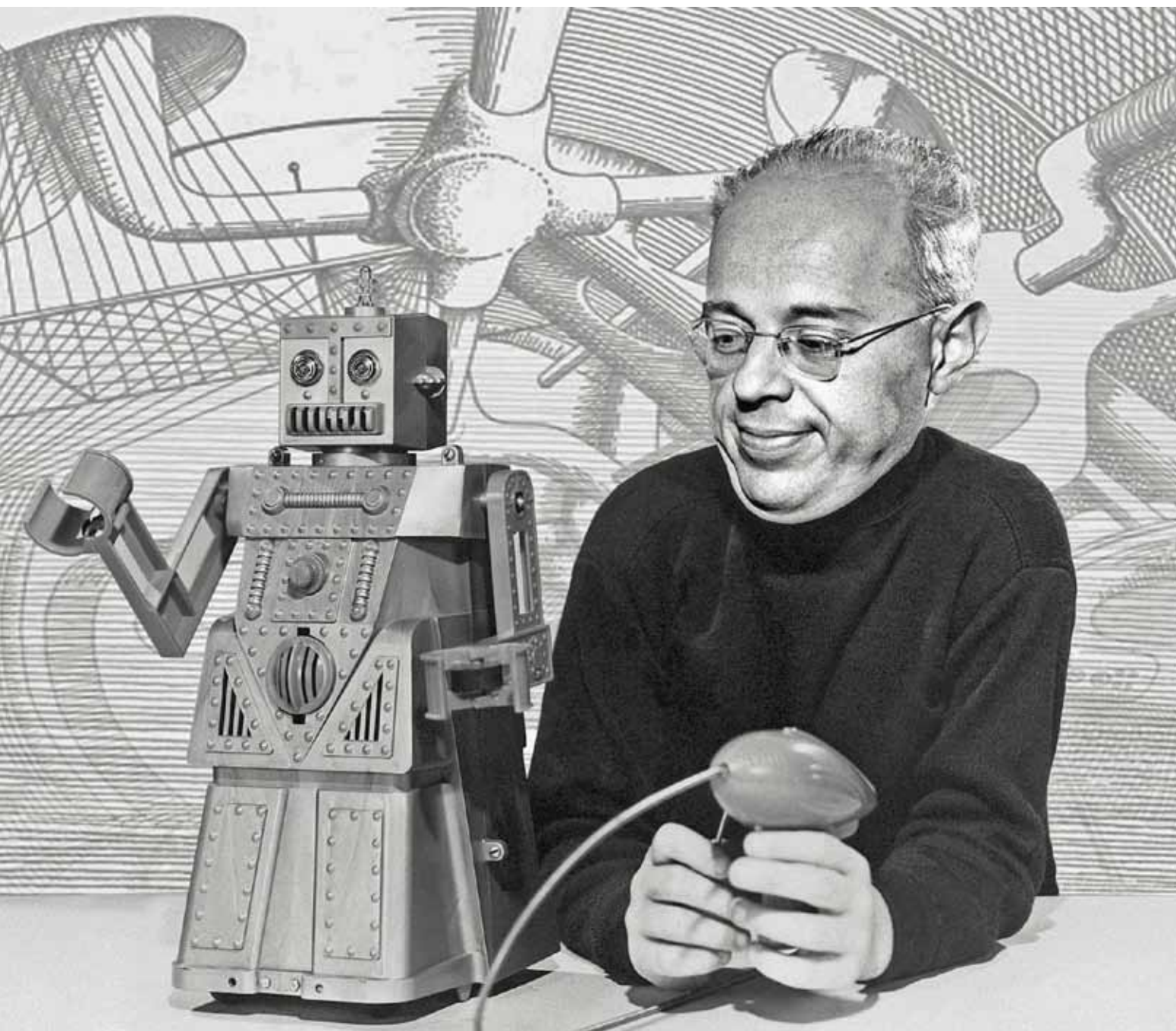
W bieżącym roku mija sto lat od chwili urodzin Lema i siedemdziesiąt od momentu jego książkowego debiutu, powieści *Astronauta*, która w istotnym stopniu wyznaczyła krąg zainteresowań pisarza w ramach literatury fantastycznonaukowej, rozwijającej się wówczas w nowej, powojennej rzeczywistości. Odnajdujemy w niej surową poezję międzyplanetarnych podróży, problem kontaktu z niehumanoidalną cywilizacją, etyczne dylematy wynikające z rozwoju technologii i podszyte pesymizmem refleksje nad powinnościami nauki uwikłanej w militarną rywalizację i polityczne konflikty. Po siedmiu dekadach od debiutu można śmiało stawiać pytanie o miejsce twórczości Lema w kulturze polskiej (raczej niepodlegające dyskusji), ale także o wartość przedyskutowania związku autora *Solaris* z nauką, wszak uchodził on za bezwarunkowego technofila, jeśli nie technokratę, oraz zdeklarowanego scjentystę niechętnego wszelkim irracjonalizmom, zarówno w filozofii, jak i w przejawach życia społecznego. Lem – niestrudzony obrońca paradygmatu naukowego i futurolog z niezwykłą przenikliwością kreślący kształt rzeczy przyszłych: odkryć naukowych i wynalazków technologicznych (osobliwie tych wątpliwych moralnie lub jawnie szkodliwych). Po latach można zatem, a nawet wypada postawić pytanie: Czy Lem jest wciąż pisarzem (dla) naukowców?

Pisząc o rozlicznych i złożonych związkach twórczości pisarza z nauką, podkreśla się zazwyczaj dwie kwestie: jego skłonność do przechodzenia w utworach literackich (jak *Głos Pana* czy *Golem XIV*) w tryb eiseistyczny – brawurowe przekształcanie fantastycznej fabuły w dialogi naukowców rozważających problemy poznawcze; a także progno-

styczny aspekt obecny we wszystkich niemal książkach – od wczesnych powieści z socjalistycznym przesłaniem po późną publicystykę naznaczoną futurologicznym pesymizmem. Jakkolwiek bowiem Lem konsekwentnie twierdził, że przyszłości nie sposób przewidzieć w sposób naukowo wiarygodny, to niezmiennie podejmował próby wyznaczenia kierunków, w jakich ludzka myśl naukowo-technologiczna może, będzie lub (nie) powinna się rozwijać. W tym kontekście przywołuje się zwykle najsłynniejszy prognostyczny tekst autora – monumentalny esej *Summa technologiae* (1964), w którym podjął on próbę zmierzenia się z kluczowymi wyzwaniami poznawczymi bliskiej i odleglejszej przyszłości: sztuczną inteligencją („intelektroniką”), rzeczywistością wirtualną („fantomatyką”) czy poszukiwaniem życia we wszechświecie.

Sam pisarz miał do swego dzieła stosunek ambiwalentny, stwierdzając wprost, że podejmuje się zadania opisanego przyszłych ograniczeń i możliwości, „których material-

nego charakteru, uwarunkowanego technologią przyszłości, nie możemy przewidzieć, ale których psychologiczne efekty potrafimy choć w drobnej mierze pojąć, ponieważ sami jesteśmy ludźmi” (*Summa technologiae*, Warszawa 1996, t. 1, s. 52). Zarazem jednak po latach, w felietonach i esejach publikowanych na łamach „Odry” i „Tygodnika Powszechnego” z upodobaniem wracał do tej właśnie książki, komentując ją i rozwijając zawarte w niej prognozy, zaś zwrot: „Jak pisałem przed laty w mojej *Summie...*” wszedł do stałego repertuaru chwytów retorycznych pisarza. Monografia ta pozostaje do dziś swoistą kwintesencją Lemowskiego myślenia o nauce, technologii i cywilizacji, stanowiąc skarbnicę pomysłów, za pomocą których z powodzeniem dałoby się opowiedzieć niejedną historię science fiction, nawet jeśli część z nich pokryła się z czasem łatwo dostrzegalnym nalotem stylu retro. Zapewne jednak większym komplementem dla wyobraźni pisarza staje się to, że za sprawą tych samych idei sprzed półwiecza można również opowiedzieć niejedną realistyczną



Rys. Sławomir Makal

opowieść współczesną osadzoną w pierwszych dziesięcioleciach XXI wieku.

Ironia, groteska, parodia

W powieściach i opowiadaniach Stanisława Lema nauka również spełnia funkcję jeśli nie pierwszoplanową, to z pewnością centralną, bowiem to właśnie wokół odkryć i dociekań naukowych spiętrzają się polityczne, psychologiczne i moralne problemy, z którymi zmagają się bohaterowie *Powrotu z gwiazd*, *Głosu Pana* czy *Pokoju na Ziemi*. W arcydziele Lemowskiej fantastyki – *Solaris* – pisarz pokusił się nawet o przedstawienie rozkwitu, porażek i upadku solarystyki, dziedziny wiedzy stworzonej po to tylko, by objaśniać enigmatyczne fenomeny związane z aktywnością „myślącego oceanu”. Szybko jednak okazało się, że: „Solarystyka poczyniła jakby się rozsypanych i jakby wtórem, równoległą jej obniżającego się lotu były płodzone masowo, ledwo druzgordnymi szczegółami różniące się hipotezy o degeneracji, uwstecznianiu, inwolucji solarystycznych mózów” (*Solaris*, [w:] *Solaris*, „Niezwykły”, Kraków 1986, s. 192). Z czasem miało się nawet okazać, że zdaniem niektórych badaczy jest ona „namiastką religii wieku kosmicznego, jest wiarą przyobleczoną w szatę nauki; kontakt, cel, ku któremu dąży, równie jest mglisty i ciemny jak obcowanie świętych czy zejście Mesjasza” (s. 198). Dla samych naukowców dyscyplina ta okazuje się zatem „pogrobowcem zmarłych dawno mitów, wykwitem mistycznych tęsknot, których jawnie, pełnym głosem, usta ludzkie wypowiadać już nie śmia” (s. 199). Ten proces przeobrażania się naukowej dyscypliny w konglomerat wiary i mitu jest zapewne jednym z najciekawszych przykładów refleksji Lema nad ograniczeniami ludzkiego poznania i barierami epistemologicznymi, o które roztrzaskać się może naukowy paradygmat w konfrontacji z zagadkami wszechświata.

Obraz Lemowskich flirtów i potyczek z nauką byłby jednak z pewnością niepełny, gdybyśmy pozbawili go tego aspektu twórczości pisarza, który w jego dziełach odgrywał rolę szczególnie ważną i eksponowaną: ironii, groteski i parodii, pozwalających mu wypowiadać niewesołe konstatacje z pewną dozą dystansu, zrodzonego właśnie z osobliwego poczucia humoru. Najsympliczniejsze cykle nowelistyczne Lema, *Dzienniki gwiazdowe* oraz *Cyberjada*, przesiąknięte są komizmem we wszystkich jego odmianach: słownej, sytuacyjnej i postaci, oferując czytelnikom zarówno efektowną żonglerkę terminami naukowymi (Mrówka Krzesławka Dręcypupa, *Multipodium Pseudostellatum Trylopii* czy Ohydek Szalej, *Monstroteratum Furiosum*, czyli... *Homo Sapiens*), jak i niezwykle wynalazki („maszyna, która umiała robić wszystko na literę n”), a nawet ich „zakrywców” (likwidujących niepożądane odkrycia nauki). W utworach tych pisarz dokonywał jednak nie tylko żartobliwych przekształceń procedur naukowych, ukazując je w krzywym zwierciadle, wraz ze wszystkimi ich, często niewesołymi, konsekwencjami, ale także w brawurowy sposób parodiował konwencjonalne motywy literatury fantastycznonaukowej, takie jak pierwszy kontakt z obcą cywilizacją, cudowny wynalazek, podróż w czasie itp., odnosząc się ironicznie do tematów, które z całą powagą podejmował na stronicach swych powieści: *Solaris*, „Niezwykły” czy *Głosu Pana*. W osobie Lema i nauka, i fantastyka naukowa zyskiwały zatem wnikliwego oraz obdarzonego poczuciem humoru krytyka, który potrafił po mistrzowsku komentować ich mocne i słabe strony, czyniąc z nich kanwę intrygujących opowieści o potyczkach rozumu z nieznanym.

Spektakularne porażki paradygmatu naukowego

Wszystkie te przykłady dowodzą w istocie osobliwej pozycji nauki i dyskursu naukowego w światach kreowanych kon-

sekwentnie i z uporem przez pisarza. Oto najlepsza spośród znanych nam, jeśli nie jedyna, metoda objaśniania i oswojania rzeczywistości okazuje się zarazem źródłem cierpienia i cywilizacyjnych niedomagań, by sparafrazować w tym miejscu tytuł znanej pracy Sigmunda Freuda, którego zresztą Lem uważał za hołdującego irracjonalizmowi szarlatana. Te same metody, które prowadzą do wynalezienia szczepionek na śmiertelne choroby, wiodą również do stworzenia broni biologicznej masowego rażenia, techniki usprawniającej transport i komunikację umożliwiającą zarazem przeniesienie pocisków balistycznych między kontynentami, rozwój napędzanego nowymi technologiami przemysłu dewastującego środowisko naturalne etc., etc. Na dodatek, w czasach Internetu nieunikniona ekspansja głupoty stale przyspiesza. Rozum bywa traktowany instrumentalnie i nader często okazuje się bezradny w konfrontacji z chciwością, nienawiścią i fanatyzmem. Jakie miejsce przypada w tym porządku dociekaniom naukowym?

Kluczowa dla Lemowskiego stosunku do nauki, postrzeganej jako cywilizacyjne dziedzictwo oraz metoda poznawania świata, wydaje się przede wszystkim elementarna uczciwość. Wiele spośród najsympliczniejszych powieści pisarza: *Solaris*, *Śledztwo*, *Głos Pana*, *Fiasko*, relacjonuje w istocie spektakularne porażki paradygmatu naukowego, jeśli nie rozumu w ogóle, w potyczkach z radykalną innością i zagadkami kosmosu. Oto ocean, który pragnie się komunikować, ale czy świadomie? Zmarli, którzy usiłują zbiec z kostnic, choć przecież nie żyją. List z kosmosu, którego odczytanie rodzi więcej pytań niż odpowiedzi. Wysoko rozwinięta cywilizacja, która ewidentnie nie życzy sobie spotkania z ludzkością. I naukowcy: matematycy, biolodzy, fizycy i językoznawcy – raczej melancholijnie bezradni wobec faktów, niż triumfalnie niosący światło wiedzy. Lem nigdy nie widzi w nauce remedium na wszystkie bolączki ludzkości ani nawet niezawodnej drogi poznania rzeczywistości, ale także nie widzi dla niej żadnej sensownej (chciałbym napisać: racjonalnej) alternatywy, a tym bardziej nie godzi się na zastąpienie jej światopoglądem osadzonym w magii, micie i rytuale – jakichkolwiek form nie przybrałyby dziś lub jutro te pozanaukowe struktury ludzkiego umysłu. Jest więc Lem stronnikiem nauki, ale także jej skrupulatnym krytykiem, ujawniającym jej słabości i niedomagania wszędzie tam, gdzie rości sobie ona prawa do wszechmocy. Jej niedostatki są jednak nieuniknioną ceną za przyrost wiedzy, nawet jeśli ten okazuje się powolny i miejscami zwodniczy. Stanowisko pisarza wyraził dość dokładnie w powieści *Śledztwo* genialny matematyk Sciss:

– Pierwszym obowiązkiem jest szacunek wobec faktów – podjął Sciss. – Ja, proszę pana, wyszedłem od faktów. Zwłoki znikają. W jaki sposób? Zapewne szły sobie gdzieś. Czy im ktoś w tym pomagał? Tak, jeżeli pan, jako policjant, życzy sobie takiego sformułowania. Pomagał im ten, kto sprawa, że muszle ślimaków są prawoskrętne, a raz na dziesięć milionów odnajdujemy skręt lewy. Czynniki prawidłowości statystycznej. Zadaniem moim było wykrycie związku zjawisk z innymi zjawiskami. Nauka nie robiła nigdy nic innego i nie będzie nic innego robiła – do końca (*Śledztwo*, [w:] *Śledztwo*. Katar, Kraków 1982, s. 111-112).

Ostatecznie, mógłby zapewne powiedzieć Sciss w obliczu braku dobrego wyjaśnienia faktu znikania zwłok, i tak nie mamy nic lepszego od nauki, wszystkie inne rozwiązania prowadzą nas bowiem poza domenę rozumu, któremu Lem postanowił być wierny w świecie słabnącej racjonalności.

Dr hab. Dariusz Brzostek, prof. UMK, Katedra Kulturoznawstwa Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu

Czy możliwy jest kontakt między światami?

Mistrzostwo Stanisława Lema

Odmienność światów, których przedstawiciele pisarz ze sobą zetknął, powoduje niemożność porozumienia, zrozumienia, a nawet domyślania się intencji obcych. Potrafi to opisać w taki sposób, że mu wierzymy. Już od swojego debiutu ilustrował fakt, że kontakt jest trudny, a czasem wręcz niemożliwy. Im bardziej oddalone są od siebie cywilizacje, tym stopni do pokonania, by osiągnąć porozumienie, jest więcej i są one coraz wyższe i coraz trudniej się na nie wspiąć.

Stanisław Lem był prekursorem poważnego traktowania literatury długo uważanej za niepoważną. Poprowadził polską i potem światową science fiction drogą, która zmusiła krytyków literackich do zastanowienia się, czy ma sens utrzymywanie jej w bagatelizowanym getcie popularnym, do stwierdzenia, że to nie sztafaż fabularny świadczy o jakości literatury i jej oddziaływaniu, ale kształt językowy i głębokość myśli autora. Dziś już nikt nie odmawia fantastyce naukowej literackiej wartości. Gdy Stanisław Lem zaczynał swą przygodę, było inaczej. Tak bardzo inaczej, że był w życiu Lema okres, gdy próbował porzucić science fiction na rzecz literatury realnej, realistycznej, tzw. normalnej. Z okazji osiemdziesiątej rocznicy urodzin pisarza pisał Piotr Bratkowski w „Gazecie Wyborczej”: „Co ciekawe, ogromnej popularności pisarza i jego międzynarodowym sukcesom początkowo towarzyszyła obojętność – żeby nie rzec: lekceważenie – krytyki. O ile tzw. szeroka publiczność od razu zakochała się w Lemie, kręgi opiniotwórcze – paradoksalnie – w zbyt dobrej wierze przyjęły jego ulubioną konwencję literacką. A literatura science fiction uchodziła wówczas, przynajmniej w Polsce, za gatunek podrzędny” (GW 12.09.2001). W tym czasie napisał choćby *Szpital przemienienia*, który jest tekstem ciekawym, ale nie znalazł uznania ani u krytyków, ani u czytelników.

Dziś można stwierdzić, że na science fiction był Lem od początku kariery wręcz skazany. Jego debiut literacki, *Człowiek z Marsa*, powieść w odcinkach drukowana w czasopiśmie „Nowy Świat Przygód”, powieść, której Lem nie lubił, nie wznawiał, nie bardzo chciał o niej pamiętać, wcale nie była tak krytycznie odbierana przez czytelników. Fakt, nie jest to dzieło ważne w dorobku pisarza, ale zawiera jeden z motywów przewodnich poważnej Lemowej fantastyki – motyw kontaktu. Cała Lemowa hard science fiction jest skoncentrowana na kwestii kontaktu. I to kontaktu, którego w rezultacie nie udaje się nawiązać. Bo Lem i we wcześniejszej, i w późnej, dojrzałej prozie

wciąż prezentuje świadomość faktu, że odmiennosc kulturowa staje się przeszkodą w porozumieniu. O *Człowieku z Marsa*, w którym świetny znawca twórczości Lema, pionier polskich badań nad science fiction, Antoni Smuszkiewicz, widzi inspirację *Wojną światów* Herberta George’a Wellsa, tenże badacz napisał: „I to również różni ujęcie Lemowskie od jego wielkiego poprzednika i zarazem stanowi charakterystyczną jego cechę: motyw całkowitej niepoznawalności zaziemskich światów i niemożności przenikania zamiarów ich mieszkańców”.

Różnice w postrzeganiu świata

Twórczość Lema, obalwszy mury fantastycznego getta, doczekała się ogromnej liczby opracowań: krótszych i dłuższych, naukowych i popularnonaukowych, literaturoznawczych i filozoficznych. Omawiano ją pod względem stylistycznym i językowym. Jednak rozległość zainteresowań, a co za tym idzie rozległość oddziaływań jego twórczości, jest tak wielka, że prowokuje do wciąż nowych prób interpretacji. Każda jego książka wnosi coś nowego, stanowiąc jednocześnie kontynuację i rozszerzenie wcześniejszego dorobku. Czasem kolejne dzieło staje się reinterpretacją poprzednich. Rok 2021, sto lat od urodzin Stanisława Lema i piętnaście lat od jego śmierci, rok ogłoszony przez polski Parlament Rokiem Stanisława Lema, jest wymienną okazją, by twórczości pisarza przyjrzeć się po raz kolejny.

Jedną z najciekawszych perspektyw dla humanistów i przedstawicieli nauk społecznych jest jeden z motywów przewodnich Lema, któremu poświęcił przeważającą część większości swoich powieści, czyli kontakt. Lem pokazuje całą swoją twórczością, że kontakt interkulturowy jest bardzo trudny lub w ogóle niemożliwy. Chodzi przy tym o kontakt, który prowadziłby do porozumienia, czyli o sygnał, który jest jednocześnie komunikatywny, bo znaczący dla nadawcy, i informatywny, bo znaczący dla odbiorcy: „Przy pewnym dość powszechnie stosowa-

nym uproszczeniu przyjmuje się, że to, co komunikuje nadawca (czyli informacja niejako wkładana w sygnał przez nadawcę na skutek wyboru jednej z istniejących możliwości) oraz informacja czerpana z sygnału przez odbiorcę (którą można sobie wyobrazić jako dokonany przez niego wybór jednej spośród tychże możliwości) są identyczne” (John Lyons, *Semantyka 1*, Warszawa 1984, s. 36). Taka identyczność jest niezwykle trudna (jeśli w ogóle możliwa) do osiągnięcia w przypadku komunikacji między przedstawicielami ludzkości, między członkami różnych grup społecznych, a nawet czasem wewnątrz tej samej grupy. Nie ma przecież dwóch takich samych oglądów świata (zależą bowiem również od czynników psychicznych, socjalizujących doznań indywidualnych itd.); mogą być do siebie bardzo zbliżone, ale nie identyczne. Jeszcze na przełomie drugiego i trzeciego tysiąclecia w lingwistyce wyraźnie mówiło się o językowym obrazie świata, przypisując członkom danej społeczności językowej, kulturowej to samo widzenie świata. Jednak zaczęło do nas docierać, że kwestia jest bardziej skomplikowana i człowiek, będąc członkiem pewnej grupy, jest także indywiduum. Im grupy są od siebie bardziej oddalone geograficznie, kulturowo, historycznie, tym postrzeganie świata różni się mocniej. Klasykami takiego podejścia do języka są Edward Sapir i Benjamin Lee Whorf. Sapir pisał, że ludzie „nie żyją wyłącznie w świecie obiektywnym ani też w świecie działalności społecznej w potocznym rozumieniu, ale w znacznym stopniu zdani są na łaskę tego języka, który stał się środkiem porozumiewania w ich społeczeństwie”. I dalej: „postrzegający nie utworzą sobie tego samego obrazu świata na podstawie tych samych faktów fizycznych, jeśli ich zapleczka językowe nie są podobne lub przynajmniej porównywalne”.

Ludzkie intencje komunikacyjne

Proza fantastycznonaukowa Stanisława Lema stanowi ilustrację hipotezy relatywizmu językowego. Kontaktowa science fiction Lema wpasowuje się w ustalenia badaczy. Niektóre wypowiedzi bohaterów jego powieści czy rozważania narratora można by potraktować jak fragment artykułu naukowego o relatywizmie czy JOS (językowym obrazie świata) lub co najmniej popularnonaukowy esej. Lem – już u progu swego fantastycznonaukowego pisarstwa – tę kwestię traktuje niezwykle dojrzałe. Ustami bohaterów w dialogach powieściowych wysmiewa niemające podstaw naukowych opisy rozmów z kosmitami (sądząc po filmach science fiction zapewne po angielsku). W *Edenie* Doktor mówi do Koordynatora: „Według historyjek, które czytywałem jako chłopak [...] – w tej przeklętej zasłonie zrobiłaby się teraz buchająca dziura i wylazłby stamtąd typ [...] i miałby pod pachą interplanetarny telekomunikator albo byłby gwiazdowym telepatą i dałby nam do zrozumienia, że jest przedstawicielem szalenie rozwiniętej cywilizacji, która...”.

Stanisław Lem wiele uwagi poświęcał ludzkim intencjom komunikacyjno-kontaktowym. Czy do kontaktu dążymy, by poznać i zrozumieć? Czy też w celu narzucenia swojego punktu widzenia? Antoni Smuszkiewicz pisze, komentując *Eden*: „A zatem czy wolno ingerować w nie swoje, nie ludzkie sprawy i to sprawy, które nie do końca są dla człowieka zrozumiałe? [...] Takie pytania nasuwać się mogą nie tylko w ewentualnych kontaktach z kosmitami, ale również – a może przede wszystkim, bo częściej – przy spotkaniach realnych odmiennych kultur na Ziemi. Będą to pytania o granice neutralności, tolerancji i solidarności” (A. Smuszkiewicz, *Stanisław Lem*, Poznań 1995, s. 48).

Wiele takich miejsc można znaleźć w *Solaris* – klasyku kontaktowej Lemowej sf: „Kontakt oznacza wymianę jakichś doświadczeń, pojęć, a przynajmniej rezultatów, jakichś stanów, ale jeżeli nie ma nic do wymieniania? Jeżeli słów nie jest bardzo wielką bakterią, to ocean nie może być bardzo wielkim

mózgiem. Z obu stron mogą, oczywiście, zachodzić pewne działania”.

„Wcale nie chcemy zdobywać kosmosu, chcemy tylko rozszerzyć Ziemię do jego granic. Jedne planety mają być pustynne jak Sahara, inne lodowate jak biegun albo tropikalne jak dżungla brazylijska. Jesteśmy humanitarni i szlachetni, nie chcemy podbić innych ras, chcemy tylko przekazać im nasze wartości i w zamian przejąć ich dziedzictwo. Mamy się za rycerzy świętego Kontaktu. To drugi fałsz. Nie szukamy nikogo oprócz ludzi. Nie potrzeba nam innych światów. Potrzeba nam luster. Nie wiemy, co począć z innymi światami. [...] Chcemy znaleźć własny, wyidealizowany obraz; to mają być globy, cywilizacje doskonalsze od naszej, w innych spodziewamy się znowu znaleźć wizerunek naszej prymitywnej przeszłości”.

Podobne sugestie znajdziemy w *Edenie*, gdzie bohaterowie nazywają elementy postrzeganej rzeczywistości „nie tyle przez rzeczywistość podobieństwo, co dzięki wysiłkom oczu, które starały się złożyć obce kształty w cośkolwiek swojskiego”.

Gdybyśmy do tej wypowiedzi dodali fragment z artykułu *Nauka a językoznawstwo* Benjamina Lee Whorfa, obie wypowiedzi stanowiłyby dla siebie znakomite uzupełnienie: „Dokonyjemy segmentacji natury tropami wyznaczonymi przez nasze języki ojczyste. Wyodrębniamy pewne kategorie i typy w świecie zjawisk nie dlatego, że każdemu obserwatorowi rzucają się one w oczy, wręcz przeciwnie – rzeczywistość jawi się nam jako kalejdoskopowy strumień wrażeń, strukturę natomiast nadają jej nasze umysły – to jest przede wszystkim tkwiące w naszych umysłach systemy językowe. Dzielimy świat na części, porządkujemy go za pomocą pojęć, przypisujemy mu sens w określony sposób, ponieważ jesteśmy sygnatariuszami umowy, by czynić to tak właśnie, a nie inaczej; umowy, która obowiązuje w naszej społeczności językowej i którą skodyfikowano we wzorcach naszego języka. Umowę tę zawarliśmy implícite i nigdy nie została ona spisana, ale jej warunki obowiązują bezwzględnie – nie jesteśmy w stanie mówić bez zaakceptowania ustanowionych przez nią klasyfikacji danych i ich uporządkowania. Fakt ten ma niesłychaną wagę we współczesnej nauce, oznacza bowiem, że nikt nie potrafi opisać rzeczywistości całkowicie bezstronnie; wszystkich nas krępują pewne zasady interpretacji nawet wówczas, gdy sądymy, że jesteśmy wolni” (B. Lee Whorf, *Język, myśl i rzeczywistość*, Warszawa 1982, 284-285).

Światy mogą być nieprzenikalne

B. Lee Whorf w teoretycznym uogólnieniu, Lem na konkretnym przykładzie pokazują dwie strony tego samego zjawiska. Lem w kolejnych swoich utworach przedstawia koncepcję relatywizmu językowego, a w zasadzie należałoby stwierdzić „komunikacyjnego”. Bo przecież Ziemia i mieszkańcy innych planet nie muszą nawet mieć wspólnego kodu. Język, czyli system znaków dwuklasowych wraz z regułami ich łączenia, to pojęcie ziemskie. I nawet między ludźmi-Ziemiańcami porozumienie może być całkiem zakłócone, bo systemy różnią się między sobą często diametralnie: leksemy mogą być klasyfikowane ze względu na rodzaj (trzy rodzaje jak w polskim czy niemieckim lub tylko dwa jak we francuskim, albo wcale) albo kształt (przedmioty okrągłe, podłużne), językowa organizacja czasu może być całkowicie odmienna: od linearnej koncepcji czasu, jak w języku polskim, przez skomplikowane relacje czasowe, np. w angielskim, po języki, w których wyróżnia się tylko dwa czasy: terażniejszy i nierzeczywisty (tu: przeszły, którego już nie ma, i przyszły, którego jeszcze nie ma). Zdecydowaną trudność i zakłócenia komunikacyjne powoduje poza gramatyką często odmienny system wartości ukształtowany w odmiennych warunkach historyczno-kulturowych i inne otoczenie naturalne (odmienność flory i fauny,

ukształtowania terenu). To wszystko może powodować kształtowanie się innych stereotypów, innych przedmiotów tabu, odmiennych norm i form grzecznościowych, których przekroczenie może prowadzić do niezrozumienia, a nawet konfliktu.

Jeśli takie problemy komunikacyjne mogą występować między społecznościami tego samego gatunku, ukształtowanymi na tej samej planecie, złożonymi z osobników zbudowanych z tego samego pierwiastka, opartych na białku, czyli na węglu (a przecież, jak w końcu XIX w. niemiecki astrofizyk Julius Schneider napisał, życie wcale nie musi opierać się na węglu i jego związkach. Mogłoby także być oparte na krzemie – pierwiastku z tej samej grupy w układzie okresowym co węgiel, który ma, tak jak węgiel, cztery elektrony walencyjne, a jest dużo bardziej od niego odporny na wysokie temperatury spotykane w kosmosie), to porozumienie może być nie tylko nieosiągalne w znaczeniu nieuzgodnionej siatki pojęć, ale wręcz niemożliwe z uwagi na inne procesy rządzące (być może) tym innym światem. Czy „obcych/obcego” można w ogóle nazwać formami życia, jeśli „życie” rozumiemy jako formę białkową z procesami myślowymi lub choćby zachowaniami instynktownymi zachodzącymi w mózgu? Na Ziemi mamy problem z określeniem granic życia między florą i fauną – to choćby wciąż trudny dla obcokrajowców uczących się języka polskiego problem męskich rzeźwotników żywotnych i nieżywotnych. Czy rośliny żyją, są żywe i żywotne, czy odczuwają? Czym jest euglena zielona: organizmem żywym o charakterze zwierzęcym czy elementem świata roślin?

Lem tworzył światy, w których zaobserwowane problemy ziemskie przenosił na inny poziom. Pokazywał, że światy mogą być nieprzenikalne. Skoro nie potrafimy się porozumieć na Ziemi, to czego oczekiwać od prób kontaktu z obcą cywilizacją? Czy to ocean na *Solaris*, czy mechaniczne owady w „*Niezwykniętym*”, czy Kwintanie we *Fiasku*, temu zagadnieniu poświęca swoją uwagę zawsze, a nawet jeśli się zauważają, nie muszą się rozumieć. Odmienność światów, których przedstawiciele pisarz ze sobą zetknął, powoduje niemożność porozumienia, zrozumienia, a nawet domyślenia się intencji obcych. Potrafi to opisać w taki sposób, że mu wierzymy. Już od swojego debiutu ilustrował fakt, że kontakt jest trudny, a czasem wręcz niemożliwy. Im bardziej oddalone są od siebie cywilizacje, tym stopni do pokonania, by osiągnąć porozumienie, jest więcej i są one coraz wyższe i coraz trudniej się na nie wspiąć. Mistrzowskie dzieła kontaktowej science fiction Lema to niewątpliwie *Solaris*, „*Niezwyknięty*”, *Eden*, *Głos Pana*, *Fiasko*, *Pokój na Ziemi*. Jerzy Jarzębski, krytyk i historyk literatury w urodzinowym tekście o Lemie pisze m.in. o *Głosie Pana*: „Druga powieść, którą lubię i cenię, to *Głos Pana*. Temat na pozór podobny do *Pamiętnika znalezionej w wannie* – odczytywanie przez Ziemię niezwykle skomplikowanego przesłania z kosmosu. Ale o tym *liście* nie wiadomo ani co oznacza, ani czy go ktoś napisał, ani czy w ogóle jest listem” (GW 12.09.2001).

Świadomość chmury

Typowym przykładem fabularnie rozwiniętej i literacko przekształconej zasady relatywizmu językowego są próby kontaktu czy choćby zrozumienia działania oceanu *Solaris* w powieści Lema pod tym samym tytułem. Odtwarzanie i tworzenie różnorodnych kształtów, urządzeń i postaci przez ocean stało się informatywne dla badaczy, gdyż zwróciło ich uwagę na coś, czego przedtem nie dostrzegali: na świadomą i celową działalność glejowatego tworu, a to pozwoliło sformułować twierdzenie o obdarzeniu oceanu świadomością. Natomiast nadal zupełnie niejasne były intencje oceanu-nadawcy. Sygnał komunikacyjny z punktu widzenia nadawcy i w jakimś sensie informatywny z punktu widzenia odbiorcy nie doprowadził do porozumienia. Został odebrany i zinterpretowany, ale nie było możliwości, by tę interpretację skorygować wedle punktu widzenia nadawcy. Jeden z bohaterów powieści, Kris, mówi o tym sygnale: „Może twoje zjawienie się miało być torturą, może przysługą, a może tylko mikroskopowym badaniem. Wyrazem przyjaźni, podstępem ciosem, może szyderstwem? Może wszystkim naraz albo – co wydaje mi się najprawdopodobniejsze – czymś całkiem innym”. Problem pozostaje nierozstrzygnięty. Bo Lemowa science fiction ma wiele wspólnego ze swoim pierwszym członem w nazwie angielskiej, a drugim w nazwie polskiej, czyli z nauką. Lem prezentuje naukowe tezy i hipotezy na swój sposób





rys. Sławomir Habel

i je rozwija, czasem przejawia, żeby sens uwypuklić bardziej. A nauka nie znalazła dotąd rozwiązania tego problemu.

Do taksonomicznego podziału znanego nam świata na zwierzęcy i roślinny Lem dokłada trzeci podsystem: „ożywioną” technikę, wynaturzoną sztuczną inteligencję. Przy czym niejednoznaczność słowa „ożywiony” została już wskazana. Czy ożywiony to oddychający? Czy myślący? Czy działający celowo? Dwie ostatnie kwestie nie muszą być równoznaczne. Działać celowo mogą zwierzęta, ale jak na razie – przy naszym stanie wiedzy – myślenie (w znaczeniu świadomego kształtowania poglądów) przypisujemy wciąż tylko człowiekowi. A Lem zaproponował jeszcze większą zagadkę, obdarzając celowym – ale czy świadomym? – działaniem mechaniczną chmurę. Ewentualną świadomość chmury rozważają naukowcy w Lemowej powieści: „Cybernetycy skłaniali się raczej ku uznaniu jej za system myślący, obdarzony zdolnością działania strategicznego. [...] Główny Cybernetyk, Kronoton, pytał, w jaki sposób według Laudy chmura, choć pozbawiona inteligencji, nauczyła się atakować ludzi.

– Ależ to proste – odparł biolog. – nie robiła nic innego przez miliony lat. Mam na myśli walkę z pierwotnymi mieszkańcami Regis. Były to zwierzęta posiadające centralny układ nerwowy. Nauczyły się je atakować tak samo, jak ziemski owad atakuje ofiarę. Robią to z analogiczną precyzją, z jaką osa potrafi wstrzyknąć truciznę w zwoje nerwowe pasikonika czy chrząszcza. To nie inteligencja, to instynkt...”

Chmura działa celowo, precyzyjnie i bezbłędnie, ale jakikolwiek kontakt z nią jest dla ludzi nieosiągalny. Te dwie powieści pokazują globalny, całkowity i absolutny brak kontaktu. Brak wynikający z niemożności dostrzeżenia inteligencji, z niemożności stwierdzenia, czy „to” coś, co widzimy, dostrzegamy, co działa obok nas, na naszych oczach, czyni to świadomie, czy celowość jest zamysłem, czy instynktem.

Tym gorzej, im bliżej abstrakcji

Natomiast *Fiasko*, którego tytuł jest symbolem i zwieńczeniem wskazanego nurtu twórczości pisarza, którego wymowa jest w końcu pesymistyczna, a co najmniej bardzo sceptyczna: nie daje nadziei na nieograniczoną poznanie ludzkiego, nie daje szans na komunikację i porozumienie z obcym i niewiadomym. *Fiasko* jest też reinterpretacją i przewartościowaniem, przeniesieniem rozważań na inną płaszczyznę. Lem przenosi tu kwestię próby kontaktu na inny poziom – chciałoby się powiedzieć – bardziej ludzki, bardziej ziemski. Wiadomo, że mamy do czynienia z życiem myślącym, które posługuje się kodem zbliżonym w strukturze do naszych ziemskich języków naturalnych. Kod został uzgodniony. Nastąpiło to dzięki wykorzystaniu uniwersaliów fizjologiczno-kulturowych. Do tego celu wykorzystano mit, a właściwie ciąg mitów o Ziemi, Słońcu, Księżycu i ludziach (stworach o wyprostowanej postawie).

Pomimo ujednoczenia kodu, pełnej odpowiedniości pojęć nie osiągnięto: „Steergard pragnął bezpośredniego spotkania swego człowieka z przedstawicielami miejscowej władzy i nauki, jednakowoż albo sens tych pojęć był całkowicie wichrowaty między Kwintanami i ludźmi, albo i tu wsączyła się zła wola (...). Przy nieustannym oporze strony kwintańskiej punkt po punkcie wytargowali wreszcie warunki posłowania. Przybył otrzymał prawo opuszczenia rakiety dla lustracji szczątków fałszywego »Hermesa« i swobodnego poruszania się w sześciomilowym promieniu wokół swej rakiety z zapewnioną nietykalnością, o ile nie podejmie wrogich czynów i nie przekaże goszczącej go stronie groźnych informacji. Wiele kłopotów wynikło przy zgłębianiu owych terminów. Nazewnictwo ludzi i Kwintan pokrywało się tym gorzej, im wyższej sięgało abstrakcji. Takie hasła jak „władza”, „neutralność”, „stronność”,

„gwarancja” nie ujednoznaczyły się czy to od siły wyższej jako zasadniczej odmienności dziejów historycznych, czy od wpływającej w porozumienie premedytacji. Zresztą i premedytacja niekoniecznie równała się chęci zwodzenia i oszukiwania, jeżeli uwikłana w stuletnią wojnę Heparia nie była swobodna ani suwerenna w danej zgodzie i nie chciała lub nie mogła zdradzić tego »Hermesowi«. Bodaj i tu, jak sądziła większość załogi, kryła się wypadkowa zmagania trwających na planecie od tyłu pokoleń, że ukształtowały zarówno język, jak i sposób myślenia” (*Fiasko*). To literacka wykładnia zasady relatywizmu językowego wyłożona wprost. W tym wypadku tekstu Lema nie trzeba interpretować. Wystarczy go przyjąć obiektywnie. Potraktować fragment powieści jak fragment książki popularnonaukowej.

Pesymizm czy sceptycyzm?

Problem ten w skali ogólnej rozważał Marian Jurkowski: „Warto jeszcze pamiętać o tym, że wysoko zorganizowana cywilizacja może rozporządzać mnóstwem elementów językowych odnoszących się do wielu nieznanych nam pojęć, rzeczy i zjawisk. Nie należy się także spodziewać ścisłej odpowiedniości między prawami przyrody i logiki. Poza tym istoty rozumne, żyjące np. w podczerwieni lub środowisku wodnym, albo istoty pozbawione wzroku lub innego zmysłu będą zupełnie inaczej percypować i opisywać otaczającą je rzeczywistość. Między cywilizacjami mogą zachodzić dość istotne różnice natury biologicznej (np. życie oparte na związkach krzemu lub amoniaku), technologicznej, socjalnej, psychologicznej i etyczno-religijnej. Zanim więc mieszkawiec Ziemi nawiąże kontakt z nieznaną cywilizacją, powinien poznać uprzednio – za pomocą metod pośrednich – właściwości tej cywilizacji” (Marian Jurkowski, *Od wieży Babel do języka kosmitów. O językach sztucznych, uniwersalnych i międzynarodowych*, Biały-stok 1986, s. 141).

Negatywnie odnosi się też Lem do możliwości międzycywilizacyjnego porozumienia telepatycznego. Uważa, iż pogląd taki wynika z „fałszywego założenia, jakoby pozazmysłowy przekaz przebijał bariery językowe. Gdyby nawet telepatia była rzeczywistością, telepata mógłby się myślowo porozumieć z tym tylko, z kim zdolny byłby się także językowo komunikować” (*Fantastyka i futurologia*).

Jak ocenić „kontaktową” fantastykę naukową Stanisława Lema? Pesymizm? Beznadziejny pesymizm? A może tylko ostrożność i sceptycyzm? A może fabularyzacja naukowej językoznawczej hipotezy – hipotezy prawdopodobnej, ale niesprawdzonej, więc niepewnej, czyli tym samym bardzo nośnej dla fantastyki naukowej. Odpowiedź dać może interpretacja twórczości pisarza. Ale jak zinterpretować odpowiedź, która jest zarazem jednym wielkim pytaniem: „Kontakt oznacza wymianę jakichś doświadczeń, pojęć, a przynajmniej rezultatów, jakichś stanów, ale jeżeli nie ma nic do wymieniania? Jeżeli słów nie jest bardzo wielką bakterią...” (*Solaris*).

Na koniec cytuję zdanie, które Robert Stiller kieruje do Stanisława Lema w książce-eseju, książce-opowieści pod ciekawym tytułem *Lemie! Po co umarłeś*: „Cóż to za rozmowa, jeśli nie ma w niej dwóch stron czynnych i z grubsza równych” (Robert Stiller, *Lemie! Po co umarłeś?*, Kraków 2006, 130). A jeśli strony nie są choć z grubsza równe, to nawet gdy są czynne, można to przeoczyć. Lemie! Dlaczego umarłeś? Jeśli „oni” kiedyś znajdują się w zasięgu naszego postrzegania, to jednak Ty – pomimo swojego sceptycyzmu, a może dzięki niemu – mógłbyś zostać „rycerzem świętego kontaktu”.

Prof. dr hab. Jolanta Tambor, językoznawczyni, Instytut Językoznawstwa Uniwersytetu Śląskiego

Leszek Chybowski

O potrzebie nauczania kreatywności

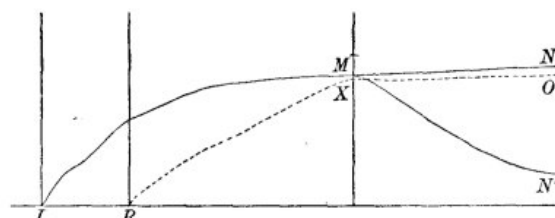
Przyczyna zmniejszenia aktywności twórczej młodych ludzi leży nie tylko w często asekuracyjnym i mało motywującym podejściu wychowawców i nauczycieli do kształtowania kreatywnych czy wręcz przedsiębiorczych postaw uczniów, studentów i doktorantów, lecz także w samych programach nauczania.

Na stronach portalu internetowego Zielona Gospodarka zamieszczony został 16 maja 2021 artykuł pt. *Innowacyjna technologia pozyskiwania energii z trzech źródeł OZE* (<https://zielonagospodarka.pl/-1372>, dostęp 27.05.2021). Materiał krótko omawia rozwijany od kilku lat przez firmę Wuprohyd projekt energetycznej wyspy (zakotwiczonej elektrowni pływającej) wykorzystującej trzy źródła energii, tj. wiatr, fale morskie oraz słońce. Założona projektowa moc zainstalowana przetworników energii wynosi 17 MW. Wizualizacja działania tego systemu została zamieszczona na stronach serwisu YouTube (<https://www.youtube.com/watch?v=GU2xYCPwBqM&t=62s>, dostęp 27.05.2021).

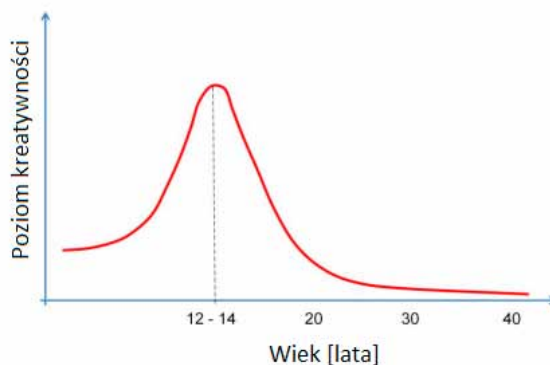
Dla osoby obytej w tematyce energetyki taki pomysł to zapewne nic szczególnego. Rozwiązania podobne, oparte na integracji różnych systemów, są znane od dawna. Również w obszarze energetyki analogiczne rozwiązania w ostatnich latach rozwijano zarówno w wykonaniu lądowym, jak i morskim, w tym są one przedmiotem projektów B+R o dużych budżetach, finansowanych przez Komisję Europejską.

Opierając się na teorii wynalazczości, można wprost wskazać, że na etapie projektu koncepcyjnego wymienione powyżej rozwiązanie techniczne wykorzystuje znane z teorii rozwiązywania innowacyjnych zadań (TRIZ) zasady wynalazcze, to jest stwierdzone doświadczalnie prawidłowości związane z powstawaniem nowych obiektów technicznych. Chciałoby się powiedzieć, że to wręcz przykład wzorcowy, gdyż już na pierwszy „rzut oka” widoczne jest wykorzystanie wielu zasad zaproponowanych przez Henryka Altzullera (Altzuller G.S.: *Elementy teorii twórczości inżynierskiej*, Warszawa 1983), w tym zasady: podziału (obiektu na niezależne części), wydzielenia (potrzebnej właściwości obiektu), lokalnej jakości (umożliwiającej realizację różnych funkcji przez różne części obiektu), asymetrii (związanej ze zamianą obiektu symetrycznego na niesymetryczny), łączenia (obiektów przeznaczonych do realizacji podobnych funkcji), uniwersalności (umożliwiającej realizację przez obiekt różnych funkcji) i okresowego działania (umożliwiającego realizację określonych funkcji obiektu w określonym czasie).

Artykuł o wyspie energetycznej przykuł jednak moją uwagę nie z powodu integracji różnych systemów, lecz dlatego, że stanowi on dobry dowód na to, że innowacyjność jest immanentną umiejętnością człowieka. Zapewne większości czytelników znana jest z psychologii opracowana ponad 115 lat temu krzywa Théodule Ribota. Krzywą tę przedstawiłem na rysunku 1. Obrazuje ona relację pomiędzy wiekiem człowieka a poziomem wykorzystywania przez niego wyobraźni (linia ciągła). Na rysunku przedstawiono też przyrost udziału racjonalnego



Rysunek 1. Krzywa Théodule Ribota (źródło: Ribot T.: *Essay on the creative imagination*, The Open Court Publishing Company, Chicago 1906)



Rysunek 2. Niestymulowana i hamowana z wiekiem kreatywność człowieka (<http://www.creativ-plus.si/triz/CX-TRIZ%20Users%20Manual.pdf>, dostęp 02.06.2021)

podjęcia w działaniu (linia przerywana R-X-O). Ribot stwierdził, że u większości osób po uzyskaniu wartości maksymalnej wykorzystania wyobraźni (linia I-M) jej poziom spada (linia M-N'). Znacznie rzadziej wykorzystanie wyobraźni utrzymuje się na wysokim poziomie (linia M-N).

Dalsze badania doprowadziły psychologów do obserwacji, że niestymulowana w trakcie rozwoju człowieka wyobraźnia oraz rozwijana w nas siła racjonalnego działania skutkuje zwykle spadkiem poziomu kreatywności. W zależności od źródła i zakresu badań maksimum kreatywności człowiek uzyskuje najczęściej w wieku ok. 10-12 lub 12-14 lat. Na rysunku 2 przedstawiam wizualizację tej koncepcji.

Braki wiedzy skompensować systemem skojarzeń

Nie ma, jak sądzę, lepszego sposobu weryfikacji hipotezy przez badacza niż eksperyment, w którym osobiście uczestniczy. Otóż 28 października zeszłego roku miałem zaszczyt prowadzić zdalne, interaktywne zajęcia z członkami Koła Naukowego „Edukacja Kosmiczna” klasy II Szkoły Podstawowej im. Kawalerów Orderu Uśmiechu w Marcinkowicach. Uczniowie ci byli w wieku 8-9 lat. Opiekunem koła jest pani Małgorzata Sojka-Choptiany. Założeniem realizacji przeze mnie zajęć było to, aby wiedza, którą uczniowie zdobędą, została wykorzystana do przygotowania pracy stanowiącej zgłoszenie do V edycji programu „Bądź jak Ignacy” organizowanego przez Fundację PGNiG. Ubiegłoroczny konkurs przebiegał pod hasłem „Nauka to przyszłość” i był poświęcony tematyce przetwarzania energii. Praca konkursowa miała mieć postać modelu urządzenia wykorzystującego energię odnawialną.

Zajęcia zaprojektowałem tak, aby przy zachowaniu możliwie interaktywnej pracy dzieci po spotkaniu były w stanie udzielić zwizję odpowiedzi na trzy następujące pytania: Czym jest energia? Co to jest energia odnawialna? Jak można przetwarzać energię? Odpowiedzi na te pytania są trudne. Zwłaszcza na pierwsze, bo o ile można zrozumieć, czym jest energia, to praktycznie nie można zbudować pełnej, jednoznacznej i logicznie spójnej definicji tego terminu. Wynika to z faktu, że definicja pojęcia „energia” odwołuje się do pojęcia „praca” i odwrotnie „pracę” definiuje się z wykorzystaniem terminu „energia”. Do tego doszła okoliczność, że dotychczas nie prowadziłem zajęć dla tak młodych odbiorców – w tym jednak pomogła mi Żona mająca wieloletnie doświadczenie w edukacji dzieci i młodzieży. Ona jako pierwsza zrecenzowała moją prezentację i plan zajęć.

Jak się okazało w trakcie spotkania z członkami Koła Naukowego, braki zaawansowanej wiedzy z zakresu fizyki dzieci bardzo umiejętnie potrafią skompensować systemem skojarzeń, zaś ich ciekawość świata powoduje intensyfikację procesu kreatywnego rozwiązywania problemów. Wynikiem pracy koła było urządzenie przetwarzające różne rodzaje energii odnawialnej nazwane przez dzieci „Turbina SOL WI DA”. Prezentacja tego modelu, zgłoszonego do konkursu fundacji PGNiG, została przedstawiona na YouTube przez Jana Maciochę, jednego z wynalazców i członków Koła Naukowego „Edukacja Kosmiczna” (<https://www.youtube.com/watch?v=wLL3SnMnoBU>, dostęp 27.05.2021). Porównanie rozwiązania inżynierów przedstawionego na wstępie i „Turbin SOL WI DA” autorstwa drugoklasistów ze szkoły podstawowej przedstawiłem w tabeli 1.

Z tabeli 1. widać, że rozwiązanie zaproponowane przez 8- i 9-latków wykorzystuje wszystkie źródła energii wybrane przez projektantów energetycznej wyspy. Ponadto koncepcja autorstwa dzieci wykorzystuje dwa dodatkowe źródła energii. Obie propozycje elektrowni różnią się sposobem posadowienia, jednak byłbym skłonny stwierdzić, że rozwiązanie optymalne może być ulokowane „pośrodku”, np. w postaci pływającej platformy prowadzonej na przytwierdzonych do dna kolumnach. Taki zabieg umożliwiłby dopasowanie wysokości położenia przetworników energii do poziomu morza, a jednocześnie pozwoliłby na rezygnację ze skomplikowanego systemu sterowania naciąganiem łańcuchów kotwicznych. Rozwiązanie takie byłoby potencjalnie również bardziej odporne na ekstremalne warunki hydrometeorologiczne.

Chciałbym zwrócić uwagę czytelników na fakt, że podczas moich zajęć z Kołem Naukowym nie przedstawiałem uczniom rozwiązań zintegrowanych przetworników energii, a tylko pokazywałem każdego rodzaju przetwornik jako niezależny i wyizolowany system techniczny. Widać więc z tego, że wyobraźnia dzieci jest w stanie doprowadzić do powstania koncepcji bliskich profesjonalnym rozwiązaniom technicznym. W artykule o energetycznej wyspie czytamy: „Wielofunkcyjny patent biura projektowego Wuprohyd jest jednym z najnowocześniejszych rozwiązań energetycznych, wykorzystujących energię z fal, wiatru i słońca, którą można dostosować do każdych warunków”. Biorąc pod uwagę tę wypowiedź oraz fakt, że rozwiązanie 8-9-latków posiada dodatkowe przetworniki, można stwierdzić, że dzieci te mają zadatki, aby w przyszłości stać się świetnymi inżynierami odpowiadającymi na potrzeby polskich przedsiębiorstw, a co najważniejsze – kreującymi innowacje w miejscu pracy. O ile oczywiście ich zapał nie będzie tłumiony przez otoczenie wskutek dobrze nam znanych haseł: „to już było”, „tego się nie da”, „inni zrobią to lepiej”, „nie bierz się za coś, na czym się nie znasz” itp.

Nie są uczeni kreatywnego rozwiązywania problemów

Obserwując swoich studentów kierunków mechanika i budowa maszyn oraz mechatronika muszę z przykrością stwierdzić, że ich kreatywność względem opisanych wcześniej dzieci jest wyraźnie niska – tu ukłon w stronę krzywej Ribota. Przyczyn takiego faktu można doszukiwać się w konserwatywnym środowisku pełniącym rolę hamulca i wyznacznika tego, co można, a czego nie wypada, wskazującego miejsce człowieka „w szeregu” oraz sytuującego daną osobę w strefie komfortu: po co się „wychylać”, narażać na ośmieszenie i/lub zmuszać innych do zmiany status quo, skoro tego nie chcą.

Sądzę, że przyczyna zmniejszenia aktywności twórczej młodych ludzi leży nie tylko w często asekuracyjnym i mało motywującym podejściu wychowawców i nauczycieli do kształtowania kreatywnych czy wręcz przedsiębiorczych postaw uczniów, studentów i doktorantów, ale także w samych programach nauczania. Przeprowadzona przeze mnie w maju br. kwerenda dostępnych w Internecie programów nauczania wybranych uczelni technicznych pokazuje, że w wielu z nich studenci nie są uczeni kreatywnego rozwiązywania problemów z wykorzystaniem wyodrębnionego przedmiotu nauczania. Nie wspomnę

Tabela 1. Porównanie zintegrowanych przetworników energii

Nazwa elektrowni	Sposób mocowania platformy	Wykorzystywane w danym rozwiązaniu odnawialne źródła energii				
		Energia pływów	Energia prądów	Energia falowania	Energia wiatru	Energia słoneczna
Energetyczna wyspa	Zakotwiczona	NIE	NIE	TAK	TAK	TAK
Turbina SOL WI DA	Stacjonarna	TAK	TAK	TAK	TAK	TAK

Tabela 2. Najbardziej pożądane umiejętności wśród pracowników w 2025 roku (źródło: *Future of Jobs Survey 2020*, World Economic Forum, http://www3.weforum.org/docs/WEF_Future_of_Jobs_2020.pdf, dostęp 02.06.2021).

Lokata (od najważniejszej)	Umiejętność
1	Myślenie analityczne i innowacyjność
2	Czynne nabywanie wiedzy
3	Rozwiązywanie złożonych problemów
4	Analiza i myślenie krytyczne
5	Kreatywność, oryginalność i wykorzystanie intuicji
6	Kierowanie i wpływ społeczny
7	Wykorzystanie, monitorowanie i sterowanie systemów technicznych
8	Projektowanie i programowanie systemów technicznych
9	Odporność, tolerowanie stresu i elastyczność
10	Umiejętność uzasadniania, rozwiązywania problemów i korzystania z wyobraźni
11	Inteligencja emocjonalna
12	Poszukiwanie przyczyn problemów i zrozumienie odbiorców końcowych
13	Zorientowanie na usługi
14	Analiza i ocena systemów
15	Umiejętność przekonywania i negocjacji

już o szkole podstawowej i średniej, które powinny brać przykład z analogicznych jednostek w Finlandii, Korei Południowej czy Holandii, gdzie nauczanie problemowe realizowane jest od wielu lat (Chybowski L., Idziaszczyk D., *Czy design thinking jest przydatny w kształceniu inżynierów?*, Gliwice 2014).

Oczywiście nauczanie kreatywności powinno iść w parze z pozyskiwaniem elementarnej wiedzy z poszczególnych dyscyplin naukowych. Wiedza ogólna i umiejętności miękkie (jak kreatywność) stanowią świetny dodatek do wiedzy specjalistycznej i czynią specjalistów ludźmi potrafiącymi wykorzystać wiedzę w złożonych sytuacjach problemowych. Niestety nie działa to w drugą stronę, czyli świetny specjalista w zakresie metod kreatywnego rozwiązywania problemów bez podbudowy specjalistycznej w określonej dyscyplinie wiedzy nie będzie w stanie rozwiązać złożonych problemów, dlatego że nie będzie rozumiał ich istoty.

Polskie uczelnie techniczne aplikują studentom i doktorantom wiedzę specjalistyczną na dobrym lub bardzo dobrym poziomie. Polscy inżynierowie są cenieni na całym świecie za posiadaną przez nich wiedzę ekspercką, lecz to za mało. Żyjemy w dobie natłoku informacyjnego oraz rewolucji cyfrowej. Nadmiar docierających do nas informacji skutecznie uniemożliwia nam posiadanie pełnej wiedzy w danej dyscyplinie naukowej. Jednocześnie jesteśmy świadkami szybkiego rozwoju nowych, interdyscyplinarnych obszarów wiedzy, stąd też potrzeba ciągłego doskonalenia odpowiedzi na pytanie o sposób kształcenia współczesnego inżyniera czy naukowca. Prof. Jan Koch wskazał, że wśród menedżerów tylko 14% zna metody pobudzające kreatywność, zaś korzysta z nich wyłącznie 3%. A więc teoretycznie jest tu duże pole do poprawy. Obecne i przyszłe zmiany w naszym otoczeniu wiążą się ze wzrostem zapotrzebowania rynkowego na odpowiednie umiejętności. Prognoza piętnastu najbardziej pożądanych umiejętności u pracowników w 2025 roku przedstawiona została w tabeli 2.

Wartość współczesnego inżyniera

Jeśli idzie o kształcenie na poziomie szkoły wyższej, to znane od kilku dziesięcioleci przedmioty, takie jak inwentyka, inno-

watyka czy bionika, wciąż stanowią egzotykę na polskich uczelniach. I nie mówię tu o przedmiotach uczących teorii wynalazczości oraz taksonomii metod inwentycznych. Są to zagadnienia wartościowe, ale nie niezbędne, gdyż ważniejsze jest, aby student lub doktorant potrafił skutecznie zaaplikować określoną metodę, niekoniecznie znając jej nazwę. Mam tu na myśli zajęcia warsztatowe lub projektowe, w trakcie których studenci i doktoranci mają znaleźć rozwiązanie nietrywialnych problemów technicznych czy organizacyjnych. Przedmioty takie możemy znaleźć w programach nauczania kilku wiodących uczelni technicznych. Na szczególne wyróżnienie zasługuje tu w mojej opinii Uniwersytet Zielonogórski. Niestety wiele polskich wyższych szkół technicznych nie uwzględnia metod kreatywnego rozwiązywania problemów technicznych jako odrębnych przedmiotów nauczania. A wydawałoby się, że jest to oczywiste.

Prof. Ryszard Tadeusiewicz w jednym z wystąpień wskazał ostatnio na ten problem. Nie przytoczę dosłownie jego słów, ale sądzę, że uda mi się je sparafrazować. Otóż podkreślił on, że wartość dawnego inżyniera leżała w znajomości wzorów i tabel, a współcześnie nie jest to kluczowe, gdyż wszystkie te dane są w zasięgu ręki w Internecie. Dlatego też wartością dodaną współczesnego inżyniera jest umiejętność doboru metod do rozwiązywania złożonych problemów. Oczywiście w dużej mierze wynika to ze zmiany rodzaju problemów, z którymi borykają się obecnie inżynierowie.

Podsumowując przedstawione w niniejszym materiale zagadnienie, gorąco zachęcam środowisko akademickie do doskonalenia programów nauczania studentów i doktorantów oraz wzbogacania ich o przedmioty takie jak inwentyka przemysłowa, wynalazczość usystematyzowana czy kreatywne rozwiązywanie złożonych problemów technicznych. Z pewnością nie zaszkodzą.

Dr hab. inż. Leszek Chybowski, MBA, certyfikowany specjalista TRIZ, członek komitetu zarządzającego akcją COST CA OC-2017-1-22010 pn. „A pan-European Network for Marine Renewable Energy with a Focus on Wave Energy”, dyrektor Szkoły Doktorskiej Akademii Morskiej w Szczecinie

Czy już czas na Uniwersytet Lubelski?

Federacja nie może być celem samym w sobie. Samo jej tworzenie, bez podbudowy i jasno określonych celów, ale także korzyści, jakie przyniesie każdej uczelni, jest pozbawione sensu. Zasadniczym elementem jest wyznaczenie kierunku, w jakim dążymy – zauważa rektor UMCS prof. Radosław Dobrowolski.

Środowe popołudnie, połowa marca, dwa lata temu. Ówczesny wiceminister nauki i szkolnictwa wyższego Piotr Müller objeżdża Polskę, zachwalając przygotowaną w resorcie Konstytucję dla Nauki. Tego dnia jest w Lublinie. Frekwencja przywoita, choć aula im. Daszyńskiego na Wydziale Politologii i Dziennikarstwa UMCS nie pęka w szwach. Gość ze swadą odpowiada na pytania, rozwiewa wątpliwości, tłumaczy nowe zasady. Senną atmosferę przerywają dopiero jego słowa: Spuścić minionych dekad jest rozdrobnienie polskiego szkolnictwa. W Lublinie mamy i Uniwersytet Przyrodniczy, i Uniwersytet Medyczny, a przecież w innych krajach w takim ośrodku akademickim byłyby to dwa silne wydziały jednego uniwersytetu, w tym wypadku UMCS. Efekt takiej konsolidacji to znaczący skok w rankingach, ale nie tylko.

Przez salę przetoczył się nerwowy szmer. To, co stanowiło dotąd o naszej sile, dziewięć szkół wyższych, w tym pięć publicznych, miało się teraz okazać słabością? – zdawało się pytać auditorium. Odpowiedź przyniosły wyniki rozstrzygniętego pół roku później ministerialnego konkursu IDUB. To jedna z najważniejszych inicjatyw przewidzianych w Ustawie 2.0. Wyłania podmioty, które są w stanie skutecznie konkurować z najlepszymi zagranicznymi ośrodkami akademickimi. Lubelskich uczelni próżno jednak szukać wśród beneficjentów. Nie ma ich ani w pierwszej, ani w drugiej dziesiątce laureatów.

Niewłaściwe parametry

Wyniki mogły być dla lubelskiego środowiska rozczarowujące. Poza wszystkim innym nieobecność w tak prestiżowym konkursie to po prostu plama wizerunkowa dla „największego ośrodka akademickiego po tej stronie Wisły”, jak zwykło się go określać w materiałach promocyjnych. Biorąc jednak pod uwagę ostatnią ewaluację, trudno było spodziewać się sukcesu. W sumie siedem wydziałów otrzymało najniższe możliwe noty, a te z najwyższymi, jak Politechnika Lubelska (A+ dla Wydziału Mechanicznego) i Uniwersytet Medyczny (A+ dla Wydziału Farmaceutycznego), nie spełniały wymogów konkursu IDUB co do liczby dziedzin. Zresztą z tymi kryteriami to jakieś dziwne fatum – ostatni spadek UMCS w ran-

kingu „Perspektyw” tłumaczono nie do końca jasnymi i klarownymi wskaźnikami.

Spójrzmy więc na twarde dane. W ostatnich dziesięciu latach liczba wniosków zakwalifikowanych z lubelskiego ośrodka do finansowania przez Narodowe Centrum Nauki wyniosła 754, co w rozbięciu na województwa (w lubelskim liczy się praktycznie tylko stolica) daje miejsce dopiero w połowie stawki. Od 2007 roku nie trafił tu też ani jeden z 45 „polskich” grantów ERC. Wśród realizujących je szesnastu jednostek nie ma żadnej z Lublina. Za miarę sukcesu w ostatnim czasie należy uznać grant EMBO dr hab. Agaty Starosty, która jednak po trzech latach spędzonych na UMCS postanowiła karierę naukową kontynuować w warszawskim Instytucie Biochemii i Biofizyki PAN.

Czy to aby nie wystarczające sygnały, by w lubelskim ośrodku zacząć bić na alarm? Oczywiście nie brak tu znakomitych badaczy, prowadzone są duże projekty, tyle że – zdaje się – nie ma pomysłu, jak ten potencjał wykorzystać. Zadziwia przy tym bierność środowiska wobec tego faktu, tak jakby wystarczało to, co już jest. Brakuje mobilizacji, by wnieść rzetelną i poważną dyskusję o kierunku dalszego rozwoju. Nawet pojedyncze sukcesy nie są w stanie zmienić niebezpiecznie zwiększającego się dystansu do krajowej czołówki.

Może więc, przywołując język bliski jednej z lubelskich uczelni, „stanąć w prawdzie” i zastanowić się, czy nie nadszedł czas na połączenie sił, skoro w pojedynkę nie damy rady?

W blokach startowych

Pomysł nie jest nowy. Mówi się o tym już od połowy pierwszej dekady wieku. Wtedy z inicjatywą wyszedł ówczesny rektor UMCS prof. Wiesław Kamiński. Przekonywał, że integracja jest konieczna i jeśli Lublin chce się liczyć jako ośrodek naukowy, nie ma przed nią odwrotu. W rozmowie ze mną przypomina, że już na początku lat dziewięćdziesiątych jeden z jego poprzedników, prof. Eugeniusz Gąsior, dążył do powrotu Akademii Medycznej na łono UMCS. On sam uważał, że połączenie uczelni jest koniecznością, dzięki której Lublin wyraźniej zaznaczy swoją obecność na akademickiej

mapie Polski. Proponował w związku z tym stworzenie uniwersytetu regionalnego, który oprócz stolicy województwa obejmowałby także dwie uczelnie zawodowe: w Zamościu i Białej Podlaskiej.

– Miałem ambicję zespolenia tych rozproszonych sił. Uważam, że najważniejszym czynnikiem jest lokalne zakorzenienie. Przecież lubelskie uczelnie o znaczeniu światowym to mrzonki. Zamiast bać się słowa „regionalny”, chciałem stworzyć uniwersytet, który zaoferuje wysoką jakość pod każdym względem – wspomina.

Przy wszystkich różnicach wzorował się na Uniwersytecie Kalifornijskim, złożonym z dziesięciu uczelni różnej wielkości i o różnym charakterze: od Berkeley przez Caltech aż po San Francisco. W Lublinie synergia wynikałaby ze wspólnych jednostek organizacyjnych, jak np. wydziały (biotechnologii) czy międzyuczelniane instytuty (fizyki, matematyki, chemii, filozofii) oraz wspólnych zespołów i sieci badawczych. Paliwo tej strukturze miały dolewać laboratoria powstającego właśnie Ecotech-COMPLEX, w których pod zarządem nowego podmiotu, a nie poszczególnych uczelni, prowadzono by wspólne badania.

– Ścisła integracja powoduje, że jako duży gracz mamy przewagę konkurencyjną na rynku, jesteśmy odbierani na zewnątrz jako silny podmiot, a ponadto jesteśmy uprzywilejowani w sposobie finansowania, w którym systemowo faworyzuje się większych – wyjaśnia prof. Kamiński.

Za jego czasów UMCS osiągnął dominującą pozycję na lokalnym rynku i mógł wywierać presję na pozostałych. Nie musiał jednak tego robić, bo innym rektorom towarzyszyło podobne myślenie o przyszłości. Kiedy więc przedstawił koncepcję Środowiskowemu Kolegium Rektorów Uczelni Publicznych Lublina, spotkała się z uznaniem. Pierwszym krokiem ku zjednoczeniu miał być Związek Uczelni Lubelszczyzny.

– Bardzo zależało mi na takim ukształtowaniu jego ustroju, by wyraźnie w regulacjach prawnych rozdzielić dwa jego poziomy: władztwa i zarządzania. Dlatego zaproponowałem wprowadzenie odpowiednika trustees board (Rada Zarządzająca). Notabene po raz pierwszy użyłem tej konstrukcji w projekcie statutu Uniwersytetu Polsko-Ukraińskiego w Lublinie, będącego załącznikiem do ustawy zgłoszonej przez prezydenta Lecha Kaczyńskiego do laski marszałkowskiej wiosną 2008 r. – przypomina były rektor UMCS.

Mając na względzie suwerenność uczelni, przyjęto zasadę, że same robią to, w czym są najlepsze, a związkowi oddają jedynie ten obszar, w którym znaczącą przewagę może uzyskać większy podmiot. Lubelskiej inicjatywie, pierwszej na skalę ogólnopolską tak dalece zaawansowanej, z zainteresowaniem przyglądały się Kraków czy Wrocław, które też myślały wtedy o podobnych działaniach.

– Ministerstwo, na którego czele stała wówczas prof. Barbara Kudrycka, zamierzało wspierać finansowo takie przedsięwzięcia. Nie pamiętam szczegółów, ale zdaje się, że w roku 2008 specjalny fundusz na ten cel wynosił około 20 mln zł – dodaje.

Gdyby pomysł doprowadził do końca, UMCS byłby najpotężniejszym polskim uniwersytetem. Koniec kadencji zniweczył te plany. Dziś prof. Kamiński z zalem obserwuje, jak maruje się ten potencjał.

– Przez ostatnie dwie kadencje byłem członkiem PKA, przeprowadziłem ponad 40 akredytacji i na własne oczy widziałem, jak wiele ośrodków, które kiedyś nawet nie umywały się do Lublina, poszło do przodu, a my zostaliśmy w blokach startowych – podsumowuje.

Stracona dekada?

Ideę wskrzeszono za kadencji jego następcy – prof. Andrzeja Dąbrowskiego. On też uważał, że jedynym przyszłościowym kierunkiem działań jest federacja. – Inaczej sami się unicestwimy – przekonywał. Próbował małymi krokami, żeby – jak dziś wspomina – nie naruszyć ambicji poszczególnych uczelni. Jego propozycja zakładała dziesięcioletni okres dojścia do pełnej integracji. Tyle minęło właśnie od tamtego czasu.

– Konsolidacja byłaby swego rodzaju powrotem do źródeł, bo przecież to UMCS tworzył instytucjonalne czy osobowe podwaliny pod inne lubelskie uczelnie. Można było przypuszczać, że odwołując się do tych korzeni, stworzymy coś wielkiego dla tego ośrodka – mówi.

Jego koncepcja była odpowiedzią na nowe zasady finansowania uczelni. W Lublinie mocno postawiono wtedy na biotechnologię, tyle że... każda uczelnia osobno. W efekcie szansę zaprzepaszczono. Efekt synergii przynieść miały też laboratoria w powstającym ECOTECH Complex. Uczelnie wołały jednak budować swoje własne. W rezultacie część pracowni stoi dziś pusta albo używana jest „od wielkiego dzwonu”.

Zorganizował kilka spotkań z rektorami, ale nie widział chęci do podjęcia wyzwania. Autonomicznym uczelniom nie mógł niczego narzucać. – To moja osobista porażka. Ale jeszcze większa dla całego lubelskiego ośrodka – mówi z goryczą.

W tamtym czasie to był na tyle gorący temat, że głos zabierały osoby nie tylko ze szczytów władzy. Prof. Włodzimierz Sitko, który owszem, kierował Politechniką Lubelską, ale w latach 1984–1990, na łamach lokalnej prasy przekonywał, że „rozproszony potencjał nie jest atrakcyjnym partnerem dla biznesu. Aby Lublin odniósł sukces, musi wzmocnić uczelnie. A to możliwe jest tylko przez połączenie w jeden, wielki uniwersytet”. I znów, aby nie przekreślać od razu na starcie całej inicjatywy, sugerował rozpoczęcie konsolidacji na mniejszą skalę. Za najważniejsze na tym etapie uznawał połączenie Uniwersytetu Przyrodniczego z Politechniką Lubelską i powołanie Uniwersytetu Przyrodniczo-Technicznego.

Nie dalej jak rok temu, w rozmowie z „FA”, kończący wówczas swoją kadencję rektor UP prof. Zygmunt Litwińczuk, zapytany o konsolidację, odparł, że „jest potrzebna, ale to daleka przyszłość”. Dodał, że dziś może być ona „kłopotliwa”.

Inni się federalizują

W przyjętej w 2018 roku Konstytucji dla Nauki poświęcono federacjom osobny dział. Mowa w nim o statucie, organach, zadaniach, ewaluacji jakości działalności naukowej i warunkach nadzoru ministra. Kluczowe w tym wszystkim jest określenie celów, wśród których jako główny wymieniono prowadze-



Fot. Sławian Cichan

nie działalności naukowej. Oznacza to, że dydaktyka pozostaje poza federacją. Wielu akademików uznaje to za słabą stronę tej koncepcji.

– Oddzielenie w federacji tych dwóch obszarów to fatalne rozwiązanie dla przyszłości szkolnictwa wyższego w Polsce – uważa prof. Wiesław Kamiński.

Na razie z możliwości oferowanej przez Ustawę 2.0 skorzystały wyższe szkoły bankowe w Gdańsku, Poznaniu i Wrocławiu, Dolnośląska Szkoła Wyższa we Wrocławiu oraz Wyższa Szkoła Filologiczna we Wrocławiu, tworząc Federację Naukową WSB-DSW, w której kształcą się ponad 50 tys. studentów. Znacznie większe nadzieje daje planowana za półtora roku federacja poznańskich uczelni. Jak przekonują pomysłodawcy, to jedyna droga do tego, by uznanie i pozycja poznańskiego ośrodka były adekwatne do rzeczywistego jego potencjału. W skład wejdzie osiem szkół wyższych: Uniwersytet im. Adama Mickiewicza, Uniwersytet Medyczny im. Karola Marcinkowskiego, Uniwersytet Ekonomiczny, Uniwersytet Przyrodniczy, Politechnika Poznańska, Akademia Wychowania Fizycznego im. Eugeniusza Piaseckiego, Uniwersytet Artystyczny im. Magdaleny Abakanowicz, Akademia Muzyczna im. Ignacego Jana Paderewskiego. Ich rektorzy przekonują, że dzięki federacji wzrośnie nie tylko prestiż naukowy, ale zwiększą się też szanse na pozyskanie środków na badania naukowe. Federacja uniwersytetów ułatwi ponadto współpracę poprzez dostęp do infrastruktury czy większe możliwości komercjalizacji wyników.

A co planują w Lublinie? – W tej chwili moim zdaniem sprawa federacji jeszcze bardziej się oddaliła – przekonuje prof. Dąbrowski, były rektor UMCS.

ZUL, PKS i LUC

Forsowane przez swoich poprzedników koncepcje postanowił wcielić w życie prof. Stanisław Michałowski. Tak przynajmniej się wydawało. W 2018 r. z jego inicjatywy doszło wreszcie do powołania Związku Uczelni Lubelskich – drugiego tego typu w Polsce. Wśród statutowych zadań wymieniono m.in. stwarzanie warunków do realizacji badań naukowych i prac rozwojowych poprzez tworzenie konsorcjów, wspólnych centrów badawczych, laboratoriów. Jednak miast nabierać rozpędu, inicjatywa z miesiąca na miesiąc gęś i dziś trudno byłoby wymienić jakieś znaczące jej osiągnięcia. Z letargu chcą ją wybudzić obecni rektorzy. Do trójki założycieli: UMCS, UP i PL, dołączy wkrótce UM w Lublinie, z którym podpisano ostatnio list intencyjny w tej sprawie. Plany są dalekosiężne, ale chyba nie aż tak, by myśleć o federacji.

– Federacja nie może być celem samym w sobie. Samo jej tworzenie, bez podbudowy i jasno określonych celów, ale także korzyści, jakie przyniesie każdej uczelni, jest pozbawione sensu.

Zasadniczym elementem jest wyznaczenie kierunku, w jakim dążymy – zauważa rektor UMCS prof. Radosław Dobrowolski.

Za zachowaniem obecnej formuły opowiada się na razie także sternik UP prof. Krzysztof Kowalczyk. Jego zdaniem, jeśli funkcjonowanie ZUL przyniesie efekty, wtedy społeczność akademicka przekona się do dalszych wspólnych działań.

– Bez tego etapu przejściowego nie odważyłbym się powiedzieć, że powinniśmy dążyć do federacji. Musimy zobaczyć, jak ta współpraca między nami wygląda. ZUL może być wstępem do federacji, ale chciałbym zaznaczyć, że ani teraz, ani w przyszłości nie ma zagrożenia dla utraty tożsamości poszczególnych uczelni – przekonuje.

W opinii prof. Zbigniewa Patera, rektora PL, działania zmierzające ku federacji byłyby w obecnej sytuacji skokiem na głęboką wodę.

– W przypadku federacji dyscypliny naukowe, które realizowane są w różnych uczelniach, byłyby ewaluowane wspólnie. Wymaga to chociażby jednolitej oceny pracowników. Nie jesteśmy do tego jeszcze przygotowani. Dlatego intensyfikujemy nasze działania w ramach ZUL – przekonuje.

Moi rozmówcy jak jeden mąż podkreślają, że przejście na kolejny etap powinno być świadomą decyzją całej społeczności akademickiej, a nie tylko władz poszczególnych uczelni. Siłą rzeczy, takie dyskusje będą się musiały wkrótce odbyć, bo ustawa wyraźnie wskazuje termin, do którego mogą funkcjonować związki, takie jak ZUL. Dziwnym trafem rok 2028, przy założeniu, że obecni rektorzy zapewnią sobie reelekcje, będzie także finiszem ich rządów. Trudno o lepszy argument do podjęcia już teraz odważnych, ambitnych wyzwań, wykraczających poza czas jednej kadencji, których stopniowa realizacja mogłaby wieńczyć ośmioletni okres.

– Jeżeli chcemy działać wspólnie, to rzeczywiście tylko taka formuła będzie możliwa. To spore wyzwanie, bo federacja jest ciałem, któremu oddajemy część naszych kompetencji, głównie w zakresie nauki. Przerabialiśmy już to w obrębie uczelni, kiedy w wyniku ustawy nauka została w zasadzie odcięta od wydziałów. Powstały rady dyscyplin naukowych, które w przypadku dużych uniwersytetów łączą pracowników z różnych jednostek, a w federacji byłoby to jeszcze stopień wyżej. Nauka zostanie praktycznie odcięta od uczelni. Trzeba by zapewnić jej finansowanie, które dziś otrzymujemy w ramach subwencji – mówi rektor PL.

Jego kolega z UP stawia z kolei pytanie: czy jesteśmy przygotowani na to, żeby w Lublinie był jeden uniwersytet?

– Wydaje mi się, że społeczność akademicka nie jest jeszcze na to gotowa. Trzeba zdawać sobie sprawę, że jeśli uwzględnimy liczbę studentów, liczne kierunki studiów i dyscypliny naukowe, to federacja na tym zyskuje. Ale z drugiej strony nie jest prawdą,



Fot. Bartosz Proll



Fot. Stefan Ciechan



że w jednym ośrodku nie mogą współistnieć dobre uniwersytety – zauważa prof. Kowalczyk.

Właśnie, jak w tym federacyjnym konglomeracie, o ile w ogóle, odnalazłby się ze swoją specyfiką Katolicki Uniwersytet Lubelski Jana Pawła II? Mimo obietnic rzeczniczki uczelni, nie otrzymaliśmy odpowiedzi na zadane pytania. Komentarza odmówił nam też prof. Wojciech Załuska, sterownik UM, tłumacząc to tym, że „nie został upoważniony przez środowisko akademickie Uniwersytetu Medycznego w Lublinie, aby wypowiadać się w kwestii federalizacji lubelskich uczelni wyższych”. Zapewnił przy tym, że „idea współpracy i wymiany doświadczeń dydaktycznych i naukowo-badawczych jest mu niezwykle bliska, a kooperację uczelni traktuje jako naturalny i niezbędny element do rozwoju”.

Na pytanie, co mogłaby dać federacja, rektor UP odpowiada, że z pewnością niektóre dyscypliny uległyby wzmocnieniu.

– Rozproszenie nie sprzyja właściwemu postrzeganiu i budowaniu ich potencjału. Na razie jednak musimy zbudować solidne podstawy związku. Niezależnie od tego, czy wszystkie uczelnie lubelskie znajdują się w związku, dla mnie zawsze ważna będzie współpraca – zapewnia.

Póki co odbywa się ona w Związku Uczelni Lubelskich, ale także w tworach obejmujących konkretne obszary uczelnianego życia, jak Lubelska Unia Cyfrowa czy Lubelska Przestrzeń Kultury.

Zaburzona hierarchia

Od wizyty ministra Müllera minęły ponad dwa lata. W resorcie zmieniło się kierownictwo, a symbolicznym pomostem, łączącym tamtą wizję z obecnym stanem rzeczy, mogłyby być słowa ministra Przemysława Czarnka wypowiedziane w trakcie niedawnej inauguracji Ligi Cyfryzacji Uniwersytetów Lubelskich. To projekt stworzenia wspólnej bazy naukowej i edukacyjnej lubelskich uczelni publicznych. By uniknąć wrażeń rywalizacji, jeszcze zanim na dobre ruszyła, zmieniono jej nazwę na Lubelską Unię Cyfrową.

– Nie musi to doprowadzić w przyszłości do przekształcenia w jeden uniwersytet lubelski. Być może byłoby to znakomite, ale nie to jest moim celem. Chcę, aby współpraca między uczelniami lubelskimi była na jeszcze wyższym poziomie niż obecnie – przekonywał Czarnek.

Sam wywodzi się z lubelskiego środowiska naukowego, zna jego bolączki i niedomagania, doskonale wie, że federacja budzi wiele obaw: o zamykanie dublujących się jednostek, o utratę miejsc pracy, o wdrażanie jakichkolwiek zmian. Doskonale ujął to już dekadę temu prof. Sitko z PL. „Wydaje się, że poziom świadomości społecznej, w tym również środowiska akademickiego, dorósł do tego, by odrzucić fobie i myśleć tylko o utrzyma-

niu swoich pozycji, funkcji czy prestiżu” – pisał w przywołanym już tutaj artykule.

Ponieważ niewiele się od tego czasu zmieniło, minister, miast dopingować do konsolidacji, woli zapewniać, że nie o nią chodzi. Wpisuje się tym samym w oczekiwaną przeważającą część środowiska. Charakterystyczne, że kilka sekund wcześniej, przywołując przykład Związku Uczelni w Gdańsku im. Daniela Fahrenheita, nie miał już wątpliwości co do jego przyszłości.

– Gdańsk jest jedynym miejscem w Polsce, gdzie zdrowa konsolidacja uczelni jest rzeczywiście na najwyższym poziomie i ma szansę doprowadzić najpierw do federacji, a następnie do jednego uniwersytetu, który oni mają już nawet nazwany – przekonywał.

W Lublinie droga do tego daleka i kręta. Jej pokonaniu nie sprzyjają z pewnością przetasowania w hierarchii uczelni. Jeszcze do niedawna rolę lidera pełnił UMCS, ale kto jest nim teraz? Pod względem umiędzynarodowienia lepsze wyniki osiąga UM, w innowacyjności przoduje Politechnika Lubelska... Używając terminologii wojskowej: następuje przegrupowanie sił, będące wstępem do konfrontacji pozycyjnej. Paradoksalnie brak lidera, tak wyraźnego jeszcze choćby dekadę temu, może utrudnić w przyszłości rozpoczęcie procesu konsolidacji, bo każdy podmiot będzie chciał przystępować do niego na takich samych warunkach. Przy tylu uczelniach może to się okazać wyjątkowo trudne.

Ich miejsce na tle pozostałych wskaże z pewnością przyszłoroczna ewaluacja. Dla nowych rektorów będzie to pierwszy tak poważny test od objęcia funkcji. Zobaczają, gdzie jest konieczność integracji dyscyplin oraz w jakim stopniu są one rozwinięte pod względem ilościowym i jakościowym. Może być i tak, że jedna uczelnia w danej dyscyplinie będzie miała nieduże N i bardzo wysoką ocenę, a inna odwrotnie. To w przypadku ewentualnej federacji będzie rodziło konflikt interesów.

– Co prawda w ustawie jest zapis, że w federacji kategoria przydzielona danej dyscyplinie odnosi się do tej lepszej, którą wnosi jedna z uczelni. W ten sposób można by podciągnąć tę słabszą. Tylko pytanie: co dalej? Przecież trzeba planować dalszy rozwój tych dyscyplin – zastanawia się rektor PL.

I dodaje, że z samego połączenia nie wyniknie od razu lepsza jakość. O tę rektorzy muszą na razie zadbać o siebie. Jak mówią, federacja nie spędza im snu z powiek, ale z zaciekawieniem przypatrywać się będą i Gdańskowi, i Poznaniowi. Byłoby odwrotnie, gdyby tylko wcześniejszych lubelskich inicjatyw nie zaniechano.

– Chcemy wzorować się na uczelniach, które zmiierzają w stronę federalizacji. Będziemy ich dobre praktyki przenosić na nasz grunt – zapewnia prof. Radosław Dobrowolski, dając tym samym do zrozumienia, że prędzej czy później dyskusję o federacji trzeba będzie zacząć również w Lublinie.



Fot. L. Panasiewicz



Fot. Stefan Ciechan



Fot. KUL

Akademickie obywatelstwo

Poważny problem zaczyna się wówczas, gdy przeciętnie uzdolnione i średnio pracowite osoby, zamiast „wziąć się za siebie”, biorą się za tych, którym zazdroszą zawodowego sukcesu i nie tylko kwestionują ich uprawnienia do niego, ale także sposób ich uzyskania.

Uzyskiwanie prawa do bycia członkiem wspólnoty akademickiej jest z reguły łatwiejsze niż wykonywanie związanych z tym obywatelstwem obowiązków. Wprawdzie nie można go otrzymać ani przez urodzenie, ani przez zasiedzenie, ani nawet przez oświadczenia „przybranych rodziców”, jakimi są różnego rodzaju opiekunowie i promotorzy osób ubiegających się o jego uzyskanie, to jednak wszystkie te okoliczności mogą być pomocne w stawianiu się akademikiem. Trzeba jednak w odpowiednim momencie wykazać się nie budzącą zasadniczych zastrzeżeń dorosłością. A z tym bywa różnie.

Wzór akademickiej doskonałości

Dzisiaj o różnych formach akademickiej doskonałości (i ich braku) dyskutuje się na spotkaniach uczelnianych i pozauczelnianych zespołów, których zadaniem jest ocena osiągnięć pracowników naukowych. Członkowie tych zespołów stosują tak różne wzorce doskonałości, że trudno sformułować w tej kwestii przekonywujące generalizacje. Łatwiej je wskazać w różnego rodzaju wystąpieniach okolicznościowych, jak wykłady wygłaszane z okazji nadania godności Honoris Causa Doctoris. Na mojej uczelni często przywoływane są fragmenty wykładu zatytułowanego *O dostojęństwie Uniwersytetu*, wygłoszonego przez profesora Uniwersytetu Lwowskiego Kazimierza Twardowskiego z okazji nadania mu w 1932 roku przez Uniwersytet Poznański tego wyróżnienia. Profesor przyznał w nim m.in., że „po prawie pół wieku bycia członkiem uniwersyteckiej wspólnoty akademickiej (...), z dumą w sercu stał się on obywatelem akademickim”. Dodawał przy tym, że „ilekroć wymawia wyraz *Uniwersytet*, czyni to z pewnym namaszczeniem”, a także, iż „Uniwersytet promienieje dostojęństwem, wpływającym na niego z olbrzymiej funkcji, którą pełni. Wszak niesie ludzkości światło czystej wiedzy, wzbogaca i pogłębia naukę, (...) tworzy jednym słowem najwyższe wartości intelektualne, które przypaść mogą człowiekowi w udziale. (...) Uniwersytety spełniają również doniosłe zadania wychowawcze względem gromadzących się w jego murach studentów. (...) Działanie wychowawcze Uniwersytetu polega na budzeniu (...) zrozumienia olbrzymiej doniosłości, którą posiada dla ludzko-

ści prawda obiektywna i praca koło jej zdobywania. (...) Znikąd bowiem nie sływa na człowieka trwalsze i czystsze zadowolenie, jak z bezinteresownego szukania prawdy naukowej. A najwyższe z tego źródła zadowolenie czerpie ten, kto prawdy tej szuka”.

Bez wątpienia prof. Twardowski idealizował zarówno uniwersytet, jak i uniwersytecką społeczność. W praktyce bowiem zarówno temu pierwszemu, jak i tej drugiej w niejednym przypadku czegoś istotnego brakowało i brakuje do ideału. Rzecz jednak w tym, aby ta społeczność chciała i potrafiła zbliżyć się do niego w możliwie największym stopniu. Dzisiaj zdaje się to trudniejsze niż w przeszłości. Przede wszystkim dlatego, że w istotnym stopniu zmieniły się stojące przed uniwersytetami zadania oraz sposoby oceniania osiągnięć ich pracowników. Mówienie o bezinteresowności uczonych i „czystej wiedzy” w sytuacji, gdy ich efektywność ocenia się w kategoriach ilościowych (takich m.in. jak wskaźnik przywołań ich publikacji) i stawia się na tzw. komercjalizację badań, może wydawać się wręcz anachronizmem. Mimo wszystko



wzór uniwersyteckiej doskonałości nakreślony w tym wykładzie zachowuje głęboką wymowę i uzasadnione jest jego przywoływanie niemal sto lat po wygłoszeniu.

Profesorskie obywatelstwo

Zarówno w przeszłości, jak i obecnie, akademicka profesura stanowi mniejszość w tej społeczności. Zasadnicza różnica polega jednak nie tylko na tym, że dzisiaj grupa ta jest liczniejsza niż w przeszłości, ale także na tym, że jest ona znacznie bardziej zróżnicowana. Rzecz jasna jedni są bliżsi, inni dalsi od przywołanego wzoru doskonałości. Co więcej, jednym z członków tej społeczności jest łatwiej, natomiast innym trudniej się do niego zbliżyć. Sporo zależy nie tylko od zdolności oraz zaangażowania w wykonywanie zawodowych obowiązków, ale także od okoliczności, na które wpływ mają ograniczony – takich m.in. jak przyzwolenie bliższego i dalszego otoczenia na sposób realizowania aspiracji oraz życiowych marzeń. Skłonny jestem jednak podpisać się pod twierdzeniem, że nie tylko jesteśmy wychowywani przez to otoczenie, ale także mamy możli-

wość przyzwyczajania go do naszej swoistości w myśleniu o nauce i nauczaniu. Wymaga to jednak zwykle sporo czasu. Rzecz jasna nie zawsze jest to „niemal pół wieku”, o którym mówił prof. Twardowski w swoim wykładzie. Jednak nie daje się tego zrobić (przynajmniej w polskich realiach akademickich) w czasie kilku czy nawet kilkunastu lat pracy zawodowej. Potwierdza to m.in. fakt, że w naszym kraju tytuł uzyskuje się z reguły w stosunkowo późnym wieku, a wyjście zbyt wczesne „przed szereg” spotka się niejednokrotnie z negatywną reakcją ze strony oceniających kwalifikacje kandydata. Rzecz jasna nie każda osoba z profesorskim tytułem chce i potrafi realizować akademickie wzory doskonałości. Jednak w tej grupie akademickiej społeczności łatwiej ich znaleźć niż w innych.

Znacznie liczniejsza jest grupa akademickich uczonych i wykładowców bez tytułu, ale na stanowisku profesora uczelni. Nie twierdzę, że większość z nich pozbawiona jest aspiracji i marzeń, które doprowadziły ich koleżanki i koleżki do profesorskiego tytułu. Problem w tym, że sporej części brakuje kwalifikacji tych ostatnich. Teoretycznie nic nie



stoi na przeszkodzi, aby profesor uczelniany, ale jeszcze nie w pełni profesor, podwyższył kwalifikacje i udokumentował je na tyle, aby pozbyć się cieszącego jedynie do pewnego czasu przymiotnika przy swoim nazwisku. W praktyce niejednokrotnie bywa tak, że brakuje mu do tego nie tylko odpowiednich zdolności, ale także pracowitości. Dobrze jest, jeśli we właściwym momencie zawodowej drogi potrafi to zrozumieć na tyle, by nie podejmować prób osiągnięcia czegoś, co jest poza jego zasięgiem. Nieźle jest również wówczas, gdy ma on i pewne zawodowe zdolności, i świadomość, że ich doskonalenie wymaga dużo więcej pracy niż w przypadku bardziej uzdolnionych koleżanek i kolegów. Do tego jednak potrzeba nie tylko samokrytycyzmu, ale także sporej dawki pokory i cierpliwości. Nie jest zaś o nie łatwo w sytuacji, gdy bardziej uzdolnieni i pracowici rówieśnicy już osiągnęli to, co jest przedmiotem marzeń osób aspirujących.

Poważny problem zaczyna się jednak dopiero wówczas, gdy przeciętnie uzdolnione i średnio pracowite osoby zamiast „wziąć się za siebie”, biorą się za tych, którym zazdroszą zawodowego sukcesu i nie tylko kwestionują ich uprawnienia do niego, ale także sposób ich uzyskania. Nie twierdzą, że w procedurze awansowej nie potrzeba trochę szczęścia i życzliwości ze strony oceniających nasze osiągnięcia. Jednak szczęściu i życzliwości trzeba pomóc, najlepiej poprzez udokumentowane swoich osiągnięć, których wartość trudno zakwestionować nawet najbardziej surowym opiniodawcom.

Studenckie obywatelstwo

Generalnie uzyskanie obywatelstwa studenckiego jest łatwiejsze niż w przypadku profesorskiego. Nie znaczy to jednak, że w różnych krajach jest o nie równie łatwo. Tam, gdzie akademickie studia są płatne, trzeba posiadać sporą kwotę na opłacenie czesnego, a i to może okazać się niewystarczające na prestiżowych i elitarnych uczelniach (jak np. Uniwersytet Cambridge czy Oxford), bowiem liczba studiujących tam jest mocno ograniczona. W Polsce studia były i są przynajmniej teoretycznie bezpłatne (gwarantuje to Konstytucja RP). W moich studenckich czasach (było to ponad 50 lat temu) trzeba było jednak pokonać na egzaminach wstępnych sporą liczbę konkurentów do uzyskania studenckiego obywatelstwa, bowiem liczba miejsc była stosunkowo niewielka. Po przełomie 1989 roku nastąpiło tzw. umasowienie studiów wyższych nie tylko poprzez znacznie szersze otwarcie bram uczelni publicznych dla kandydatów na studia, ale także dzięki pojawieniu się licznych uczelni niepublicznych. Oznaczało to nie tylko znaczne ułatwienia w dostaniu się na studia, ale także często znaczne obniżenie poziomu kształcenia. Dotyczy to przede wszystkim uczelni prywatnych. Wprawdzie płaci się w nich za kształcenie, jednak wieloletowej i zaawansowanej wiekowi kadry trudno zagwarantować wysoki poziom nauczania; a ci, którzy próbowali dokonania gruntownego „odsiewu” na egzaminach, ryzykowali utratę zatrudnienia – w ten sposób bowiem uszczuplali wpływy uczelni z czesnego. Jednak również na wielu uczelniach publicznych nastąpiło „poluzowanie” wymagań stawianych akademickiemu kształceniu. Przyczyniło się to do pojawienia się tam studentów, których akademickie obywatelstwo było i jest w znacznej mierze formalne.

Na początku chciałbym jednak powiedzieć parę słów o tych spośród studentów, u których obywatelstwo jest nie tylko formalne, ale także realne. Stanowią oni swoistą elitę w tej grupie akademickiej społeczności. Można ich spotkać na każdym kierunku studiów. Oczywiście na jednych jest

ich nieco więcej, na innych mniej, w żadnym jednak przypadku nie występują masowo. Bardzo uzdolnionej młodzieży nie przybyło i nie mogło przybyć ani poprzez poluzowanie wymagań stawianych kandydatom na studia, ani poprzez ich złagodzenie w samym procesie studiowania. Studenckiej elicie złagodzenie nie jest zresztą do niczego potrzebne. Nie przyszła ona bowiem na uczelnię ani z braku lepszego pomysłu na życie, ani też po to, aby otrzymać dyplom. Ten ostatni ma oczywiście dla niej znaczenie, jednak powinien być świadectwem jakości studiowania i zdobytej w jego trakcie wiedzy, a nie tylko ilości czasu spędzonego w murach uczelni. Po to, aby tę jakość osiągnąć, trzeba nie tylko regularnie uczęszczać na zajęcia, ale także brać w nich aktywny udział (m.in. poprzez stawianie nauczycielom trudnych pytań). Studencka elita miewa zresztą zainteresowania, które jedynie częściowo mieszczą się w programie wybranego kierunku studiów, więc albo podejmuje je na jeszcze jednym kierunku, albo też samodzielnie pogłębia wiedzę i umiejętności.

Kierunki studiów zmieniają czasem również ci studenci, których akademickie obywatelstwo jest w znacznej mierze formalne. Wynika to jednak nie tyle z zainteresowań czy wysokich wymagań intelektualnych, co z tzw. wyższej konieczności, jeśli tak można nazwać skreślenie z wcześniejszego kierunku za brak postępów w nauce czy po prostu szukanie kierunku, na którym łatwo i przyjemnie da się przetrwać do uzyskania jakiegoś dyplomu (mniej o to jakiego i z jakim wynikiem ukończenia studiów). Taki absolwent nie ma w gruncie rzeczy wysokich kwalifikacji. Jakim cudem zresztą mógłby je mieć w sytuacji, gdy na uczelniane zajęcia uczęszczał rzadko lub wcale, a swojego wykładowcę widział dopiero przy egzaminie. Natomiast egzaminy zaliczał albo korzystając z daleko idącej wyrozumiałości egzaminatorów dla studenckich słabości, albo na tzw. łut szczęścia. Ma on za to wiele miłych wspomnień ze swoich lat studiów, tyle tylko że związane są one głównie z ich częścią rozrywkową.

Trudno byłoby jednoznacznie odpowiedzieć na pytanie, jak liczna jest grupa „rozrywkowych” studentów. Można jednak powiedzieć, że jest ich wielu, nawet na uczelniach, które uchodzą za prestiżowe. Najliczniejszą grupę stanowią jednak ci, którzy przynajmniej do pewnego stopnia poważnie traktują nie tylko akademickie obywatelstwo, ale także związane z nimi obowiązki. Wyrażać się to oczywiście może w różny sposób – począwszy od kierowania się przy wyborze kierunku studiów autentycznymi zainteresowaniami, a skończywszy na braniu czynnego udziału przynajmniej w tych zajęciach, które mogą je w jakiejś mierze zaspokoić.

PS. Interesującym przyczynkiem do dyskusji na temat akademickiego obywatelstwa mogą być nie tylko sposoby jego uzyskiwania i realizowania w praktyce, ale także jego możliwie najdłuższego zachowania. Nie sprawdza się tu powiedzenie, że jeśli coś łatwo przyszło, to i równie łatwo się z tym rozstać. Można podać wiele przykładów wręcz heroicznej walki o zachowanie obywatelstwa jak długo się tylko da również przez tych członków akademickiej społeczności, która niechętnie wykonuje związane z tym obywatelstwem obowiązki. Wypowiadałem się zresztą na ten temat na łamach FA. Tutaj jedynie dodam, że Ustawa 2.0, znosząc obowiązek habilitowania się przez pracowników naukowo-dydaktycznych, daje im możliwość przetrwania na uczelni na etatach dydaktycznych lub administracyjnych i ewentualnego powrotu do poprzedniej formy zatrudnienia (po wykazaniu się wymaganymi dokonaniami naukowymi).

Żeby nie stracić jutra

Ludzie najczęściej nie lubią zmian, ponieważ boją się tego, co nowe. Sparaliżowani lękiem potrafią kurczowo trzymać się dotychczasowych przyzwyczajeń, często na przekór racjonalnym przesłankom i rozważnym głosom specjalistów. Strategia polegająca na przeczekaniu może być jednak zgubna. Niechęć do zmierzania się z konsekwencjami nadchodzących zdarzeń w połączeniu z odsuwaniem w czasie konieczności podjęcia konkretnych decyzji, odbiera człowiekowi możliwość wczesnego reagowania, pozostawiając go w sytuacji krytycznej bez odpowiedniego zabezpieczenia. Dziś, kiedy świat stoi u progu katastrofy klimatycznej, postawa biernego obserwatora wydaje się być wyjątkowo nieadekwatną alternatywą. To, czego obecnie potrzebujemy, tkwi bowiem w aktywnym poszukiwaniu skutecznych rozwiązań wielu kwestii, w tym zagadnienia bezpieczeństwa energetycznego.

O tym, jak poradzić sobie z wyeliminowaniem wysokoemisyjnej i niesprawnej energetyki, która jest jednym z czynników powodujących powstanie tzw. efektu cieplarnianego, dywagują fachowcy z różnych dziedzin. Ich stanowiska zaprezentowane zostały w magazynie Polskiej Akademii Nauk „Academia” (nr 1/2021). W wydaniu poświęconym kwestii energetyki grono ekspertów wypowiada się na temat konieczności dekarbonizacji gospodarki i transportu, przedstawiając propozycje zastąpienia konwencjonalnych metod zeroemisyjnymi technologiami. Operacja taka stanowić będzie nie lada wyzwanie dla wszystkich społeczności naszego globu. Potrzebne stanie się nie tylko racjonalne dobranie nowych źródeł energii, ale także znalezienie sposobów jej magazynowania oraz zbilansowanie rozwoju społeczno-ekonomicznego. Chodzi o to, by w procesie niezbędnej transformacji energetycznej nikt nie ucierpiał, czy to kraje o niższym statusie materialnym, czy ludzie znajdujący zatrudnienie w sektorze górnictwa kamiennego. Ważne będzie w tym przypadku solidarne działanie różnych podmiotów. Bogatsze państwa powinny więc wspomóc te biedniejsze, a poszczególne rządy powinny kierować się przy

planowaniu zmian zasadą sprawiedliwości społecznej, gwarantując poszczególnym jednostkom bezpieczne przejście przez okres koniecznych zmian.

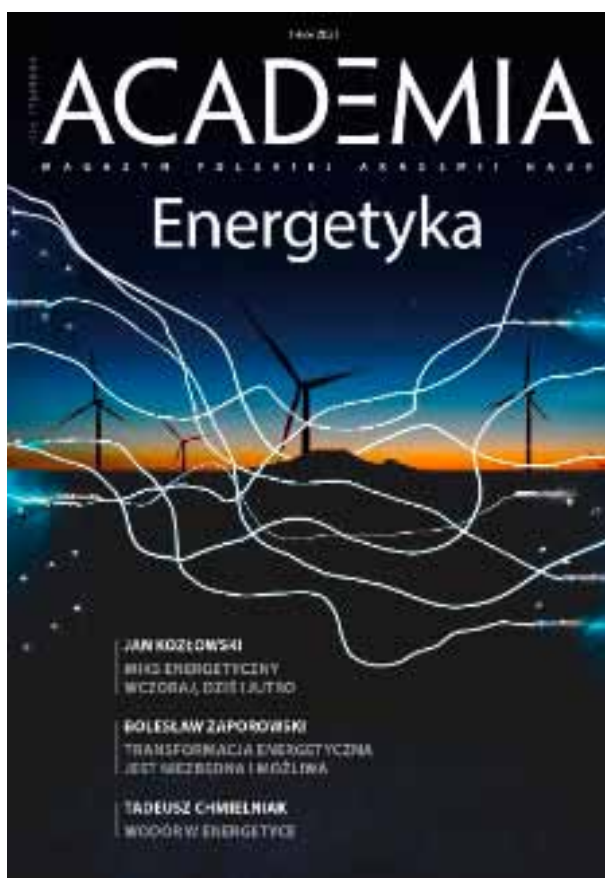
Pewne jest, że od transformacji energetycznej odrotu już być nie może. Naruszona przez działalność człowieka równowaga ilości CO₂ w powietrzu wymusza bowiem modyfikację sposobów pozyskiwania energii. Wiemy już, że konieczne należy zatrzymać wzrost temperatury na poziomie 1,5°C w stosunku do okresu preindustrialnego, by w ten sposób

odsunąć widmo ostatecznej degradacji planety. Przekroczenie tego progu grozi nieodwracalnymi konsekwencjami, z którymi ludzkość nie będzie w stanie sobie poradzić. Zmierzenie w kierunku neutralności klimatycznej jest, jak się wydaje, jedyną drogą nadziei. Nadszedł już czas, by zaprzestać wydobywania paliw kopalnych i rozpocząć posiłkowanie się korzystnymi z punktu widzenia ochrony środowiska ich zamiennikami. Tych ostatnich szukać trzeba, jak podkreślają fachowcy, w odnawialnych źródłach energii (OZE), wodorze czy energii jądrowej.

Budowa alternatywnych systemów jest prawdziwym wyzwaniem, któremu muszą sprostać decydenci z całego świata. Oni sami jednak niczego nie zrobią. Dlatego tak ważne jest, by do tego przyszłościowego projektu włączyć zarówno naukowców, jak i obywateli

poszczególnych państw oraz przedsiębiorców. Tylko wspólne wypracowanie korzystnych standardów opartych na solidnych filarach wiedzy, pozwoli bowiem uniknąć ostatecznej katastrofy. Cała operacja nie może się jednak udać bez skorygowania obecnie obowiązującego schematu myślenia ekonomicznego. Tylko w momencie, kiedy przeniesie się punkt ciężkości z zysku poszczególnych branż na człowieka, można będzie rozpocząć prawdziwe zmiany. Czasu mamy mało. Im szybciej rozpoczniemy działania, tym większą szansę zachowamy na możliwość jutra.

Aneta Zawadzka



Dwa filary

Współpraca i wsparcie to solidne fundamenty, na których oprócz można budowę każdej struktury. Ich potencjał dobrze znają i praktycznie wykorzystują w Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu, informuje „Głos Uczelni” (nr 1-2/2021). A jak to dokładnie robią, zdradzają uczelnianemu czasopismu prof. dr hab. Przemysław Nehring, prorektor ds. kształcenia oraz Justyna Morzy, przewodnicząca Rady Uniwersytetu.



Rozmówcy chętnie dzielą się swoimi przemyśleniami dotyczącymi szczegółów podejmowanych inicjatyw. Prof. Nehring opowiada o udziale i korzyściach z zaangażowania w prace stowarzyszenia uniwersytetów europejskich Young Universities for the Future of Europe, którego UMK jest pełnoprawnym członkiem. Przedsięwzięcie, które zakłada m.in. realizację

różnego rodzaju projektów wraz z 9 innymi uczelniami stanowi dobry przykład praktycznego wykorzystania idei zespołowości. Każdy z podmiotów należących do stowarzyszenia otrzymuje bowiem nie tylko szansę podzielenia się posiadanym doświadczeniem i wiedzą, ale także sposobność wypracowania nowych rozwiązań, które następnie grupa stara się wdrażać w życie jako wspólne.

W celu zminimalizowania ryzyka przeprowadzenia działań, które nie znajdą uznania u każdego z partnerów, wszystkie ważne decyzje muszą uzyskać jednomyślne poparcie Rady Strategicznej tworzonej przez rektorów lub prorektorów poszczególnych uczelni. Podejmowanie tych i wszelakich innych aktywności nie byłoby z pewnością możliwe bez realnego wsparcia. Tego z pewnością nie brakuje ze strony Rady Uniwersytetu, o czym zapewnia Justyna Morzy.

Pokaż absolwentów, a powiem ci, jak kształciisz

Miarą sukcesu każdej szkoły wyższej jest z pewnością udana kariera zawodowa jej wychowanków. Ich wymierne osiągnięcia, będące z pewnością efektem włożonego wysiłku indywidualnego, są jednocześnie potwierdzeniem wysokiej jakości całego procesu edukacyjnego. Nic więc dziwnego, że uczelnie równie chętnie podtrzymują i pielęgnują powstałe w okresie kształcenia więzi, jak i dzielą się wiadomościami o sukcesach odniesionych przez swoich byłych studentów.



Stowarzyszenie Wychowanków Politechniki Częstochowskiej od wielu lat skutecznie realizuje misję nawiązywania i zacieśniania międzyludzkich kontaktów. Uczelnia dba także o to, by nie stracić łączności z zakamami pochodzą-

cyymi spoza naszego kraju. Między innymi w tym celu wzięła udział w projekcie realizowanym w ramach konkursu International Alumni, startując pod hasłem „Międzynarodowi absolwenci wsparciem Politechniki Częstochowskiej”. Dzięki tej inicjatywie udało się wytworzyć optymalny klimat do budowania długofalowych relacji z zagranicznymi absolwentami, którzy podjęli pracę w instytucjach naukowych i przemysłowych.

Jednym z ważniejszych efektów całego przedsięwzięcia było utworzenie portalu internetowego, który stał się swoistą platformą wymiany informacji, zarówno między wychowankami a ich byłą uczelnią, jak i między obecnymi studentami a ich doświadczonymi zawodowo kolegami, o czym informuje pismo środowiska akademickiego „Politechnika Częstochowska” (nr 74/2021).

Dalekosiężne plany

Rozwój wymaga śmiałego patrzenia w przyszłość. Do osiągnięcia końcowego sukcesu to jednak z pewnością nie wystarczy. Trzeba jeszcze opracować precyzyjne harmonogramy, dokonać realnej kalkulacji kosztów i być wytrwałym w dążeniu do wyznaczonego celu. Dobrze o tym wiedzą na Uniwersytecie Medycznym im. Piastów Śląskich we Wrocławiu, gdzie rozpoczyna się właśnie wielka operacja pod hasłem – wieloletni plan rozwoju. O szczegółach tego ambitnego przedsię-



wzięcia opowiada w rozmowie z „Gazetą Uczelnianą” (nr 3/2021) prof. dr hab. Marzena Dominiak, prorektor ds. strategii rozwoju uczelni.

Zgodnie z założeniami rozpisanej na długi czas perspektywy ekspansji, wszystkie niezbędne działania odbywać się będą na wielu różnych poziomach. Najważniejsze jest, jak podkreśla interlokutorka, by przed rozpoczę-

ciem całego procesu, udało się uzyskać akceptację wszystkich członków uczelnianej społeczności. Tylko wówczas, gdy każdy w pełni utożsami się z zaplanowaną wizją, będzie można rozpocząć proces wdrażania koniecznych zmian. Lista projektów przewidzianych do realizacji w ramach całego przedsięwzięcia wygląda dość imponująco. Znalazła się na niej zarówno rewitalizacja starego kampusu pozwalająca na wykorzystanie potencjału tkwiącego w zabytkowych budynkach, jak i zagospodarowanie wolnych miejsc istniejących na terenie uczelni. W nowej strategii zapisano także potrzebę rozwoju bazy klinicznej oraz konieczność zapewnienia miejsca dla nowoczesnej dydaktyki, która wobec specyfiki uniwersytetu wymaga kształcenia przy chorym człowieku.

Jako iż realizacji całego planu inwestycyjnego przyświeca idea interdyscyplinarności, niezbędne jest, zdaniem prof. Dominiak, ujednolicenie metod kształcenia wszystkich kadr medycznych. W praktyce oznacza to potrzebę scentralizowania systemu klinicznego tak, by w ramach wszystkich dziedzin, dyscyplin i kierunków każdy miał możliwość kroczenia naukową ścieżką w analogiczny sposób.

Aneta Zawadzka

Rozmowa z prof. Krystyną Guranowską-Gruszecką z Politechniki Warszawskiej

W chaosie jest metoda

Chaos legislacyjny na pewno nie służy społeczeństwu, natomiast dobrze wpisuje się w interesy inwestorów, deweloperów i reprezentujących ich prawników.

Jakie są konsekwencje deregulacji zawodu urbanisty, wprowadzonej w czerwcu 2014?

Zawód urbanisty zawsze był zawodem zaufania publicznego – projekty urbanistyczne z założenia powinny uwzględniać potrzeby lokalnej społeczności, wartości związane z ochroną dóbr kultury, z ekologią i wieloma innymi czynnikami. Aby zajmować się tą dziedziną, jeszcze do niedawna trzeba było zdobyć gruntowne, specjalistyczne wykształcenie.

Czyli ukończyć najpierw studia na wydziale architektury i urbanistyki...

Tak, a następnie, aby uzyskać uprawnienia urbanistyczne, należało wykazać się dorobkiem i doświadczeniem zdobytym w czasie praktyki w pracowni urbanistycznej albo w stosownym urzędzie. Gdy zawód został zderegulowany, niektóre opracowania wskazywały, że planowaniem urbanistycznym mogą teraz zajmować się absolwenci dowolnych kierunków studiów, nawet licencjackich, pod warunkiem ukończenia studiów podyplomowych z zakresu planowania przestrzennego. Choć brzmi kuriozalnie, jednak nawet to nie jest prawdą. W praktyce, w tej branży można już nie pytać ani o wykształcenie, ani o uprawnienia. Obserwujemy w środowisku, że powstają różne spółki z ograniczoną odpowiedzialnością, których właściciele – często osoby bez jakiegokolwiek przygotowania specjalistycznego – opracowują projekty urbanistyczne. Jeśli trzeba coś narysować, wynajmują architektów, którzy jednakże zajmują się tylko wizualną stroną tych projektów.

Czy tak opracowane projekty są realizowane w przestrzeni publicznej?

Niestety tak. Oczywiście wcześniej muszą być zatwierdzone przez urzędy miejskie, a ich zgodność z prawem przez urzędy wojewódzkie. W tym obszarze widzimy jednak swoistą inwazję lobby prawniczego.

Oprócz deregulacji zawodu urbanisty mamy jeszcze ustawę o planowaniu i zagospodarowaniu przestrzennym z 2003 r., z jednoczesnym utraceniem ważności planów miejscowych

uchwalonych przed 1 stycznia 1995 r. Jakie są konsekwencje tych zapisów dla polskiej urbanistyki?

Powstał chaos legislacyjny, który na pewno nie służy społeczeństwu, natomiast dobrze wpisuje się w interesy inwestorów, deweloperów i reprezentujących ich prawników. Brałam udział w spotkaniach organizowanych w Pałacu Kultury i Nauki, które dotyczyły różnych planów warszawskich. Uczestniczyli w nich reprezentanci Urzędu Miasta Stołecznego Warszawy, a także prawnicy reprezentujący inwestorów. Zdanie urbanistów było lekceważone. Mogłam oczywiście wyrazić swoją opinię, ale w procesie decyzyjnym nie miała ona żadnego znaczenia. Jeśli inwestor chce postawić w śródmieściu Warszawy wysoką zabudowę, jakiś wieżowiec, a my mówimy, że przecież nie można odcinać ludziom mieszkającym w najbliższej okolicy dostępu do słońca i światła, to w praktyce zostaniemy co najwyżej uprzejmie wysłuchani. W Warszawie miejscowe plany zagospodarowania przestrzennego pokrywają około 40% terenu. Natomiast w przypadku pozostałych 60% można wznosić budynki na pojedynczych działkach opierając się tylko na warunkach zabudowy. Nawet w śródmieściu stolicy. Jest to sprawa bez precedensu – żadne z państw europejskich nie stosuje takich zasad, gdyż one pozostawiają zbyt dużą dowolność inwestorom. Z kolei w przypadku miejscowego planu zagospodarowania przestrzennego często jedynym kryterium jest wysokość zabudowy. W Warszawie mamy dwie możliwości: zabudowa do wysokości 30 m i powyżej 30 m, przy czym to „powyżej” może oznaczać 70 albo 300 metrów – nie narzuca się górnej granicy. Przyjęta „Strategia Rozwoju Miasta Stołecznego Warszawy do 2030 roku” nie wyznacza wyraźnych ograniczeń w kształtowaniu przyszłej zabudowy ani nie przedstawia całościowej koncepcji urbanistycznej śródmieścia i innych dzielnic, a tym bardziej całego miasta.

„Hulaj dusza piekła nie ma”? A co na to inwestorzy?

Inwestorzy licznie ściągają z zagranicy: z Europy Zachodniej, Ameryki Północnej, z Izraela. W swoich krajach muszą liczyć się z wieloma ograniczeniami i normami prawnymi, które wynikają z wprowadzania zasad projektowania rozwoju zrównoważonego. W Polsce przepisy są niedoprecyzowane, granice

rozmyte, co sprzyja koncentracji na osiągnięciu szybkiego zysku. Niestety często z pominięciem potrzeb społeczności lokalnej i troski o środowisko, a także współczesnych trendów w projektowaniu urbanistycznym.

Czy może pani scharakteryzować te trendy?

Najlepiej określa je teoria mix-used functions. Kluczową pozycją przybliżającą to zagadnienie jest książka Charlesa Jancksa i Karla Kropfa *Teorie i manifesty architektury współczesnej*. W planowaniu przestrzennym odchodzi się od modernistycznej monofunkcyjności, od budowania wielkich dzielnic mieszkaniowych – sypialni, z których mieszkańcy dojeżdżają do pracy w zakładach zlokalizowanych w dzielnicach przemysłowych. Różnorodność funkcjonalna wynika z zastosowania zasady 1:1. Jeżeli w planowanym obszarze zakładamy funkcję mieszkaniową, to na zabudowę mieszkaniową przeznaczymy tylko połowę tego obszaru. Pozostałe 50% przeznaczamy na usługi, miejsca pracy, nauki, tereny rekreacyjno-sportowe, zieleni. Przestrzeń między budynkami łączymy harmonijnie z układem ulic, placów i terenów zielonych. Wyznaczony obszar graniczy z ulicami zbiorczymi, co umożliwia mieszkańcom łatwy dostęp do komunikacji miejskiej. Ważne jest, aby planowane w ten sposób jednostki nie miały zbyt dużej powierzchni. W państwach Europy Zachodniej jest to poziom 40 ha. Dzięki takim ograniczeniom powstają dzielnice w dużym stopniu samowystarczalne, co wpływa na poczucie komfortu mieszkańców, którzy nie muszą pokonywać wielokilometrycznych odległości, aby dojeżdżać na zakupy, do przychodni lub dowozić dzieci do szkół i przedszkoli. Ten system projektowania przestrzennego świetnie funkcjonuje np. we Francji i w krajach skandynawskich. Wspomnę jeszcze, że w Wielkiej Brytanii rewolucyjne zmiany w urbanistyce nastąpiły za czasów Margaret Thatcher, kiedy grupa około 140 ekspertów różnych branż zabrała się do dzieła. Pracując nad tym tematem przez niecałe 25 lat, z przyzwoleniem władz politycznych, potrafili zamienić

dzielnice portową, funkcjonującą w samym centrum Londynu, we wspaniałe centrum śródmiejskie. Wymagało to jednak wielkiej determinacji, odwagi i osobowości takiej jak angielska Żelazna Dama, wiedzy eksperckiej, ale także zgodnej współpracy różnych specjalistów i profesjonalnego zarządzania przekształceniami struktury miejskiej.

Przejdźmy teraz od idealnych koncepcji do obszaru pani zainteresowań badawczych, które w dużej mierze koncentrują się na urbanistyce i architekturze Warszawy.

Tu jak w soczewce skupiają się problemy związane z urbanistyką polskich miast. W Warszawie zamiast obszarów o charakterze wielofunkcyjnym powstało kilka enklaw biurowych, między innymi na przedłużeniu Alei Jerozolimskich w stronę zachodnią, aż do granic miasta. Po godzinach pracy jest tam kompletnie pusto, a w godzinach dojazdu i powrotu z pracy pojawia się tłok i tworzą się straszliwe korki. Jest to źle zaprojektowane. Gdyby obok biurowców powstała zabudowa mieszkaniowa, nie mielibyśmy takich problemów. Tymczasem las wieżowców został wybudowany na podstawie „wuzetek” – warunków zabudowy wydawanych dla pojedynczych działek zlokalizowanych na poprzemysłowych terenach Woli. Kiedyś w tej okolicy znajdowały się garaże i prywatne warsztaty. Właściciele sprzedali je i na tych pojedynczych działkach wybudowano wieżowce o wysokości 200 m, zapominając przy tym zupełnie o przestrzeniach publicznych. Przyjrzyjmy się popularnym scenom z filmów amerykańskich. Gdy bohater zajeżdża przed jakiś wieżowiec i wysiada ze swojego samochodu, to ma tam sporo przestrzeni, w której można spotykać się, rozmawiać, spacerować. Podobnych scen nie można by umieścić w pejzażu warszawskiej Woli.

Jeszcze przed pandemią uczestniczyłam w ogólnopolskiej konferencji naukowej *Nowe centra miast metropolitalnych w Polsce. Urbanistyka a polityka przestrzenna*, organizowanej w Katowicach, w czasie której dr inż. Piotr Pecenic



wyłosił referat na temat obsługi transportowej nowych centrów w modelu współczesnego śródmieścia Warszawy. Na przykładzie liczby biur mieszczących się w wieżowcach przy Placu Daszyńskiego, wybudowanych przez zagranicznych inwestorów, analizował możliwości dojazdu do pracy z wykorzystaniem komunikacji publicznej. Jak się okazało, jej chłonność jest zdecydowanie zbyt mała. W tej sytuacji pracownicy muszą dojeżdżać prywatnymi samochodami, na które z kolei nie przewidziano odpowiedniej ilości miejsc parkingowych. W konsekwencji parkują na terenie sąsiedniej, 19. Dzielnicy mieszkaniowej, zajmując przy okazji miejsca przeznaczone dla jej mieszkańców, generując hałas i zanieczyszczając środowisko.

Jak rozumiem, w tej sprawie także nie liczone się z opinią urbanistów?

W Polsce już od lat dziewięćdziesiątych mamy do czynienia z łatwym przyzwalaniem na realizację intratnych inwestycji budowlanych. Jak już wspomniałam, głos urbanistów i społeczności lokalnej sygnalizującej swoje potrzeby i postulaty często jest pomijany. Podam konkretny przykład. Gdy trwały prace nad strategią rozwoju Warszawy, przewidziane były spotkania z władzami miasta w siedzibie Towarzystwa Urbanistów Polskich. Poprosiliśmy wówczas o analizę stanu istniejącego, ale odmówiono nam, „bo to nie jest ten etap”. Mówię wtedy – jeśli mamy przedstawić propozycję, musimy przecież zapoznać się ze stanem faktycznym, aby zdiagnozować, jakie zmiany są konieczne.

Znów powołam się na przykład Francji, gdzie analizy przedprojektowe dokonywane są z ogromną starannością. Przed przystąpieniem do sporządzenia projektu urbanistycznego przygotowuje się szczegółową inwentaryzację stanu zabudowy, zbiera się materiały dotyczące charakterystyki określonego terenu i społeczności lokalnej, analizuje się liczebność poszczególnych grup wiekowych, dzieciństwo, stopień zamożności, preferencje związane z codzienną organizacją życia. Jest to istotne dla określenia zakresu przewidywanych usług. Później kolportowane są książeczki, wydane w formacie A5, z pełną informacją o planowanych przedsięwzięciach, a mieszkańców prosi się o wypełnianie stosownych ankiet, dostarczanych im wprost do skrzynek pocztowych. I wtedy, na przykład, może się okazać, że na planie brakuje szkoły, a najbliższa znajduje się po przeciwnej stronie torów kolejowych. Wówczas trzeba wprowadzić korektę i w zależności od przewidywanej liczby dzieci w wieku szkolnym zaplanować budowę albo szkoły, albo kładki nad torami, a bezpieczną drogę do szkoły też objąć granicami planu. W Szwajcarii z kolei prawo dotyczące planowania urbanistycznego przewiduje dwukrotne publiczne udostępnienie planów, połączone z szeroko zakrojoną akcją informacyjną. Mieszkańcy mogą kwestionować przedstawione założenia, a potem sprawdzić, czy ich postulaty zostały uwzględnione. Takie mechanizmy budują poczucie odpowiedzialności mieszkańców za jakość urbanistyki. Oczywiście pod warunkiem przedstawienia szczegółowych planów, a nie jakichś ogólników w rodzaju „planuje się zwiększenie liczby mieszkań komunalnych”, co samo w sobie jest ideą słuszną, jednak bez podania konkretnych danych trudno będzie zweryfikować stopień jej realizacji.

Czy postulowałyby pani wprowadzenie wspomnianych przepisów, obowiązujących w państwach Europy Zachodniej, do polskiego prawa regulującego kwestie planowania i gospodarki przestrzennej?

To są na pewno dobre rozwiązania, które umożliwiają korygowanie błędnych założeń urbanistycznych. Zwłaszcza Francuzi są w takich kwestiach bardzo zdeterminowani. W czasach, gdy



Prof. dr hab. inż. arch. **Krystyna Guranowska-Gruszecka**, wykładowca Politechniki Warszawskiej na Wydziale Architektury, Katedra Projektowania Urbanistycznego i Krajobrazu Wiejskiego, w latach 2006-2015 kierownik Studium Doktoranckiego WAPW, prowadzi także wykłady i zajęcia seminaryjne oraz projektowe w Akademii Finansów i Biznesu Vistula w Warszawie. Doświadczony praktyk urbanista o dorobku kilkuset planów miejscowych, studiów uwarunkowań i kierunków zagospodarowania oraz innych projektów urbanistycznych w całej Polsce. Autorka kilku książek naukowych, m.in. Śródmieście Warszawy w XX wieku, redaktor i główna autorka monografii Węzły miasta. Znanca współczesnych zasad urbanistyki w skali światowej. Pasjonatka wprowadzania nowoczesnych trendów urbanistycznych w Polsce.

w Paryżu zaczęło się pojawiać coraz więcej emigrantów, podjęto decyzję, aby oferować im mieszkania w budowanych specjalnie dwunasto- i piętnastokondygnacyjnych wieżowcach. Jak się jednak okazało, taka architektura sprzyjała rozwojowi przestępczości – młodzież dewastowała korytarze, ukrywała się w różnych zakamarkach. I co zrobili Francuzi? Po prostu zburzyli te



wieżowce, a na ich miejscu postawili zabudowę o charakterze bardziej humanistycznym: trzykondygnacyjne, czterokondygnacyjne budyneczki mieszkalne i na przemian – jedna klatka z małymi mieszkaniami, inna z większymi dla tych, których będzie na to stać, i podwórka, miejsca zabaw dzieci oraz spotkań młodzieży pochodzącej z różnych środowisk. Po pewnym czasie odnotowano w tej dzielnicy spadek przestępczości. Pamiętam z dzieciństwa, że sama bawiłam się na takim podwórku, mój syn także – poznawał przy okazji przeróżnych kolegów i uczył się relacji społecznych.

Obawiam się jednak, że nie da się tak łatwo wyburzyć biurowców na warszawskiej Woli i zaproponować w tym miejscu inną organizację przestrzeni.

Dlatego jest bardzo istotne, aby o planowaniu urbanistycznym nie decydowali przede wszystkim prawnicy, którzy nie mają wykształcenia architektonicznego i urbanistycznego, a faktycznie coraz częściej zastępują urbanistów na stanowiskach urzędniczych. Dochodzi potem do różnych nieporozumień. Ostatnio usłyszałam takie sformułowanie, że trzeba opracować plany miejscowe zagospodarowania zabudową. To jest brak zrozumienia tematu, bo przecież w planach nie chodzi tylko o zabudowę, także o parkingi, o przestrzeń rekreacyjną, wodę, zielen. Ale inwestorów to często nie interesuje, nie interesuje ich park z miejscami przeznaczonymi dla różnych grup wiekowych, z kąciakiem dla zakochanych, z placem zabaw dla dzieci, boiskami dla młodzieży. Takie planowanie wymaga pogłębionej wiedzy na temat potrzeb ludzkich i nie przynosi spektakularnego zysku. Pamiętam czasy, gdy przy różnego rodzaju planach pojawiało się dużo szczegółów dotyczących zieleni. W pracowniach miejskich zatrudniani byli specjaliści po SGGW, którzy opracowywali całe tabele z łacińskimi nazwami drzew i krzewów. Obecnie spotykamy się z naciskami prawników w Warszawie, aby wykasować zielen z tych fragmentów planów, które dotyczą ulic, bo przecież w ustawie o planowaniu przestrzennym nie ma słowa „drzewo”, nie ma słowa „zielen”. Ale są przecież inne ustawy. Nie można wszystkiego wybetonować! Brałam kiedyś udział w konferencji dotyczącej zieleni na ulicach, która odbywała się w Poznaniu. W tym mieście o dobrych tradycjach planowania zakłada się obecność zieleni w postaci drzew, żywopłotów czy dobrze rozwiązanych zielonych skrzyżowań. Jeśli prawo dopuszcza takie założenia, to dlaczego w jednym mieście można je zrealizować, a w innym nie? Jak widać, wiele zależy od interpretacji istniejącego prawa.

Co środowisko urbanistów może zrobić dla poprawy jakości planowania przestrzennego w Polsce?

Na pewno ważne jest, aby nie bać się otwarcie artykułować i nagłaśniać problemów, z którymi się spotykamy. Nie jest to łatwe – wiem z doświadczenia, że bardzo trudno opublikować w Warszawie krytyczny artykuł na temat lokalnej urbanistyki. Ważne, aby wszelkie zmiany w zakresie przepisów prawnych regulujących zasady planowania przestrzennego konsultowane były uprzednio z urbanistami. Środowisko urbanistów nie jest jednolite, a przydałyby się wspólne postulaty, na przykład żeby pomimo nacisków nie przystępować do projektowania bez przeprowadzenia analizy stanu istniejącego. Jeśli urbanista pominie ten etap, to skąd może mieć pewność, czy jego projekt jest dobry, czy nie? Przecież nie będzie dokładnie wiedział, do czego się dopisuje. Na pewno konieczne jest uszczegółowienie przepisów prawnych, zwłaszcza dotyczących warunków zabudowy, czyli popularnych „wuzetek”, z których należałoby w ogóle zrezygnować. One są bardzo proste w przygotowaniu: ot, dziesięć stronicek, łącznie z rysunkami. Natomiast, żeby przygotować plan, trzeba poświęcić znacznie więcej czasu i przeprowadzić wiele rozmaitych analiz. Ważne jest odzyskanie poczucia sprawczości, aby głos urbanistów nie był „wołaniem na puszczy”. Szczegółowe uwagi dotyczące niezbędnych zmian, mojego autorstwa, zamieszczone zostały we wnioskach artykułu wydawnictwa Spice&Form Polskiej Akademii Nauk i Pomorskiego Uniwersytetu Technologicznego w Szczecinie nr 45, 2021.

Czy studenci interesują się wspomnianymi problemami polskiej urbanistyki?

Na Wydziale Architektury i Urbanistyki Politechniki Warszawskiej prowadzę cykl wykładów, w czasie których omawiam zagadnienia polskiej urbanistyki w porównaniu z rozwiązaniami stosowanymi w innych krajach. Studenci – użyję kolokwializmu – walą drzwiami i oknami na te zajęcia, zainteresowanie jest ogromne. Przedstawiam im takie przykłady jak chociażby Almere – najmłodsze holenderskie miasto położone 5 metrów poniżej poziomu morza, Dubaj z szalonymi rozwiązaniami architektonicznymi i urbanistycznymi, Erbil z symbolami jego istnienia od starożytności, a w Europie przykłady przebudowy obszarów śródmiejskich: Londynu, Paryża, Barcelony czy Gandawy oraz Oslo i innych skandynawskich miast. Widzę, z jaką pasją studenci poszukują informacji na temat dobrych wzorców w projektowaniu. To budzi nadzieje na przyszłość.

Rozmawiała Krystyna Matuszewska



Michał Śliwa

Uczelnia z charakterem

Stajemy się miejscem gorszących i groźnych zachowań i zdarzeń, obcych duchowi nauczycielskiego etosu inteligentnego. Od naszej uczelni kształcącej przyszłych pedagogów i wychowawców wymaga się więcej niż od innych społeczności uniwersyteckich, ponieważ oczekuje się od nas wzorów i przykładów humanistycznego i moralnego postępowania.

W staraniach o przekształcenie krakowskiej szkoły pedagogicznej w Uniwersytet Pedagogiczny im. Komisji Edukacji Narodowej sięgano po różne argumenty, by ukazać jej szczególny charakter społeczny i edukacyjny, zawarty w przywołanym wyżej określeniu, przesądzającym o zasadności zmiany statusu uczelni. Nie bez powodu. Uczelnia, która jest naturalnym spadkobiercą i kontynuatorem przedwojennego Państwowego Pedagogium Henryka Rowida, przeszła długą drogę rozwoju: od typowej szkoły zawodowej kształcącej nauczycieli jedynie do szkolnictwa podstawowego aż do szkoły wyższej o pełnym akademickim profilu naukowym i dydaktycznym. Jej inicjatorami i pierwszymi profesorami byli najwybitniejsi uczeni Uniwersytetu Jagiellońskiego ze Stefanem Szumanem, Stanisławem Pigioniem i Zygmuntem Mysłakowskim na czele. Od pierwszych lat działalności wyróżniała się poziomem naukowym i osiągnięciami edukacyjnymi wśród kilkunastu wyższych szkół pedagogicznych, z dziesięciu których wyróżniły się z czasem uniwersytety o znaczącej pozycji naukowej w kraju i za granicą, np. Uniwersytet Śląski czy Uniwersytet Gdański. Dlatego naturalnym etapem w rozwoju krakowskiej uczelni stało się jej przekształcenie w Uniwersytet Pedagogiczny, umożliwiając zachowanie unikalnego dorobku kilku pokoleń pracowników w dziedzinie kształcenia nauczycieli i wychowawców.

Uczelnia wykorzystwała też szansę i możliwości rozwoju, jakie stwarzały przemiany ustrojowe w kraju, a mianowicie znacznie rozszerzyła ofertę edukacyjną i poszerzyła obszar badawczy o nowe dziedziny i dyscypliny. W okresie, w którym miałem zaszczyt pełnić godność jej rektora przez cztery kadencje (1999–2005 i 2008–2016), poprzedzone jeszcze prorektorstwem ds. nauki i współpracy międzynarodowej (1996–1999), zwiększyła wydatnie uprawnienia naukowe doktorskie i habilitacyjne, powiększyła liczbę wydziałów, wzbogaciła infrastrukturę techniczną za wydatkowane niemal 200 mln na nowe obiekty i zmodernizowanie istniejących, powiększyła trzykrotnie liczbę profesorów i doktorów habilitowanych, unowocześniła proces dydaktyczny poprzez odpowiednie wyposażenie w środki audiowizualne i informatyczne pracowni i sal dydaktycznych itp.

Dzięki zaangażowaniu całej społeczności akademickiej dokonano ogromnego wysiłku organizacyjnego, badawczego i inwestycyjnego, polepszając warunki kształcenia dla dwudziestotysięcznej rzeszy studentów (2010 r.) i zapew-

niając godne warunki pracy kadrze naukowo-dydaktycznej i administracyjnej. Nietrudno sobie wyobrazić, ile entuzjazmu i woli działania przejawili nauczyciele akademicy, pracownicy administracji i studenci, ile radości i satysfakcji przynosiło każde nowe uprawnienie naukowe, kierunek studiów bądź wyremontowany obiekt czy też uzyskany tytuł i stopień naukowy. Coraz bardziej umacniało się przekonanie o ścisłym związku badań naukowych z dydaktyką akademicką, a także o tym, że koniecznym warunkiem pomyślności uczelni jest indywidualny rozwój naukowy każdego nauczyciela akademickiego, przejawiający się w uzyskiwaniu stopni i tytułów naukowych. Powstające zaś nowe kierunki studiów – w sumie niemal czterdzieści – oraz rozwijane nowe obszary badawcze, choć często odbiegające od tradycyjnego pedagogicznego profilu uczelni, miały wspierać jej nauczycielski charakter, np. studia prawnicze poprzez podejmowanie badań nad problematyką praw człowieka, w tym przede wszystkim praw dziecka, prawem oświatowym itp.

Za pierwszorzędne zadanie uznawano umocnienie jej pozycji naukowej i edukacyjnej w polskim szkolnictwie wyższym, postrzeganej nie tylko jako naturalne miejsce pracy zawodowej bądź studiowania, lecz jako pewną wspólnotę, przestrzeń intelektualną i moralną, ułatwiającą samorozwój i samodoskonalenie. W wyniku wyężonej pracy badawczej i organizacyjnej dorobiliśmy się po latach kadry naukowo-dydaktycznej na wysokim poziomie. To zaowocowało uzyskaniem przez pięć wydziałów kategorii naukowej A. Osiągnęliśmy również wysoki poziom kształcenia i nauczania na poszczególnych kierunkach studiów, czego na szczęście nie zdołano w ostatnich latach zmarnować. Świadczyć o tym może ranking czasopisma „Perspektywy”, według którego wszystkie kierunki studiów zajmują wysokie miejsca w swoich specjalnościach edukacyjnych w skali ogólnokrajowej.

Fundamenty zła

Umacniającą się ciągłość i stabilność wielopokoleniową i międzygrupową nadwyrężono czy wręcz nawet zerwano wskutek wdrażania po 2016 roku w skrajnej postaci neoliberalnej reformy szkolnictwa wyższego, wspieranej przez część środowiska akademickiego, dopominającego się od dawna o więcej uprawnień władczych i decyzyjnych. Doprowadziło to do zatrażenia tradycyjnej uniwersyteckości oraz podważenia podmiotowości i poczucia wspólnoty uniwersyteckiej jako jedności profe-

sorów i studentów. Na znaczeniu zyskiwał pewien styl myślenia o uniwersytecie i zarządzania nim, wynikający – według popularnego dziś określenia – z mentalności folwarcznej, postrzegającej w uniwersytecie instytucję korporacyjną, a nie wspólnotę intelektualną i moralną, i nastawioną nie na cele rynkowe, lecz kształtowanie wzorców i postaw społecznych.

Wybrzmiewa to jednoznacznie w wywiadzie rektora Kazimierza Karolczaka udzielonym „Forum Akademickiemu” (nr 6/2021). Sprawczość zarządczą sprowadza on bowiem głównie do swojej aktywności – „podzieliłem”, „wydzieliłem”, „rozpocząłem”, „zatrudniłem” itp. Toteż sprostowania wymagają niektóre jego stwierdzenia i informacje, przede wszystkim, że nie tworzył żadnych nowych wydziałów, lecz co najwyżej uczestniczył w niektórych działaniach. Miał bowiem wszystko przygotowane, łącznie z najtrudniejszą sprawą, a mianowicie przeniesieniem uprawnień doktorskich i habilitacyjnych z Wydziału Humanistycznego na nowe wydziały: filologiczny oraz politologiczny. Nie musiał rozliczać inwestycji przy ulicy Ingardena z powodu braku wcześniej środków na tzw. wkład własny, ponieważ za rok 2015 uniwersytet osiągnął zysk 3,5 mln zł, a za 2016 – 2,25 mln zł, lecz z powodu rozszerzenia programu inwestycyjnego i potrzeby wykorzystania w pełni środków ministerstwa na modernizację „starego” budynku Wydziału Pedagogicznego. Podobnie było z remontem budynku Wydziału Sztuki, rozpoczętym przed 2016 r., na który pozyskano już wcześniej odpowiednie środki ze źródeł zewnętrznych. Nigdy też za jego „poprzednika” uczelnia nie funkcjonowała przez „trzy lata na minusie”.

Ale to wszystko nie ma żadnego znaczenia. Jeśli prof. Kazimierz Karolczak uważa, że czegoś dokonał, to niech tak będzie. Natomiast istotnym wynikiem jego aktywności było stworzenie solidnych fundamentów instytucjonalno-prawnych całego zła, które trawi dzisiaj Uniwersytet Pedagogiczny im. KEN. Poskutkowało to bowiem ograniczeniem lub wręcz likwidacją samorządności i autonomii uczelnianej na rzecz niczym nieograniczonej władzy rektora, stwarzającej mu np. możliwość powoływania prorektorów i dziekanów – którzy nie są pełnoprawnymi członkami senatu uniwersyteckiego – poza procedurą wyborczą czy konkursową, oraz prowadzenie nieskrepowanej polityki

kadrowej, włącznie ze scedowaniem jej na urzędnika – kanclerza uczelni.

Folwarczny styl kierowania

Warte nadmienia są również takie kwestie, jak np. przyjęcie za podstawę struktury uniwersytetu kryterium dziedziny nauki, które spowodowało likwidację w Uniwersytecie Pedagogicznym Wydziału Pedagogicznego czy połączenie Wydziału Geograficzno-Biologicznego i Wydziału Matematyczno-Fizyczno-Technicznego w monstrualnych rozmiarów Wydział Nauk Ścisłych i Przyrodniczych.

Rektor stworzył nie tylko instytucjonalno-prawne ramy jedynowładztwa w uczelni, ale sam ochoczo z tego korzystał. Szybko dał przykład folwarcznego stylu kierowania uniwersytetem. Zaczął od zlecenia firmie zewnętrznej przeprowadzenia audytu, który miał ujawnić rzekome braki i nieprawidłowości powstałe za jego „poprzednika”. Było to tym bardziej zastawiające, że – jak sam przyznaje w wywiadzie – od dziesięciu co najmniej lat uczestniczył w kierownictwie uczelni i nigdy nie zgłaszał żadnych wątpliwości i zastrzeżeń. Będąc zaś rektorem, nie uznał potrzeby ponoszenia odpowiedzialności za przeszłość, ale też nie udostępnił swojemu „poprzednikowi” wyników audytu, bo te – jak domniemywam – nie były dla „poprzednika” niekorzystne.

Najgorsze jednak nastąpiło później, gdy przystąpił do rozprawienia się z zasłużonymi dla Uniwersytetu Pedagogicznego pracownikami administracyjnymi, których jedyną chyba winą było to, że oddali swojemu pracodawcy najlepsze lata życia i solidnie wykonując obowiązki urzędnicze wspierali kolejno kilku rektorów, w tym przede wszystkim poprzednika profesora Kazimierza Karolczaka. Nie pozwolił np. kierowcy rektora dotrzeć do emerytury, zastępując go osobą z Uniwersytetu Rolniczego. Odsunął wieloletnią kierowniczkę sekretariatu rektora i usunął jej z przydziału czynności obsługę prasową uczelni, pomimo iż miała ku temu odpowiednie kwalifikacje merytoryczne i formalne, zatrudniając w jej miejsce na pełnym etacie rzecznika prasowego z uposażeniem profesorskim. Zwolnił następnie doświadczoną kanclerkę uniwersytetu, przyjmując na jej miejsce anglistkę z Wyższej Szkoły



Europejskiej im. ks. Józefa Tischnera, by po pewnym czasie zwolnić również zastępcę kanclerza do spraw technicznych, powierzając tę funkcję emerytowanemu pracownikowi z Uniwersytetu Jagiellońskiego. Nikt wówczas nie protestował, nikt nie ronił łez, bowiem rektor – jak tłumaczono – ma prawo dobierać sobie pracowników. Wspaniałomyślnie pozostawił ich na uczelni, bo w istocie nie mógł ich zwolnić z powodu posiadania okresowo dodatkowych gwarancji zatrudnienia zapewniających ciągłość i stabilność zarządzania uczelnią. Powołał natomiast aż czterech prorektorów w sytuacji malejących zadań edukacyjnych (np. zmniejszenie liczby studentów z 20 tys. do 11 tys.) i inwestycyjnych. Trudno stwierdzić, czy te pierwsze decyzje kadrowe były samodzielne czy też wymuszone przez związkowców, zwłaszcza przewodniczącego uczelnianej „Solidarności”, chętnie garnącego się zawsze do bieżącego zarządzania uczelnią. Pewne jest, iż początkowo obu panów łączyły niezwykle serdeczne relacje. Z czasem stawały się coraz chłodniejsze. Dziś chyba żaden z nich się do nich nie przyznaje.

Pewne jest również, iż rektor zaczął w uczelni uprawiać politykę korporacyjną, z ducha i z zasady obcą wspólnocie akademickiej, która nie jest zbiorem pracowników poddanych korporacyjnej hierarchii i dyscyplinie, lecz wspólnotą ludzi zajmujących się kultywowaniem idei człowieczeństwa, wspieraniem rozwoju jednostki i wzbogacaniem kultury narodowej, a nie wytwarzaniem towarów i usług. Przez swoje decyzje kadrowe i zmiany organizacyjne rektor spowodował wzrost zatrudnienia w administracji uczelnianej ponad realne potrzeby. Nowi zaś pracownicy musieli poznać i „uczyć się” nowego miejsca pracy. Dysponując zbyt skromną wiedzą i doświadczeniem w uczelni, nie zawsze mogli zapewniać władzom uniwersytetu profesjonalne i rzeczowe wsparcie. Tym zapewne tłumaczą się przyczyny braków w znajomości przez obojga rektorów spraw uczelnianych dotyczących np. inwestycji, ujawnione w wywiadach na łamach „Forum Akademickiego”, i trudności w podejmowaniu odpowiednich decyzji po nierozważnym usunięciu doświadczonych pracowników i zastąpieniu ich ludźmi nie zawsze odpowiednio przygotowanymi do wypełniania nowych zadań administracyjnych.

Uczelnia nie zasłużyła na takie traktowanie

Profesor Kazimierz Karolczak nie ograniczył korporacyjnej polityki kadrowej do administracji uczelni. Śmiało wkroczył z nią w środowisko nauczycieli akademickich, np. nie przedłużając zatrudnienia na stanowisku profesora nadzwyczajnego politologowi czy też przesuwając innego politologa – profesora zwyczajnego, byłego organizatora Wydziału Politologii i jego dziekana – z jednej jednostki organizacyjnej do drugiej. Zatrudnił za to historyczkę starożytności i archeologkę w Instytucie Nauk o Wychowaniu itp. Już po doświadczeniach własnych może sobie bez trudności odpowiedzieć na pytanie postawione w tytule wywiadu: *Kto rządzi uniwersytetem?*

Ma przeto rektor Piotr Borek przetarte szlaki myślenia i działania folwarcznego o sprawach naszego uniwersytetu, jego ludziach i przyszłości. Konsekwentnie korzysta z ustalonych wcześniej wręcz absolutystycznych uprawnień, łamiąc wypracowane przez lata dobre obyczaje akademickie i zasady współżycia. Interesuje go głównie – jak podaje w wywiadzie – finansowy wymiar funkcjonowania uczelni, będący też zasadniczym powodem przekazania rektorskich uprawnień kadrowych nowo przyjętemu do pracy w uniwersytecie kanclerzowi, ponoć wcześniej menedżerowi miejskich przedsiębiorstw komunikacyjnych w Krakowie i w Łodzi i w innych firmach krajowych, któremu myli się pojęcie rady uczelni z pojęciem rady nadzorczej, wspólnoty uniwersyteckiej z korporacją itp.

Stało się w naszym uniwersytecie coś nieprawdopodobnego w skali ogólnopolskiej, iż w formie powiadomienia pocztowego zwalnia się z pracy wybitnych, twórczych profesorów po ukończeniu 65 roku życia oraz innych nauczycieli akademickich w okresie ich pełnej aktywności badawczej i zawodowej. Nie baczyc się na dorobek, osiągnięcia i znaczący wkład w rozwój uczelni – niektórzy z nich pełnili funkcje prorektorów, dyrektorów instytutów, kierowników katedr itp. Decyduje o ich losie urzędnik za przyzwoleniem rektora. Oczywiście trwa „oczyszczanie” administracji z fachowych i oddanych pracowników administracyjnych. Czego nie uczyniono wcześniej, dopełnia się teraz i np. zwolnionej niegdyś ze stanowiska kanclerza uczelni pracownicy proponuje się kierownictwo Klubu Studenckiego „Bakalarz”, co można uznać za gest wielkoduszności, ponieważ innym napiętnowanym pracownikom złożono wypowiedzenia stosunku pracy.

Po co to wszystko, w dodatku w 75-lecie Uniwersytetu Pedagogicznego im. KEN? Uczelnia i jej społeczność w żadnym stopniu nie zasłużyła na takie traktowanie i świętowanie jubileuszu. Stajemy się miejscem gorszących i groźnych zachowań i zdarzeń, obcych duchowi nauczycielskiego etosu inteligenckiego. Od naszej uczelni, kształcącej przyszłych pedagogów i wychowawców, wymaga się więcej niż od innych społeczności uniwersyteckich, ponieważ oczekuje się od nas wzorów i przykładów humanistycznego i moralnego postępowania. Dlaczego z takim uporem niszczymy z wielkim trudem wypracowany przez pokolenia etos „nauczyciela nauczycieli”? Jak długo jeszcze o losach dokonań kilku pokoleń twórców Uniwersytetu Pedagogicznego im. KEN będą decydować urzędnicy, ludzie niemający żadnego z nim związku tożsamościowego?

Na pytania te nie ma niestety dziś odpowiedzi. Można jedynie zaapelować do rektora Piotra Borka: Magnificencjo, powstrzymaj się od destrukcyjnych działań, ponieważ bez profesora i studenta nie ma uniwersytetu. Jest to niezastąpione dobro. Dbaj o nie, dając świadectwo sprawiedliwego i przyzwoitego wypełniania godności rektorskiej na miarę poprzedników, wielce zasłużonych w dziejach uczelni trzech polonistów-rektorów, zapewne swych nauczycieli i mentorów. Nie można poprzez szkodliwe decyzje i działania kadrowe niszczyć dorobku przeszłości i wizerunku Uniwersytetu Pedagogicznego. Należy podjąć nowe wyzwania i problemy, jakie współcześnie się pojawiają, związane np. z zachodzącymi gwałtownie przemianami technologicznymi i naukowymi. Wraz z upowszechnianiem się bowiem nowych zasobów wiedzy wskutek rozwoju technik informatycznych i komunikacyjnych zmniejsza się rola tradycyjnej edukacji szkolnej w systemie klasowo-lekcyjnym. Być może w nieodległej przyszłości nastąpi jej gruntowne przeobrażenie lub nawet zanik. Już dziś bardziej nastawiamy się na uczenie sposobów pozyskiwania informacji i poszukiwania najlepszych metod samokształcenia i samodoskonalenia, a nie tylko posiadania wiedzy. Zmieniać się będą zapewne formy jej zdobywania i przekazu oraz struktury formalno-organizacyjnej edukacji. Jednakże nie zaniknie rola nauczyciela jako wzoru postępowania, autorytetu i mentora, ukazującego drogi samorozwoju i stawania się człowiekiem mądrym i szczęśliwym – młodym pokoleniom poszukującym swojego miejsca w burzliwie zmieniającej się rzeczywistości. Stwarza to dla naszej społeczności uniwersyteckiej wielką szansę zaproponowania nowych rozwiązań i pomysłów pedagogiczno-edukacyjnych. Wykorzystanie tej szansy wymaga warunków ładu uniwersyteckiego, poczucia odpowiedzialności i wzajemnego poszanowania godności ludzkiej oraz humanistycznych stosunków pracy.

Prof. dr hab. Michał Śliwa, politolog i historyk, były rektor Akademii Pedagogicznej i Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie



Marek Misiak

Daleko od Oxbridge

Fot. Stefan Ciechan

Często rozwlekłość stylu nie wynika ze zbytnej jego kwiecistości, lecz raczej z przekonania, że dłuższe sformułowania brzmią bardziej oficjalnie. Ma to w sobie coś z kancelaryzmów w rodzaju „w miesiącu maju”. Zdarzają się też zdania, w których autorzy jakby usiłovali zawrzeć jak najwięcej fachowo brzmiących sformułowań – efektem są konstrukcje na pograniczu tautologii, niepotrzebnie dopowiadające oczywistości.

Pamiętam naukę angielskiego w dzieciństwie, w szkole językowej przy ul. Łaciarskiej w rodzinnym Wrocławiu. Byłem autentycznie zafascynowany tym, że mogę wyrazić siebie w języku innym niż ojczysty. Uśmiecham się dziś, gdy wspomnam dziecięce fantazje, że kiedyś będę dwujęzyczny, że angielski będzie dla mnie całkowicie przezroczysty, jak wydawał się (do studiów polonistycznych) polski. Z kolorowych, drogich wówczas podręczników wyłaniała się kusząca Wielka Brytania, jeszcze trochę nobliwa, już nieco cool Britania. Wielorsowe społeczeństwo, czerwone budki telefoniczne, dziewczyny z kolorowymi włosami... Nie studiowałem nigdy anglistyki, a w Zjednoczonym Królestwie byłem tylko kilka razy jako turysta. A jednak życie zatoczyło koło – po trzydziestce zostałem redaktorem anglojęzycznych publikacji naukowych, a z czasem zacząłem coraz częściej parać się tłumaczeniami w obie strony.

Nigdy nie stałem się dwujęzyczny i czuję się znacznie pewniej, gdy przede mną lub po mnie dany tekst sprawdza native speaker lub anglista z wieloletnim doświadczeniem. Podejrzewam, że wielu autorów, których artykuły lub książki redaguję, władza angielskim co najmniej tak samo dobrze, jak ja i po prostu w naturalny sposób nie widzą własnych błędów, tak

jak ja nie widzę swoich w tekstach, które sam piszę. Są jednak błędy różnego typu – leksykalne, stylistyczne, interpunkcyjne – które powracają z taką regularnością, że postanowiłem zebrać je i omówić w jednym artykule. Będę rzecz jasna posługiwał się przykładami po angielsku, w tłumaczeniu na polski zatraciłaby się istota większości usterek tekstu.

Pracować nad stylem

Błędy językowe kojarzą się laikom przede wszystkim z błędami ortograficznymi, a te mogą zostać wyeliminowane przy korzystaniu z komputerowych edytorów tekstu (warto jedynie pamiętać, że program nie podkreśli błędnej formy, gdy jest ona identyczna z innym wyrazem – casus *Jezusa Chytrusa). Tymczasem poprawność językowa to coś znacznie szerszego, zwłaszcza gdy posługujemy się językiem obcym. Poza poprawnością gramatyczną znaczenie ma też poprawność interpunkcyjna, a także leksykalna (użycie wyrazów w ich właściwym znaczeniu), fleksyjna (właściwa odmiana odmiennych części mowy), gramatyczna (np. dobór właściwych czasów) i stylistyczna.

Zacznę od tej ostatniej. Ze szkoły wielu czytelników pamięta zapewne polonistki każące „pracować nad stylem”, często bez

wyjaśnienia, co miałyby to dokładnie oznaczać. Niektórzy uczniowie, gubiąc się w domysłach, dochodzą do wniosku, że chodzi o pisanie bardziej „literackie”, wytworne, ozdobne. Zapewniam, że nie o to chodzi – dobry styl, a już zwłaszcza w tekście nieartystycznym, jest prosty i jasny. W naukowym pisaniu po angielsku (scientific writing) jest to szczególnie istotne, gdyż języki germańskie, głównie z uwagi na dość sztywny szyk zdania, w ogóle słabo tolerują kwiecistość stylu. Wielopoziomowe zdania złożone są przez native speakerów języka angielskiego postrzegane nie jako przejaw perfekcyjnego opanowania języka, ale wręcz przeciwnie – jako przejaw nieporadności językowej i ciężkości stylu. Jeśli dany tekst jest tłumaczeniem z polskiego, nadmiernie rozbudowane zdania mogą być też przejawem niewolniczego naśladowania składni oryginału. Gdy tłumaczę z polskiego na angielski lub niemiecki, często dzielę jedno długie zdanie na co najmniej dwa, trzy krótsze. Wielu doświadczonych amerykańskich redaktorów przyjmuje, że w znormalizowanym maszynopiśmie zdanie nie powinno zajmować więcej niż trzy wiersze, choć oczywiście nie jest to bezwzględna reguła. Warto też nie przeceniać naszej znajomości angielskiego, w długim zdaniu można się po prostu zgubić i poszczególne zdania składowe nie będą do siebie pasować (np. zaniknie tożsamość podmiotu). Z uwagi na mniejszą fleksyjność angielszczyzny łatwo wtedy o nieporozumienia, np. w zdaniach względnych, gdzie „which” może oznaczać zarówno „który”, jak i „którym” albo „którego” (nie zawsze musi mu towarzyszyć przyimek – „by which”, „to which” itp.), i czytelnik może mieć problem ze zidentyfikowaniem, do której części zdania poprzedzającego „which” się odnosi.

Zdara się też, że piszący po angielsku autorzy konstruują złożone zdania, których poszczególne części nie są połączone żadnymi spójnikami, a jedynie średnikami. Jednak nadmiar spójników i przyimków także generuje chaos. W językach germańskich deklinacja jest dość uboga i to, co po polsku, czesku czy rosyjsku jest oddawane końcówkami fleksyjnymi, po angielsku trzeba oddawać przyimkami. Utrudnia to tworzenie bardzo złożonych zdań, gdyż powtarzające się „of”, „which”, „that” czy „by” czynią je już na pierwszy rzut oka nieporadnymi stylistycznie. Rozbudowana składnia wymaga wreszcie precyzyjnego posługiwania się przecinkami i średnikami, a angielska interpunkcja jest daleka od przejrzystości i nie tak dokładnie skodyfikowana, jak polska, przez co nawet osoby, które naprawdę biegle opanowały ten język, znają ją najczęściej tylko w ogólnych zarysach. Zdarzało mi się redagować teksty ze zdaniami zajmującymi cztery–pięć wierszy, gdzie w całym wierszu autor nie zastosował żadnych znaków przestankowych. Nie ma siły, żeby czytelnik się w tym nie zgubił. Zaś stawianie przecinków tam, gdzie stałyby po polsku, prowadzi na ogół do poważnych błędów interpunkcyjnych.

Jak wysypka, to na skórce

Podczas czytania nie tylko publikacji naukowych, ale także eseistyki czy publicystyki po angielsku, warto zwrócić uwagę, że naprawdę rozbudowane zdania stanowią tam dużą rzadkość, przez co styl może się wydawać banalny. Tak nie jest. Dobry styl w tym języku oznacza dyscyplinę myśli i słowa, a „wordiness” (rozwlekłość, wielomówstwo) jest jedną z najczęściej wskazywanych usterek. Jeśli coś można przekazać zwięźle i prościej, należy tak właśnie zrobić, gdyż dla większości czytelników angielski także jest językiem obcym i przesadna ozdobność stylu będzie utrudniać komunikację w większym stopniu niż w języku ojczystym. Warto uważać szczególnie z metaforą, brak wyczucia może sprawić, że sugestywność i skrótość zamienną się w śmieszność. Jakis czas temu koleżanka po fachu redagowała artykuł do czasopisma stomatologicznego,

w którym ślina została określona jako „meeting point” różnych funkcji jamy ustnej. Moje rodzinne miasto (Wrocław) jako miejsce spotkań (Wrocław – the meeting point) jak najbardziej, ale w ślinie wolałbym się jednak nie spotykać.

Często rozwlekłość stylu nie wynika jednak ze zbytnej jego kwiecistości, lecz raczej z przekonania, że dłuższe sformułowania brzmią bardziej oficjalnie. Ma to w sobie coś z kancelaryzmów w rodzaju „w miesiącu maju”. Zdarzają się też zdania, w których autorzy jakby usiłowali zawrzeć jak najwięcej fachowo brzmiących sformułowań – efektem są konstrukcje na pograniczu tautologii, niepotrzebnie dopowiadające oczywistości. Popatrzmy na następujący przykład: „The rash on patient’s skin was red in color and rough in texture”. Oczywiście jest, że wysypka wystąpiła na skórze, że czerwony to kolor, a szorstkość jest rodzajem faktury. „The rash was red and rough” – zwięźle, a wcale nie mniej naukowo. Kolejny przykład: „It goes without saying that the newly approved drug will produce an inhibitory effect on the AIDS-related symptoms”. Całe wprowadzające sformułowanie to nic innego, jak wata słowna, odpowiednia być może w przemówieniu politycznym, ale nie w publikacji naukowej. Zaś „to produce inhibitory effect” to bardziej wyrafinowana wersja „nabyć drogą kupna”. Zamiast czasownika, przymiotnika i rzeczownika wystarczy sam czasownik: „The newly approved drug will inhibit the AIDS-related symptoms”.

Nie bez powodu adepci kreatywnego pisania uczą się, że w pierwszej kolejności należy wykreślać przymiotniki i przysłówki, bo faktycznie te części mowy niewiele wnoszą do zdania: „He obtained a completely comprehensive medical history for each individual patient”. „Comprehensive” to „wyczerpujący, obszerny”, zatem „completely comprehensive” można by uznać za pleonazm (może nie tak oczywisty jak „mokra woda”, ale wyraźnie widoczny). Podobnie jest z „each individual”. W każdym języku istnieją powtórzenia niebędące błędami (jeden i ten sam, „each and every”), ale, po pierwsze, mają one na ogół bardziej potoczny charakter, a po drugie, mają charakter stałych związków frazeologicznych, a nie konstrukcji stworzonych ad hoc. „He obtained a comprehensive medical history for each patient” – znaczy to samo, a wymaga od czytelnika mniej wysiłku. Dobrym przykładem redundancji (nadmiaru) słów jest następujące zdanie: „Research in the field of genetics has increased since the completion of the 5th human genome map”. Jasne jest, że „genetics” to „research field”, zatem „the field of” ma w tym wypowiedzeniu zerową wartość znaczeniową. Zdanie bez tego sformułowania nie zmienia ani trochę znaczenia: „Research in genetics has increased since the completion of the 5th human genome map”.

Tytułowe Oxbridge to połączenie nazw Oxford i Cambridge. W British English nazywa się w ten sposób intelektualno-towarzystwą elitę, absolwentów najbardziej elitarnych uczelni w kraju. Jest to określenie nieco ironiczne, ale w żadnym razie nie pogardliwe. Uczelnie te uchodzą jednocześnie, obok BBC, za matecznik wzorcowej brytyjskiej angielszczyzny (nie bez powodu jednym z najważniejszych wydawców materiałów do nauki tego języka są Oxford University Press i Cambridge University Press). Półka ze słownikami, kompendiami gramatycznymi i podręcznikami do specjalistycznych odmian angielskiego za moimi plecami puchnie coraz bardziej. Choć nigdy nie będę mówił po angielsku tak dobrze, jak po polsku, chciałbym – na miarę moich skromnych możliwości – pilnować tego, by język, w którym uprawiana jest światowa nauka, był tym samym pięknym angielskim, który tak pięknie brzmi w ustach znanych mi Amerykanów i Brytyjczyków. Choć mieszkam i pracuję daleko od Oxbridge, a jeszcze dalej od Nowego Jorku, niech widzą, że dzisiejsza lingua franca to nadal język (a zatem wartość), a nie jedynie przezrocyste narzędzie komunikacji.

O edytowaniu tekstów Mazurów pruskich

Edytorskiemu przedsięwzięciu towarzyszy niekiedy pragnienie przywrócenia dawnemu tekstowi ponownego życia czytelniczego w nieco szerszym kręgu miłośników literatury. Z takim zamiarem, aby wydanie krytyczne było publikacją adresowaną do większego grona niż badacze określonego wycinka piśmiennictwa, przystąpiłem do prac nad wydaniem pierwszej mazurskiej powieści historycznej *Jest Bóg!* Marcina Gerssa.

Mam pewne doświadczenia związane z wydawaniem utworów literackich Mazurów pruskich. Przez kilka wieków zamieszkiwali oni wschodnie i południowe powiaty dzisiejszego województwa warmińsko-mazurskiego. Kiedy przygotowywałem monografię *Michał Kajka. Poeta mazurski* (1992), przekonałem się, że trud edytorski jest efektywny poznawczo. Choć prace nad wydaniem dawniejszych tekstów literackich są żmudne, przeciągają się, w dorobku naukowym oceniane są niewspółmiernie do wysiłku i poświęconego im czasu. Już nie wspominać o kompetencjach edytorskich, które wciąż trzeba rozwijać i dostosowywać do charakteru opracowywanego tekstu.

Pierwszą edytorską przygodę przeżyłem po odnalezieniu rękopisu Kajki. Po jego mozołnym odczytaniu okazał się rymowaną opowieścią o Polaku zesłanym na Syberię, który ze wzajemnością zakochał się w pewnej Rosjance. Zastanowiła mnie obecność wątków syberyjskich na Mazurach. Bardziej oczywiste było zastosowanie przez Kajkę rosyjskojęzycznych cytatów. W XIX wieku Mazury graniczyły z Królestwem Kongresowym, czyli terytorium zaboru rosyjskiego. Pogranicznikami byli Rosjanie. Czyżby Kajka posługiwał się językiem rosyjskim, a z przekazów rodzinnych znał losy uczestników powstania 1863, jak inny mazurski autor ludowy, Jan Domasz?

Sprawa się wyjaśniła, gdy w ocalałym z powojennej zawieruchy księgozbiórce Kajki natrafiłem na reportaże powstańca styczniowego Ferdynanda Władysława Czaplickiego pt. *Czarna Księga* (wydanie z 1878 r.). Mazurski poeta sparafrazował jej rozdział *Żbrodnia okrutna (Opowiadanie prawie prawdziwe)*. Był on podstawą do rozwiązywania niektórych wątpliwości literowych, leksykalnych czy faktograficznych, pojawiających się w trakcie przepisywania i opracowywania poematu Kajki. Wyszło na jaw to, że rosyjskojęzyczne wtrącenia i krótkie wypowiedzi, wykorzystane przez poetę w utworze, zostały przeniesione z „opowiadania prawie prawdziwego”. Mazurskiego autora zaciekawiła też narracja Czaplickiego o pacyfikacji wsi pt. *Jaworówka na Litwie i sławny wyrok Murawiowa* (ten generał-gubernator Kraju Północno-Zachodniego, to jest Litwy, podczas powstania styczniowego otrzymał przydomek

„Wieszateli”). Kajka ułożył na podstawie przerażającej historii o tym, jak ojcowie byli zmuszeni do powieszenia swoich synów, poemat *O zburzeniu Jaworówki na Litwie*.

Ojciec mazurskiej literatury ludowej

Zajmowanie się edytorstwem ma charakter interdyscyplinarny; wymaga dostrzegania i sprawdzania wielu szczegółów, związanych z ortografią, kontekstami i realiami, które towarzyszyły autorowi i miały wpływ na jego pisarskie wybory. Podczas przygotowywania tekstu do druku edytor powinien niejednokrotnie próbować wejścia w rolę autora i jego proces twórczy.

Odkrycie zapomnianego utworu – zwłaszcza literackiego – niekiedy wywołuje chęć, aby go niejako reanimować i włączyć do współczesnego szerszego obiegu czytelniczego. Oczywiście w edytorstwie może chodzić jedynie o sporządzenie krytycznego wydania źródeł czy dzieł z myślą, że ich odbiorcami będą tylko wyspecjalizowani uczeni. Ale edytorskiemu przedsięwzięciu towarzyszy niekiedy pragnienie przywrócenia dawnemu tekstowi ponownego życia czytelniczego w nieco szerszym kręgu miłośników literatury. Z takim zamiarem, aby wydanie krytyczne było publikacją adresowaną do większego grona niż badacze określonego wycinka piśmiennictwa, przystąpiłem do prac nad wydaniem pierwszej mazurskiej powieści historycznej *Jest Bóg!* Marcina Gerssa (1808–1895). Ten „ojciec mazurskiej literatury ludowej” był dla Mazurów tym, kim Józef Ignacy Kraszewski dla Polaków. A mimo to aż do dziś stosunek historyków Mazur i ich kultury do Gerssa bywa niechętny. Niektórzy chcieliby o nim zapomnieć, choć trudno podważyć twierdzenie, że jego ponad sześćdziesięcioletnia działalność pisarsko-wydawnicza faktycznie przyczyniła się do podtrzymania języka polskiego na Mazurach. Był kimś w rodzaju mistrza i nauczyciela ludu, z którego sam się wywodził. Po 1989 roku przypomniano zaledwie około trzydziestu wierszy i kilka artykułów Gerssa. Jego narrację o okresie napoleońskim, poprowadzoną z mazursko-pruskiego punktu widzenia, wydał historyk Grzegorz Jasiński jako materiał źródłowy pod osobliwym i trafnym tytułem



Marcin Giersz w 1860 r.

Portret Marcina Gerssa

O Napoleonie, nieszczęśliwej wojnie, dziejach pruskich i europejskich (1997).

Wydanie powieści *Jest Bóg!* jest kontynuacją moich wcześniejszych prób edytorskich, obejmujących piśmiennictwo Mazurów pruskich. Zredagowałem na przykład antologię: *Poemata i pieśni duchowne* oraz *Zwierzyniec mazurski*. Przygotowywanie tych i innych edycji uświadomiło mi, że nieliczne wybory utworów Mazurów (głównie Michała Kajki) obciążone są wieloma edytorskimi błędami. W najobszerniejszej tego rodzaju antologii, opracowanej jeszcze w 1957 roku przez Tadeusza Orackiego, *Poezja ludowa Warmii i Mazur* znajdują niedopatrzenia, przekreślenia czy formy niedokładne, oraz mylne dopiski i komentarze. Brak filologiczno-edytorskiej staranności wobec tekstu źródłowego powoduje zamazanie lub wypaczenie właściwego znaczenia zarówno pojedynczych słów, jak też zdań, strof i większych fragmentów. Unaocznia to wyraziście wzmiankowana antologia. Zamieszczono w niej wiersz obyczajowy Jana Luśtycha o lokalnym złodzieju, zatytułowany całkiem dziwnie *O lilii na dwóch nogach*. Dotarłem do pierwodruku. Dopiero tytuł w brzmieniu poprawnym – *O lisie na dwóch nogach* – oddaje treść utworu.

Brak krytycyzmu i docieklowości edytorskiej

Mimo krytycznej recenzji jednego z największych znawców piśmiennictwa mazurskiego, Władysława Chojnackiego, wspomniana antologia przez kolejne pokolenia czytelników jest traktowana jako wiarygodna reprezentacja literatury mazurskiej. Chojnacki pisał: „jest to bardzo pożyteczna i ślicznie wydana książeczka, ale nie można jej zaliczyć do wydań opartych o kryteria naukowe” (W. Chojnacki, „Komunikaty Mazursko-Warmińskie” 1958, nr 1).

Wzmiankowany rezultat niewierności wobec pierwodruku nie wyzerpuje listy problemów do rozwiązania w omawianej materii. Wykrycie edytorskiej niedbałości jest pouczające, gdyż czyni ona

krzywdę autorom, czytelnikom... i aktorom. Kiedyś na zamku olsztyńskim mój wykład o Kajce uświetnił swoimi recytacjami jego pieśni i humoresek znakomity aktor, Tadeusz Madej. Organizatorzy przekazali mu niepoprawnie edytowane teksty mazurskiego poety. Po ich wygłoszeniu aktor orzekł z pretensją, że zgodził się na publiczne czytanie tekstów grafomana. Madej, mimo że pochodził ze Śląska, nie odczuł mazurskiej specyfiki językowo-kulturowej Kajki.

Brak krytycyzmu i docieklowości edytorskiej powoduje, że niebezpiecznie upowszechnia się wyobrażenie badacza wydającego teksty źródłowe jako przepisywacza. Pogląd jest tym bardziej niebezpieczny, że są oprogramowania i aplikacje, które usprawniają i przyspieszają proces doprowadzenia tekstu do wersji elektronicznej. Jednak pozostają w błędzie ci, którzy się wydaje, że wystarczy odwzorować rękopis lub dawny druk; gdyby na tym polegała praca autora edycji, wiele osób mogłoby ją wykonywać. A przecież tak się nie dzieje, bo to niedopuszczalne.

Do opracowania wciąż pozostają tysiące stron mazurskich tekstów. Na horyzoncie nie widać zespołów badawczych, które by się nimi zajęły. Od kilku lat język Mazurów pruskich zgłębia pochodzący spod Działdowa młody językoznawca Piotr Szatkowski, związany z Uniwersytetem Gdańskim (opracował *Elementarz mowy mazurskiej*).

Wróćmy jednakże do powieści Gerssa *Jest Bóg!* Zgodnie ze zwyczajem epoki była ona opublikowana w odcinkach w „Gazecie Leckiej” w 1875. Ten wówczas tygodnik redagował właśnie Gerss, który w większości sam zapełniał jego kolejne numery, dopuszczając do druku w miarę regularnie na ogół drobne korespondencje lokalne lub wiersze autorów z mazurskich wiosek. Wyjątkowość powieści polega już na tym, że jest to pierwszy kilkuwaktowy utwór prozą, niebędący przeróbką tekstu epickiego należącego do literatury polskiej lub niemieckiej. Gerss uważał plagiat za kradzież, toteż gdy publikował parafrazę, zaznaczał skwapliwie, że czytelnik ma przed sobą opowiastkę, pieśń itd. tłumaczoną z języka niemieckiego albo „ułożoną podług” tekstu niemieckiego lub polskiego.

Wojtek i Judyta

Mazurzy, którzy w większości opanowali sztukę pisania i czytania po polsku, oczekiwali opowieści o sobie, swojej okolicy i historii. Świadczy o tym to, że redaktor w „Gazecie Lec-



Znaczenia Marcina Gerssa (1808–1896) dla dziejów Mazur w XIX w., a więc w czasie, kiedy społeczność tego regionu slegała głębokim przemianom gospodarczym, społecznym i narodowym, nie sposób przecenić. Odzwierciedlało się ono we wpływie, jaki wywarł na ładność życia, w sposobie przekazywania własnych, nie zawsze typowych dla inteligencji pruskiej (także pochodzenia mazurskiego) poglądów. W poematach, powiastkach były one oczywiście zbitne z tym, co powszechnie głoszone nie tylko na Mazurach, lecz także w całych Prusach czy Niemczech. Chodzi o przywiązanie do państwa, monarchii i dynastii. W myśl powyższych zasad Gerss konsekwentnie wychowywał również swoich czytelników w duchu patriotycznym, szerzył wśród nich patriotyczny dyktando. Wydał im go natomiast zainteresowanie sprawami lokalnymi.

To on pierwszy próbował na taką skalę zapoznać swoich odbiorców z Mazurami, rozbudzić i umacniać w nich poczucie regionalne, polegające przede wszystkim na znajomości dziejów tej krainy, zrozumienia przyczyn jej odmienności od innych ziem pruskich. Wagała się w tym również kwestia językowa. Gerss, uznając kulturową rolę języka niemieckiego, jednak nie negował znaczenia języka polskiego, choć dostrzegał o wiele słabszą jego pozycję. Mimo że kładł największy nacisk na „zotologizację” rolę języka polskiego, widział w nim również środek do rozpowszechniania cnoty wśród części społeczeństwa mazurskiego niewładającego niemieckim. Z tych właśnie pozycji demagował się nie tyle równowagę, ile zaprzestania dalszego ograniczania zasięgu mowy polskiej. Różnorodne powiązania z Polakami nastąpiły go przychylcie do polskiej kultury, jej elementy próbował przekazywać swoim czytelnikom.

(...) *Jest Bóg!* (tekst drukowany pierwotnie na łamach „Gazety Leckiej”, 1875, nr 32–52) należy do najciekawszych dokonań pozostawionych Marcina Gerssa. Z jednej strony jest typową powiastką o charakterze moralizatorskim, skierowanym do wiejskiego, najmniej wykształconego odbiorcy, z drugiej stanowi formę opowieści historycznej oświetlonej bardzo silnie w miejscowych realiach, gdzie autor ma różne sposoby próbował przybliżyć czytelnikom epokę, w której przetrwał był bohaterem jego powieści. Sądź wybór tekstu przez prof. Zbigniewa Chojnackiego jest jak najbardziej trafny.

(z recenzji prof. Grzegorza Jasłińskiego)

Z opinii Chojnackiego wyłania się postać Marcina Gerssa jako człowieka, który za swoją niezmordowaną działalność był nieustannie krytykowany zarówno przez Niemców, jak i przez Polaków. Ci pierwsi ledwie go tolerowali, ci drudzy zarażali mu populizację języka niemieckiego, podczas gdy on troszczył się o zachowanie odmienności językowej, kulturalnej i mentalnej Mazurów. Zaczyna ze stron sporu nie chciała zmać go w pełni „za swojego”. Ten „brak miejsca” w symbolicznych sposobach odzwierciedlają jego go, najpierw zdławionego, później dostrzeżenie znaczonego.

(...) Marcin Gerss był zaliczany do nowocześniejszymi metodami nauczania, napisał dzieło, które z jednej strony miało edukować Mazurów na temat ich lokalnej geografii, historii czy obyczajów, z drugiej przekazywać wiedzę o Mazurach Polakom. To dzieło nosi tytuł *Jest Bóg!* (...). Opowieść Marcina Gerssa jest niezwykle ważnym dokumentem nie tylko literackim, lecz także kulturowym.

(z recenzji dr hab. Iwony E. Rusack)

Okładka książki *Jest Bóg!*

Na to imię zastąpił prawdziwie, albowiem był bardzo lichym człowiekiem. Z młodoci swojej pajał bydło, ale i przy tej sprawie nie był rzetelnym. Był niedbały, spalał na wolu, a bydło wpadało ludziom w zboże i narobiło wiele szkody. Z tej przyczyny nie wysiedziały nigdzie, bo ktoś może takiego chwycić człowieka, co swojej nie pełni powinności. A i potem, zgodziwszy się za parobka, nie czynił panstwu dobroci i nigdy w służbie długie nie wysiedziały. Na koniec nie przysłał go nikt więcej do służby. A tak wałęsał się w lato po polach i po lasach, żywiąc się, to strączkami białymi i grochem, to owocem w jadach, to kartofkami, które sobie piekł w ogniu. Tylko czasem poszedł do roboty do dalszych wsi, gdzie go nie znano; ale i tam nie długo wytrwał. Czasu śmył krótki, ile tylko śnił. Nieraz już siedział w więzieniu za przestępstwa swoje, ale to nic nie pomogło.

Uczawszy u księdza wieczniki i ustojawisz, że są 300 talarów wart, pomyślał sam w sobie, jedyn to bardzo dobre było, gdyby je mógł sam sobie przyswoić, bo 300 talarów mieć, albo nie mieć, to są różne rzeczy.

Pewny Rogalski z Matych Konopi, człowiek daleko gorzej niż Szychotka, był z dawna jego doradcicielem; albowiem on go był do wyższego ztego pobudzał, p o m i a d a j a c m u , że nie ma się Boga!

„To bredy tylko, co nam o Bogu i nieśmiertelności powiadają!” mówił Rogalski do Szychotki. Wyższo, co Biblia powiada, to płoski! Ponawpomyślał w niego jeszcze bardziej, o Bogu, co ma karać, kiedy kto co uczyni, co się innym nie podoba. Bredzą, że z martwych powstaniemy i że będzie raz dzień sądu. A to wszystko uczynili, aby lud ten lepiej panom był posłusznym. Ja nie wierzę, ani w Boga, ani w nieśmiertelność duszy! Kto umrze, przepadł na zawsze!”

Takie słowa Rogalskiego przylnęły do serca Szychotki, ale czasem jednak dumał mocno i tego, czy to można, żeby Boga nie było? Ktoby ten świat wielki uczynił, kiedy nie Bóg, jak to ksiądz nieraz w kościele rozbiwał? Sumnienie go nieraz ruszyło. Ale Rogalski nie przysłał swoje pleść i trakt mu bez przestanku bluźnierstwami słowo do ucha.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Z wyższej krzyżnki za nim głosem wielkim, a nagłośnienym wołał podpułkownik i nowy komendant twierdzy Szpandawny.

Tak to pomścił się Frydryk za list go hańbiący.
(Koniec.)

Jest Bóg!

Utożnt M. Gerss w Lecu.

W Miłkach, krenzie ledim, był kościół już za czasów krzyżackich i katolickich. Po reformacji był pierwszym księdzem ewangelickim, o którym wiemo, pewny ksiądz, którego tytuł nie wiadomo. Ochrzczone był na imię Bernhard; ale księdzował tylko od roku 1533 do roku 1534.

Następca jego był Wojciech Arceusz, a ten zawiadował urzęd księdzowski od roku 1534 aż do roku 1592, to jest przez 58 lat. Odbił więc swój jubileusz 50letni. Po nim był księdzem w Miłkach Jakob Proška, a następcą jego syn jego Jan Proška od roku 1619 aż do roku 1673. Księdzował więc w Miłkach przez 54 lat. Umart

prawie w Nowy rok 1673 roku. On posiadał i majątek Dgrodet.

Parafianie miłowali go bardzo i mieli go w wielkiej uczciwości. Do parafii miłkowskiej należały czasu onego i wieś Szarne, dopiero do parafii orzejskiej przybite.

Gdy jubileusz swój pięćdziesiętletni obchodził, to była wielka uroczystość w Miłkach. Kościół był nabit, a i gości było u księdza, że aż zgola miejsca nie stało. Wyższy oddarzyli go ile mogli. Podarki były wielkie i drogie. Niedzieli były dwa świeczniki z czystego srebra, 300 talarów wartości mające. Na jednym z tych lichtarzy było wyobrażenie zdemowanie Chrystusa z krzyża, a na drugim wniebowstąpienie jego. Ksiądz radował się z podarku tego niemiernie i myślał w sercu swoim, że je w późniejszych czasach da na oltarz na użytek kościelny. Dopiero postanowił je w pańskim izbie swojej.

Alle i parafianom spodobaty się te świeczniki nie wymownie, a zgola przez cały tydzień przychodzili ludzie, aby świeczniki, tak kumpownie zrobione, oglądali. Niedzieli nimi był i pewny lożny człowiek, imieniem Wojtek Szychotka.

Pierwszy odcinek powieści Marcina Gerssa Jest Bóg („Gazeta Lecka” 1875, nr 32)

kiej” niemało miejsca przeznaczał na wiadomości powiatowe o pożarach, kradzieżach, oszustwach, morderstwach, dzieciobójczyniach, ruchu służbowym urzędników, kontrabandzie itp. Krótkie informacje do redaktora, mieszkającego w Lecu (czyli dzisiejszym Giżycku), przysyłałi sprawdzeni wiejscy współpracownicy. Fakty były przekazywane nieomal z pierwszej ręki. Niektórzy z nich w zwiezłych wierszykach próbowali opowiadać zazwyczaj niepomysłne losowe przypadki miejscowych ludzi. Jednak to nie to samo, co narracja rozciągnięta w czasie i przestrzeni, przeplatana dialogami, opisami i erudycyjnymi wstawkami.

Gerss wiedział, że w pierwszej połowie XIX wieku na Mazurach popularnością cieszyła się powieść Christiana Gotthilfa Salzmana *Sebastian Mądry*, przetłumaczona i wydana w 1798 przez pastora z Królewca, Jerzego Olecha. Gerss poprawił i częściowo zmodernizował ją pod względem pisowni, a następnie w 1845 wydał. Reprezentuje ona ludową wersję „powieści o formowaniu” (niem. Bildungsroman). Oto młody mężczyzna, dzięki moralnemu postępowaniu i opanowaniu umiejętności pozwalających utrzymać się z pracy własnych rąk, wyraźta na przyzwoitego człowieka i dobrego poddanego króla Prus.

Powieść *Jest Bóg!* opowiada o sierocie Wojtku Lichotce, który dzięki miłości i religijności anielskiej Judyty (koleżanki ze szkoły), wchodzi na pozytywną drogę życia. Formowanie

się mazurskiego wieśniaka zachodzi podczas burzy i w obliczu narastającego zagrożenia śmiercią. Główne wątki rozgrywają się w 1668 roku w parafii Miłki (na południe od Giżycka) pomiędzy jeziorami Niegocin, Buwełno, Ubluk i Śniardwy. Topografia literacka pokrywa się całkowicie z geograficzną. Polskie nazwy wsi i akwenów używane przez Gerssa są na ogół identyczne z występującymi współcześnie (nieznaczna modyfikacja wynika z procesów rozwojowych języka, na przykład dawne „Jegodne” to aktualnie „Jagodne”).

W narrację włączone są opisy najazdu tatarskiego w październiku 1656 po bitwie pod Prostkami, w której do niewoli wzięty został Bogusław Radziwiłł. Tatarzy spustoszyli krainę. By oddać rozmiary klęski, Gerss z jednej strony podaje dane kronikarskie, czyli statystykę katastrofy (liczbę zabitych, wziętych w jasyr, zniszczonych obiektów), z drugiej parafrazuje śpiewaną przez Mazurów i znaną im od drugiej połowy XVII do XX w. wielozwrotkową pieśń księdza ewangelickiego Tomasza Molitora *O wtargnieniu tatarskim do Prus 1656*.

Dla uzupełnienia tej nader szkiecowej charakterystyki powieści dodam, że są w niej pasjonujące opisy mazurskiej przyrody, aluzje do bajki *Przyjaciele* Adama Mickiewicza. Gerss przytacza też poezje w swoim czasie popularnego poety romantycznego Antoniego Goreckiego. Odwołuje się zarówno do baśni o Ali Babie i czterdziestu rozbójnikach, jak też zabobonnych podań



„Gazeta Lecka”

miejskowych, łącząc je z dziejami pogańskich Prusów i przemianami wyznaniowymi na tej ziemi. Przypuszczam, że uważni czytelnicy wykryją w narracji *Jest Bóg!* także inne wątki i odwołania. Wskazane i niewskazane walory poznawcze i poniekąd literackie powieści zmobilizowały mnie do pracy nad edycją.

Transliteracja, modernizacja, objaśnienia...

Opowieść Marcina Gerssa *Jest Bóg!* została pierwotnie wydrukowana czcionką gotycką, zwaną też krakowskim szryftem, ale naznaczonym mazurską specyfiką. Nie tylko Gerss zdawał sobie sprawę z konserwatywnej postawy Mazurów pruskich, którzy pragnęli czytać Biblię, gazety, kalendarze i książki wydrukowane w sposób znany na Mazurach od wieków. Prawdę mówiąc, najbardziej płodny pisarz mazurski XIX wieku zachodził w głowę, dlaczego Mazurzy są przywiązani do oddawania niekonsekwentnie niektórych głosek za pomocą pewnych liter. Podjąłem decyzję, by przy zachowaniu pewnych znamion dotyczących mazurskiej specyfiki edytorskiej podać czytelnikowi tekst w sposób zachęcający go do lektury.

XIX-wieczny utwór przetransliterowałem (litery gotyckie oddaję za pomocą alfabetu łacińskiego) i częściowo zmodernizowałem. Czcionka „ß” występuje jako „s” lub „sz”, lecz nie była transliterowana, jeśli znalazła się w nazwisku. W odpowiednich wyrazach: „y” wymieniałem na „j” (lecz nie było transliterowane, jeśli znalazło się w nazwisku), „o” na „ó” lub „u” (i odpowiednio „ó” na „o” lub „u”). Samogłoski nosowe podałem zgodnie z pierwodrukiem.

Formy gramatyczne, aglutynacyjne, a także topotypy i hydronimy, pozostawiłem bez zmian (w razie potrzeby opatrzyłem je stosownymi przypisami). Mazurzy w odmianie niektórych wyrazów opuszczali „e”, toteż mówili i pisali: „Miłk” (a nie „Miłek”),

„Konopk”, a nie „Konopek”, także „zakomendują”, a nie „zakomenderują” itd. Wyrazy takie jak „chrześcijański”, „pójdźcież” uzupełniłem literą „j”. Zgodne z oryginałem są liczne słowa z dodanymi partykułami (np. „zobaczyłci”, „takimże”, „nie oddalajciez się”).

Rozbieżności z pierwodrukiem podaję w przypisach. Wyrazy typu „polskiem”, „postąpiemy” są podane w wersji obecnie używanej (odpowiednio „polskim”, „postąpimy”). By zachować pewne osobliwości ortograficzno-językowe, niektóre słowa podaję w ich pisowni oryginalnej, np. „dalej”, „ojculek”, „ostatnym” (w znaczeniu: ostatnim), „z daleca”, „dowódzca” itd. Usunąłem „e” na rzecz „e”. Interpunkcja jest dostosowana do norm aktualnie obowiązujących.

Zmodernizowałem pisownię dotyczącą wyrazów typu: „gdzieniedzie” (w pierwodruku „gdzie nieddzie”), „dlatego” (w pierw. „dla tego”), „tymczasem” (w pierw. „tym czasem”), „nie-daleko” (w pierw. „nie daleko”) itd. Ujednolicono pisownię wielką literą imion i zaimków, wskazujących na Boga i Jezusa Chrystusa.

Zwiększona została objętość akapitów, w gazetowym druku z przyczyn technicznych (np. w celu rozciągnięcia tekstu) widnieją akapity jednozdaniowe, których krótkości nie uzasadniają przekazywane treści. Miniaturyzację akapitów prawdopodobnie dyktowało przekonanie, że w takiej postaci będą one przystępniejsze dla tych, którzy czytają mniej biegle.

Znaczenie słów archaicznych, mazuryzmów, a także germanizmów i związków wyrazów, w miarę możliwości wyjaśniłem u dołu stron. Miejsca przypuszczalnie niezrozumiałe lub trudne do zrozumienia zostały objaśnione także w przypisach. Cytaty biblijne na podstawie Biblii Gdańskiej (1881). Zachowano spacje i pogrubienia pierwodruku. W nawiasie kwadratowym znajdują się drobne uzupełnienia tekstu (np. litery opuszczone w pierwodruku).

Czy edycja ma wartość jedynie dla wąskiego kręgu historyków Mazur? Pierwszą odpowiedź na to pytanie przynosi reakcja środowiska lokalnego Giżycka i gminy Miłki, które zorganizowało promocję powieści. Zmobilizowali się wierzący i ateści, profesjonalni znawcy Mazur oraz ich miłośnicy. Proza Gerssa zainteresowała ludzi przebywających na Mazurach całorocznie lub tylko latem. Zdumiewa fakt, że fabułę *Jest Bóg!* współcześni przyjmują jako narrację wspólnototwórczą i intrygującą opowieść o miejscach, z którymi się utożsamiają.

Prof. dr hab. Zbigniew Chojnowski, historyk literatury, poeta i krytyk literacki, kierownik Zakładu Literatury XX i XXI wieku w Instytucie Polonistyki i Logopedii Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego w Olsztynie



Jezioro Ublik

Znaczenie siły podporządkowanych

Choć mówi się, że pierwszym strajkiem w dziejach był strajk niewolników budujących piramidy, to możemy być pewni, że strajk chłopów pańszczyźnianych stał się wzorcem do oporu dla robotników fabrycznych. Przynajmniej na ziemiach polskich. Zwłaszcza że ci robotnicy wywodzili się przecież ze wsi.

Od wielu lat w wielu obszarach badań powstają różnego rodzaju prace, które analizują, w jaki sposób władza oddziałuje na ludzi, jak ich zniewala, za pomocą jakich środków, jakie są tego konsekwencje. Badania te prowadzi się w różnych paradygmatach badawczych, mają także różne cele. W rezultacie mamy różne tradycje badań nad systemami podporządkowania, kapitalizmu, komunizmu, badania and niewolnictwem, mobbingiem, przemocą patriarchalną i wiele innych. W każdym z tych obszarów każdy badacz potrafiłby wskazać co najmniej kilka prac, z którymi miał do czynienia. Te skądinąd znakomite badania najczęściej zapominają o jednej ważnej rzeczy, mianowicie o ludziach, którzy w ową relację są uwikłani. A raczej o tym, co ci ludzie z tymi relacjami robią. Innymi słowy w badaniach tych zapominają się, że człowiek w sytuacji podporządkowania nigdy nie pozostaje bierny. Niestety jego reakcja i zachowanie wobec przeróżnych systemów podporządkowania bardzo rzadko zostają włączone w analizy tychże systemów. Jest to o tyle istotne, że czasem czynniki, które służyły zniewoleniu, zostają przez podporządkowanych przejęte i wykorzystane w emancypacji. Przykładowo religia chrześcijańska była wobec rdzennych ludów obu Ameryk czynnikiem ujarzmiającym, czymś, czemu mieli się siłą podporządkowywać. Z czasem jednak ludzie ci przejęli ją jako własną i służyła ona ich upodmiotowieniu, dawała nadzieję, nierzadko ucłowieczała. Wystarczy wspomnieć znaczenie figury Matki Bożej z Guadalupe czy jej kult wśród mieszkańców stanu Chiapas.

Przykłady tego typu można mnożyć i warto je mnożyć. W XIX wieku w okolicach Sandomierza i na sporej części Świętokrzyskiego istniała wariacja zwyczaju dożynkowego, który nazywał się okrężne. W ostatni dzień zbiorów na polu, po wykonaniu pracy, chłopci i dziewczynki łapali karbowego i każdego urzędnika dworskiego, okładali ich ostami w sposób przypominający chłostanie, a następnie prowadzili do dworu. Był to jedyny moment, kiedy chłopci mogli legalnie w ten sposób postąpić z urzędnikami dworskimi. Przez cały rok chłostani byli oni i to bynajmniej nie ostem. Po wyłapaniu karbowych chłopci formowali pochód ze związanymi i udawali się z pieśnią do dworu. W dworze uczestników witał pan, wykupywał swoich urzędników „pojmanyh” przez chłopów i rozpoczynano zabawę ze śpiewami, wódką i weso-



łymi tańcami. Trudno powiedzieć, w jaki sposób ten zwyczaj powstał, ale rola pana dworu w nim jest dość znacząca. Wyrażnie nie tylko przyzwalał, lecz także zachęcał do jego praktykowania, chętnie fundując wódkę i poczęstunek. Kiedy spojrzemy na to, jak chłopcy występowali jawnie przeciw swemu panu, to zobaczymy, że robili to właśnie w taki sam sposób, którego uczyli się przy okazji corocznych zwyczajów. Łapali i bili urzędników dworskich, a następnie uzbrojoną po zęby bandą nachodzili dwór.

Bunt w starostwie libuskim

Okrężne jest jednym z wielu obecnych w historii zwyczajów karnawałowego odwrócenia ról. W każdym właściwie historycznie hierarchicznym systemie istniał w okresie karnawału zwyczaj „odwrócenia”. W zachodniej Europie w okresie karnawału parodiowano msze święte, przebierano świnie za księży, a najbiedniejszego żebraka wybierano na króla, która sprawował w tym czasie „niepodzielną” władzę. Wielu antropologów zastanawiało się nad znaczeniem tego typu praktyk. Z jednej strony dają one rodzaj upustu, możliwość „spuszczenia pary”, po to żeby przez cały rok utrzymać hierarchię na swoim miejscu. Tłum, kiedy się wyszaleje, wróci na swoje miejsce w porządku społecznym. Z drugiej strony takie zwyczaje dawały możliwość pomyślenia sobie o świecie skonstruowanym inaczej, na opak, bez panów, albo takim, kiedy to panowie są służącymi. Poza tym, jak widzieliśmy to przy okazji okrężnego, uczyły, jak się zachowywać, kiedy będzie się można wobec pana zbuntować.

Od czasów wojen chłopskich w Niemczech w latach 1524-1526 takie chłopskie oddziały, napadające zbrojnie na dwory, pałace i zamki, określa się jako Baltringen Haufen. Nazwa wzięła się od tego, że najbardziej sprawny chłopski oddział zorganizowano właśnie w miejscowości Baltringen. Oddziały takie odznaczały się mieszaniną dość swobodnego podejścia do taktyki wojσκowej i surową dyscypliną. Wyglądały trochę jak zbieranina naprędce skrzykniętych chłopów, uzbrojonych w co popadnie, ale potrafiły być bardzo skuteczne. O czym boleśnie przekonywano się od czasów słynnych husyckich cepów i wozów bojowych czy w trakcie insurekcji kościuszkowskiej. Oddziały takie opierały się oczywiście na sile liczby, sprawności chłopskiej. Jednym z najbardziej znamienitych przykładów takiej chłopskiej organizacji oddziałów był bunt w starostwie libuskim w latach 1755-1758. Chłopskie bunty tłumiono zwykle, wzywając do wsi wojsko i kwaterując żołnierzy w chłopskich chatach. Chłopi musieli w tym czasie utrzymywać żołnierzy. Technika ta nastawiona była na ekonomiczne złamanie krnąbrnych chłopów, których zapasy po prostu żołnierz wyjadał. W trakcie buntu w starostwie libuskim do wsi sprowadzono żołnierzy, ale chłopcy nie pozwolili im rozlokować się po domach. Kiedy tylko oddział pacyfikacyjny pojawił się we wsi, chłopcy natychmiast go otoczyli i nie wdając w potyczki, zmusili do stacjonowania we dworze i wyjadania zapasów dzierżawcy wsi Gordona, z którym chłopcy walczyli. Możliwe to było dzięki organizacji chłopów, którzy siłą liczby i determinacją potrafili utrzymać żołnierzy w ryzach.



Rys. Sławomir Makal

Potrafiliby nawet wyprowadzać taktyczne manewry wyprzedzające ruchy rywala i zmuszać żołnierzy do pójścia w tym kierunku, w którym chcieli. Niesamowita organizacja chłopów była możliwa, bo postępowanie w takich sytuacjach ćwiczyli wcześniej. Choć nie mamy na to bezpośrednich dowodów, z pewnością kopiowali po prostu zachowanie w znanych sobie zwyczajach grupowych, takich jak opisywane okrężne.

Co się dzieje w głowie niewolnika

Zwyczaj, które służą chłopom, i podporządkowanym w ogóle, do zbiorowego „praktykowania” polityki, znane są praktycznie we wszystkich społecznościach, w których rozwija się kultura podporządkowanych. W Europie Zachodniej taki zwyczaj nosił nazwę charivari, schivaare, chivaree, skimmington lub katzenjammer. Istota tych zwyczajów polegała na zbiorowych pochodach z towarzyszeniem głośnej, „kociej” muzyki. Czasem kocią muzykę wykonywano pod domem pana tak długo, że wymuszano na nim w ten sposób różne ustępstwa. A czasem zamiast zwykłego pochodu zwyczaj ten przekształcał się w zbrojne napady na domy panów. W XVII wieku, w trakcie niepokojów określanymi jako Lady Skimmington, buntujący przebrali się za kobiety, po to żeby uniknąć rozpoznania.

Nieprzypadkowo bunt podporządkowanych miały najczęściej formę zaczerpniętą ze zwyczajów. Po prostu nie było innych form wyrażania sprzeciwu, takie formy jak manifestacja, walka polityczna wykształciły się dopiero z czasem, a i to bardzo często po prostu w wyniku ewolucji pewnych zwyczajów. Istnieje duże prawdopodobieństwo, graniczące z pewnością, że manifestacje polityczne w takiej formie, jaką znamy dzisiaj, z pochodem, hasłami, wywoluowały z pochodów na Boże Ciało, ustanowionych w Europie w XIV wieku. Kiedy spojrzymy na zdjęcia robotniczych manifestacji z XIX wieku z Łodzi czy Warszawy, wyglądają one dosłownie jak pochody religijne, niesione są sztandary, śpiewane pieśni. Innym źródłem takiej formy manifestowania poglądów, szczególnie w Europie wschodniej, były pogrzeby. W czasach ostrej cenzury politycznej w carskiej Rosji wszelkie manifestacje polityczne były zakazane. Jedyną możliwością legalnego wyrażania poglądów były pogrzeby, stąd też pochody pogrzebowe i mowy nad trumną znanych działaczy, robotników czy robotnic stawały się okazją do politycznych manifestacji.

Opisywanie i badanie relacji władzy nigdy nie jest łatwe. Szczególnie kiedy nie do końca wiemy, co się dzieje wśród osób, wobec których ta władza jest stosowana. Jednym z niewielu, którzy zwrócili uwagę na pewien drobny szczegół w relacjach z władzą, był Hegel. W *Fenomenologii ducha* zawarł rozdział napisany pod wpływem rewolucji haitańskiej z 1804 r., kiedy to czarnoskórzy niewolnicy powstali przeciw władzy i proklamowali niezależną republikę. Zrobili to zainspirowani przesłaniem rewolucji francuskiej o powszechnej wolności i równości. Co ciekawe, do tłumienia rewolucji wysłano m.in. polskie oddziały, część żołnierzy jednak z różnych względów przyłączyła się do powstańców. Zbuntowani niewolnicy w 1805 roku proklamowali konstytucję, która zabraniała na wyspie osiedlać się białym, z wyjątkiem Polaków. Dokładnie: Polaków i Niemców, ale to już inna historia. Hegel był pod wielkim wrażeniem tej rewolucji, skłoniła go do zastanowienia się nad tym, co właściwie dzieje się w głowie „niewolnika”, kiedy ma styczność z panem. Interesowało go, jak on pana postrzega oraz jaki wywiera na niego wpływ. Hegel był jednym z pierwszych, którzy pokazali, że władza absolutna, jak w przypadku relacji pana i niewolnika, nie jest wyłącznie jednokierunkowa. Nie idzie od pana do niewolnika, także niewolnik wpływa i kształtuje relacje z panem.

Konsekwencje oporu podporządkowanych

Dobrze ilustrują to obserwacje Christiana Garve z podróży na Śląsk w 1780 roku. Pan był dla chłopów „kimś okropnym ze względu

na posiadaną władzę i zniechęconym z powodu świadczonych na jego rzecz opłat i wykonywanej pracy” (Alf Lüdke, *Władza jako praktyka społeczna*). Chłop wobec pana uchodzi za pokornego i oddanego, kiedy pan nie widzi, chłop będzie chciał zrobić wszystko przeciw jego woli i wbrew jego interesom. Taka sytuacja wywołuje w panach lęk, chęć odwetu, poza oczywiście realnymi stratami. Kiedy Hubert Vautrin podróżował po Rzeczypospolitej, pewnego razu zwrócił uwagę na głośne krzyki chłopów pracujących na placu budowy: „Sześciu wysokich włóścian okrzykami dodawało sobie animuszu przy podnoszeniu beczki o średnicy dwu i pół stopy. Zajrzałem do środka, ciekawy, co zawierała tak ciężkiego, aby stwierdzić, że jest pusta, sucha i bez dna. Kiedy chłopci pracują w większej gromadzie, słyszy się często krzyki zachęty” (Hubert Vautrin, *Obserwator w Polsce*). Przed wzrokiem pana chłopci zdawali się wykonywać ciężką i potrzebną pracę, kiedy jednak przyrzeć się bliżej tej sytuacji, okazuje się że, przymuszani do darmowej pracy na rzecz pana, robią wszystko, żeby się temu przeciwstawić. Takie udawanie przed panem pracy, posłuszeństwa, uległości, przesadne czapkowanie to nie tylko cecha polskiego chłopstwa. Robili tak i robią podporządkowani, zawsze kiedy tylko mogą.

Jeden z klasyków badań nad oporem podporządkowanych, amerykański antropolog James C. Scott, napisał, że dopiero od niedawna możemy buntować się w sposób jawny i nie ponosić za to konsekwencji. Jest to jednak możliwe tylko w kilku krajach. To, że strajk czy uliczna manifestacja są nie tylko możliwe, ale nawet chronione prawnie, jest zdobyczą niewielkiej części ludzkości ostatnich lat. Przez zdecydowanie większą część historii ludzie buntowali się w sposób ukryty, niejawni, anonimowi, w przebraniu, występując jawnie przeciw władzy wyłącznie w sytuacji skrajnej lub kiedy zewnętrzne okoliczności na to pozwalały. Wobec wyzysku, przemocy, pozbawienia praw ludzie stosują cały szereg środków, technik i strategii oporu. Taką strategią może być udawanie i pozorowanie pracy, do której wykonywania ktoś nas zmusza, ale może też być robienie jakiegoś panu w nocy pod domem hałasu tak, że nie może spać. Polscy chłopci w okresie pańszczyźnianym (XVI-XIX wiek) pośród jednej z wielu stosowali strategię strajku rolnego, która polegała na zbiorowej odmowie wykonywania pracy pańszczyźnianej na pańskim polu. Choć mówi się, że pierwszym strajkiem w dziejach był strajk niewolników budujących piramidy, to możemy być pewni, że strajk chłopów pańszczyźnianych stał się wzorcem do oporu dla robotników fabrycznych. Przynajmniej na ziemiach polskich. Zwłaszcza że ci robotnicy wywodzili się przecież ze wsi.

Konsekwencje oporu podporządkowanych bywają różne. Jawne i otwarte wystąpienie przeciwko panu mogło skończyć się krwawą pacyfikacją, ale bardzo często po takiej pacyfikacji pan dwa razy się zastanowił, kiedy próbował podnosić obciążenia ponad wymiar. I nie dotyczyło to wyłącznie polskiego chłopstwa. Uparty codzienny opór, polegający na sabotowaniu pracy, przynosił wymierne straty ekonomiczne i mógł doprowadzić folwark do bankructwa. Podobnie jak podkradanie w PRL-owskich fabrykach. Kiedy jeden robotnik ukradnie śrubkę, nic takiego się nie stanie, ale kiedy tysiąc robotników codziennie będzie wynosić z fabryki po jednej śrubce, fabryka zaczyna odczuwać bardzo realne straty. Problem polega jednak na tym, że ukryte formy oporu nie zawsze są w stanie podważyć system podporządkowania. Czasami jest tak, że służą podporządkowanym jako zastępcze wyładowanie negatywnych emocji, które w innych okolicznościach mogłoby przekształcić się w realną zmianę.

Artykuł jest prezentacją wyników badań zawartych w książce tegoż autora *Sila podporządkowanych*, Warszawa 2021, Wydawnictwa Uniwersytetu Warszawskiego.

Dr Michał Rauszer, antropolog i kulturoznawca, Wydział Pedagogiczny Uniwersytetu Warszawskiego

Anna Majewska

Dewastacja krajobrazu miejskiego

Czy powstanie sieć miast okalających Warszawę?

Jednym z najważniejszych wyników otrzymanych w trakcie badań było unaocznienie rozpraszania zabudowy miejskiej (w każdym mieście to wzrost do 300–500% względem stanu z 1939 r., często przy malejącej liczbie ludności). Wykazałam, że rozpraszanie terytorialne i nadmierne przekształcanie terenów rolnych w granicach miast generuje chaos przestrzenny.

Zmiany ustrojowe po 1989 roku nasiliły specyficzne problemy rozwojowe miast polskich, zwłaszcza zlokalizowanych w strefach wpływu dużych ośrodków. Zachodzące procesy można często określić jako spontaniczne (samorzutne), a ich konsekwencją jest chaotyczne zagospodarowanie, bez respektowania zasad ładu przestrzennego. Skutki wynikające z dynamizacji takiej progresji w wielu miastach „średnich” są już nie do naprawienia. Niestety mniejsze ośrodki podążają w swoim procesie rozwoju tą samą drogą, powielając podobne błędy. Rzeczelna diagnoza sytuacji przestrzennej małych miast w Polsce powinna pobudzić do refleksji oraz zapoczątkować dyskusję nad ich prawidłowym rozwojem, zwłaszcza w obliczu nowych wyzwań: zmian klimatycznych, zrównoważonego rozwoju i ochrony dziedzictwa kulturowego.

Ostatnio wydana dwutomowa monografia pt. *Przekształcenia małych miast w Polsce na przykładzie specyfiki miast mazowieckich w strefie podmiejskiej Warszawy oraz Przekształcenia małych miast w Polsce. Studium wybranych miast w strefie podmiejskiej Warszawy* (Oficyna Wydawnicza Politechniki Warszawskiej) ma charakter badawczo-poznawczy i opisuje przemiany przestrzenne małych miast, jakie zaszły w wyniku uwarunkowań zewnętrznych i wewnętrznych (historycznych, lokalizacyjnych, systemowych, geopolitycznych), zwłaszcza po transformacji ustrojowej. Inspiracją do wyboru takiej tematyki były dla mnie wieloletnie badania urbanizacji strefy podmiejskiej Warszawy, a także osobiste obserwacje i refleksje. Przedstawiona w monografii analiza ewolucyjnych zmian cech przestrzenno-społecznych małych miast została przeprowadzona w ujęciu retrospektywnym, począwszy od średniowiecznych procesów lokacyjnych, poprzez przełomowy rok zakończenia II wojny Światowej i zmiany ustroju w 1945 roku, aż do czasów współczesnych. Zebrany materiał badawczy przedstawiłam w dwóch tomach, z których pierwszy zawiera wielokryterialną analizę porównawczą kolejnych przekształceń struktury prze-

strzennej miast, jako typowych dla małych ośrodków położonych w strefach monocentrycznej aglomeracji. Podjęłam też próbę stworzenia teoretycznego modelu rozwoju małego miasta, opierając się na modelach zagranicznych. Określiłam również narzędzia i możliwe działania naprawcze, korzystne dla przyszłego rozwoju małych miast, uwzględniając zasady zrównoważonego rozwoju. Tom drugi reprezentuje zebrany materiał badawczy na przykładzie wybranych miast.

Policentryczny układ ośrodków miejskich

Jako studium przypadku wybrałam miasta położone w aglomeracji warszawskiej, jednego z najsilniej rozwijających się obszarów w Polsce. Aglomeracja ta jest przykładem układu monocentrycznego, w którym najważniejszym ośrodkiem była i jest Warszawa, a miasta położone w strefie jej wpływu już od połowy XIX wieku ulegały często marginalizacji. Przyjęty obszar badawczy zdefiniowałam w zewnętrznych granicach tzw. obszaru metropolitalnego Warszawy (według delimitacji Mazowieckiego Biura Planowania Regionalnego z 2010 roku). Na tym obszarze znajduje się obecnie poza Warszawą 35 miast, w tym 14 „średnich” i 21 „małych” (do 20 tys. mieszkańców). Miasta te powinny tworzyć policentryczny układ silnych ośrodków miejskich aglomeracji, więc należy dążyć do wyrównania ich liczby ludności i zadbać o dobrą infrastrukturę usługową oraz miejsca pracy dla mieszkańców. Najbardziej odbiegające od preferowanego modelu są obecnie małe ośrodki, będące w fazie stagnacji. Dlatego też to one zostały wybrane do badań, gdyż przy właściwej polityce miejskiej mogłyby oferować potencjalnym mieszkańcom dobre warunki zamieszkania według nowych trendów soft i dumb, city, city of well-being. Ważną cechą małych ośrodków jest też to, że w ich granicach administracyjnych znajduje się jeszcze wiele niezagospodarowanych terenów polrolnych (w przeciwieństwie do miast średnich o podobnej powierzchni, ale już w większości zurbanizowanych), które mogą stworzyć

podstawę do ich przyszłego rozwoju ludnościowego. Diagnozę stanu zagospodarowania potencjalnych ośrodków rozwojowych oparłam na badaniach szczegółowych wybranych miast według określonych kryteriów, jak: zbliżona liczba ludności (w przedziale do 20 tys. mieszkańców); uzyskanie praw miejskich przed 1939 rokiem (gdyż miasta takie mają zachowany historyczny układ przestrzenny z rynkiem, jako główną przestrzeń publiczną, w przeciwieństwie do pozostałych małych miast, których struktura składa się z „posklejanych” terenów, parcelowanych w różnych okresach); pełnienie roli ośrodka podstawowego (gminnego) ośrodka administracyjnego (kryterium to przyjął w celu uzyskania porównywalnych parametrów do analizy, gdyż miasta o wyższej funkcji administracyjnej podlegają silniejszej presji urbanizacyjnej, są lepiej skomunikowane i mają bogatszą ofertę usług dla mieszkańców, co wyróżnia je od pozostałych małych ośrodków).

Z 21 małych miast zlokalizowanych w aglomeracji warszawskiej wybrałam osiem spełniających zadane kryteria. Są to: Błonie, Góra Kalwaria, Karczew, Mszczonów, Radzymiń, Serock, Tarczyn i Zakroczym. Miasta te, choć dziś często zmarginalizowane, stanowią świadectwo historycznego rozwoju regionu podwarszawskiego. Ich wartości kulturowe to cenny wkład w ochronę dziedzictwa narodowego.

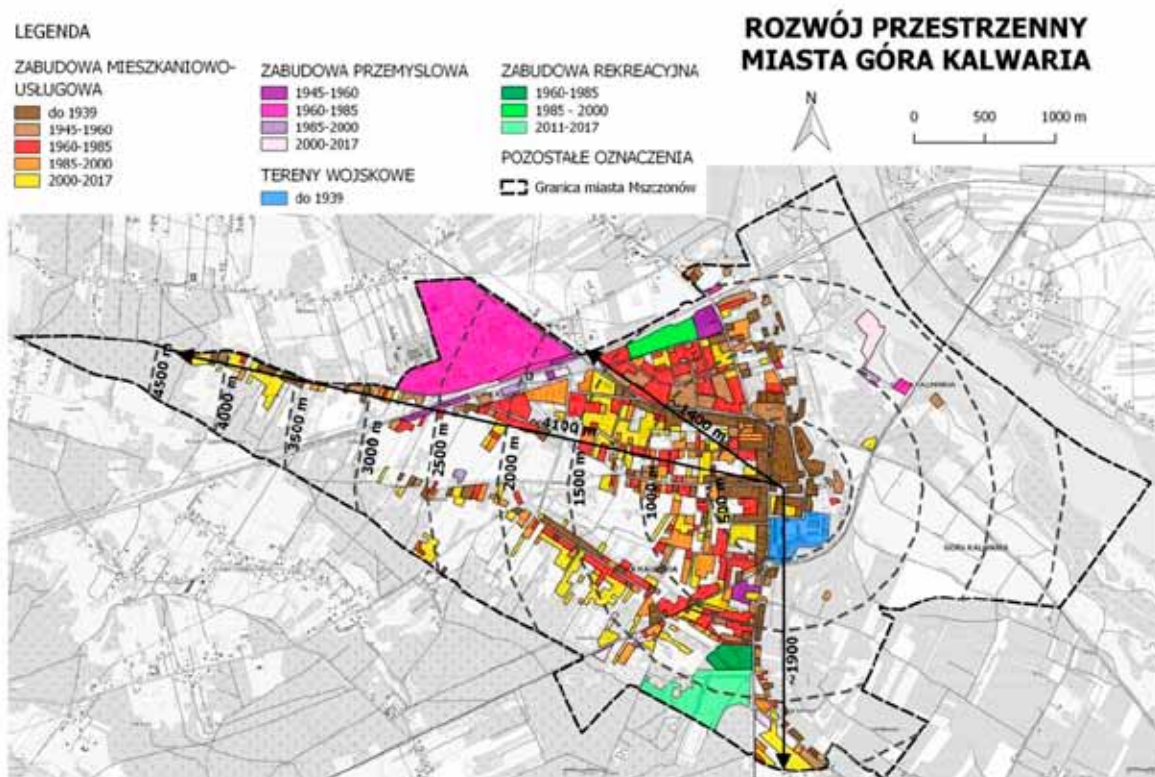
Pięć etapów, pięć tematów

Procesy rozwojowe, jakim podlegały te miasta, przeanalizowałam na podstawie badań w pięciu etapach ich rozwoju (co około 15 lat, według dostępnych opracowań kartograficznych): do 1939 roku i w kolejnych latach: 1945–1960, 1960–1985, 1985–2000 oraz 2000–2017. Badając ewolucję zagospodarowania wybranych miejscowości, skupiłam się na pięciu tematach: Etapy rozwoju przestrzennego miasta (w tym przyrosty terenów budowlanych i zmiany układu przestrzennego w kolejnych etapach rozwoju); Struktura demograficzna i rynku pracy; Struk-

tura funkcjonalna (rozміщення usług i miejsc pracy, rola centrum, przestrzeń publiczną); Krajobraz miejski (fizjonomia zabudowy i terenów zielonych); Morfologia tkanki miejskiej (w tym parametrów działek, układów ulic, typów i form zabudowy).

Do przeprowadzenia badań wykorzystałam różne metody i techniki, ponieważ złożoność opisywanej problematyki wymagała holistycznego ujęcia tematu. Ważniejsze metody to: analiza zmian struktury demograficznej w poszczególnych miastach na podstawie archiwalnych roczników statystycznych oraz serwisów internetowych GUS, analiza i interpretacja archiwalnych opracowań kartograficznych i zdjęć lotniczych od 1939 roku, na podstawie których wykonałam rejestrację zmian układu przestrzennego w poszczególnych okresach oraz obliczenia przyrostów terenów zurbanizowanych od 1939 roku, wykorzystując oprogramowania ArcGIS ESRI oraz AutoCad. Wykonałam też analizę jakości życia mieszkańców w badanych miastach na podstawie wielofunkcyjności zagospodarowania, analizę mobilności miejskiej, dostępności usług i terenów zieleni.

Porównanie struktur przestrzennych poszczególnych miast i występujących zjawisk w okresie czasoprzestrzennym pozwoliło na wyselekcjonowanie ich charakterystycznych, analogicznych procesów rozwojowych. Miasta w strefie podmiejskiej Warszawy dobrze oddają specyfikę małego miasta w strefie wpływów większego ośrodka. Diagnoza stanu istniejącego zagospodarowania tych miast wskazuje na wiele problemów, z jakimi muszą zmierzyć się władze i mieszkańcy. Wśród nich najważniejsze to: przekształcenia struktury demograficznej i społecznej, rozpraszanie zabudowy miasta, zmiany zagęszczenia ludności, przeobrażenia struktury funkcjonalnej (pod względem rozpraszania funkcji i zmian funkcji dominujących), negatywne przekształcenia historycznego centrum oraz morfologii układu przestrzennego oraz brak dostępności transportu zrównoważonego.



Rys. Góra Kalwaria – przykładowe etapy rozwoju miasta, ukazujące chaotyczność zagospodarowania i rozpraszanie zabudowy. Opracowanie własne.



Rys. Góra Kalwaria – przykładowe zmiany fizjonomii miasta. Fot. A. Majewska

Przedstawione procesy rozwojowe skonfrontowałam z obowiązującymi dla danych miast opracowaniami planistycznymi oraz uwarunkowaniami przestrzennymi, które determinowały ich rozwój.

Rozpraszenie zabudowy

Jednym z najważniejszych wyników otrzymanych w trakcie przeprowadzonych badań było unaocznienie rozpraszania zabudowy miejskiej (w każdym mieście to wzrost do 300-500% względem stanu z 1939 r, często przy malejącej liczbie ludności). Wykazałam, że rozpraszenie terytorialne i nadmierne przekształcanie terenów rolnych w granicach miast generuje chaos przestrzenny. Pola „porolne” tworzą „pustki miejskie”, na których nic się nie dzieje. Brak dojazdów i ogrodzenia wydzielające poszczególne działki sprawiają, że są to obszary niedostępne dla funkcji rekreacyjnych (turystyka codzienna), a produkcja rolna już dawno tu nie istnieje. Umożliwienie lokalizacji budynków mieszkalnych nawet poza „kra-

wędziami miasta” (jak drogi szybkiego ruchu) i powstawanie ich skupisk w znacznym rozproszeniu (poza strefą podstawowych usług) wzmacnia ruch samochodowy, a w tym problemy zanieczyszczenia środowiska. W każdym mieście można zaobserwować trudności w parkowaniu samochodów (zwłaszcza w centrum) i nadmierny rozrost powierzchni parkingowych. Znacznie zwiększają się koszty infrastruktury technicznej. W wyniku procesów rozpraszania zabudowy następuje zmniejszenie zagęszczenia i intensywności zabudowy w skali miasta, co również wpływa na wzrost niezamierzonych (ukrytych) kosztów rozwojowych. Wykazałam też, jak znacznym przekształceniom podlega morfologia miasta, w tym układ ulic, działek i typy zabudowy. Struktura ulic, która jeszcze do lat osiemdziesiątych XX wieku tworzyła spójną „siatkę”, staje się coraz bardziej chaotyczna. Ostatnie trzydzieści lat to okres powstawania patologicznych układów (szereg „grzebieniowych” ulic niełączących się ze sobą), opartych na dawnych podziałach rolnych.

Fizjonomia zabudowy wszystkich miast upodobniła się i trudno stwierdzić, że została oparta na zasadach ładu przestrzennego. Zanikają relikty dawnej zabudowy przedwojennej (zwłaszcza drewnianej), a powstająca od czasów PRL zabudowa wielorodzinną kubaturą i wyglądem nie pasuje do lokalnego krajobrazu. We wszystkich miastach preferowanym typem zabudowy jest dom jednorodzinny – wolnostojący, na własnej wydzielonej (ogrodzonej) działce. Narzędzie planistyczne

w postaci studium uwarunkowań i kierunków zagospodarowania przestrzennego nie podejmuje walki z rozpraszaniem zabudowy, dopuszczając jej lokalizację w każdym zakątku miasta (wyłączając tylko obszary o wartościach przyrodniczych). Również w planach miejscowych miast brakuje zapisów dotyczących konieczności uzyskania większej zwartości zabudowy (w większości planów na terenach zabudowy jednorodzinnej nakazana jest budowa domu wolnostojącego, ewentualnie bliźniaczego). Dlatego też jedynie w kilku przypadkach wybudowano w miastach zespoły zabudowy szeregowej, ale nie tworzą one „skomponowanych osiedli”, a są tylko pojedynczymi szeregami domów usytuowanych na zasadzie tzw. urbanistyki łańcowej. Istniejące domy jednorodzinne w miastach reprezentują tak różne style i gabaryty (różne kąty nachylenia dachów, liczba kondygnacji, wysokość, kolorystyka), że zjawisko to budzi wątpliwości, co do skuteczności takich narzędzi jak plan miejscowy i precyzyjnego wytycznych.

Niedostatek przestrzeni publicznych

W różnym stopniu można zaobserwować zmniejszenie roli historycznego centrum z rynkiem. Głównymi powodami tej sytuacji są: nieuregulowane problemy własnościowe, brak funduszy wsparcia dla właścicieli domów (zwłaszcza zabytkowych), brak kontroli nad lokalizacją usług w parterach, budowa hipermarketów (zwłaszcza na obrzeżach) i peryferyjna budowa placówek administracyjnych, historycznie związanych z centrum (np. ratusz), na dowolnych, rozproszonych działkach w mieście, gdzie wybór lokalizacji uwarunkowany jest własnością terenu, a nie powiązaniem funkcjonalnymi. Część rynków została „zrewaloryzowana” z wykorzystaniem funduszy UE (programy rewitalizacyjne na lata 2005-13), ale w żadnym mieście nie podjęto decyzji o wyprowadzeniu ruchu samochodowego z obrębu rynku i działań wspomagających aktywizację placówek usługowych.

Ogromnym problemem małych miast są przekształcenia struktury społecznej. Brak zadowalających miejsc pracy sprawia, że miasta „starzeją się”, a współczynnik aktywności zawodowej jest niski (średnio pracuje ok. 50% ludności w wieku produkcyjnym, a w latach osiemdziesiątych XX w. było to ok. 80%). Poprzez znaczne migracje mieszkańców osłabieniu ulegają też więzi społeczne, co uwidocznione jest m.in. w wygradzeniu przestrzeni prywatnych przy niedostatku przestrzeni publicznych. Pomimo obowiązku opracowania gminnego programu rewitalizacji zbadalam, że dawne układy urbanistyczne nie są chronione. Tendencją jest ich defragmentaryzacja i zniekształcenia w wyniku zmian komunikacyjnych (budowa rond, poszerzenia ulic). Niedostateczna jest też piesza dostępność miasta, bardzo źle działa komunikacja zbiorowa. Wyłaniający się z przeprowadzonych analiz wizerunek badanych miasteczek nie jest korzystny, co wymaga podjęcia szybkich działań interwencyjnych oraz zmian ich perspektywicznej polityki przestrzennej.

Awans cywilizacyjno-materialny polskich miast po transformacji

ustrojowej nie przełożył się niestety na ich spójny i harmonijny wizerunek, a brak zrozumienia kulturowego charakteru przestrzeni, w powiązaniu z niespójnym systemem prawnym w zakresie planistyki, skutkuje coraz większą dewastacją krajobrazu miejskiego. Przesłaniem dla strefy podmiejskiej wydaje się być stworzenie policentrycznej sieci miast małych i średnich, okalających Warszawę i dobrze z nią skomunikowanych. Monografia formułuje wnioski o charakterze uniwersalnym dla wszystkich miast w Polsce, zwłaszcza małych i średnich, pomocne w opracowaniach planistycznych i strategiach perspektywicznych.

Dr inż. arch. Anna Majewska, Wydział Geodezji i Kartografii, Politechnika Warszawska



Rys. Góra Kalwaria – przykładowe zmiany fizjonomii miasta. Fot. A. Majewska

Aleksandra Chmieleńska, Monika Modrzejewska-Świgulska

W poszukiwaniu swojego głosu

Ideą przewodnią książki *W stronę samorealizacji. Re-decyzje życiowe kobiet* jest założenie, że jedną z dróg prowadzących do samorealizacji kobiety jest wprowadzenie zmian redefiniujących jej dotychczasowe życie.

„Czy żyję w sposób, który głęboko mnie zadowala i który prawdziwie mnie wyraża?”

Carl Rogers

„W »przejęcie kontroli nad własnym życiem« wpisane jest ryzyko związane z otwarciem się całego mnóstwa różnorodnych możliwości”.

Anthony Giddens

Przeprowadziłyśmy badania biograficzne wśród kobiet, które zadeklarowały dokonanie istotnych zmian życiowych. Kobiety opowiadały nam o świadomie wybranych kierunkach życia i swoich pragnieniach o tym, aby wieść „nowe” życie w stosunku do ich dotychczasowego wzoru działania, odmienne od przekazów rodzinnych, doświadczeń kobiet z ich „rodu” czy pokolenia. Nasze analizy doprowadziły nas do opracowania **modelu re-decyzji**, w którym pokazujemy, jak przebiega proces zmiany sposobu samorealizacji kobiety, a także **trzech porządków biograficznych**, są one próbą uogólnienia procesów biograficznych doświadczanych w kontekście zmian życiowych.

Poszukiwanie własnej autentyczności, czyli cykl zmiany sposobu samorealizacji

W modelu re-decyzji życiowych opisujemy, jak przebiega cykl zmiany sposobu samorealizacji kobiety. Cykl ten obejmuje cztery etapy rozwojowe i tym samym cztery typy re-decyzji życiowych. Model składa się z przecięcia dwóch wymiarów, po których kobiety najczęściej poruszały się w swoich autonarracjach.

Pierwszy wymiar określamy jako rozwój wielokierunkowy „wszerz” vs rozwój jednokierunkowy „w głąb”. Obrazuje on indywidualne preferencje i dążenia związane z zapotrzebowaniem kobiety na rodzaj i ilość stymulacji/doświadczeń w zakresie rozwoju osobistego i zawodowego. Pokazuje dwa przeciwstawne sposoby ujawniania i realizowania własnego potencjału.

Drugi wymiar został przez nas nazwany: (nie)swoim głosem vs swoim głosem. Kategorią kluczową jest w nim pojęcie „głosu”, czyli tego, co i kogo kobiety mają na myśli, opowiadając o kluczowych decyzjach w swoim życiu. Dwa wyróżnione bieguny, (nie)swoim głosem i swoim głosem, pozwalają na zestawienie

z jednej strony głosu, który został społecznie skonstruowany na podstawie tego, co mówią Inni, a z drugiej – głosu, który kobieta słyszy jako swój własny. Konsekwencją tej wielogłosowości są dwa różne konteksty dla rozwoju kobiety.

Przecięcie dwóch opisanych wymiarów daje cztery etapy doświadczania siebie w procesie samorealizacji wraz z przypisaniem typu re-decyzji charakterystycznego dla każdego z tych okresów:

Pierwszy etap cyklu zmiany sposobu samorealizacji przejawia się w **re-decyzjach równoległych**. Wydają się one najmniej nasycone autonomią spośród wszystkich czterech wyróżnionych odmian re-decyzji, ale stanowią odkrywczy etap w rozwoju osobistym. Na tym etapie zmiana samorealizacji dokonywana jest w granicach bezpieczeństwa, tzn. obok tego, co osoba ma uwewnętrznione, do czego czuje się przyzwyczajona i zobowiązana („bo tak się robi”; „bo tak mnie wychowano”; „bo taka jest rola kobiety w mojej rodzinie” – cytaty pochodzą z wypowiedzi kobiet). Oznacza to, że kobiety równoległe, obok własnej ścieżki rozwojowej i aktualnego stylu życia, zaczynają realizować się w czymś, co pozwala im spełniać własne pragnienia i doświadczać siebie w poczuciu większej deklarowanej autentyczności. Pomimo zmiany siebie, którą kobieta zaczyna odczuwać, nadal w dużym stopniu stosuje się do rodzinnych/społeczno-kulturowych zasad, zakazów i powinności. Może o tym świadczyć np. trzymanie w tajemnicy, ze strachu przed oceną rodziców, faktu rozpoczęcia nowych studiów. Zmiana samorealizacji w tym przypadku polega więc nie tyle na dawaniu sobie przyzwolenia na inny sposób bycia i swobodną ekspresję w nim, lecz bardziej na częściowym odebraniu siły głosom osób ważnych dla tożsamości osobistej i społecznej. Głosy te nadal są ważne w podejmowaniu decyzji życiowych, ale nie na tyle, żeby nie podejmować próby realizowania siebie w zupełnie inny sposób niż dotychczas.

Drugi etap w procesie samorealizacji to etap przemian na zasadzie **re-decyzji rozproszonych**. Rozpoczyna się w nim proces poszukiwania wewnętrznego głosu i kierowania się nim w podejmowaniu decyzji. Można go określić jako fazę orientacyjną, w której kobieta zaczyna uświadamiać sobie własne

pragnienia, na początku bardzo różne, trudne do pogodzenia. Jest to czas, kiedy kobieta daje sobie przestrzeń na eksperymentowanie – z dużą otwartością na nowe i z towarzyszącym poczuciem, że chciałaby dosłownie wszystkiego i jednocześnie trudno jej z czegokolwiek zrezygnować – a co więcej, kiedy najlepiej z niczym nie wiązać się na stałe. Tym decyzjom o zmianie sposobu samorealizacji towarzyszy lęk przed dokonaniem niewłaściwego wyboru. Dlatego często na tym etapie kobieta pozostawia sobie otwarty dostęp do wielu opcji pracy i związanych z nimi różnych stylów życia. Podejmuje wiele aktywności, ale bez pełnego zaangażowania i przekonania, że to jest właśnie to, co chciałaby robić w przyszłości. Zachęcające na tym etapie cyklu samorealizacji jest rosnące poczucie siły w stopniowym odkrywaniu swoich możliwości. W tym procesie na pierwszy plan narracji wysuwa się odwaga do bycia blisko siebie, eksperymentowania i wyprawienia się w świat, bo ten budowany na dotychczasowych zasadach staje się niewygodny i ograniczający. Re-decyzja rozproszona jest bardziej nasycona autonomią niż równoległa, ponieważ kobieta dostrzega wiele potencjalnych możliwości dla siebie oraz podejmuje próby, aby dowiedzieć się, gdzie czuje się najbardziej sobą i gdzie jest jej miejsce, z jednoczesną wolnością od zobowiązania się do czegoś lub podporządkowania się komuś.

Trzeci etap samorealizacji opiera się na **re-decyzjach skoncentrowanych**. Obrazuje on taką przemianę w życiu kobiety, w której pozwala ona sobie na wyjście ze starego porządku życia i wejście w zupełnie nowy obszar doświadczania siebie. Oznacza to, że jest w stanie podjąć ryzyko radykalnej przemiany, koncentruje się na jednym wyborze, podejmuje decyzję i podtrzymuje ją z pełnym zaangażowaniem, co było trudne na etapie re-decyzji rozproszonych. Co więcej, kobieta nadaje nowym sprawom ważność i priorytet, a z innymi świadomie się żegna. Jak wynika z analizowanych biografii, najczęściej są to re-decyzje polegające na przejściu z pracy w systemie korporacyjnym do innej aktywności zawodowej (w naszych badaniach np. stanie się podróżniczką utrzymującą się z pisanie czy właścicielką dużej agroturystyki). Osoba na tym etapie już wie, jak chce żyć, a czego nie chce w swoim życiu. Uznaje swoje zasoby i ograniczenia, następnie na ich podstawie dokonuje zmiany najlepszej dla siebie w danym kontekście życia. Na tym etapie cyklu kobiecie towarzyszy większy spokój i chociaż podejmuje decyzje o bardzo ryzykownym charakterze, robi to w zaufaniu do siebie. Wydostaje się z rozproszenia charakterystycznego dla poprzedniego etapu, jest bardziej wolna od obaw i wątpliwości. Zmiany te, naszym zdaniem, mają charakter transgresji psychologicznej w ujęciu Józefa Kozielskiego, ponieważ polegają na wyjściu poza to, kim jestem i co posiadam. Osoba doświadcza tej transgresji wówczas, gdy podejmuje działania poznawcze i praktyczne, w których przekracza granice swoich dotychczasowych osiągnięć, wychodzi poza przestrzeń, w której toczyło się jej życie. Aktywności te zaspokajają jej potrzeby i pragnienia, rozwijają nowe zdolności i umiejętności twórcze, sprzyjają otwarciu się na własne doświadczenia. Dodają też odwagi, rodzą się w poczuciu wolności od tego, co myślą i mówią inni. Na tym etapie kobieta zdaje sobie sprawę, że: „to wcale nie było takie trudne, niepotrzebnie tyle czekałam”. Czas rozproszenia, wbrew pozorom, był jednak konieczny do ugruntowania się we własnych decyzjach. Kosztem życiowym na tym etapie samorealizacji jest nagła utrata „dobrobytu” w rozumieniu odejścia z dobrze płatnej pracy czy utraty wsparcia osób, na których można było do tej pory polegać. W tych narracjach pojawia się także wątek samotności w doświadczaniu nowej siebie. Re-decyzje skoncentrowane, ze względu na swą przełomowość w życiu, w sposób jednoznaczny weryfikują najbliższe otoczenie rodzinne i społeczne kobiety, w postaci

„rozejścia” dotychczas budowanych i długotrwałych relacji (rozstania z partnerem życiowym, wyjścia z danego środowiska zawodowego, przerwania relacji rodzinnych). Najczęściej dzieje się tak, ponieważ jedna lub druga osoba w relacji przestaje widzieć przestrzeń dla siebie w układzie zbudowanym na nowych zasadach. W wielu przypadkach, jak okazało się po kilku latach naszych badań, poczucie osamotnienia nie towarzyszyło kobietom długo. Wcześniej czy później spotykały się z ludźmi w takich relacjach – osobistych i zawodowych – w których mogły realizować swój autorski projekt życia w poczuciu autentyczności i współpracy.

Czwarty etap samorealizacji to czas **re-decyzji komplementarnych**. Na tym etapie rozwoju osobistego doświadczaną przez kobiety zmianą jest integracja wewnętrzna na dwóch poziomach: ja w relacji do nowej aktywności (pracy, stylu życia) oraz ja w relacji do innych po dokonanej przemianie. Ważny jest tu okres przejściowy, który pozwala dojść do tego etapu wewnętrznej zgody pomiędzy tym, co we mnie, a tym, co na zewnątrz. W opowieściach wszystkich narratorek wspólnym doświadczeniem było przejściowe oddalenie się od najbliższego środowiska życia. U jednych kobiet przejawiało się ono w postaci dystansu emocjonalnego – przejściowego wycofania się i ochłodzenia relacji z najbliższą rodziną/przyjaciółmi czy okresowego zerwania relacji w środowisku zawodowym. U innych ta potrzeba dystansu przyjmowała postać geograficznego oddalenia się poprzez:

- zmianę kręgu kulturowego i podróz (np. wyjazd z rodzinnej wsi/miasta; studia jako ucieczkę z miejsca zamieszkania; wyjazd z Polski w okresie PRL do Wiednia; wyjazdy poza kontekst Europy, np. do Stanów Zjednoczonych czy Australii);
- przeniesienie się do środowiska zawodowego o innych wartościach (zmiana typu organizacji lub zupełna zmiana środowiska pracy, np. od pracy w korporacji na wysokim stanowisku do nauki jogi w Indiach, a następnie podjęcia pracy jako nauczycielka w szkole jogi).

Okres różnicowania się na tle swojego otoczenia poprzez przekroczenie granic fizycznych lub/i symbolicznych dla większości badanych kobiet jest elementem koniecznym na drodze do dokonania re-decyzji życiowej – ponownego rozpoznania siebie, własnych pragnień oraz sposobów ich realizacji. „Przejście na drugą stronę” w re-decyzjach komplementarnych służy poznaniu siebie w zupełnie innych warunkach życia, przeciwstawnych do tych, które kobieta zna ze swojej rodziny, grupy rówieśniczej, grupy społecznej czy kręgu kulturowego, w którym żyła do tej pory.

Sens komplementarności polega w istocie na oswojeniu innego siebie, co byłoby niemożliwe w tych samych warunkach życia. Nie ma końca samorealizacji, gdyż autonomię i poczucie autentyczności naszym zdaniem buduje się cały czas od początku – na różnych etapach życia, w różnych rolach i relacjach doświadczamy siebie inaczej. Dobrym przykładem ciągłości zmiany w nas zachodzącej jest przeczytanie swojego dziennika z przemyśleniami sprzed kilku lat, starych wiadomości na skrzynce mailowej czy smsów ze starego telefonu. Pomimo nieswoistego doświadczenia innej siebie sprzed lat, intuicyjnie kontaktujemy się z tą samą osobą, widzimy przejawy czegoś, co aktualnie doświadczamy. Jednym z czynników ułatwiających zmianę, oprócz autonomii własnej, jest otoczenie dające przyzwolenie na zmianę.

„Rozwijanie skrzydeł”, „milowe koki”, „deus ex machina”, czyli kontynuować, zrywać, skakać na głębką wodę

Zróżnicowany i wielowarstwowy materiał empiryczny pozwolił wyróżnić trzy porządki biograficzne, które traktujemy roz-

wojowo, pojawiają się bowiem w różnych okresach i okolicznościach życia. Są dynamizowane przez czas biograficzny, aktywność narratorek, procesy decyzyjne (re-decyzje w naszym ujęciu) oraz czynniki zewnętrzne (zdarzenia losowe, konteksty społeczno-historyczne, konteksty zbiorowe). Do uchwycenia tego, co jest najbardziej charakterystyczne dla danego porządku, przydatna okazała się metafora. Możemy więc mówić o następujących porządkach biograficznych:

Życie postrzegane jako „rozwijanie skrzydeł”. Wyróżniony porządek obrazuje działania podejmowane na rzecz realizowania planów życiowych mających na celu zmianę swojego usytuowania w przestrzeni społeczno-geograficznej. W historii życia miało to miejsce, gdy narratorki sukcesywnie podejmowały się – na rzecz wybranej linii rozwojowej (cele, plany, projekty życiowe, marzenia) – np. takich działań, jak: edukacja, przekwalifikowanie się, rozwijanie zainteresowań, realizowanie marzeń. Zmiany w życiu rozmówczyń dokonują się więc na zasadzie kontynuacji – ewolucyjnie. W tych opowieściach wyróżniamy proces „zadomawiania się”, który w jednych narracjach przyjmuje formę całożyciowego procesu (etapów), w innych z kolei ma charakter cykliczny (powracających sposobów działania w nowych kontekstach). Ten porządek biograficzny opowiedany jest z perspektywy „odmieńca”, czyli w kontrze do zastanego świata – ja vs inni, ja vs znany świat. Narracje kobiet łączy chronologiczna struktura czasowa, a główną kategorią porządkującą doświadczenia biograficzne jest ciągłość.

Życie postrzegane jako „milowe kroki”. Drugi zaproponowany porządek obrazuje życie złożone z różnych odrębnych od siebie okresów i okresu „przejścia”, który prowadzi do wieloaspektowych zmian życiowych. W historii życia ma to miejsce, gdy narratorki realizują już zupełnie nowe aktywności rozwojowe. Kolejne okresy życia doświadczane są na zasadzie nieciągłości pod względem preferowanych wartości oraz realizowanych celów i zadań życiowych. Zmiany życiowe dokonują się na zasadzie zerwania i konstruowania zupełnie nowego projektu życiowego. Narracje kobiet łączy formuła opowiadania historii życia na zasadzie zamkniętych rozdziałów, a główną kategorią porządkującą doświadczenia biograficzne jest spełnienie.

Życie postrzegane jako „deus ex machina”. Zmiany życiowe mają tutaj charakter gwałtownie rozwiązanej „akcji życia” i rozpoczętej nowej drogi życia. Główną kategorią porządkującą doświadczenia biograficzne jest nieprzewidywalność. Decyzje życiowe zaskakują kobiety i ich najbliższe otoczenie. Istotną rolę odgrywa tutaj podróż. Stawiamy hipotezę: zmiany „deus ex machina” wpisują się w biografie kobiet-podróżniczek. Nagła zmiana wymaga bowiem narzędzia, które wybija daleko poza uniwersum dotychczasowego życia, może nim być właśnie podróż.

Nasze rozmówczynie odkrywają możliwość samorealizacji i nieprzypisywania się do jednego miejsca, grupy pochodzenia, zawodu czy roli społecznej. To zmiany i przesunięcia wzbogacają ich doświadczenia i pomagają im refleksyjnie konstruować pozytywny obraz siebie. Kobiety, dokonując re-decyzji, bez wątpienia przemieszczają się w sensie geograficznym (podróżują, emigrują, przeprowadzają się), mentalnym (uczą się słuchać swojego autentycznego głosu w dialogu z głosami rodzinnymi i społeczno-kulturowymi), zawodowym (eksperymentują z nowymi kompetencjami, zadaniami i są mobilne na rynku pracy), relacyjnym (odchodzą od tradycyjnie pojętych ról: żony, matki, partnerki) i społecznym (przekraczają oczekiwania i „obowiązki” względem różnych grup społecznych). Bardzo często – podróż (samotna, daleka, poza utartymi szlakami), szeroko pojęta aktywność twórcza oraz praca z ciałem – w narracjach wprowadzają ruch i dynamizują procesy re-decyzji. Zakładamy, że re-decyzje mają pozytywny charakter i nie stanowią formy „ucieczki” od sytuacji trudnych przez podejmowanie kolejnych wyzwań, projektów.

Artykuł jest prezentacją książki Wydawnictwa Uniwersytetu Łódzkiego
W stronę samorealizacji. Re-decyzje życiowe kobiet.

Dr Aleksandra Chmielińska, psycholog i pedagog, trener grupowy, konsultant ds. rozwoju, adiunkt na Wydziale Nauk o Wychowaniu Uniwersytetu Łódzkiego
Dr Monika Modrzejewska-Świągulska, pedagog, trener grupowy, adiunkt na Wydziale Nauk o Wychowaniu Uniwersytetu Łódzkiego

Fot. Stefan Ciechan



Felix Klein i Polacy

Uniwersytet w Getyndze, mekka matematyków

Zostanie uczestnikiem seminarium Kleina nie było proste. Nie wszystkim udało się ta sztuka. Jednak łatwiej przyszło to dwóm Polkom – Helena Bortkiewicz i Aleksandra Stebnicka zostały w 1896 roku bez trudu słuchaczkami seminarium Kleina.

Urodzony w 1849 roku w Düsseldorfie Felix Klein to współtwórca ośrodka badań matematyczno-fizycznych w Getyndze. Jego uczniowie mówili o nim, że jest jak Zeus wszechmogący, inni nazywali go papieżem niemieckiej matematyki. Naśladowali go nie tylko jako uczonego, ale także jako człowieka. Przejęli jego słabości i tak jak on zaczęli palić cygara.

Butelka Kleina

Kim był ten uczonec? Pochodził z dobrze sytuowanej pruskiej rodziny o żydowskich korzeniach. Ukończył katolickie gimnazjum humanistyczne w rodzinnym mieście. Nie przeszkodziło mu to jednak w osiągnięciu wybitnych wyników matematycznych. Kształcił się na uniwersytetach w Bonn, Getyndze i Berlinie. Kiedy zostawał doktorem – w Bonn u Rudolfa Lipschitza – nie miał jeszcze dwudziestu lat. Wiedzę zdobytą w Niemczech uzupełniał na Uniwersytecie Paryskim. Poznał tam nowinki matematyczne, w tym teorię Galois. W tamtejszych studiach przeszkodziła mu wojna francusko-pruska. Do rodzinnych Niemiec musiał wracać pieszo. Nie zniechęciło go to do utrzymywania i rozwijania międzynarodowych kontaktów. Dobrze znał języki obce, był zafascynowany kulturą anglosaską. Pierwszą katedrę objął w Erlangen. Z tej okazji wygłosił wykład *Vergleichende Betrachtungen über neuere geometrische Forschungen*, w którym – jako zaledwie dwudziestotrzyletni młodzieniec – ogłosił program badawczy przez blisko pięćdziesiąt kolejnych lat konsekwentnie realizowany w kilku niemieckich ośrodkach.

Szerokiemu ogółowi znany jest jako twórca dziwnego obiektu matematycznego zwanego butelką Kleina. Obiekt ten to pewne uogólnienie prostszego tworu o podobnych własnościach – wstęgi Möbiusa. Z oboma, jak to często bywa, związane są pomyłki. Wstęgę Möbiusa można łatwo wykonać z długiego paska papieru, sklejając końcami jego krótsze boki, ale przed sklejeniem obracając ją (tylko raz!). Jest to obiekt w zasadzie płaski, jednak w przeciwieństwie do płaszczyzny ma tylko jedną stronę i ma brzeg. Obiekt ten opisał jako pierwszy, pracujący wtedy w Getyndze jako fizyk, Johann Benedict





Felix Klein, pocztówka

Listing. Przed budynkiem dawnego Obserwatorium Astronomicznego w Getyndze umieszczono mały pomnik w kształcie tego obiektu, mający zaznaczyć prymat Listinga. Butelka Kleina zaś jest innym, też jednostronnym, w zasadzie płaskim obiektem, który nie ma brzegu, z wyglądu istotnie przypominającym dziwną butelkę. W tym przypadku to rzeczywiście Klein wymyślił jej konstrukcję. Jednak nazwa, z którą obiekt ten pojawił się po raz pierwszy w literaturze, brzmiała: Kleinsche Schlauch, czyli w dosłownym tłumaczeniu wąż ogrodowy Kleina, co miało związek ze sposobem jej konstrukcji (wepchnięcia jednego końca węża w drugi, ale nie tak zwyczajnie, a jakby „z drugiej strony”). Jeszcze w latach sześćdziesiątych niemiecka firma Stoll oferująca modele matematyczne używała nazwy Kleinsche Schlauch. W świecie zdominowanym przez język angielski obiekt ten otrzymał nazwę butelki i wszystko wskazuje na to, że jest to rezultat nieprawidłowego tłumaczenia niemieckiego słowa Fläche (rozmaitość), bowiem tłumacz myślał zapewne, że chodzi o zwykłą flaszkę, czyli flasche.

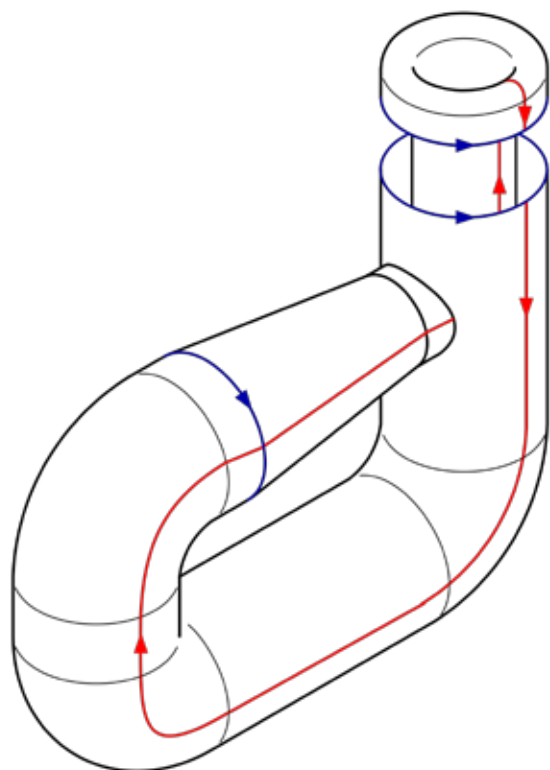
Dobra ręka do Polaków

Powróćmy do Kleina i jego studentów. Do Getyngi Klein, już jako profesor, przybył w 1886 roku. Tu rozpoczął od wprowadzania swych pomysłów w zakresie kształcenia, współpracy z przemysłem, dopuszczenia kobiet do studiów, gdyż był gorącym zwolennikiem równoprawnego udziału kobiet w badaniach naukowych. Cenił współpracę ze zdolnymi studentami. Wśród nich znalazło się ponad pięćdziesięciu Polaków oraz

Wstęga Möbiusa, Getynga 2018



Fot. D. Ciesielska



Źródło: WikiCommons

Tak powstaje butelka Kleina

oczywiście Polki! Pierwszych kształcił na politechnice w Monachium, potem w Lipsku. Najlicniejszą grupę tworzyli studenci z Getyngi. To Klein przekonał młodego studenta z Warszawy, Josefa de Kowalski, do zajęcia się badaniami matematyczno-fizycznymi. Józef Wierusz-Kowalski, bo o nim mowa, zrobił to z wielkim powodzeniem. Już w 1888 roku zdał egzaminy, a w roku następnym został promowany na doktora getyńskiej wszechnicy.

Klein miał „dobrą rękę” do Polaków. Blisko trzydziestu jego polskich studentów zostało profesorami uniwersytetów w Polsce, Europie, a nawet w peruwiańskiej Limie. Bliższy kontakt z nim mieli uczestnicy seminariów, a zostanie jego uczestnikiem nie było proste. W 1906 roku Antoni Łomnicki pisał do Mariana Smoluchowskiego: „Wpisawszy się tu na wykłady wzięłem również seminarium matematyczne wyższe Kleina, o które mi głównie chodzi. Jednakowoż Klein zażądał przedłożenia rozprawy doktorskiej i uczynił od tego zależnym przyjęcie do seminarium”. By zostać dopuszczonym do udziału w seminarium i do wygłoszenia referatu, doktor lwowskiej wszechnicy musiał przedstawić do wglądu rozprawę. Nie wszystkim udało się ta sztuka. Jednak łatwiej przyszło to dwóm Polkom – Helena Bortkiewicz i Aleksandra Stebnicka zostały w 1896 roku bez trudu słuchaczkami seminarium Kleina. Obie wcześniej ukończyły słynne Wyższe Kursy Żeńskie w Petersburgu. Bortkiewicz to siostra słynnego rosyjsko-polsko-niemieckiego statystyka profesora Władysława Bortkiewicza, obecnie patrona katedry statystyki na Uniwersytecie Humboldtów w Berlinie. Aleksandra Stebnicka była córką Polaka, rosyjskiego generała i niezależnego uczonego Hieronima Stebnickiego, oraz ciotką noblisty Piotra Kapicy. Pisał on, że jego ciotka była wybitnie zdolna, a wybuch rewolucji październikowej ostatecznie zламаł jej naukową karierę. Steb-

nicka bowiem po getyńskich studiach prowadziła z powodzeniem obserwacje astronomiczne w Pułkowskim Obserwatorium pod Petersburgiem. Bortkiewicz z kariery naukowej zrezygnowała, wspierała karierę brata.

Nie tylko matematycy, fizycy i astronomowie studiowali u Kleina. Wśród Polaków był chemik Stanisław Tołłoczko, a także Tadeusz Łopuszański, przyszły szef Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego. Tenże udał się w zagraniczną podróż, w czasie której studiował metody organizacji edukacji w Europie. W Getyndze uczestniczył w seminarium Kleina poświęconym tym zagadnieniom. Klein bowiem gorąco interesował się edukacją; był znanym reformatorem i twórcą nowego curriculum w matematycznym kształceniu na poziomie średnim. To on postulował wprowadzenie metod rachunku różniczkowego do szkół, wskazując na ich zastosowanie w edukacji technicznej. Studentem Kleina był też polski mistrz szachowy Dawid Przepiórka. Szachy pociągały go jednak bardziej niż matematyka.

U Kleina doktoraty zdobyły aż 72 osoby. Uzyskiwali je nie tylko w Getyndze, ale także w Erlangen, Lipsku, Monachium, Wiedniu, na Uniwersytecie Harvarda – w tym przyszły prezes American Mathematical Society, Frank N. Cole. Wśród tych siedemdziesięciu dwóch osób nie ma Polaka.

Tu pojawia się niespodzianka. Klein ma „polski doktorat”, bowiem w 1900 roku, z okazji pięćsetlecia odnowienia Uniwersytetu Jagiellońskiego, dostał zaszczytu otrzymania doktoratu honorowego tej uczelni. Jest to zapewne pierwszy matematyk, który otrzymał takie wyróżnienie od polskiego uniwersytetu. Z wnioskiem o nadanie stopnia wystąpił Kazimierz Żorawski – późniejszy rektor UJ, członek Polskiej Akademii Umiejętności i prezes Towarzystwa Naukowego Warszawskiego, a wcześniej student Kleina w Getyndze.

Dr Danuta Ciesielska, matematyka, historyk matematyki, Instytut Historii Nauki PAN im. L. i A. Birkenmajerów



Piotr Hübner

Reformator, kolekcjoner, mason

Dbając o pamięć o Ojczyźnie, hr. Potocki został współzałożycielem Towarzystwa Warszawskiego Przyjaciół Nauk. Działal też w Towarzystwie Badaczy Historii Polskiej. Od 1805 roku kierował Eforatem – zarządem szkolnictwa w Warszawie. Podlegało mu Liceum Warszawskie. Z dniem 14 lutego 1807 roku został prezesem Izby Edukacyjnej powstałej z przekształcenia Eforatu.

Rodzina magnacka Potockich z linii hetmańskiej, legitymująca się srebrną Pilawą, zyskała pozycję dopiero w końcu XVII wieku. Stanisław Kostka Benedykt Jan z Dukli Tadeusz Potocki urodził się 11 listopada 1755 roku.

Był synem Eustachego i Marianny de domo Kątskiej (oboje zmarli w 1768 roku). Ojciec Stanisława został w 1754 roku marszałkiem Trybunału Koronnego w Lublinie. Stanisław miał sześcioro rodzeństwa: dwie siostry i czterech braci. Wychowywała ich ciotka, Katarzyna z Potockich Kossakowska, która uzyskała dla Stanisława i jego brata Ignacego tytuły hrabiowskie (1777). Bracia studiowali w Collegium Nobilium w Warszawie pod opieką ks. Dionizego Kuczkowskiego.

W roku 1772, tragicznym dla Polski, Stanisław wyjechał na studia do Akademii w Turynie pod opieką nauczyciela, Christiana A. de Cérenville'a. Między listopadem 1774 a październikiem 1775 roku Stanisław zwiedzał Szwajcarię, Francję, miasta włoskie i nadreńskie. Ten typ podróży zwano ówczesnie Grand Tour. Posługiwał się biegle językiem francuskim, w którym – jak wielu innych – prowadził obszerną korespondencję. Kierował się filozoficznym racjonalizmem. Został członkiem Akademii Rzymskiej „Arkadia”. Zgłębiał wiedzę o kulturze antycznej i zaczął kupować dzieła sztuki. Po powrocie do okrojonej Rzeczypospolitej wszedł w krąg „familii Czartoryskich”. Ożenił się (2 VI 1776) z Aleksandrą de domo Lubomirską, siostrą żony jego brata Ignacego. Młodzi małżonkowie zamieszkali początkowo w Oleśnie koło Puław. Było to zgodne małżeństwo, co nie było częste w tym środowisku. W roku 1778 Stanisław został posłem na Sejm z województwa lubelskiego.

Hrabiostwo Potoccy wyjechali do Włoch w 1779 roku. Stanisław nawiązał kontakty ze znanymi artystami. W Neapolu jego portret konny zaczął malować Jacques-Louis David. Pod koniec 1780 roku hr. Potoccy dotarli z ks. Grzegorzem Piramowiczem do Szwajcarii. Po powrocie do Rzeczypospolitej hr. Potocki został podstolim koronnym (25 V 1781) – daty i fakty ustaliła Barbara Grochulska, autorka biografii hr. Potockiego w *Polskim Słowniku Biograficznym*. Hr. Potocki otrzymał order św. Stanisława oraz Orła Białego. Z ramienia opozycji zaangażował się w sprawę bp. Kajetana Sołtyka (1782). Został ponownie posłem na Sejm, a do tego konsyliarzem Rady Nieustającej (rządu). Wpłynął na decyzję odbudowy Pałacu Rzeczypospolitej pod kierunkiem Dominika Merliniego. W roku 1784 kupił majątek Roskosz pod Warszawą, przebudował pałac nazwany później ursynowskim.

Na przełomie 1780/1781 roku został członkiem loży „Bouclier du Nord”, a w 1784 przeniósł się do loży „Świątynia Izis”. Z jej ramienia został Wielkim Mówcą Wielkiego Wschodu (do 1790). W roku 1784 zaangażował się w aferę Marii Dogrumowej jako świadek spisku na życie Adama Kazimierza księcia Czartoryskiego. W roku 1785 hr. Potocki wyjechał z teściową, Izabelą z Czartoryskich Lubomirską, do Włoch. Działal na polu kolekcjonerskim, szczególnie interesował go wazy antyczne. W roku 1786, po powrocie do Rzeczypospolitej, przystąpił do modernizacji dzieła Johanna Joachima Winckelmanna *Geschichte der Kunst des Alterthums* (1764).

O poprawie rządu krajowego

Hr. Potocki zdecydował o przebudowie pałacu na Lesznie (1786). Zlecił też przebudowę pałacu „Bażantarnia” w Natolinie, gdzie w 1787 roku zamieszkiwał. Podzielał poglądy liberynów i otaczał się kręgiem miłośników sztuki. Prowadził elitarny salon literacki, był autorem około 300 utworów wierszowanych. Od marca do maja 1787 roku przebywał w Paryżu, w pałacu należącym do teściowej, następnie wyjechał do Anglii. W lipcu wrócił z Julianem Ursynem Niemcewiczem, przez Paryż, do Rzeczypospolitej, by zaangażować się w pracę Sejmu Czteroletniego. Wygłosił około 300 mów sejmowych. Miał objąć funkcję posła nadzwyczajnego w Paryżu. Był autorem projektu reform *Mysli o ogólnej poprawie rządu krajowego* (rządem ówczesnie nazwano każdą władzę). Proponował Sejm „zawsze gotowy” oraz powołanie Straży Praw ze składu Senatu (przy zniesieniu Rady Nieustającej). Wspierał organizowanie stałego wojska. Był szefem regimentu pieszego imienia Potockich (od 18 V 1789), posiadał od roku 1791 patent generał-majora artylerii koronnej. Pomawiano go o wspieranie zdradzieckich działań Szczę-

snego Potockiego. Wspierał prawo o miastach. Razem z bratem Ignacym byli „egzekutorami” projektu ks. Kołłątaja Konstytucji 3 maja. Był jednym z inicjatorów Zgromadzenia Przyjaciół Konstytucji Rządowej.

Z listami polecającymi od króla Stanisława Augusta Poniatowskiego pertraktował z władcami Prus i Saksonii, by zyskać ich wsparcie dla reform Rzeczypospolitej. W końcu 1791 roku wystąpił przeciw Szczęsnemu Potockiemu i innym buntownikom. Przejął po Szczęsnym Potockim rangę generała artylerii koronnej (12 III 1792). W końcu maja 1792 roku wszedł do Rady Wojennej przy królu, działał na Litwie. Po klęsce wojennej i przystąpieniu króla do Targowicy Potocki wyjechał przez Drezno do Lipska. Hr. Był współautorem pracy *O ustanowieniu i upadku Konstytucji 3 maja* (1793). W czasie powstania kościuszkowskiego, do którego nie wniósł udziału, został aresztowany w Karlsbadzie przez policję austriacką. Więziono go w twierdzy Josephstadt, następnie internowano w Pradze. Po zwolnieniu wyjechał do Włoch, skąd wrócił do kraju w 1797 roku.

Przejął od brata Ignacego majątek w Kurowie. Zawarł umowę (19 IX 1799) o przejściu Wilanowa i Nieporętu, dzięki której jego teściowa uwolniła się od rat (60 tys. zł rocznie) przekazywanych córce. Klucz wilanowski stanowiło 9 folwarków i 19 wsi. Hr. Potocki był też właścicielem dóbr na Ukrainie i Podolu. Sprzedał dobra opatowskie. W roku 1799 przyjął z konieczności obywatelstwo pruskie (a żona austriackie). Od roku 1800 Potocki zaczęli urządzać Wilanów (mieszkałi wtedy w pałacu na Krakowskim Przedmieściu). Jak ustaliła Barbara Grochulska, część środkowa pałacu wilanowskiego została poświęcona kultowi Jana III Sobieskiego: „Określiło to <ideologię> rezydencji jako dobra publicznego, skarbcza narodowej pamięci. Uczyniło też z Wilanowa muzeum sztuki, dostępne dla zwiedzających”. Zgromadzono w pałacu około 100 waz, 5 tys. rysunków i 480 obrazów, głównie artystycznych kopii.

Umiarkowanie, filantropia, oświecenie

Dbając o pamięć o Ojczyźnie, hr. Potocki został współzałożycielem Towarzystwa Warszawskiego Przyjaciół Nauk (1 XII 1800). Przewodniczył w Towarzystwie Wydziałowi Nauk. Na forum Towarzystwa przedstawił swe dzieła: *O sztuce u dawnych, czyli Winkelman polski* (1803) oraz *Rozprawę o medalach, mianowicie narodowych, w względzie ich użyteczności i sztuki* (1806). Działał też od 1804 roku w Towarzystwie Badaczy Historii Polskiej. Aktywnie uczestniczył w kolejnych lożach masonskich. Od 1805 roku Stanisław Kostka hr. Potocki kierował Eforatem – zarządem szkolnictwa w Warszawie. Podlegało mu Liceum Warszawskie. Po kampanii napoleońskiej wszedł hr. Potocki do Komisji Rządowej (14 I 1807). Wystąpił do Napoleona w sprawie potrzeb wojska jako delegat, obok Józefa księcia Poniatowskiego. Z dniem 14 lutego 1807 roku hr. Potocki został prezesem Izby Edukacyjnej powstałej z przekształcenia Eforatu. Odnaczono go Orderem Legii Honorowej (22 VII 1807), dla syna Aleksandra uzyskał patent szambelana Cesarstwa. W 1808 roku przebywał od stycznia w Paryżu, prowadził z delegacją z kraju rokowania zakończone w maju układem w Bayonne, uzyskując dla Księstwa Warszawskiego wsparcie finansowe. Dobrze gospodarując dochodami z majątków i pełnionych urzędów, hr. Potocki nabył w Paryżu 368 dzieł sztuki oraz książki, a także obiekty do wilanowskiej zastawy średka stołu, wykonane z mosiądzu złożonego w manufakturze Pierre’a-Philippe’a Thomire’a.

W czasach Księstwa Warszawskiego hr. Potocki był nadal prezesem Izby Edukacyjnej. Przez kilka miesięcy przebywał w Dreźnie, dbając o polską rację stanu. Objął funkcję prezesa Rady Stanu i Rady Ministrów (25 III 1809), zachowując mini-

sterium oświaty (od 17 XII 1810 z tytułem dyrektora Edukacji Narodowej). Dyrekcja ta działała do czasu przekształcenia jej w Wydział Oświecenia (7 VII 1815).

W czasie wojny z Austrią hr. Potocki ewakuował Radę Stanu do Torunia. Był przeciwnikiem „polskich jakobinów”, wspieranych przez ks. Hugo Kołłątaja. Opowiadał się za umiarkowaniem politycznym, filantropią wobec chłopów, asymilacją Żydów, wspieraniem mieszczan i oświeconej arystokracji. Został (1 III 1812) Wielkim Mistrzem Wielkiego Wschodu Narodowego (hr. Potocki zmienił ostatnie ze słów na „Polski”). W latach 1808-1814 dodatkowo pełnił funkcję komendanta Korpusu Kadetów. Po klęsce Napoleona w wyprawie moskiewskiej hr. Potocki wyjechał do Drezna. Po „bitwie narodów” pod Lipskiem został przejściowo aresztowany przez władze rosyjskie.

Publicystyka krytyczna i sztuka

Akademia Krakowska nadała hr. Potockiemu tytuł członka honorowego princeps eloquentia (24 VII 1815). Opublikował wtedy czterotomowy podręcznik retoryki *O wymowie i stylu* oraz *Pochwały, mowy, rozprawy*. Hr. Potocki uprawiał ówczesnie krytyczną publicystykę na łamach „Pamiętnika Warszawskiego” – używał pseudonimu „Świstek”. Opowiadał się po stronie klasycyzmu przeciw romantykom. Stanisław Kostka hr. Potocki pisał – drogą wyznaczaną przez autorytety – *O sztuce u dawnych, czyli Winkelman polski* (w „Przedmowie” 1815): „Widząc bowiem, że jakimkolwiek w tym zawodzie pójde torem, zawsze iść będą musiał w Winkelmana ślady i jego trzymać się systematu, a zatem, że mi przyjdzie użyć niejkiej z czytelnikiem obłudy, by cudzy systemat, by cudze myśli, sprostowawszy je niekiedy, dopełniwszy, skróciwszy, albowi też zmieniwszy tylko wyrazy i porządek, za własne dawał. Wpadłem na myśl dogodniejszą dobrej wierze pisarza, na myśl, mówię, przelania dzieła Winkelmana wyżej ode mnie wskazanym sposobem, to jest odciążenia od niego tego wszystkiego, co jest zbyt-



niem, dodania tego, czego brak sama osnowa rzeczy wskazuje, umiarkowania przesadnej imaginacji zapędów, sprostowania niedostrzeżeń, na koniec uporządkowania całego pasma rzeczy, ile tego dopełnić można, zbytnie się nie oddalając od wskazanego przez Winkelmana toru”. Hr. Potocki zrezygnował z podziału na tomy, a do 27 rozdziałów dodał własnych 7, zawierających uwagi o sztuce orientu. Pisał z założenia o sztuce, a nie o historii sztuki.

W Rządzie Tymczasowym hr. Potocki kierował od lipca 1814 roku Wydziałem Oświecenia Narodowego, przekształconego w Komisję Rządową Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego. Od 31 lipca 1818 roku pełnił funkcję prezesa Senatu (zastępcą prezesa był od stycznia 1817). Dążył do zwiększenia uprawnień ministra WRiOP, który to urząd od dawna sprawował. O losie hr. Potockiego zadecydowały następstwa czynu Karla Sanda, który zasztyletował agenta Rosji, Augusta von Kotzebuego (23 III 1819). Hr. Potocki wszedł w konflikt z opozycją sejmową po wniesieniu narzuconego projektu rozporządzenia o cenzurze gazet i pism periodycznych (kontrasygnował rozporządzenie 22 V 1819). W Cieplicach (28 VII 1819) i Karlsbadzie (6-31 VIII 1819) odbyły się konferencje ministrów reprezentujących kraje Świętego Przymierza. Jednym z przyjętych elementów polityki represji było ograniczenie roli masonerii.

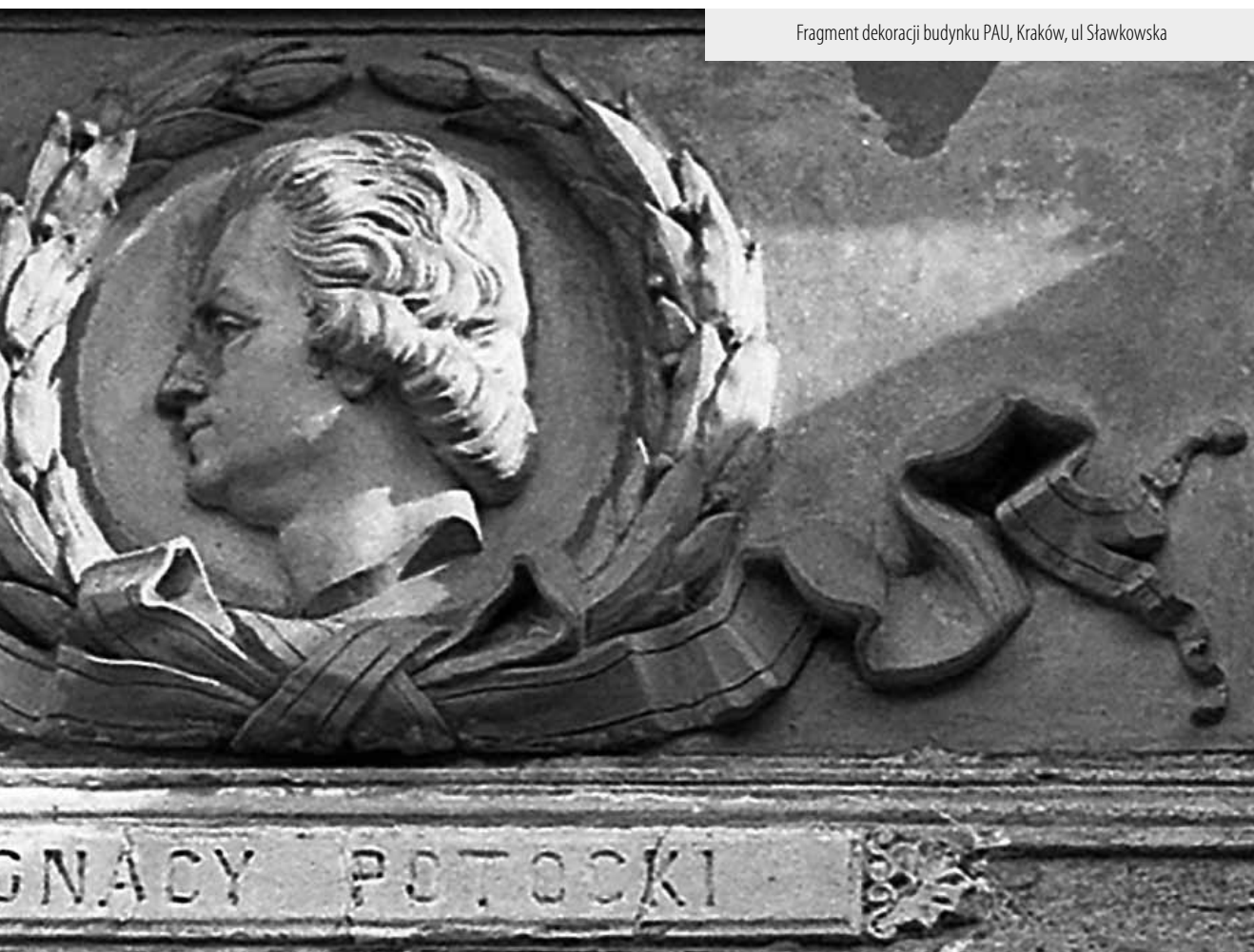
W stronę Ciemnogrodu

W odpowiedzi na ofensywę reakcji hr. Potocki opublikował w 1820 roku opis fikcyjnej *Podróży do Ciemnogrodu* (tom I w lutym, II w maju, III w czerwcu, a IV w końcu sierpnia). Publikacja była zjadliwą krytyką, hr. Potocki wystąpił anonimowo. Nadał polemicznemu dziełu fikcyjną formę dziennika podróży. Autor występował przeciw reakcji głoszącej, że oświata jest „rewolucyjnych klęsek karmicielką i matką”. Kierował krytykę przeciw duchowieństwu oraz zakonnikom. Przedstawiał Zakon Smorgoński, „którego intolerancja jest główną

zasadą”, a także Inkwizycję, pałacą „niemiłosiernie nie tylko obce książki, ale wraz z nimi i ich posiadaczów”. Fikcyjną krainą rządził Najciemniejszy Pan. Wszystkie stany uprawiały zabawę w postaci pijaństwa, wspomaganego przez arendarzy karczem i obyczajem dworskim. W Ciemnogrodzie rząd był „arystokratyczno-monarchistyczny”. Przy tym: „Sposób działania policji jest azjatycki, to jest prędko i dzielny w egzekucji swojej”. Emil Kipa, autor „Wstępu” do dzieła hr. Potockiego, wydanego przez Ossolineum (1955), ocenił, że „*Podróż* nie znalazła wielu czytelników. Zjawiała się po prostu za późno i nie przemasowała już samym swoim ujęciem, typowym dla wieku XVIII”. Dzieło posłużyło za cel krytyki ze strony Kościoła, bp krakowski Jan Paweł Woronicz złożył je nawet – podczas warszawskiej audyencji – na ręce cara Aleksandra I. Finałem była dymisja hr. Potockiego (9 XII 1820). Gdy scentralizowano w celu administracyjnej kontroli władze masonerii, ustąpił z funkcji Wielkiego Mistrza (3 III 1821).

Według Barbary Grochulskiej, Stanisław Kostka hr. Potocki „z pychą właściwą Potockim łączył wielką prostotę w stosunkach z ludźmi; z libertyńskim umiłowaniem swobody – rodzinną stateczność wiernego męża i troskliwego ojca; ze spokojem i taktem – porywczosć oraz skłonność do hipochondrii i zmiennych nastrojów; z wielkodusznością, którą okazywał i w sprawach publicznych, w opiece nad rodziną, i w działalności filantropijnej – małostkowość oszczędnego gospodarza. Bywał duszą salonów, lubił, cenił zabawę i umiał czynić z niej przyjemność intelektualną (...). W jego osobowości górowała nade wszystko postawa estety”. Zmarł w Wilanowie, 14 września 1821 roku. Nagrobek wystawił w 1836 roku Stanisławowi Kostce hr. Potockiemu i jego żonie Aleksandrze z Lubomirskich Potockiej ich syn Aleksander obok pałacu w Wilanowie. Sarkofag, umieszczony pod baldachimem, przedstawia postacie małżonków, boki zdobią reliefy – geniusze śmierci oraz personifikacje zainteresowań i cnót zmarłych.

Fragment dekoracji budynku PAU, Kraków, ul Sławkowska



Fot. Stefan Ciechan



Piotr Müldner-Nieckowski

Fałszywe przyjaźni

Właśnie stałem się po raz kolejny ofiarą fałszywej przyjaźni, w dodatku à rebours. Korzystając z możliwości środowiskowo-towarzyskich i pewnego wpływu na ośrodek decyzyjny, a także z dawno wyćwiczonych sposobów perswazyjnych, wyblagałem, aby przyjaciela nie wyrzucano z pracy. Moim zdaniem nabroił, lecz nie aż tak, żeby zasłużyć na relegację, i to starałem się szefom wytłumaczyć. Skutecznie. Pomogłem bliskiej osobie i za to spotkała mnie z jej strony kara. Po pewnym czasie namówiła szefa, żeby nie zamawiał u mnie ekspertyz, którymi dorabiam do skromnej emerytury i które – takie miałem relacje – zawsze dotychczas chwalono. W czasie pomagania za wiele się o tej osobie dowiedziałem; musiałem, bo dla zapewnienia skutecznego działania konieczne było posługiwanie się sensownymi argumentami. Niestety dla przyjaciela niewygodnymi. Pewnie z tego powodu cierpiał. Szczególnie dotyczyło to jego trybu życia i niezbyt etycznej postawy w przeszłości.

Pomogłem i na skutek tego straciłem pracę. Strata co prawda jest stosunkowo niewielka. Nie umrę z głodu, a ponadto odzyskując czas, wreszcie będę mógł podjąć od dawna obiecywaną współpracę z inną instytucją. Mniejsza o to. Ważne, że po raz kolejny uświadomiłem sobie, w jakich warunkach przychodzi nam działać. Życie wśród ludzi wiąże się z kosztami. To żadne odkrycie, ale rzecz na nowo rodzi pytania: jakie to koszty, co je powoduje, czym należałoby je mierzyć, jak się przed nimi strzec, na koniec: jak postępować, aby samemu nie stać się świnią.

Fałszywy przyjaciel to nie tylko zdrajca, ale między innymi każda osoba, która wkrada się w twoje tajemnice, poznaje poglądy i cele, po czym rzekomo kibicując, zniechęca cię do realizacji tych zamierzeń. Wynajduje tyle przeciwności, argumentów zniechęcających, że zaczynasz się zastanawiać, czy rzeczywiście warto. Wcale nierzadko po twojej rezygnacji sama przejmuje te cele. Jakby tego było mało, zniechęca cię do nowych pomysłów. Tak zachowują się znane z licznych realizacji literackich i satyrycznych matki jedynaków, które nie pozwalają, aby prowadzili życie osobiste na swój rachunek, a jeśli już tak się dzieje, to obrzydają wszystko, co się z tym wiąże. Ciągłe wracają do przeszłości, porównują porażki swego dziecka do katastrof dziejowych i starają się nimi zappełnić jego horyzont tak, aby było na nim widać jedynie zgliszcza. Tylko pierwszy plan, ten zagospodarowany przez mamusię, jest słuszny i piękny.

Inni fałszywi chętnie wprowadzają cię do swojego towarzystwa, po czym porzucają, przechodząc na stronę tych, którzy cię jako nuworysza skrytykują. Tak przeważnie przejawia się zazdrość o sukcesy. Nienawistny przyjaciel w oczy cię chwali, a poza oczami oczernia i dewastuje ścieżkę kariery. W kontak-

tach z tobą pozostaje „krytykiem życzliwym”. Ponieważ nie zawsze umie formułować argumenty niszczące, stara się ogólnikowo cię oceniać, łowiąc w twoich odpowiedziach informacje, które dadzą się skrytykować. „Napisałeś nie najlepszy artykuł” – mówi na przykład, a kiedy ty odpowiadasz: „Tak, rzeczywiście pisywałem lepsze, ale tu nie miałem czasu na zestawienie wyników z innymi pracami na ten temat”, po jakimś czasie z ust trzecich słyszysz o sobie opinię: „Pana prace z reguły nie konfrontują się z piśmiennictwem przedmiotu, o falsyfikacji nie wspominając”. I tak dzieło zniszczenia dokonane przez przyjaciela utrwała się w opinii społeczno-uczelnianej. Będziesz musiał to odkręcać jeśli nie przez dziesiątki lat, to przez odejście do innego zakładu. Oby nie psychiatrycznego.

Tak więc fałszywy przyjaciel ocenia cię publicznie, ale bez twojej wiedzy na ten temat, i ciągle udaje, że pocieszając, chce naprawiać (broń Boże nie nauczać czy wspomagać). Traktuje waszą przyjaźń jako pewnik, ale nie pielęgnuje jej twórczo, tylko destrukcyjnie. Komplementuje cię i jednocześnie na różne sposoby uderza: „Dobry tekst, kto ci pomógł?” albo „Znakomicie streściłeś Kowalskiego”.

Owszem, chwilami jest bardzo pomocny, wręcz do rany przyłóż, kiedy krytykuje twoje przywary, tylko że są to zwykle nieistotne uchybienia typu niewyłączenie światła po wyjściu z pokoju. O wielkich w żadnym wypadku nie wspomina, bo się nimi wręcz delektuje. Oto przykład z wczorajszej wizyty sąsiadki w moim domu. Zauważyła, że w przedpokoju w drewnianym stelażu na buty niektóre deszczułki są pęknięte. To miało we mnie uderzyć. Nie pomyślała, że kiedyś specjalnie takich szukałem, aby skrzynia miała stary wygląd, i z nich zmontowałem ten mebel. Teraz wywołało to okrzyk przerażenia tej pani: „O, popękała panu skrzynia! Ale niech się pan nie martwi, mam znajomego stolarza”. To ciekawe, że fałszywy przyjaciel krytykuje cię z „troskliwą szczerością godną pochwały”.

Fałszywymi przyjaciółmi (ang. false friend lub fake friend, fr. faux amis, niem. falscher Freund, włos. falso amico, hiszp. amigo falso, ros. fałszywyj drug, łóżnyj drug) nazywamy także wyrazy lub frazeologizmy brzmiące w porównywanych językach podobnie, ale znaczące coś innego. Na przykład francuskie lub angielskie „condition” to po polsku nie „kondycja”, lecz „warunek”. Ale fałszywość przyjaźni międzyjęzykowej to zagadnienie translatorskie i jednak zupełnie inne niż towarzyskie, choć także niszczące.

Nowoczesność, czyli co?



„Niniejsza książka jest krótką opowieścią o wyobraźni, wyborach nie tylko estetycznych, konieczności powoływania do istnienia wiersza, który wciąga słowa w wirówkę mnożonych sensów, znaczeń, semantycznych batalii, opowieścią przedstawianą z przekonaniem o wartości eksperymentu i mających moc dekonwencjonalizacji tekstowych konfiguracjach »nowej sztuki«. Powyższy cytat ze wstępu, oprócz słownej zonglerki i językowych ozdobników, mówi nam o książce niewiele więcej niż jej niezwykle pojemny znaczeniowo tytuł. Mam wrażenie,

że nowoczesność i modernizm, odmieniane w ciągu ostatnich lat przez wszystkie przypadki, stanowią słowo-wytrych lub słowo-worek, do którego, w zależności od potrzeb, możemy wrzucić wszystko, unikając jednocześnie jednoznacznych definicji bądź dopasowując ową definicję do własnych potrzeb. Cóż bowiem owa nowoczesność ma oznaczać? Nowoczesność tematycka, stylistyczna, gatunkowa, cywilizacyjna, a może nowoczesność = kontrowersyjność? I czy zawsze nowoczesność oznacza postęp?

Majerski odwołuje się do Awangardy Krakowskiej i futurystów, opiera się na nazwiskach znanych i kanonicznych: Tytus Czyżewski, Tadeusz Peiper, zatem ponowne opisywanie ich dokonań i programów poetyckich uważam za zbędne. Szkice o polskich awangardystach sąsiadują z „wprowadzeniem do interpretacji” wiersza *Schodząc* Tadeusza Gajcego oraz analizami i interpretacjami twórczości Tymoteusza Karpowicza, Lecha Piwowara, Józefa Bujnowskiego czy znanego w międzywojennym literackim Lublinie Stanisława Gędzińskiego. Na dokładkę mamy jeszcze rozmowy i korespondencję Jarosława Borowca z Krystyną Miłobędzką i Andrzejem Falkiewiczem, Karpowicza z Miłobędzką i Falkiewiczem oraz Karpowicza z Heinrichem Kunstmannem. Zaiste przedziwne to konstelacje naukowych powiązań w jednej książce i owe szkice nie dają wrażenia spójnej całości, co jednocześnie nie wyklucza badawczej sprawności oraz solidnego warsztatu naukowego autora. Majerski we wstępie stara się wskazać jakiś tematyczny leitmotiv i przekonać, że cechą wspólną owych pisarzy jest ich indywidualizm, stawianie fundamentalnych pytań, chęć poszerzania granic poznania, ucieczka przed schematyzmem i tworzenie własnych form wyrazu. Jednakże są to cechy, które możemy przypisać każdemu twórcy (również grafomanowi) i zapewne w każdej epoce.

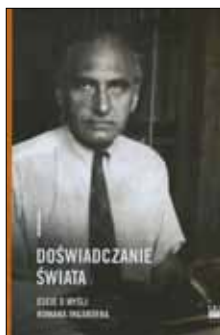
Czas futurystycznych eksperymentatorów bezpowrotnie minął i historia literatury nie obešla się chyba z nimi łaskawie. Futurystyczny układ wiersza i jego stylistyczna dziwaczność nie przypadły do gustu ówczesnym czytelnikom i dzisiaj również nie znalazłbyśmy zbyt wielu kontynuatorów tej tradycji. Przychodzi mi wprawdzie na myśl Zenon Fajfer i jego liberatura, chociaż i to należałoby traktować zapewne jedynie w kategoriach literackiej ekstrawagancji czy też performansu. Poetycka nowoczesność sprzed stu lat wygląda dzisiaj chyba równie groteskowo, co wówczas, gdy nie wyszła jeszcze na niej farba drukarska. Paradoksalnie bardziej nowoczesny jest chyba Adam Mickiewicz niż Tytus Czyżewski.

Dorabianie literaturze nowoczesnej „gęby”, jakkolwiek by ona nie była, tematycka czy wersyfikacyjna, chyba nigdy nie przynosiło jej korzyści. Podstawowym kryterium oceniania książki czy wiersza powinna być wyłącznie wartość artystyczna, a nie ideologiczna. Swego czasu wiele mówiło się o tym, że to Dorota Masłowska swymi lingwistycznymi zabawami wyznacza nowe trendy i proponuje nową jakość, rozbija skostniały język literatury. Czy po jej *Wojnę polsko-ruską...* sięgnie po latach więcej osób niż choćby po książki Jerzego Pilcha? Jak widać każda epoka ma swoją szeroko pojmowaną nowoczesność, ale twórczość powinna być obiektywnie dobra lub zła i tyle, bez wtłaczania jej w szufladki postępowości.

Jacek Hnidiuk

Paweł MAJERSKI, *Nowocześni i nowoczesne. KonstelaCje wyobraźni*, Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego, Katowice 2020.

Ingarden. Kontynuacje i rewizje



Sejm RP ogłosił rok 2020 Rokiem Romana Ingardena. W związku z tym na rynku wydawniczym ukazało się stosunkowo dużo publikacji dotyczących polskiego fenomenologa. Pośród nich na szczególne wyróżnienie zasługuje dwutomowa biografia myśliciela *Jestem filozofem świata* pióra Radosława Kuliniaka i Mariusza Pandury. Warto przypomnieć, że „Forum Akademickie” także uczciło Rok Ingardenowski blokiem tekstów poświęconych uczonemu (FA 7-8/2020). W nurcie jubileuszowych publikacji, bo w ubiegłym roku przypadła też 50.

rocznica śmierci autora *O dziele literackim*, mieści się zbiór *Doświadczenie świata. Eseje o myśli Romana Ingardena* pod redakcją Tomasza Maślanki. Książka ukazała się w serii „Jubileusze” Narodowego Centrum Kultury.

Wicepremier Piotr Gliński stworzył pracę *Słowem wstępnym*. Czytamy tam: „Jako jeden z niewielu polskich filozofów zapisał się w dorobku myśli światowej. Dzięki swoim wykładom w akademickich ośrodkach Europy i USA dawał świadectwo nie tylko wielkiego talentu, ale też swojej wiary w siłę i twórczy potencjał człowieka. A przecież nie było to oczywiste. Urodzony pod koniec XIX wieku stał się świadkiem wielkich kataklizmów, które przyniósł wiek XX: obu wielkich wojen, narodzin i tragicznej ekspansji dwóch katastrofalnych ideologii – nazizmu i komunizmu”. Autor słusznie podkreśla więź Ingardena ze św. Janem Pawłem II; papież w jakiejś mierze jako filozof był spadkobiercą myśli Ingardena. Jak wiadomo, szczególna przyjaźń łączyła polskiego fenomenologa z Edytą Stein, a przecież w 1998 roku Jan Paweł II kanonizował tę uczennicę Husserla i karmelitankę.

Poza tym na książkę składa się dwadzieścia tekstów najwybitniejszych polskich znawców myśli Ingardena. Zostały pogrupowane w trzy bloki. Pierwszy stanowią wypowiedzi dotyczące metafizyki, aksjologii i filozofii człowieka, drugi – filozofii literatury, trzeci – filozofii kultury i sztuki. Poprzedzają je uwagi Tomasza Maślanki o charakterze wprowadzającym i ogólnym. Trudno byłoby wyróżnić którekolwiek z wystąpień, gdyż wszystkie są tak pomyślane, aby w całościowej lekturze dawały czytelnikowi wrażenie obcowania z pewnego rodzaju konglomeratem prezentującym sylwetkę myśliciela. Oczywiście, pisząc o prezentowaniu, nie mam na myśli funkcji popularyzatorskiej. Eseje czy też raczej studia składające się na ten tom zakładają nie tylko znajomość podstaw filozofii, ale i obycie z dziełem autora *Sporu o istnienie świata*. We wszystkich tekstach czytelnik znający Ingardena łatwo doszuka się określonych dopowiedzeń, interpretacji, czasami dyskusyjnych, nawet polemik. I to jest wielką zaletą książki. Spotykają się w niej ortodoksyjni wyznawcy, nieprawomyślni kontynuatorzy, którzy czasami z niejaką dezynwolturą odnoszą się do spuścizny mistrza, oraz ci wszyscy, którzy za coś cenią Ingardena, ale nie uważają się za jego spadkobierców. Nie ma sensu wymieniać nazwisk. Wystarczy sięgnąć do książki. Brakuje mi tylko wypowiedzi prof. Antoniego B. Stępnia, który jak nikt inny, pozostając na gruncie tomizmu, potrafił wyzyskać koncepcje Ingardena.

Na koniec jeszcze jedna refleksja, która przysłała mi do głowy podczas lektury. Danuta Ulicka – nie po raz pierwszy zresztą – wspomina Adę Werner-Silberstein. Jest to niemal całkowicie zapomniana myślicielka, która u nas jeszcze przed Ingardenem zapoczątkowała estetykę fenomenologiczną bądź fenomenologizującą. Zresztą „zapoczątkowała” to określenie trochę na wyrost, ponieważ książka i kilka artykułów, które pozostawiła, nie spotkały się z żadnym oddźwiękiem. Pisała o niej niedawno w „Tekstach Drugich” Monika Adamczyk-Garbowska, ale bardziej jako o tłumaczce niż filozofce. Otóż przy okazji Werner-Silberstein nasuwa się myśl, że Ingarden nie wziął się znikąd i że przed nim na ziemiach polskich pojawiały się prace, w których prześwitywały idee Husserla. Jest to teren zupełnie nierozpoznany, który wciąż czeka na swego odkrywcę.

Tomasz Klusek

Doświadczenie świata. Eseje o myśli Romana Ingardena, red. Tomasz MAŚLANKA, Narodowe Centrum Kultury, Warszawa 2020, seria: „Jubileusze”.

Jak mówi chińskie przysłowie...



Lubimy odwoływać się do przysłów i aforyzmów, ponieważ są dla nas wyznacznikiem uniwersalnej mądrości. Powszechność tego zwrotu pokazuje przywiązanie cywilizacji zachodniej do mądrości zaczerpniętej z dalekich Chin. Nie zawsze jednak zawierają one prawdy dla nas oczywiste, ponieważ różnice kulturowe niejednokrotnie utrudniają odbiór chińskich aforyzmów.

Dlatego w książce Kamila Zeidlera cenna wydaje się przedmowa Edwarda Kajdańskiego, zmarłego w 2020 roku wybitnego dziennikarza i znawcy kultury Dalekiego Wschodu, który urodził się w 1925 roku w Mandżurii, więc – jak sam pisze – na „skondensowane chińskie mądrości zwane aforyzmami” ma spojrzenie inne niż autor książki i czytelnicy, bowiem zostało ono mu „niejako zaszczerpione wraz z kulturą”.

Autor wszystkie przytoczone cytaty nazywa aforyzmami, choć przyznaje, że to nie zawsze precyzyjne określenie. Jak podkreśla jednak za Romanem Tokarczykiem: „dobry aforyzm nie polega na odkryciu prawdy, tylko na sposobie podania starej”. Aforyzm chiński często stanowi źródło prawdy wspólnej dla wszystkich, dlatego jest tak atrakcyjny dla współczesnego człowieka Zachodu. „Mimo istotnych różnic kulturowych i odrębnej tradycji występujące w nim odniesienia do relacji międzyludzkich, uczuć i spraw dotyczących każdego człowieka, bez względu na miejsce zamieszkania, kolor skóry czy wyznanie, stanowią o uniwersalnym charakterze aforyzmu”. Ponieważ szukamy porządku i reguł, które pomogą zrozumieć otaczającą rzeczywistość, zachwycamy nas ogólna prawda, którą ktoś jest w stanie zawrzeć w jednym zdaniu. Aforyzmy często operują syntezą, paradoksem („Myślisz, że spieszysz górę, a tylko kopiesz dół”), metaforą („Miecz nieustannie ostrzony szybko straci ostrze”) i cynicznym dystansem do świata („Stolarz, który chce się dorobić, produkuje sochy i trumny”). „Aforyzm z punktu widzenia Europejczyka może być kwintesencją przymiotów człowieka Wschodu. Jest w nim minimalizm i oszczędność, zwięzła forma i głęboka mądrość”. Z aforyzmem łatwo się utożsamić, ponieważ „dzieli nasze tajemnice i objaśnia najgorsze kłębki”.

Chociaż w każdej niemal książce można odnaleźć refleksje godne uwagi, według Zeidlera dzieła starożytnych myślicieli chińskich są nimi szczególnie nasycone. Chińczycy mają wyjątkową umiejętność zwięzłego wyrażania myśli. Dzięki temu aforyzmy powstałe nawet w bardzo odległej przeszłości są ciągle aktualne, ponadczasowe. Przekazując złotą myśl moralną, filozoficzną lub etyczną, mogą funkcjonować samodzielnie poza pierwotnym kontekstem. Autor skupił się na kilku zakresach tematycznych chińskich aforyzmów. Rozpoczął od nauk o państwie, prawie i władzy, odnosząc starożytną myśl chińską do współczesności. Ważne miejsce w chińskim piśmiennictwie zajmuje kwestia wojen, stąd wiele aforyzmów właśnie ich dotyczy. Wiele z nich pochodzi z traktatów, takich jak *Sztuka wojny* autorstwa Sun Tzu oraz tzw. *Kanonu wojny* Sheng Zhonga. Istotne są też nauki o własności i bogactwie. Jak zauważa autor, przed posiadaniem ostrzegają nas w równym stopniu Lao-cy, Konfucjusz, Budda, Chrystus czy Mahomet. Lao-cy w *Tao Te Ching* pisał m.in. „Mnogość bogactwa to bieda” oraz „Kto zbyt rozgłos umiłował, ten drogo zapłaci. Kto zbyt wiele nagromadził, ten wiele straci”.

W Chinach podkreślano wielką wartość mądrości, a centralną postacią w chińskim modelu nauczania był ideał mędrca-nauczyciela. Lao-cy głosił: „Od codziennego uczenia się rośniesz”, „Kto innych pokona, ten siłę posiadał. Kto zaś sam siebie pokonać zdoła, ten jest naprawdę potężny”. Konfucjusz natomiast zauważał: „Dawniej ludzie uczyli się dla samych siebie, dziś robią to na pokaz”. Można z tym powiązać kolejny temat poruszany w aforyzmach – dążenie do doskonałości, często oparte na koncepcji drogi. Do doskonałości można się jedynie zbliżyć, nigdy się jej nie osiągnie, dlatego Konfucjusz głosił: „Nie cel jest ważny, ale droga do celu”.

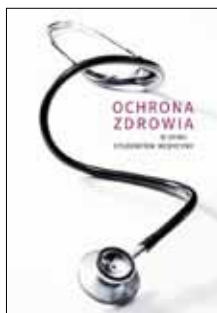
Chociaż w każdej niemal książce można odnaleźć refleksje godne uwagi, według Zeidlera dzieła starożytnych myślicieli chińskich są nimi szczególnie nasycone. Chińczycy mają wyjątkową umiejętność zwięzłego wyrażania myśli. Dzięki temu aforyzmy powstałe nawet w bardzo odległej przeszłości są ciągle aktualne, ponadczasowe. Przekazując złotą myśl moralną, filozoficzną lub etyczną, mogą funkcjonować samodzielnie poza pierwotnym kontekstem. Autor skupił się na kilku zakresach tematycznych chińskich aforyzmów. Rozpoczął od nauk o państwie, prawie i władzy, odnosząc starożytną myśl chińską do współczesności. Ważne miejsce w chińskim piśmiennictwie zajmuje kwestia wojen, stąd wiele aforyzmów właśnie ich dotyczy. Wiele z nich pochodzi z traktatów, takich jak *Sztuka wojny* autorstwa Sun Tzu oraz tzw. *Kanonu wojny* Sheng Zhonga. Istotne są też nauki o własności i bogactwie. Jak zauważa autor, przed posiadaniem ostrzegają nas w równym stopniu Lao-cy, Konfucjusz, Budda, Chrystus czy Mahomet. Lao-cy w *Tao Te Ching* pisał m.in. „Mnogość bogactwa to bieda” oraz „Kto zbyt rozgłos umiłował, ten drogo zapłaci. Kto zbyt wiele nagromadził, ten wiele straci”.

W Chinach podkreślano wielką wartość mądrości, a centralną postacią w chińskim modelu nauczania był ideał mędrca-nauczyciela. Lao-cy głosił: „Od codziennego uczenia się rośniesz”, „Kto innych pokona, ten siłę posiadał. Kto zaś sam siebie pokonać zdoła, ten jest naprawdę potężny”. Konfucjusz natomiast zauważał: „Dawniej ludzie uczyli się dla samych siebie, dziś robią to na pokaz”. Można z tym powiązać kolejny temat poruszany w aforyzmach – dążenie do doskonałości, często oparte na koncepcji drogi. Do doskonałości można się jedynie zbliżyć, nigdy się jej nie osiągnie, dlatego Konfucjusz głosił: „Nie cel jest ważny, ale droga do celu”.

Justyna Jakubczyk

Kamil ZEIDLER, *Mądrość chińskich aforyzmów. O państwie, prawie, polityce i władzy*, Wydawnictwo Uniwersytetu Gdańskiego, Gdańsk 2020.

Człowiek, lekarz, specjalista



„Czy na pewno umarła?” – lekarz spytał przez telefon rodzinę nieboszczki, a upewniwszy się, przystąpił „zaocznie” do wypisania karty zgonu. Choć brzmi to jak ponury żart, do sytuacji takiej doszło naprawdę. Może w dobie teleporad będzie to już standard? Uspokajając bardziej wrażliwych czytelników – nie, ochrona zdrowia widziana oczami studentów medycyny wygląda nie tylko tak.

Zresztą czy trzeba daleko szukać? Przecież to jeden z tych tematów, w których każdy uważa się za eksperta. Na długo przed diagnozą specjalisty, a nierzadko nawet wbrew niej, wiemy, co nam dolega, jaka terapia byłaby najwłaściwsza, nie wspominając już o systemowych zmianach, które wprowadzilibyśmy „od ręki”. Tyle że spojrzenie jedynie z perspektywy pojedynczego pacjenta, choćby najbardziej dotkniętego przez chorobę, a przez to wymagającego dłuższej opieki, jest niczym innym jak opisywaniem rzeczywistości na zasadzie pars pro toto. Uwzględnienie wielowymiarowości tego obszaru naszego życia nadaje mu znacznie większej realności. Głos adeptów sztuki lekarskiej wypełnia to kryterium o tyle, że znajdują się oni niejako na pograniczu dwóch światów. Ujmując rzecz górnolotnie, „wyszli z nas”, lecz – co istotne – nie zdążyli jeszcze na dobre ugrzęznąć w koleinach systemu. Dopiero co sami podążyli od gabinetu do gabinetu, szukając porady, czekali w kolejce na przyszpitalnym „SOR-ze” bądź towarzyszyli bliskim w zmaganiach z chorobą. Oczywiście założenie kitla nie oznacza automatycznie pozbycia się wszelkich dolegliwości, ale mając wciąż świeżo w pamięci doświadczenie bycia pacjentem, zaczyna się dostrzegać znacznie więcej niuansów. Mogą one, jak u części autorów tej książki, wywołać konsternację, bezsilność, nawet złość. Lecz dla większości zderzenie z rzeczywistością ideałów pokroju Tomasza Judyma, Bernarda Rieux czy prof. Wilczura, choć bolesne, nie przesłania misji zawodu, jaki chcą uprawiać. Dla nich to nie profesja, lecz powołanie.

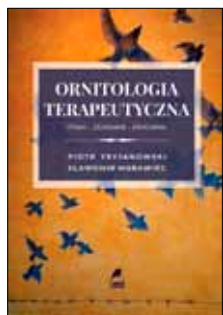
Przystępując do lektury ponad stu krótkich esejów, spodziewałem się głównie laurek pod adresem starszych kolegów (owszem, są i takie!), tymczasem studenci zaskakują wyjątkowo dojrzałym oglądem polskiej ochrony zdrowia, jej organizacji, dostępności i skuteczności. Dobrze, że nie zraziłem się już na początku, gdy mowa o wypaczonym przez media obrazie służby zdrowia, bo im dalej w las, tym ciekawsze refleksje. Przeszli medycy potraktowali temat bardzo poważnie i ci, którzy jako grupa zawodowa byli dla wcześniejszych generacji uosobieniem nieomyślności, władzy nad chorym, protekcyjności, tutaj nie mogą liczyć na taryfę ulgową. Nawet adepci, którzy medycynę wysłali z mlekiem matki, a więc są od dziecka obcy z tym środowiskiem, gdy przejęli pałeczkę w rodzinnej sztafecie, potrafią zdjąć różowe okulary. Zmiana w mentalności, w podejściu do chorego, który przestaje być jedynie „numerkiem”, jest aż nadto widoczna. Dla nich lekarz, choćby z ogromną wiedzą, ale niewyposażony w takie atrybuty jak empatia, życzliwość czy wysoka kultura osobista, pozostaje najsłabszym ogniwem całego systemu. Wytykają odmienne traktowanie pacjentów prywatnych i „funduszowych”, nieumiejętność komunikowania choremu bądź jego rodzinie trudnych diagnoz, przekraczanie kompetencji. Za oczywiste uważają holistyczne patrzyenie na pacjenta wsparte zaufaniem do niego. „Lekarz ma być najpierw człowiekiem, później lekarzem, a na końcu specjalistą” – przywołują słowa swojego mentora, prof. Stanisława Głuszka.

Obraz, jaki rysuje się w tych tekstach, pozostawia czytelnika z nadzieją pomieszaną ze zwątpieniem. Tę pierwszą widać w motywacjach młodych ludzi, którzy chcą zmian, podsuwają pomysły i nie bacząc na przeszkody, usiłują odmienić stereotyp lekarza. Nasuwa się jednak pytanie, na ile starczy im zapału w tym nierównym starciu z systemem?

Mariusz Karwowski

Ochrona zdrowia w opinii studentów medycyny, zebrał i opracował Stanisław GŁUSZEK, Wydawnictwo Uniwersytetu Jana Kochanowskiego, Kielce 2020.

Ornitoterapie



Książka jest rezultatem współpracy prof. Piotra Tryjanowskiego z Katedry Zoologii Uniwersytetu Przyrodniczego w Poznaniu oraz dr. Sławomira Murawca – psychiatry i psychoterapeuty. Współdziałanie uczonych reprezentujących odmienne dyscypliny wiedzy doprowadziło do sformułowania oryginalnej propozycji badawczej. Polega ona nie tylko na przetrześciu pomostu między ornitologią i psychiatrią (co zresztą samo w sobie jest pomysłem ze wszech miar godnym uznania), lecz również na umiejętnym odsłonięciu wiązki zjawisk, jakie

wyształcają się na pograniczu tych dwóch dyscyplin. Przedsięwzięciu temu patronuje bowiem pytanie o to, w jaki sposób obserwacja ptaków może wpłynąć na poprawę samopoczucia człowieka. W tym kontekście intencje autorów wpisują się w obręb jednego z wielkich zagadnień nauki, która od dawna snuje rozważania na temat zależności między zdrowiem człowieka a przyrodą, rozpatrując te relacje w kontekście przemian antropologicznych, społecznych oraz cywilizacyjnych.

Problematyka ta od kilku lat zaprzęta uwagę uczonych z różnych dziedzin. Dyskusje na temat epoki antropocenu, szóstego wielkiego wymierania, konsekwencji postępu technicznego już dawno odsłoniły ciemny rewers modernizacji, a jednocześnie skierowały nasze zainteresowanie w stronę świata przyrody.

Rosnące zainteresowanie ornitologią skłoniło do postawienia kilku ważnych pytań. Choć na pozór odpowiedź wydaje się oczywista, to śledząc zawarte w książce wywody czytelnik uświadamia sobie, że omawiane sprawy okazują się dość złożone, zaś ich rozwikłanie wymaga uruchomienia wielu procedur badawczych. W znacznej mierze płynie to z faktu, że autorów interesuje złożony kontekst społeczno-kulturowy związany z obserwacją ptaków. Autorów zajmuje nie tylko obiekt obserwacji (ptaki), lecz także obserwator (człowiek) oraz wiązka determinant wyznaczających ramy jego aktywności. W ten sposób odsłonięta została siatka interesujących zależności oraz zaskakujących analogii, na przykład między psychoterapią a obserwowaniem ptaków albo rozpoznawaniem gatunków ptaków oraz marek samochodów (w obu przypadkach uruchomione zostają te same – odpowiedzialne za pamięć – struktury mózgu).

Zarysowany na podstawie tak szeroko zakrojonych i erudycyjnych studiów projekt ornitologii terapeutycznej staje się szczególną formą zooterapii, w której – inaczej niż na przykład w przypadku hipoterapii – konieczną formą relacji nie jest bliskość, lecz dystans. Chodzi tu bowiem nie tylko o kształcenie umiejętności poznawczych, ponieważ amatorska obserwacja ptaków traktowana jest jako ćwiczenie z empatii, umiejętności przewidywania negatywnych konsekwencji swoich posunięć oraz wpływu na przyrodę. W tym sensie bardziej niż o jeden wzorzec terapii chodzi o szereg różnorodnych ornitoterapii: indywidualnych, oddolnych praktyk, przy których pomocy jednostka poprawia samopoczucie, redukuje stres bądź poczucie napięcia. Jakkolwiek autorzy piszą o nich w sposób aprobatywny, to jednocześnie mocno podkreślają, że choć wszystkie te czynniki mogą nieść ze sobą dobroczynny wpływ na psychikę, nie zastępują jednak psychoterapii oraz farmakologii: „Kontakt z przyrodą nie zastąpi kontaktu z lekarzem specjalistą. Jeśli jest on potrzebny, nie zwlekaj”.

Podczas lektury książki trudno oprzeć się wrażeniu, że podejmowana w niej problematyka nabrała aktualności w ciągu ostatniego roku, który upłynął pod znakiem pandemii. Ograniczenia związane z kontaktami międzyludzkimi sprawiły, że coraz uważniej przyglądamy się przyrodzie, dostrzegając w najbliższym otoczeniu rzeczy, które do niedawna umykały naszej uwadze. Na przykład ptasich sąsiadów, których towarzystwo jest ważnym czynnikiem dobrego samopoczucia.

Aleksander Wójcicki

Piotr TRYJANOWSKI, Sławomir MURAWIEC, **Ornitologia terapeutyczna. Ptaki – zdrowie – psychika**, Bogucki Wydawnictwo Naukowe, Poznań 2021.

Pobudka do posługi myślenia



W świecie kreowanym przez ludzi zawsze mądrości towarzyszyła głupota. Badawczo na fenomen ludzkiej głupoty patrzy Janusz Szewczak, czego efektem jest książka *Idiotokracja, czyli zmowa głupców*. Od pierwszych stron jesteśmy wprowadzani w problem terronu nowoczesnej głupoty ukrytej czasem pod szyldem mądrości. Wiodący wątek refleksji skoncentrowany jest wokół pytań: „Czy na głupotę jest jakieś lekarstwo? Czy nieuchronnie czekają nas rządy głupców? Czy przypadkiem zamiast obecnej, wielce ułomnej i coraz głępszej, i coraz

bardziej zdegenerowanej demokracji nie czeka nas jeszcze głępsza – idiotokracja? Czy tak zawsze bywało?”. I choć autor przyznaje, że „nie jest łatwo pisać mądrze o głupocie”, jednak potrafi to robić. Obdarzony zmysłem dostrzegania absurdów i ich słownego unaooczniania, daje jasny przekaz zagrożenia tryumfem głupoty nad mądrością, co jest podstawowym wyróżnikiem stanu nazywanego przez niego idiotokracją. Swoją refleksyjną narrację przedstawia w ośmiu rozdziałach, poprzedzonych tematycznym wprowadzeniem i zamkniętymi bibliografią.

Książkę można nazwać egzemplifikacją „posługi myślenia”, do której wzywał intelektualistów św. Jan Paweł II i traktował ją jako „służbę prawdzie w wymiarze społecznym”. Kolejne rozdziały krok po kroku inspirują czytelnika do krytycznego myślenia, oceny i wartościowania. Poznajemy kolejno refleksje na tematy: „Głupota kontra mądrość”, „Co historia mówi nam o głupocie”, „Odrzucenie autorytetów i spowalnicze postępu”, „Idiotokracja – nowa tendencja czy już nowy system?”, „Stara choroba cywilizacji w nowej odsłonie technologii i mediów społecznościowych”, „Dżuma XXI wieku uczyni z nas jeszcze większych głupców”, „Szalenstwo i głupota jednostek i społeczeństw coraz mniej uleczalne”, „Boska Mądrość, ludzka mądrość”. Każdy rozdział mógłby być oddzielnym traktatem. Jednak całość daje szerszy ogląd i pozwala dostrzec podłoże i perspektywę idiotokracji.

W rozważaniach trochę miejsca poświęcono nauce, która wbrew swej istocie też jest zaszczona oparami głupoty. Nie tylko do ludzi nauki skierowane są te słowa: „Co z tego, że mamy coraz więcej na świecie naukowców, profesorów, doktorów i uczonych wszelkiej maści o coraz węższej specjalizacji, że kształcimy coraz więcej ludzi, gdy coraz mniej jest pośród nich osób prawdziwie mądrych, ideowych, zwyczajnie dobrych, odważnych i skromnych. (...) Bogaci sponsorzy i wpływowe lobby wynoszą na szczyty każdego, posłusznego i pożytecznego głupca czy złotoustego oszusta, gdy tylko im się to opłaci. Ci zaś skutecznie odzwyczajają zwykłych śmiertelników od wszelkiego wysiłku myślowego” – i tak się pleni idiotokracja.

Książka zawiera wiele wymownych puent, np.: „Kryzys nauczania jest dziś ewidentny i ma on ogromny wpływ na skalę panoszącej się ludzkiej głupoty, kryzysu moralnego i intelektualnego czy wreszcie hipokryzję świata nauki”. Z szerszych rozważań wyprowadzane są jednoznaczne wnioski: „Współczesnym elitom wykorzystującym system idiotokracji do zdobywania władzy lub sprawowania rządów trzeba głośno powiedzieć: Stop!”.

Cenne jest nie tylko wskazywanie zła, ale też eksponowanie jego źródła – stawianie diagnozy. Można się zastanawiać, dlaczego przy tak wysokim poziomie rozwoju społecznego spotykamy się z głupotą niemal na każdym kroku. Przyczynę autor widzi w „uśmierceniu Boga”. Jest to „pierwszy i podstawowy krok do panowania idiotokracji”. Chodzi o to, że społeczeństwo bez religii, bez hierarchicznego systemu wartości, bez zobowiązań etycznych – traci swe żywotne siły.

Treść książki jest bardzo aktualna, można powiedzieć „na czasie”. Przemawia do rozumu, duszy i serca. Wszystko wpisuje się w posługę myślenia, która jest podstawowym czynnikiem powstrzymania pojawiającej się na horyzoncie rozwoju społecznego idiotokracji.

Jadwiga Michalczyk

Janusz SZEWCZAK, **Idiotokracja, czyli zmowa głupców**, Biały Kruk, Kraków 2020.



Leszek Szaruga

Co nowego?

Od zawsze mam radar wyczulony na nowości. Tym bardziej zainteresowała mnie wypowiedź profesora Tomasza Dietla dla „Polityki” (nr 24/2021): „Każdego dnia pojawia się nowy zasób informacji, który odpowiada trzem pełnometrażowym filmom 3D na osobę. I ten przyrost rośnie wykładniczo – podwaja się co cztery lata. Obecnie wytwarzanie, zapisywanie, przesyłanie, odczytywanie i przetwarzanie informacji pochłania ok. 4 proc. globalnego zużycia energii”. Uff! Po prostu obłęd. Zapanowanie nad tym wydaje się po prostu niemożliwe. Należy się przy tym obawiać, że cała masa informacji po prostu ginie, gdyż chyba nie zawsze będziemy umieli wyselekcjonować te, których wagę dostrzeżemy – jeśli w ogóle – ponieważ, tak jak to było w przypadku ataku na nowojorskie wieże WTC: informacje wskazujące na możliwość przygotowania tej zbrodni były, jak to później ustalono, w zasobie służb, lecz ich po prostu nie wzięto pod uwagę czy nie dostrzeżono. Nie wystarczy bowiem samo gromadzenie informacji, decydują sposoby ich selekcji i zasady spożytkowania.

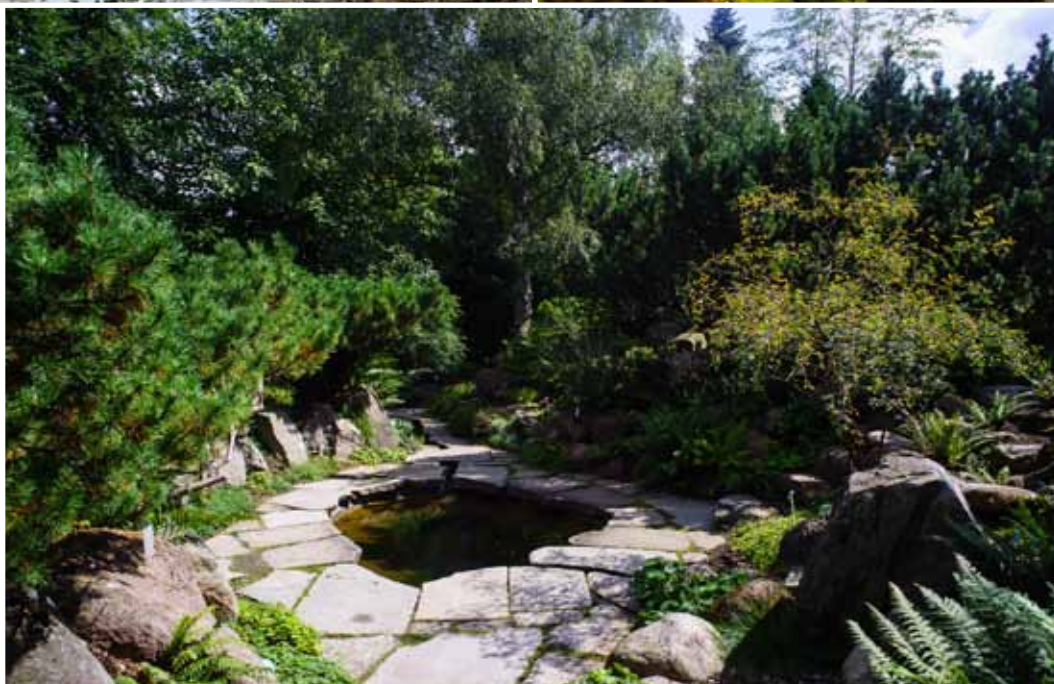
Jednym z nowych narzędzi, które mogą pomóc w rozwiązywaniu takich problemów, jest użycie komputerów kwantowych. Jak czytam w tym samym wywiadzie: „Można oczekiwać, że już w najbliższych pięciu latach moc komputerów kwantowych wzrośnie na tyle, że będą rozwiązywały zadania niewykonalne komputerami klasycznymi. Nowe metody obliczeniowe przyspieszą rozwój sztucznej inteligencji, co może okazać się jednym z wielkich przełomów w historii ludzkości o ogromnych konsekwencjach etycznych, społecznych i politycznych”. Jest to tym bardziej interesujące, że warto te uwagi pokójczyć z innym procesem, który narasta z zastanawiającą prędkością: chodzi o przyrost ludności. I jeśli kwestie związane z przełomami technologicznymi połączyć z problemem demograficznym, wówczas nietrudno przyjąć, że świat ludzki rzeczywiście znalazł się w fazie przyspieszonej metamorfozy.

Nie zaczęło się to wczoraj. Wstępem do tych przemian było kształtowanie się w XIX wieku struktur społeczeństw masowych, które, dość dobrze opisane przez socjologów, w tej chwili są już formacjami historycznymi. Przyjmuję, że od połowy XX wieku struktury te uległy tak potężnym demograficznym przekształceniom, że coraz częściej nie potrafimy ich dobrze zbadać, co sprawia, iż tego, co jeszcze sto lat temu było w jakiejś mierze przewidywalne, dziś już tak łatwo przewidzieć nie sposób. Gdy sobie uświadamiam, że za mego życia populacja globu ule-

gła podwojeniu, mam poczucie, że to zagęszczenie – przy jednoczesnym dynamicznym wzroście mobilności i narastających ruchach migracyjnych – może uruchomić procesy, których charakteru nawet nie jesteśmy w stanie sobie dziś wyobrazić. A że to możliwe, zaświadcza choćby – przykład pierwszy z brzegu – rewolucja technik komunikacyjnych: nawet Lem nie wymyślił komórki z jej obecnymi funkcjami i jej roli w życiu społeczeństw.

Jestem prostym humanistą, a zatem kwestie związane z rozwojem informatyki czy pozyskiwaniem nowych stopów metali, choć interesujące, mogę poznawać jedynie za pośrednictwem popularyzatorów nauki, ale wierzę, że można nawet odległe dziedziny poznania jakoś ze sobą łączyć, choćby dlatego, że składają się one na wspólny dla nas wszystkich świat. W artykule „Zaszufladkowany” da Vinci kontra „głupiec” o szerokich horyzontach (FA nr 5/2021) Leszek Chybowski przekonuje, że warto „łączyć programistykę z pisaniem wierszy” i wszystko wskazuje na to, że ma rację. Ale też humanistyka pozwala dostrzec, że nie warto utwierdzać się w przekonaniu, że coś nie jest możliwe. Często wskazując na przykład na nieprzekładalność jakiegoś utworu, podkreślam, że jest on dotychczas nieprzekładalny. Za chwilę może pojawić się ktoś, kto problem rozwiąże i w dodatku uczyni to jakby od niechcienia, ot tak.

Możemy być przekonani, że gigantycznie namnażające się problemy nauki czy życia publicznego stawiają nas wobec potężnego kryzysu. I tak jest rzeczywiście. Ale kryzys ma dwa oblicza – może oznaczać zapaść, ale też może sygnalizować przełom. Na koniec zatem może przykład z bliskiej mi dziedziny. Niemieccy ekspresjoniści przełomu XIX i XX wieku byli przekonani, że żyją u schyłku epoki (nie bez kozery określanej też mianem dekadentyzmu), a antologia ich wierszy obdarzona została tytułem *Menscheitsdämmerung*, co na ogół tłumaczone jest na polski jako *Zmierzch ludzkości*, co nie jest błędem, lecz pomija dość istotną okoliczność lingwistyczną. Słowo *Dämmerung* albowiem ma dwa odmienne znaczenia wyznaczone przez dopełnienie: mamy *Abendsdämmerung* i *Morgensdämmerung* – zmierzch i świt. W ekspresjonistycznej wizji kultury pierwszy poprzedza drugi, a zatem równie poprawnym tłumaczeniem byłoby zatytułowanie owej antologii *Świt ludzkości*. Zakładam, że ktoś kiedyś wpadnie na pomysł, jak to przełożyć, by nie tracić jednego ze znaczeń. Osobnym problemem pozostaje przekonanie konserwatystów o tym, że zmierzch naszego świata to nie zagłada, lecz rewitalizacja wartości.



Ogród Botaniczny Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza

fot. Adrian Wykrota

Ogród Botaniczny Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu został otwarty 13 września 1925 roku. Jego powierzchnia obejmuje obecnie niemal 22 hektary, na których znajduje się ponad 6000 gatunków, podgatunków i odmian roślin z niemal wszystkich stref klimatycznych Ziemi. Kolekcje roślinne Ogródu gromadzone są w działach: Dendrologii, Ekologicznym, Geografii Roślin, Roślin Ozdobnych, Roślin Rzadkich i Zagrożonych, Roślin Wodnych i Bagiennych oraz Systematyki Roślin, a także w Alpinarium, szklarniach i szkółkach. Od 2007 roku na terenie Ogródu znajduje się największy zbiór irg w Polsce – Kolekcja Narodowa Rodzaju *Cotoneaster* Medik. Od początku swojego istnienia Ogród uczestniczy w międzynarodowej wymianie nasion. Ogród Botaniczny jest jednostką ogólnouczelnianą UAM utrzymywaną przez tę uczelnię, a jednocześnie wspieraną przez Miasto Poznań.

